



DANKA BRAUN

HISTORIA
PEWNEGO
MORDERSTWA

miłość ♥ namietność ♥ pożądanie


prozanni

DANKA BRAUN

HISTORIA
PEWNEGO
MORDERSTWA



*Mojej Przyjaciółce
Marzannie Radziszewskiej.
Marzenko, dziękuję...*



Ściągawka dla czytelnika

Robert Orłowski – neurochirurg, nestor rodu

Renata Orłowska – żona Roberta

Iza Orłowska von Briest – córka Roberta

Krzysiek Orłowski – syn Roberta

Wika Orłowska – żona Krzyśka

Marta Biegler – nieślubna córka Roberta

Mark Biegler – dziennikarz, mąż Marty

Eryk i Kamil – wnukowie Roberta

Johan von Briest – mąż Izy Orłowskiej

Martin Schmidt – wspólnik Roberta

Georg Sewer – kolega Johana

Camilla Vogel – szefowa stacji Super Star

Teo – synek Camilli

Zuza Kowalska vel Suzi – opiekunka synka Camilli

Alfred Linn – dawny kochanek Camilli

Lena Wolf – ciotka Camilli

Franco Ferro – właściciel pensjonatu

Lorenzo Russo – kelner hotelu Stella

Giulia Ferro – dziewczyna kelnera, córka właściciela pensjonatu

Rosa Brasi – fryzjerka

Henri Kraft – policjant niemiecki *Polizeioberkommissar Bundeskriminalamt BKA*

Dario Moretti – policjant włoski, *ispettore capo*

Aga Torbicka – była żona Krzyśka, matka Eryka

Barbara Orłowska Johanson – matka Roberta

Jon Johanson – mąż Barbary

Bartek Krawczyk – były narzeczony Izy Orłowskiej

Prolog. Luty 2020

Renata Orłowska postawiła na stół miskę z sałatką królewską i usiadła obok męża. Biesiadników było wielu, tak jak to zwykle bywało na kolacjach u Orłowskich. Oprócz czwórki Bieglerów, Krzyśka z rodziną i Barbary z mężem przyjechali również państwo von Briest – Iza i Johan. Ci ostatni nie mieszkali na terenie rodzinnej posiadłości, tylko w swoim mieszkaniu, mieszczącym się w nowo wybudowanym apartamentowcu w Krowodrzy, dlatego jedli wspólną kolację z innymi członkami rodziny tylko raz lub dwa w tygodniu. Iza pragnęłaby częściej to robić, ale Johan wolał nie przebywać zbyt długo w towarzystwie teścia. Inni wżenieni w rodzinę Orłowskich, konkretnie Mark Biegler i Wika, chcąc nie chcąc godzili się na codzienne rodzinne wieczorne spędy, bo wymuszały to na nich ich dzieci. Wszystkie wnuczeta Orłowskich uwielbiały towarzystwo dziadka Roberta i kuchnię babci Malutkiej.

– Nie mam ochoty telepać się do Włoch – powiedziała Renata. – Jeśli Martinowi tak bardzo zależy na naszym towarzystwie, niech przyjedzie do Zakopanego. U nas też są góry. Jeśli ktoś lubi chodzić z nogą w gipsie, niekoniecznie musi po to jechać w Alpy.

– Mamo, nie wypowiadaj się za innych – wtrąciła Iza. – Jak możesz porównywać nasze rodzime trasy narciarskie z alpejskimi. Od razu widać, że nie masz pojęcia o jeździe na nartach.

– Nie mam i niech tak pozostanie.

– Swoją drogą, mamo, mogłabyś chociaż raz założyć narty – mruknął Krzysiek, sięgając po udko pieczonego kurczaka. – Wody też się bałaś, też wzbraniałaś się przed pływaniem, ale w końcu spróbowałaś i pokonałaś uprzedzenia. I dzięki temu, że nauczyłaś się pływać, uratowałaś życie dwóch brzdąców.

– Nauczyłam się pływać, bo miałam dobrego nauczyciela – powiedziała, uśmiechając się nostalgicznie, kątem oka zerkając na męża. Robert się skrzywił, a ona ciągnęła: – Gdy mi znajdziecie równie fantastycznego nauczyciela w szkółce narciarskiej, to może się skuszę.

– Nauczycielami jazdy na nartach są przeważnie młodzi faceci, którzy nie zwracają uwagi na podstarzałe flirciary zbliżające się do emerytury – bąknął Robert.

Orłowska wyprostowała się na krześle i zmierzyła męża wrogim spojrzeniem.

– Wypraszam sobie nazywać mnie podstarzałą flirciarą. Ani nie jestem stara, ani nie jestem flirciarą, ani nie zbliżam się do emerytury. To tobie jest bliżej do wieku emerytalnego niż mnie.

– Raczej nie, bo wiek dla mężczyzn to sześćdziesiąt pięć lat, a dla kobiet sześćdziesiąt. O rok później niż ty mogę zostać emerytem.

– Jeszcze długo nie zamierzam zostać emerytką. Będę sprzedawać swoje podkoszulki do końca mojego pobytu na tym ziemskim padole, do momentu, gdy niebiosy wezwą mnie do siebie. Najpierw do butiku będę kułykać o lasce, a potem pomagając sobie balkonikiem. Nie mam zamiaru brać od ZUS-u tej ich jałmużny.

– Mamuś, to głupota. – Do dyskusji ponownie włączyła się Iza. – Jeśli ty jej nie weźmiesz, to ZUS wręczy ją jakimś opastym, brzuchatym „pięćsetplusom”, żeby bezrobotni tatusiowie Brajanów mieli więcej forsy na piwo, a matki Dżesik na nowe tipsy i doklejane rzęsy. Lepiej więc będzie, żebyś pobierała należną ci emeryturę i za nią kupowała cukierki swoim wnukom.

– Wracając do nart, my z Wiką nie pojedziemy – zabrał głos Krzysiek. – Jestem potrzebny w klinice.

– Nie! – wrzasnęli wspólnie Eryk i Kamil. – My chcemy jechać na narty!

– My też nie damy rady pojechać z wami. Dzieci są za małe – wtrącił się Mark.

– Kochanie, ty możesz jechać. Dam sobie radę. Mamy przecież panią Stasię i jej córkę – głos zabrała Marta, nieślubna córka Roberta.

– To może wy jedźcie, a ja zostanę z dziećmi? – zaproponowała Renata.

– Malutka, mowy nie ma. Martin się obrazi, przecież to jego sześćdziesiątka. Krzysiek rzeczywiście musi zostać, ale chłopcy mogą jechać z nami. – Widząc karcące spojrzenie żony, dodał: – Oczywiście, jeśli ich rodzice wyrażą zgodę.

Stanęło na tym, że do Madonna di Campiglio pojedą Orłowscy z wnukami oraz Iza z Johanem. Natomiast Mark dojedzie do nich później, tylko na parę dni.

Rozdział 1

Granatowe bmw sunęło w ciemności wśród krętych drózek prowincji Trydent sąsiadującej z Lombardią. Tuż za autem posuwało się srebrne audi. W pierwszym samochodzie jechali Orłowscy z wnukami, a w drugim Iza z Johanem.

– Czy GPS dobrze nas prowadzi? – zaniepokoiła się Renata. – Czy nie ma innej, lepszej drogi? Strach tędy jechać – mruknęła. – Bardzo wąsko i stromo, i do tego ciemno.

– Super! – zawołał z entuzjazmem Eryk.

– Wy z tyłu lepiej śpijcie – bąknęła Renata. – Zanim tam dojedziemy, będzie środek nocy.

– Malutka, nie marudź. Chyba nie chcesz, żebym dodał gazu?

– Broń Boże! – zawołała. – Przecież tu same serpentyny. Nie podoba mi się ta trasa.

– I tak dużo lepsza niż ta prowadząca do Montepandone. Pamiętasz naszą podróż poślubną, Malutka, i to niesamowite miasteczko? Te wąziutkie uliczki, tę upiorną ciszę...

– Pamiętam – przerwała mu w połowie zdania. – Ale najbardziej pamiętam telefon od Angeli.

Robert zmarszczył brwi i przesłał żonie gniewne spojrzenie.

– Malutka, jesteś najbardziej pamiętliwą kobietą, jaką znam. Z niecierpliwością oczekuję chwili, gdy demencja trochę ci stępi pamięć – burknął.

– Dziadziu, demencja to bardzo niedobra choroba – odezwał się Kamil.

– Wiem, tylko żartowałem.

– Nie powinno się tak żartować – powiedział karcąco wnuk.

– Wykapany Krzysiek – mruknął Robert. – Skąd znasz, smyku, ten termin?

– Przeczytałem w internecie. Przecież chcę zostać lekarzem, takim jak ty, dziadziu, i tatuś.

– Za dużo siedzisz przed komputerem – mruknął Robert.

– Właśnie! Ja zawsze mu mówię, że kiedyś przegrzeje mu się mózg, tak jak komputerowi – wtrącił przyrodni brat Eryk. – Nie wolno wiedzieć za dużo, prawda, dziadziusiu?

– O, to chyba jest Madonna di Campiglio. – Robert wykorzystał pretekst, żeby uniknąć odpowiedzi. – Teraz musimy szukać hotelu Stella.

– Jak tu pięknie! – zawołała z zachwytem Renata.

– Tak uważasz? Większość kurortów narciarskich wygląda podobnie. Trzeba było jeździć z nami, a nie siedzieć w Krakowie.

– Mówiłam ci, że preferuję słońce, plaże i morze, a nie zimne hałdy śniegu.

– Babciu Malutka, hałdy są na Śląsku, z popiołu i żużlu, a nie ze śniegu.

– Malutka, słuchaj Kamila. Zdobywaj wiedzę od wnuka, jeśli samej ci się nie chce poczytać czegoś mądrego.

– Kamilku, to była przerośnia. Wiem, co to jest hałda.

– A co to jest przerośnia? Co ona przenosi? – dopytywał Eryk.

– Niech ci Kamil wytłumaczy, ja tymczasem będę podziwiał odpustowe piękno tej ślicznej miejscinki.

Miasteczko rzeczywiście wyglądało przeuroczo. Pastelowe domki z brązowymi dachami i okiennicami, podświetlone choinkowymi lampkami i otulone białą pierzynką śniegu, wyglądały jak z disnejowskiej bajki. Nie tylko budynki skrzyły się świetlnymi punkcikami, lecz także drzewa i krzewy. Białe lampki obrysowujące nagie gałęzie drzew liściastych i ich konary zastępowały im liście zgubione jesienią, natomiast przyprószone bielą świerki i sosny dumnie migotały zielenią swych igieł. Im też nie żalowano światełek. Ryneczek zdobiły obrazy malowane punkcikami lampek, przedstawiające renifery z saniami, aniołki ze skrzydłami i kuliste bałwanki – odpowiedniki tych prawdziwych śnieżnych stojących na skwerku. Czerń nocy, biel śniegu i podświetlone domy oraz cała reszta zimowych aplikacji tworzyły malownicze widoki, przywodzące na myśl obrazki ze starych świątecznych pocztówek. Miasta polskie w okresie świąt i karnawału również były przystrojone, ale nie tak pięknie jak ten mały zimowy kurort.

Hotel Stella znajdował się na peryferiach miasteczka i przedstawiał w mikroskali to, co widzieli

w rynku. Najbardziej rzucała się w oczy stojąca tuż przed budynkiem ogromna metalowa gwiazda, również podświetlona.

– *Stella* po włosku znaczy „gwiazda” – powiedział Kamil.

Robert i Renata ze zdziwienia aż otwarli usta.

– No, no, Kamil, dobrze się przygotowałeś do naszej zimowej eskapady – zauważył Robert. – Tego też się dowiedziałeś z internetu?

– Tak. Chciałem wiedzieć, gdzie będziemy mieszkać. Wpisałem hasło „Stella” i wyskoczyło mi kilkanaście znaczeń.

Renata pokręciła głową, trochę zawstydzona, bo nie знаła znaczenia tego słowa. Była przekonana, że to żeńskie imię. Rzeczywiście może się wiele nauczyć od wnuka – trzecioklasisty.

Martin Schmidt stał oparty o blat recepcji i rozmawiał z pięćdziesięciokilkuletnim właścicielem Stelli, Frankiem Ferrem, co chwila spoglądając na zegarek.

– Cóż tak długo ich nie ma? Żeby tylko nie wpadli w przepaść. Te dróżki są tak wąskie, łatwo o wypadek – zauważył zaniepokojony.

– Panie doktorze, proszę nie przesadzać. Jeśli pański kolega jest dobrym kierowcą, trafi do nas bez problemu. I bez wpadania w przepaść – powiedział z uśmiechem Franco.

Rozmawiali ze sobą po niemiecku, bo Ferro w młodości zdobywał szlify zawodowe w niemieckich i austriackich hotelach.

Schmidt był wysokim blondynem w okularach i mimo nadchodzącej sześćdziesiątki nadal mógł się podobać kobietom. Większość dorosłego życia spędził na walce z niechcianymi kilogramami. Chudł, tył i znowu chudł. W zwalczaniu nadwagi najbardziej pomagały mu kobiety. Miłość dopingowała go do przestrzegania diety i chodzenia na siłownię. Potem chodził tam także po rozstaniach, gdy chciał jakoś spędzić czas i nie myśleć o problemach. Stabilizacja małżeńska lub stagnacja uczuciowa przynosiły ze sobą fałdki tłuszczu i powiększający się brzuch. Teraz nie miał ani zbędnego tłuszczu, ani wystającego brzucha. Ubrany w zielony sweter w szarą kratkę i granatowe dżinsy wyglądał smukło jak długodystansowiec.

– Panie doktorze, czy panu coś nie dolega? Bardzo pan schudł od ostatniej wizyty u nas – zauważył hotelarz.

– Panie Franco, niechcący obdarzył mnie pan komplementem. Przez całe życie o niczym bardziej nie marzę niż o tym, żeby być za chudym. – Martin uśmiechnął się do mężczyzny. – Nic mi nie jest, po prostu odstawiłem piwo. Ale obawiam się, że po kilku dniach w towarzystwie moich przyjaciół znowu będę musiał wrócić do dawnych spodni, bo w tych się nie zmieszczę.

– Doktorze, przepraszam, ale muszę wracać do kuchni, żeby pańscy znajomi mieli co jeść na kolację – powiedział hotelarz, uśmiechając się przepraszająco.

Niemiec nie wrócił do pokoju, pozostał w holu w oczekiwaniu na przyjazd przyjaciół z Polski.

Od wielu lat Martin Schmidt wraz z Robertem Orłowskim wspólnie prowadzili prywatną klinikę w Krakowie. Oferowano w niej szeroki wachlarz różnorodnych usług medycznych, poczynając od badań diagnostycznych, a kończąc na wysoko specjalistycznych zabiegach neurochirurgicznych. Orłowski skupił wokół siebie wielu wybitnych neurochirurgów, dlatego placówka cieszyła się opinią jednego z najlepszych szpitali specjalistycznych w Polsce. Dobrze zaopatrzona w sprzęt najnowszej generacji i w doskonałych fachowców przyciągała pacjentów nie tylko z Polski, lecz także z Niemiec. Zadbął o to Martin, niemiecki onkolog z Berlina. Mężczyźni się zaprzyjaźnili, kiedy obaj mieszkali w Bostonie. Ich przyjaźń przetrwała trzydzieści lat, do czego w dużej mierze przyczyniła się wspólna klinika i pieniądze, które dzięki niej zarabiali. To jednak nie wysoko profesjonalne zabiegi neurochirurgiczne doprowadziły do ich finansowego sukcesu, tylko usługi stomatologiczne. Przyszpitalna przychodnia dentystyczna i rozbudowane wokół niej zaplecze w postaci hotelu i restauracji były kurą znośną złote jajka. Tak zwane „wycieczki stomatologiczne do Krakowa” stały się bardzo popularne wśród mieszkańców kraju nad Łabą. Popularność zawdzięczały dobrej reklamie w niemieckich mediach, o co zadbał Martin, i profesjonalnym usługom dentystycznym oraz towarzyszącym im atrakcjom, a przede wszystkim przystępnym cenom. Zakwaterowanie w eleganckich pokojach, smaczna kuchnia, wycieczki po Krakowie i okolicach – wszystko to gwarantowało dobrą rozrywkę jako dodatek do wyleczenia

uzębienia. W ofercie było zwiedzanie zabytków Krakowa i kopalni w Wieliczce lub Bochni oraz obowiązkowy wyjazd do Oświęcimia, żeby niemieccy pacjenci wiedzieli, że borowanie to pestka w porównaniu z tym, co ich pobratymcy robili więźniom w Auschwitz. Natomiast seanse w operze i filharmonii nie były już obligatoryjne. Robert twierdził, że dawka znęcania się nad gośćmi musi być umiejętnie wyważona, żeby chcieli przyjechać tu po raz drugi. „Wycieczki stomatologiczne do Krakowa” stały się tak popularne wśród Niemców, że niepotrzebne już były reklamy, które na początku działalności kliniki często pojawiały się w niemieckich mediach.

Orłowski weszli do środka.

– Nareszcie! Czekam na was i czekam. Zaraz wypuszczę tu korzenie. – Martin przywitał ich okropną polszczyzną.

– O Boże, Martin, co ty masz na sobie! – zawołała Renata. – Skąd wytrzasnąłeś ten sweter? Kupiłeś go na bazarze czy w lumpeksie?

– Co to jest lumpeks? – zapytał zdezorientowany Schmidt.

– Second-hand – odpowiedział Robert. – Nie przejmuj się moją żoną. Zanim mnie poznała, tylko tam się ubierała – mruknął.

– Mimo swetra wyglądasz rewelacyjnie. Schudłeś i masz już górską opaleniznę. Kiedy zdążyłeś się opalić? – zapytała Renata.

– Wczoraj i dzisiaj. Długo jechaliście. Myślałem, że jeszcze dziś razem zjedziemy ze stoku, tymczasem musiałem robić to sam.

– Nie mogliśmy tu trafić – usprawiedliwiał się Robert. – Panienska z GPS, jak to kobieta, prowadziła nas krętymi drogami, dlatego musiałem kilkakrotnie zawracać.

– W takim razie zmień głos w GPS-ie na męski, może będzie bardziej profesjonalnie wskazywał drogę – burknęła Renata.

– Malutka, wolę, żeby w podróży towarzyszył mi kobiecy alt niż męski baryton. – Po czym, rozglądając się w koło, rzucił do Martina: – Zaskoczyłeś mnie. Spodziewałem się dużego hotelu, a to pensjonat.

– I bardzo dobrze – wtrąciła Renata. – Zaczyna mi się tu podobać. Westybul jest bardzo efektowny.

– Nie obejrzałaś nawet pokoju, więc za wcześniej na opinię.

– Pokoje są w porządku – uspokoił Martin. – Duże i wygodne. Ten hotelik cieszy się wysoką renomą. Kameralnie tutaj, ale komfortowo. Zresztą sami zobaczycie. Ciężko zdobyć tu miejsce, trzeba robić rezerwację kilka miesięcy wcześniej. Mnie się udało znaleźć dla nas pokoje, bo znam właścicieli. Jestem ich stałym gościem, przyjeżdżam tu od lat.

W tym momencie podeszła do nich niewysoka młoda dziewczyna i czystą angielszczyzną przywitała nowo przybyłych. Do firmowego uniformu miała przypięty identyfikator, z którego wyczytali, że nazywa się Giulia Ferro. Ale nie musieli czytać, bo sama się grzecznie przedstawiła. Później się okazało, że jest córką właściciela pensjonatu. Pełniła w hotelu różnorakie funkcje, nie tylko recepcjonistki, lecz czasami także kelnerki i pokojówki. Dziewczyna wręczyła gościom klucze, a boy w osobie młodego przystojniaka o imieniu Lorenzo chwycił za walizki. Mężczyźni przyszli mu z pomocą i też wzięli do rąk torby podróżne. Chociaż hotelik miał tylko dwa piętra, zamontowano tu windę. Pokoje rzeczywiście okazały się przestronne i ładnie urządzone. Iza i Johan dostali zwykłą dwójkę, ale pokoje Orłowskich połączone były wewnątrz drzwiami z pokojem dla wnuków.

– Takie wewnętrzne drzwi to dobre rozwiązanie. Mogą tworzyć apartament, a czasami dwie dwójki, gdy drzwi zastawi się szafą – stwierdził Robert, zamykając na klucz drzwi pokoju wnuków wychodzące na korytarz i chowając klucz do kieszeni. – Wolę, żebyście nie mieli możliwości wymknięcia się z pokoju bez naszej wiedzy. – Oczywiście miał na myśli Eryka, bo Kamil był zbyt roztropny, by to zrobić.

W sypialni Orłowskich łóżka były razem zestawione, a w pokoju chłopców stały oddzielnie. Chłopcy włączyli telewizor i rzucili się na posłania. Robert razem z Martinem opuścili pomieszczenie, a Renata, wzdychając, zaczęła rozpakowywać bagaże.

Rozdział 2

Rano cała rodzina spotkała się w jadalni na śniadaniu. Nie obowiązywał tu szwedzki stół jak w innych hotelach, gości obsługiwali kelnerzy, ale obok zorganizowano bufet samoobsługowy, z którego również można było korzystać. Dla Martina i Orłowskich połączono stoliki, żeby mogli razem siedzieć. Po chwili podeszła do nich Giulia z kartą dań. Wybór potraw był duży, ale zadowolili się jajecznicą na bekonie i tostami z konfiturą.

Po śniadaniu i pysznym caffè americano wszyscy oprócz Renaty wybrali się na stok. Ona postanowiła zwiedzać miasteczko i sklepy.

Narciarze wrócili przed szesnastą, zmęczeni, ale zadowoleni.

– Żałuj, że nie byłeś z nami, Malutka. Góry wyglądają fantastycznie. Wspaniała uczta dla oczu. Pogoda na medal.

– Domyślam się, bo tu, na dole, też było słonecznie.

– Jak ci minął czas?

– Również wspaniale. Kilka godzin samotności to najlepszy relaks dla kobiety w moim wieku, od razu wygładziły mi się trzy zmarszczki.

Punktualnie o osiemnastej zeszli na kolację. Sala była pełna gości, znajdowało się tu około pięćdziesięciu osób, tylko niektóre stoliki stały jeszcze puste i czekały na biesiadników.

Usiedli za stołem. Tym razem podszedł do nich Lorenzo. Złożyli zamówienie.

– Johan, proszę, wróć się do pokoju i przynieś mi telefon, bo zapomniałam go wziąć – powiedziała Iza.

– Nie wytrzymasz bez komórki pół godziny?

– Nie pół godziny, tylko co najmniej dwie. Posiedzimy tu dłużej.

Johan z westchnieniem wstał od stołu i ruszył ku schodom. Nieoczekiwanie tuż przed nim pojawił się jego dawny kolega z Berlina trzymający za rękę małego chłopczyka. Malec musiał mieć około trzech lat. Miał jasne kręcone włosy i śliczne niebieskie oczy.

– Georg? – zawołał Johan po niemiecku. – Co tu robisz?

– Chyba to co i ty. – Mężczyzna uśmiechnął się, wyciągając rękę na powitanie. – Cześć. Co za spotkanie. Miło cię znowu zobaczyć. Słyszałem, że mieszkasz teraz w Polsce.

Niemiec był wysokim szczupłym blondynem około trzydziestki, kilka lat starszym od Johana.

– Tak, w Krakowie. Widzę, że masz syna...

– Cóż, kiedyś trzeba było się ustatkować.

– Dalej pracujesz w Super Star?

– Owszem.

– I co, wciąż włączysz w dupę Camilli Vogel?

– Nie tylko w dupę – usłyszał z boku kobiety głos. Głos należał do Camilli, właścicielki stacji Super Star, kiedyś również szefowej Johana. – Witaj, Johanie. Widzę, że przywitałeś się już z moim mężem.

– Mężem?! – von Briest nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia. – Jesteście małżeństwem? I macie dziecko?

– Cóż w tym takiego dziwnego? – Kobieta wrzuciła ramionami. – A ty zostałeś już ojcem, bo słyszałam, że poślubiłeś tę małą Polkę?

– Mała Polka jest wyższa od ciebie, Camillo.

– Tak? Kiedy ją widziałam, sprawiała wrażenie niepełnoletniej smarkuli. Jesteś tu z nią?

– Tak, z żoną i jej rodziną.

– Chyba jesteśmy sąsiadami, bo boy wspominał coś o kilkuosobowej polskiej rodzinie, która zajmuje sąsiednie pokoje. – Rzuciła mimochodem, po czym zwróciła się do męża. – Georg, gdzie jest Susanne?

– Suzi, Suzi! Ja chcę do Suzi – odezwał się mały.

– Teo, uspokój się. Niania zaraz przyjdzie – powiedziała kobieta ze zniecierpliwieniem

i spojrzała gniewnie na męża.

– Wróciła do pokoju po śliniak – odparł Georg.

W tym momencie na schodach pojawiła się młoda, niepozorna kobieta z ulizanymi włosami, ściśle upiętymi w kitkę z tyłu głowy i w dużych, mało twarzowych okularach. Szeroka bluza i rozciągnięte spodnie dresowe zakrywały figurę prawdopodobnie nie bez powodu.

No tak, Camilla lubi otaczać się nieciekawymi wizualnie kobietami – pomyślał Johan. A w jej mniemaniu każda niania obligatoryjnie powinna być brzydka.

– Susanne, na przyszłość proszę nie zapominać o podstawowych rzeczach dla dziecka – oznajmiła groźnie Camilla.

– Tak jest, proszę pani. Teo bardzo się niecierpliwił, dlatego przez pośpiech zapomniałam zabrać śliniak – odparła strachliwie dziewczyna. Chociaż mówiła poprawnie po niemiecku, jej akcent świadczył, że pochodziła z Europy Wschodniej.

– No to idziemy do stołu – oznajmiła Camilla, po czym zwróciła się do Johana. – Na razie musimy się pożegnać, ale mam nadzieję, że jeszcze nieraz będziemy mieli okazję porozmawiać.

Kiedy kilka minut później Johan wracał do stolika z komórką Izy, zauważył Camillę i jej rodzinę siedzących przy stole w kącie jadalni. Obsługiwał ich ugrzeczniony Lorenzo.

– Widziałeś, kogo diabli nam tu nasłali? – przywitały go słowa wzburzonej Izy.

– Izis, kogo masz na myśli? – zapytał od niechcienia.

– Tę twoją Camillę de Mon – sparafrazowała imię bohaterki *101 dalmatyńczyków*. – Przywiozła ze sobą swojego nowego gacha. Przecież Georg jest od niej młodszy o dwadzieścia lat! – Spojrzała kpiąco na męża. – Cóż, baba ma sentyment do młodych facetów, a młodzi faceci do jej pieniędzy.

– Raczej nie do pieniędzy, tylko do jej stacji telewizyjnej – odparł Johan, wzruszając ramionami. – Georg jest starszy ode mnie o cztery lata.

– Wielka mi różnica! – prychnęła lekceważąco. – No to jest młodszy nie o dwadzieścia lat, tylko o szesnaście.

– A więc to jest ta sławna Camilla Vogel – mruknął Robert, patrząc na Niemkę. – Piękna kobieta.

Rzeczywiście Camilla należała do piękności. Długie blond włosy, modnie przycięte i wyprostowane na prostownicy, nieskazitelny makijaż i wspaniała sylwetka obleczonea dopasowanym ubraniem – wszystkie te atrybuty sprawiały, że przyciągała oczy gości.

– Tatu, małe sprostowanie: nie piękna, tylko dobrze zrobiona. Nie tylko włosy ma wyprasowane, twarz również. Przeszła niejedną operację plastyczną i ma w sobie pięć kilo botoksu. Prawdziwie piękna jest nasza mama. Ona nie potrzebuje operacji ani wstrzykiwania w twarz jakichś świństw. – Iza uśmiechnęła się do matki, żeby zdobyć sojuszniczkę w dyskredytowaniu urody dawnej rywalki.

– Mam za to na sobie dziesięć kilo tynku, córeczko. Bez makijażu wyglądam jak siódme dziecko praczki.

– Ona również – burknął Johan.

Spojrzenia wszystkich przy stole spoczęły na twarzy mężczyzny.

– Więc jest głupsza, niż myślałam – podsumowała Iza. – Kiedy będę miała kochankę młodsze od siebie o dwadzieścia lat, nigdy nie dopuszczę, żeby widział mnie rano nieumalowaną.

Johan wrogo zmarszczył brwi.

– Nie martw się, Johan, to tylko groźby na wyrost – odezwała się ponownie Renata. – Swoją drogą wcale się nie dziwię kobietom, które chcą poprawić swoje już nieco zwiędnięte lica. Gdybym się nie bała bólu, sama bym sobie strzeliła jakąś operację plastyczną oraz podciągnęła i wstrzyknęła to i owo. Nie mam nic przeciwko korzystaniu ze zdobyczy kosmetyki i poprawianiu sobie urody.

– Kosmetyki tak, ale nie skalpel! Gardzę kobietami, które będąc matronami, udają nastolatki. Przecież Vogel to sypiące się próchno! Ona ma prawie czterdzieści siedem lat! – prychnęła Iza. – Nigdy się do tego nie zniżę, żeby dla jakiegoś faceta robić z siebie idiotkę. I w życiu nie pozwoliłabym, żeby jakiś rzeźnik dotknął mojej twarzy.

– Zgadzam się z tobą, córeczko – wtrącił Robert. – Jako chirurg i lekarz nie pochwalam niepotrzebnych operacji.

– A ja się nie zgadzam i wydaje mi się, córuś, że za dwadzieścia kilka lat, gdy też będziesz już

starym próchnem, zweryfikujesz swoje poglądy. Kiedy byłam w twoim wieku, myślałam podobnie jak ty teraz – podsumowała Renata, uśmiechając się pobłażliwie do Izy.

– Gdzie się podziiali Martin z chłopcami? – wtrącił Robert. – Wszystko im wystygnie.

– Już wracają – powiedziała Iza, patrząc na bratanków kroczących obok Martina ze szklankami świeżego soku wyciśniętego z pomarańczy.

– Martin, na przyszłość uważaj, co te urwisy mają w rękach, bo może spotkać cię przykra niespodzianka – zauważyła Renata.

Jakby przewidziała, bo w tym momencie Eryk potknął się i wywrócił. Chwilę leżał, jakby się zastanawiał, czy płakać, czy nie, po czym zawołał dumnie:

– Nie stłukłem szklanki!

– Ale wylałeś na mnie jej zawartość – mruknął Martin. – Renatko, już zawsze będę słuchał twoich rad.

Minęły trzy dni od ich przyjazdu do Madonna di Campiglio – i wszystkie wyglądały podobnie. Rano po śniadaniu hotelowi goście, oprócz Renaty, jechali na stok, żeby zakosztować narciarskich szusów. Ze względu na chłopców najczęściej zjeżdżano na niebieskich trasach, ale później zastosowano dyżury – dwie osoby asystowały Erykowi i Kamilowi, a reszta zaliczała trasy oznakowane na czerwono i czarno. Robert zawsze był w tej dyżurnej dwójce, bo z powodu nie tak dawnego wypadku nie mógł forsować kolana. Renata raz również z nimi pojechała. Siedząc na tarasie restauracji, podziwiała piękno Dolomitów – a żeby wrażenia były mocniejsze, co chwila raczyła się kufelkiem grzanego piwa z miodem. Nadal nie dała się przekonać do nauki jazdy na nartach.

– Chociaż spróbuj – zachęcał ją mąż. – Kiedy raz zjedziesz z osłej łączki, gwarantuję, że złapiesz bakcyła.

– Owszem, mogę złapać bakcyła, ale nie tego, o którym myślisz – mruknęła. – Już zaczyna mnie boleć gardło od waszego wspaniałego alpejskiego powietrza. Hmm, albo to ten wirus, który szaleje w Wuhan.

– Mamuśka, zanim chiński wirus rozpanoszy się w Europie, to jeszcze trochę potrwa – powiedziała Iza.

– Iza, rząd włoski nie bez powodu zawiesił ruch lotniczy do Chin. Trzydziestego pierwszego stycznia w Rzymie otrzymano u dwóch chińskich turystów pierwsze pozytywne wyniki testów – wtrącił Robert. – Nie wiadomo, jak to będzie. W dzisiejszych czasach nie da się zamknąć hermetycznie państwa przed wirusem. Wszystkie koronawirusy są zjadliwe, a SARS-CoV-2 jest wyjątkowo paskudny, przede wszystkim dlatego, że atakuje płuca.

– Na razie w Europie nikt jeszcze na niego nie umarł, a więc nie ma paniki.

– Nie wiadomo, jak długo nie będzie w Europie ofiar śmiertelnych. Epidemia idzie lawinowo. Nie wiemy, ile w Chinach naprawdę jest zachorowań i zgonów. Dopiero trzydziestego pierwszego grudnia Chińczycy ogłosili pojawienie się nowego koronawirusa, a czytałem, że był tam już w połowie października.

– Według mnie to będzie podobnie jak ze świńską czy ptasią grypą, epidemia obejmie tylko Azję – stwierdził Martin. – Pamiętasz, co było z SARS w 2003 roku?

– Owszem, pamiętam. I pamiętam też, że Chińczycy nie przyznali się światu do tego koronawirusa, bo był już od listopada, a powiedzieli o nim dopiero w marcu 2003 roku. Rzeczywiście nie rozprzestrzenił się po świecie i nie było wiele ofiar śmiertelnych, bo niecałe osiemset zgonów, ale dlatego, że im bardziej śmiertelny jest wirus, tym szybciej epidemia wygasa. Nie wiadomo, jak będzie z SARS-CoV-2. Wcale bym się nie dziwił, gdyby wybuchła pandemia. Nie można wierzyć Chińczykom na słowo, ile naprawdę jest ofiar śmiertelnych. Oni lubią kłamać.

– Robert, w takim razie dlaczego nas tu przywiozłeś? – zauważyła Renata.

– Bo w Europie jeszcze nic złego się nie dzieje. Czy mam ci, Malutka, przypominać, z jakiego powodu tu jesteśmy? Dwudziestego trzeciego lutego mój wspólnik kończy sześćdziesiąt lat.

– Proponuję, żebyśmy zostali do szesnastego marca i tutaj obchodzili twoją, Robert, sześćdziesiątkę – powiedział Martin.

– Z przyjemnością bym tu posiedział nawet do dnia moich urodzin, ale pacjenci będą za mną

tęsknić. Lista oczekujących na zabiegi jest wyjątkowo długa.

– Zastąpi cię Krzysiek.

– Nic z tego, Martin. Zaraz po twoich urodzinach wracamy do domu.

Rozdział 3

Następnego dnia, kiedy narciarze opuścili pensjonat, Renata ubrała się w nowo zakupione śliczne sztuczne futerko, założyła botki na płaskiej podeszwie, bo w kozakach na wysokim obcasie nie wypadało maszerować w kurorcie narciarskim, i wybrała się na długi spacer. Nie przeszkadzał jej brak towarzystwa, lubiła samotne wyprawy po nieznanym terenie. Uwielbiała poznawać nowe okolice, dlatego ochoczo maszerowała uliczkami Madonna di Campiglio, rozglądając się wokół z ciekawością. Chociaż preferowała lato, to zimowy krajobraz był tak urokliwy, że nie można było pozostać obojętnym na jego piękno. Miasteczko przykrywała mięciutka biel. Śnieżnym puchem przysypane były dachy domów, drzewa i krzewy. Spod tej skrzężającej się białości przebijała nieśmiało zieleń iglaków, jakby inny kolor był tu niemile widziany. W tle majaczyły zaśnieżone góry zakończone skalnymi szczytami, opiekuńczo otaczając mięciutką białoszarym wieńcem. Renata, zwiedziwszy malownicze uliczki kurortu, skierowała się do pobliskiego parku. Nie bojąc się zimnej ławki, usiadła na niej i podziwiała śnieżne rzeźby, które zagęszczały centralny plac. Tutaj było jeszcze ładniej, bo białego krajobrazu nie burzyła miejska zabudowa. Wszędzie biel, biel, biel. Park tonął w jaskrawym świetle słońca. Sceneria wywoływała wrażenie, że się zostało przeniesionym do bajkowej krainy Królowej Śniegu i zaraz z za śnieżnego bałwanka wynurzą się Gerda i Kaj.

Renata, siedząc i podziwiając Panią Zimę, w pewnym momencie zauważyła przechodzącą obok nią Camilli Vogel. Dziewczyna jedną ręką ciągnęła puste saneczki, a drugą chłopczyka. Synek Camilli był prześlicznym dzieckiem, ale również wyjątkowo nieposłusznym.

– Ja nie chcę tam iść, ja chcę na ślizgawkę! – wrzasnął głośno po polsku, ku osłupieniu Renaty.

– Teo, jesteś za mały na łyżwy. Pójdziemy na górkę i zjedziemy z niej na saneczkach – dziewczyna odparła po polsku ze wschodnim akcentem.

Renata nie mogła się oprzeć chęci, żeby do niej nie zagadać.

– Dzień dobry – przywitała się z uśmiechem. – Nie wiedziałam, że w naszym hotelu mieszka jakaś inna Polka. Zwracano się do pani „Susanne” albo „Suzi”.

– A tymczasem jestem zwykłą swojską Zuzią – odpowiedziała z uśmiechem dziewczyna. – Teo, zatrzymajmy się na chwilę, dobrze? Masz łopatkę i grabki i zrób śnieżną górkę, a ja sobie trochę odpocznę, bo strasznie bołą mnie nogi.

Chłopczyk tupnął nóżką.

– Nie chcę górki.

– To zrób bałwanka – powiedziała Renata. – Jeśli zrobisz bałwanka, dostaniesz czekoladkę.

– Ty jesteś *Kameradin* Suzi? Ty mówisz tak jak ona.

– Tak, jestem koleżanką Suzi. Twoją też mogę być, jeśli zechcesz.

– Chcę. No to ci zrobię górkę, bo *Schneemanna* nie umiem. Ale daj mi teraz *Praline*.

– Dobrze – powiedziała Orłowska, wyciągając z torebki czekoladkę.

– Teo, to będzie nasz sekret, dobrze? – powiedziała konspiracyjnie Zuzia.

– Dobrze, nie powiem *Mami*.

Kiedy chłopczyk zjadał małą, Renata powiedziała szeptem do kobiety:

– Przepraszam, jeśli zrobiłam kłopot. Mam nadzieję, że pani szefowa nie pogniewa się na panią.

– Proszę się nie martwić. Mały trzyma ze mną sztamę. Pani Camilla nie lubi, gdy rozmawiam z obcymi, oprócz tego nie wolno małemu jeść słodyczy przed obiadem.

– Dlaczego nie pozwala pani rozmawiać z obcymi?

– Boi się porwania. – Dziewczyna narysowała palcem kółko na swoim czole.

– Jeśli jest taka surowa, to dlaczego pozwala mówić do małego po polsku?

– Pani Camilla uważa, że znajomość każdego obcego języka jest dobra dla dziecka, nawet języka polskiego. – Wydeła usta pogardliwie. – Ona i pan Georg zwracają się do niego po niemiecku. Teo niedługo pójdzie do przedszkola, dlatego nie będzie miał problemów z niemieckim.

– Mój mąż stosował tę metodę u naszej córeczki, gdy była mała, ale tym drugim językiem był angielski. Hmm, nie przypuszczałam, że język polski też może być pożądanym, tym bardziej w domu pani

Vogel.

– Dziecko w tym wieku jest chłonne jak gąbka. Teo na razie jest malutki, ale całkiem dobrze sobie radzi z polszczyzną i niemiecczyzną, tylko czasami płaczą mu się słowa polskie z niemieckimi. Pani Camilla zastanawiała się, czy nie zacząć go uczyć również angielskiego, ale na razie się z tym wstrzymała. Zacznie go uczyć, gdy mały pójdzie do przedszkola. – Zawahała się. – Pani jest teściową kolegi pana Georga?

– Tak. Nasza córka wyszła za mąż za Johana von Briesta. Mój zięć kiedyś pracował w stacji Super Star. – Renata nie powiedziała, że był również kochankiem Camilli, ale prawdopodobnie było to tajemnicą poliszyneła i dziewczyna dobrze znała tę historię, bo przecież wszyscy w Niemczech ją znali.

– Gdzie państwo mieszkają?

– W Krakowie.

– Ja jestem z Chełma.

– Długo jest pani w Niemczech?

– O, już dziesięć lat. Przyjechałam do Berlina zaraz po maturze.

– Od dawna opiekuje się pani Teo?

– Od ponad dwóch lat. Nie miał nawet roku, gdy zatrudniła mnie pani Camilla.

– I jak się pani u niej pracuje?

– Pensja niezła, wikt za darmo, Teo fantastyczny. Zobaczymy, ile wytrzymam. – I szybko dodała: – No i jak długo pani Camilla ze mną wytrzyma.

– Odnoszę wrażenie, że jest wymagającą szefową.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Da się znieść. Gdyby było mi źle, tobym odeszła. – Zmieniła temat: – Czy pan Johan pracuje teraz w polskiej telewizji?

– Nie. Ma firmę informatyczną produkującą gry komputerowe.

– Taak? Nie szkoda mu telewizji? Pan Georg mówił, że był z niego utalentowany prezenter i dziennikarz. Oglądałam jego program o imigrantach z Afryki Północnej, bardzo mi się podobał.

– Widzę, że jest pani niezłe zorientowana w historii Johana. – Orłowska uśmiechnęła się ciepło, żeby złagodzić wydźwięk słów.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Swego czasu wszyscy telewidzowie w Niemczech słyszeli o głośnym romansie szefowej Super Star i Johana von Briesta.

– Ale teraz to przeszłość. Pani Camilla Vogel i jej mąż sprawiają wrażenie dobrego małżeństwa – powiedziała dyplomatycznie Orłowska.

– Może i sprawiają takie wrażenie – mruknęła dziewczyna.

– Od dawna są małżeństwem?

– Wzięli ślub zaraz po narodzinach Tea, a więc prawie trzy lata.

– Mąż pani Vogel też pracuje w telewizji Super Star? – Renata wzięła dziewczynę na spytki.

– Tak. Prowadzi teleturniej. A pani córka i zięć nie planują dziecka?

– Na razie nie. Są jeszcze bardzo młodzi. Wcześniej córka musi skończyć studia. Mamy już kilkoro wnuków, dlatego na nich nie naciskamy, tak jak to robią inni dziadkowie.

– Pani i mąż wcale nie wyglądacie na dziadków. Gdybym nie znała sytuacji, to wzięłabym tych dwóch chłopców za waszych synków.

– Pani Zuziu, wiem, że to komplement z pani strony, ale bardzo miły. – Orłowska przesłała dziewczynie uśmiech.

Wieczór przyniósł nowe niespodzianki. Kiedy Orłowscy z Martinem zeszli do jadalni na kolację, Teo zerwał się z krzesła i ku zaskoczeniu wszystkich, oraz zakłopotaniu Renaty, podbiegł do przechodzącej obok Orłowskiej.

– Masz jeszcze taką samą *Praline*? Była bardzo smaczna, a ja już zjadłem chlebek.

Skonsternowanej żonie przyszedł z pomocą Robert, który bardzo lubił dzieci.

– Oczywiście, że ma *Praline*, tylko w pokoju. Zaraz ci ją przyniosę. – Żona zdążyła mu opisać przedpołudniowe spotkanie. – Teo, wspaniale mówisz po polsku.

– Skąd wiesz, jak się nazywam?

– Żona mi mówiła o waszym spotkaniu.

Renata i siedząca nieopodal Zuzanna zaczęły kręcić się niespokojnie, gdy nieoczekiwanie od stołu wstała Camilla Vogel i uśmiechnęła się sympatycznie do Orłowskich.

– Mój syn ma wspaniały dar nawiązywania nowych znajomości – powiedziała po angielsku, wyciągając rękę w stronę Renaty, a potem Roberta. – Jestem Camilla Vogel. – Po czym spojrzała na Martina. – Miło pana znowu widzieć, panie doktorze. Pan mnie chyba nie pamięta, ale przy tylu pacjentach to nic dziwnego. Spotkaliśmy się w przychodni przyklinicznej.

– Tak? Przepraszam, rzeczywiście twarz wydawała mi się znajoma – odparł Martin.

– Może państwo dosiadziecie się do nas? Będzie nam bardzo przyjemnie. Same narty to za mało do miana dobrej zabawy. – Na jej ustach wykwitł promienny uśmiech. – Zaraz poproszę kelnera o dostawienie stołu.

Nie wypadało odmówić. Renata trochę się bała reakcji córki, gdy po wejściu do jadalni zauważyła rodziców siedzących razem z Camillą Vogel. Przepędziła jednak z głowy obraz gniewnej Izy i również się uśmiechnęła.

– Dziękujemy za zaproszenie. Będzie nam bardzo miło.

– To mój mąż, Georg, a Suzi nie muszę chyba pani przedstawiać – powiedziała Camilla bez krzty niezadowolenia. Skinęła ręką na kelnera. – Lorenzo, czy mógłby pan dostawić duży stół, żebyśmy mogli się wszyscy pomieścić? Mam nadzieję, że Johan i jego żona również do nas dołączą.

Kelner szybko spełnił życzenie Camilli.

– Martin, jak mogłeś nie zapamiętać tak pięknej kobiety? – Robert do komplementu dołączył czarujący uśmiech.

– To moja ciocia leżała w szpitalu, a nie ja, dlatego doktor Schmidt mógł mnie nie zapamiętać – odpowiedziała Camilla. – Natomiast my, pacjenci, mamy wyjątkowo dobrą pamięć do lekarzy, od których zależy życie nasze lub naszych bliskich. Jak się państwu podoba Madonna di Campiglio?

– Bardzo. Dolomity są piękne zimą i mają dobre trasy narciarskie.

– Nie zauważyłam na stoku pańskiej małżonki. Dlaczego?

– Bo zimą jestem odporna na piękno Dolomitów, tak jak i wszystkich innych gór. Przy temperaturze minus dziesięć wolę podziwiać je z ekranu telewizora, ewentualnie zza szyby okna. Nie cierpię zimy – wtrąciła Orłowska. – Przyciągnięto mnie tu siłą z powodu wnuków.

– Chyba nie do końca zza szyby, bo mimo mrozu dużo pani spaceruje.

– Cóż, urok Dolomitów skusił nawet mnie, dlatego wyściubiłam nos z pensjonatu. Ale wciąż uważam, że latem nadmorskie plaże mają w sobie więcej piękna niż zimą góry.

Gawędzili jeszcze chwilę, gdy w drzwiach jadalni pojawili się młodzi Briestowie z bratankami. Iza na widok rodziców siedzących przy stole Camilli Vogel na chwilę zamarła, po czym odwróciła się z zamiarem powrotu do sypialni, ale Johan coś do niej szepnął. Dziewczyna hardo podniosła głowę do góry, przywołała na twarz sztuczny uśmiech i skierowała się w stronę stolika.

– *Guten Abend.*

– Dzisiejszego wieczoru mówimy wyłącznie po angielsku – powiedziała Camilla. – Witam, *miss Isabell.*

– Już nie jestem „miss”, tylko „missis”.

– Wiem, słyszałam. Johan, gratuluję pięknej żony. A dla pani gratulacje, że się pani udało rozkochać w sobie Johana. Musi być pani niebanalną osobą. – Zrobiła króciutką przerwę. – Zapomnijmy o naszym pierwszym spotkaniu. Rzeczywiście było niefortunne, no i okoliczności były inne niż obecnie. Przepraszam za tamto swoje zachowanie. – Mówiąc to, uśmiechnęła się serdecznie do Izy.

Wbrew obawom Renaty atmosfera przy stole nie była najgorsza. Trochę naburmuszona Iza niewiele się odzywała, ale reszta gości bawiła się dobrze.

– Inaczej wyobrażałem sobie tę Camillę – zauważył Robert, gdy Orłowscy zostali w swoim gronie. – Całkiem sympatyczna kobieta.

– Sympatyczna, bo ładna? – mruknęła Renata. – Znowu oceniasz ludzi po wyglądzie.

– Nie ludzi, tylko kobiety. – Orłowski przesłał żonie uśmiech.

– To stara, paskudna intrygantka – wysyczała Iza. – Nie ufam w jej towarzyską metamorfozę. Musi mieć powód, że nagle zrobiła się taka miła. Może to ty, Johan, jesteś tym powodem?

– Izis, przestań. Camilla potrafi być czarująca. Zawsze potrafiła... kiedy miała w tym jakiś interes – mruknął von Briest. – I zawsze osiąga to, co chce. – Odchrząknął. – Chciała być matką i nią została. Tylko trochę się dziwię, że wybrała na ojca Georga.

– Co chcesz od Georga? Jest bardzo sympatyczny – oburzyła się Iza.

– Nie mówię, że nie jest. Ale wątpię, czy skończył z nałogiem. Ten jego nos wydaje się podejrzany.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Lubi wachać ścieżki.

– Nie rozumiem? Jakie ścieżki? Leśne? – zażartowała Renata.

– Mamo, nie bądź aż taką ignorantką. Ścieżki koki – powiedziała Iza, która nie kupiła dowcipu. – Nie wiedziałam, że Georg wciągał kokainę.

– Trudno tego nie robić, gdy się pracuje w Super Star.

– Ty też to robiłeś?

– Ja nie, zadowalałem się wódką i jointami.

– Czy wiecie, że ta idiotka jest tak próżna, że codziennie przychodzi do niej fryzjerka? – Iza ponownie wróciła do tematu Camilli. – To kretynizm, by jadąc w góry na zimowy urlop, tak dbać o swoją fryzurę.

– No cóż, chce ładnie wyglądać wieczorem na kolacji. Kiedy zdejmie się czapkę narciarską, włosy są w opłakanym stanie – stwierdziła Renata. – Kobieta po czterdziestce musi przywiązywać większą uwagę do swojego wyglądu niż smarkula w twoim wieku, Iza. Tym bardziej, gdy się ma dużo młodszego męża.

– Wątpię, czy jej mąż zwraca uwagę na fryzurę – mruknął Johan.

– Ta ździra dba o swoje włosy nie z myślą o mężu, tylko o innych facetach – stwierdziła Iza. – Ciągle do ciebie zagadywała, a tobie to wcale nie przeszkadzało.

– Izis, daj spokój. Czyżbyś była o mnie zazdrosna?

– Phi, zazdrosna?! Po prostu jestem wkurzona, że kazano mi siedzieć w towarzystwie twojej ekskochanki. Teraz dopiero wiem, co czuła Wika, narażona na stałą obecność byłej żony Krzyśka. – Spojrzała na matkę i ojca. – Które to z was wpadło na ten świetny pomysł, żeby dosiąść się do ich stolika?

– Córeczko, jakoś samo tak wyszło. Teo mnie zaczepił i głupio nam było odmówić.

– Po co w ogóle rozmawiałaś z ich nianią? – W głosie dziewczyny wyczuwało się pretensję.

– Bo jest Polką. Gdy usłyszałam język ojczysty, odezwała się we mnie rodzima nostalgia, tym bardziej gdy usłyszałam, że w naszym języku przemówiło niemieckie dziecko.

– Przestań pieprzyć, mamo. Ten rozpieszczony bachor jest wyjątkowo denerwujący.

– Teraz ty przestań pieprzyć, córeczko. Mały jest rozkosznym chłopczykiem. Przypomina mi Eryka w jego wieku.

– Mam nadzieję, że nie dojdzie do następnego spotkania. Z góry zastrzegam, że więcej nie zasiądę w towarzystwie tej wypacykowanej flądry.

Rozdział 4

Nazajutrz do Camilli dołączyła jej ciotka, a do Orłowskich dojechał Mark Biegler, dlatego nie powtórzono biesiadowania. Orłowscy siedzieli przy swoim stole, a Camilla Vogel z rodziną przy swoim, ale wcześniej grzecznościowo zamienili ze sobą kilka słów. Kiedy znaleźli się we własnym gronie, Iza odetchnęła głęboko.

– Uff, myślałam, mam, że ją do nas zaprosisz.

– Przecież obiecałam, że tego nie zrobię. Słyszeliście, że jest pierwsza ofiara koronawirusa? I to niedaleko, tuż za miedzą, bo w Lombardii. Co wy na to, panowie doktorzy?

– Jedna ofiara śmiertelna to jeszcze nie epidemia – odparł Martin. – Mam nadzieję, że nie wydarzy się nic, co by skróciło nasz pobyt.

– Nie po to pokonałem tyle kilometrów, żeby zadowolić się kilkoma zjazdami. Tutejsze nartostrady są lepsze nawet od naszych austriackich – wtrącił Biegler.

– Naszych? Myślałam, że stałeś się w końcu Polakiem.

Następny dzień, mimo że przyniósł kolejne sześćdziesiąt przypadków zachorowań w Lombardii i nowe zgony, nie zburzył miłej rodzinnej atmosfery. Rano wszyscy pojechali na stok, nawet Renata dała się skusić i wyjechała z nimi wyciągiem, by spędzić dzień przy kuflu grzańca. Do towarzystwa miała audiobooka, dlatego nie dłużyło jej się oczekiwanie na powrót rodziny. Minęła godzina, gdy ujrzała ciotkę Camilli. Podeszła do niej. Kobieta miała około siedemdziesięciu lat. Była wysoka i koścista. Szpakowate włosy przykryła wełnianą czapką, której nie zdejmowała nawet wtedy, gdy siedziała przy stoliku.

– *Guten Morgen* – przywitała się Renata po niemiecku, ale nic więcej nie potrafiła powiedzieć w tym języku. Ciotka, podobnie jak Orłowska, nie należała do poliglotek, dlatego jej angielski był kiepski. Ku zaskoczeniu Renaty kobieta znała całkiem niezły język rosyjski.

– Skąd pani zna rosyjski?

– Urodziłam się w Berlinie i całe życie tam mieszkałam. W Deutsche Demokratische Republik.

– Aha, rozumiem.

Nie rozmawiały długo, bo przerwało im nadejście Zuzy i Tea.

– Masz dla mnie *Praline*? – zawołał chłopczyk do Renaty.

– Oczywiście – odpowiedziała, wyciągając z plecaczka dwie czekoladki malaga. Trzymała je tylko dla Tea, bo się już kończyły; wnukom wręczała kasztanki. – Nie będę paniom przeszkadzać – powiedziała do ciotki oraz niani i udała się do bufetu po kolejnego grzańca.

Dwa kufle grzanego piwa całkiem umiliły jej oczekiwanie na rodzinę, ale rozsądek nie pozwolił wypić trzeciego, bo wieczorem miało być przyjęcie urodzinowe Martina. Stojąc na tarasie widokowym, podziwiała zimową scenerię. Widok był przepiękny. Wszędzie panowała biel skrząca się iskierkami słońca igrającymi na śnieżnej otulinie. Biel krajobrazu urozmaicały zielone cętki gałęzi świerków i sosen wyglądające spod grubej czapy śniegu. A nad tą bielą zawisła lazurowa kopuła nieboskłonu, niepoplamiona ani jedną plamką chmur. Tak niebieskiego nieba Renata nie widziała ani w Krakowie, ani w Zakopanem. Mój ulubiony zestaw kolorów: niebieski i biały – pomyślała. Kolorystyczny kontrast podświetlony słonecznymi promieniami bił w oczy tak mocno, że konieczna była ochrona w postaci okularów przeciwsłonecznych. Renata wystawiła twarz ku niebu, bo jaskrawa biel śniegu mimo ciemnych szkieł wciąż drażniła wzrok. Na tle ciemnego błękitu pięknie zarysowywały się kamieniste zęby nagich szczytów gór.

– Boże, jak tu pięknie – wyszeptwała. – To wszystko wokół, co nas otacza, to dowód, że istniejesz, Panie. Coś tak pięknego nie mogło powstać z nicości. Wielki Wybuch i inne ateistyczne teorie początku świata snute przez przemądrzałych naukowców nigdy mnie nie przekonają, gdy patrzę na Twoje Dzieło.

Renata, wpatrzona w przestrzeń przed sobą, nie zauważyła nadchodzącego męża. Aż się wzdrygnęła, gdy poczuła dotyk Roberta na swoich plecach.

– Co robisz, Malutka? – zapytał. – Pijesz browarka?

– Piwo dawno już wypiałam. Teraz upajam się pięknem Dolomitów – odparła, wracając do świata

realnego. – Gdzie reszta?

– Zahaczyli o bufet.

Do jadalni na kolację zeszli odświętnie wystrojeni. Panie założyły sukienki i szpilki, a panowie krawaty, rezygnując jednak z marynarek na rzecz ciemnych pulowerów z dekoltem w serek. Nawet chłopcy wyglądali dziś odświętnie, bo Renata zawiązała im pod kołnierzykami śnieżnobiałych koszulek czerwone muchy. Ich stolik i tym razem obsługiwała Giulia. Lorenzo został przypisany do stolika Camilli, bo oprócz angielskiego kelner znał również język niemiecki. Orłowska, ciekawska z natury, często przeprowadzała z dziewczyną krótką pogawędkę, stąd wiedziała, że Giulia i Lorenzo są parą i wkrótce zamierzają się pobrać.

Kończyli jeść deser w postaci pysznego tiramisù, gdy do stolika podbiegł Teo.

– Ja też chcę mieć takie coś jak oni! – powiedział, wskazując na muchy chłopców. – Mnie też w to ubierz! – zawołał do Renaty po polsku.

– Teo, ale ty masz na sobie koszulkę z Batmanem, nie pasuje do niej mucha.

W tym momencie podeszła do nich niania i chwyciła chłopczyka za rękę.

– Wracaj do stołu Teo, bo mamusia będzie się gniewać. Zaraz przyjdzie i będzie niezadowolona. Obiecuję, że mama kupi ci taką samą muchę, jaką mają chłopcy.

Wkrótce w jadalni pojawiła się Camilla. Nieoczekiwanie podeszła do ich stołu, trzymając w ręce bukiet kwiatów i butelkę koniaku.

– Panie doktorze, Lorenzo nam powiedział, że dziś są pańskie urodziny – powiedziała do Martina. – Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję, nie trzeba było – bąknął Schmidt.

– Martin, może państwo do nas dołączyć? – zaproponował Orłowski. – Mamy zamiar dalej imprezować.

– Oczywiście – mruknął Martin. – Zapraszamy panią i pani rodzinę.

– Ciocia i Susi pójdą z Teo do pokojów, ale my z mężem z chęcią zostaniemy. Już trochę nam się tu nudzi z braku towarzystwa.

Po zjedzeniu posiłku Camilla i jej mąż przyłączyli do stołu Polaków, a protestujący Teo musiał wrócić do pokoju razem z ciotką i nianią.

Camilla była ubrana w obcisłą szafirową sukienkę do kolan, z kopertowym dekoltem zmysłowo uwydatniającym powabny biust. W uszach błyszcząły brylantowe kolczyki. Wyglądała oszałamiająco, co z niechęcią stwierdziła zarówno Iza, jak i Renata. Uroda Niemki zaczynała przeszkadzać również Orłowskiej, bo zauważyła zainteresowanie w oczach męża, który z natury był mało odporny na kobiece wdzięki. Żałowała, że założyła spodnie i tunikę, a nie sukienkę, bo wyszła z założenia, że nie konweniuje z górami i narciarskim klimatem. Widać inaczej myślała Niemka, zakładając suknię koktajlową. Strój Renaty ratowały czółenka na dwunastocentymetrowych obcasach i szykowna jedwabna bluzeczka, która również podkreślała kobiece atrybuty.

– Co pani robi, że zawsze ma włosy tak idealnie ułożone? Moje po zdjęciu czapki są w oplakany stanie – powiedziała Renata do Camilli, zastanawiając się, jak kobieta zareaguje.

– Moje też. Dlatego codziennie po południu przychodzi do mnie Rosa, żeby wymodelować mi włosy – odparła rozbijając Vogel.

– Może i my z Izą skorzystamy z jej usług?

– Mamo, proszę, nie mów w moim imieniu – burknęła dziewczyna. – Przyjechałam na narty, a nie po to, żeby się mizdrzyć przed lustrem.

– Pani, Isabel, i bez włosów wyglądałaby pięknie. Młodość potrafi zatuszować wiele mankamentów urody. Natomiast my, kobiety w średnim wieku, musimy bardziej dbać o detale – stwierdziła z uśmiechem Camilla. – Zapytam jutro Rosę, czy znajdzie czas również dla pani, Renato.

Tymi słowami zapunktowała u Orłowskiej, mile polectanej, że Vogel zalicza ją do tego samego przedziału wiekowego.

Atmosfera coraz bardziej się rozluźniała dzięki wypitym drinkom, a jeszcze mocniej, gdy Lorenzo przeobraził się w didżeja, puszczać muzykę.

– Dyskoteka to był mój pomysł. To taka urodzinowa niespodzianka – rzuciła z uśmiechem

Camilla. – Mam propozycję, może porzucimy formalne zwroty i zaczniemy mówić sobie po imieniu? *Herr Doktor*, czy mogę pominąć dodatek *Herr*? – zwróciła się do Martina.

Nie wypadało odmówić. Orłowska odetchnęła z ulgą, gdy zauważyła, że zainteresowanie kobiety było skierowane raczej na Schmidta i trochę na Johana, a nie na Roberta. Z satysfakcją spostrzegła, że Camilla zignorowała jego zaproszenie do tańca i wzięła w obroty Martina.

– Wybacz, Robercie, jubilat ma dziś pierwszeństwo – powiedziała, przepraszając również uśmiechem.

Z okazji do tańców skorzystali pozostali goście hotelowi i też wyszli na parkiet. Kolejnym partnerem Camilli był Johan. Zatańczyła z nim dwa następne kawałki. Von Briest, widząc minę żony, przeprosił jednak partnerkę i wrócił do stolika. Wszyscy zauważyli, że Camilla ostentacyjnie ignorowała męża, a on w odpowiedzi zniknął w toalecie, żeby po chwili wracać z coraz bardziej błyszczącymi oczami i coraz mocniej zaczerwienionym nosem. Mało mówił, dużo pił i w ogóle nie tańczył.

Rozdział 5

Ranek przywitał gości hotelowych ostrym światłem słońca przebijającym się przez żaluzje okienne i mocnym kacem. Tego dnia zrezygnowano z narciarskich slalomów. Renatę bolała głowa, natomiast Robert, żeby nie doświadczyć tego co żona, zaraz po śniadaniu raczył się piwem wyciągniętym z hotelowego barku. Kobieta nadal leżała w łóżku, a jej mąż siedział w fotelu z nogami wyciągniętymi na blacie okrągłego stolika.

– Nie jesteś w westernowym saloonie, zdejmij nogi ze stołu – burknęła. – O Boże, jak ty możesz brać do ust piwo, mnie od samego patrzenia robi się niedobrze. W naszym wieku nie powinno się pić tak dużo – jęknęła.

– Mówiłem, żebyś piła czystą i popijała wodą niegazowaną. Nie słuchałaś, to teraz cierp.

– Ty wstrętny sadysto! Napawasz się moim bólem – powiedziała, rzucając w niego poduszką.

– Chłopcy, na pomoc, babcia mnie bije! – zawołał.

Z drugiego pokoju nadbiegli Eryk i Kamil, trzymając poduszki w rękach.

– Ostrzegam, nie ważcie się rzucić we mnie którąś z nich, bo boli mnie głowa – uprzedziła. – Dziadka nie boli, jego możecie okładać.

Chłopcy jakby tylko na to czekali i wycelowali w Roberta swoją broń. Zaczęła się poduszkowa wojna i trwała, dopóki jedna z poduszek się nie rozerwała i posypało się pierze.

– No tak, można się było tego spodziewać. Malutka, zawsze brałem cię za rozsądną kobietę, powinnaś przewidzieć skutki, zanim rozpętałaś bitwę. Zresztą nie tylko ją rozpętałaś, ale jeszcze podzęgałaś do niej niewinne pacholęta. Dobrze, że zdążyłem opróżnić butelkę piwa, dzięki temu nic się nie zmarnowało.

– Co zrobimy teraz, dziadziu? Trzeba odkupić poduszkę – zapytał zaniepokojony Kamil.

– Wystarczy, jak zapłacimy za szkodę. Panowie, idziemy na spacer.

– Ale my wolelibyśmy jechać na stok.

– Dziś nie dam rady. Na rauszu nie wolno zjeżdżać ze stoku.

– To może wujkowie Mark i Martin z nami pojedą?

– Wątpię, oni również nie słuchali moich rad tak jak babcia Malutka.

Rzeczywiście, zarówno jubilat, jak i Mark nie nadawali się na narty, dlatego wszyscy mężczyźni oprócz Johana poszli spacerkiem do miasteczka. Do pokoju weszła Giulia z odkurzaczem.

– Przyszłam posprzątać, bo pani mąż powiedział, że niechcący rozerwała się jedna z poduszek – mruknęła dziewczyna, chyba niezbyt zadowolona dodatkowym zajęciem.

Nie prezentowała się za dobrze. Miała opuchnięte oczy i blade policzki. Wyglądała na chorą

– Co się stało, pani Giulio, źle się pani czuje?

– Ależ nie, wszystko okej, jestem tylko niewyspana. Ale *papà* chyba złapał grypę. Leży w łóżku, dlatego musiałam wstać wcześniej i wykonać wszystkie jego czynności. Pani też źle się czuje?

– Tak. Ale powodem nie jest grypa ani przeziębienie, tylko zwyczajny kac. Wczoraj trochę przesadziłam z alkoholem.

Panowie wrócili ze spaceru bardziej rześcy niż rano i jeszcze bardziej podpici. Z porannej przechadzki wynikł jeszcze jeden plus: ani Biegler, ani Schmidt nie narzekali już na ból głowy.

Kiedy Orłowscy ze świtą zeszli na kolację, w jadalni była już Camilla z rodziną. Zauważyli przy stole dodatkowego gościa. Był nim mężczyzna w średnim wieku – wysoki blondyn w okularach, o szczupłej sylwetce i przyjemnej aparycji.

– Czyżby to był zlot kochanków Camilli? – mruknął pod nosem Johan.

Renata z zaciekawieniem podniosła oczy na zięcia.

– To jej dawny kochanek?

– Tak. Alfred Linn.

– Był przed tobą czy po tobie? – zainteresowała się Iza.

– Przed. To właściciel stacji telewizyjnej Der Herr. To taki kanał dla mężczyzn, lokalny odpowiednik Playboya – wyjaśniał Johan.

– Camilla nie wygląda dziś tak rewelacyjnie jak zawsze – stwierdziła z ukontentowaniem Orłowska. – Dzięki ci, Boże, że jesteś sprawiedliwy i obdarzasz kacem po równo.

Rzeczywiście, Niemka nie prezentowała się zbyt dobrze. Była blada, prawie nieumalowana, a włosy miała związane w kitkę.

– Coś mało dziś ludzi. Stoły prawie puste – zagadał Robert do Giulii, która przyniosła zamówione potrawy.

– Większość gości wyjechała. Koniec weekendu. Ostatnio mamy niewielu zagranicznych turystów, przeważają nasi rodacy.

– Ale też przyjeżdżają nowi goście. Na przykład znajomy pani Vogel – zauważyła Renata.

– Pan Alfred Linn przyjechał tylko na trzy dni. Ma rezerwację jedynie do środy. Pani Vogel też ma zamiar skrócić swój pobyt.

– Tak? Nic nam wczoraj nie mówiła. Mieli zostać jeszcze tydzień.

Kiedy Giulia zniknęła na zapleczu, Renata zwróciła się do Martina.

– Zobacz, Martin, ten Linn ma sweter podobny do twojego.

– Mój jest ładniejszy, bo zielony, a jego niebieski – mruknął.

– Dlaczego go nie zakładasz?

– Bo ci się nie spodobał, Renatko.

– Nie znasz się na żartach, Martin? Przecież się wygłupiałam – zaśmiała się kobieta. – Wiem, że takie pulowery są teraz bardzo modne. Mój współnik, arbiter męskiej elegancji, też ma podobny. – Popatrzyła w stronę nowo przybyłego. – Przystojny ten Linn. Nawet trochę cię przypomina, Martin. Prawdę mówiąc, wolałabym jego niż tego wymoczka Georga. Nie wiem, co Camilla w nim widziała, że go poślubiła.

– Prawdopodobnie młodzieńczą jurność. – Johan wzruszył ramionami. – Camilla nie lubi mieć w łóżku starców.

– Młody człowieku, uważaj, co mówisz, bo przestanę cię lubić – mruknął Schmidt. – Za trzydzieści lat ty też będziesz starcem. Muszę bardziej dbać o siebie, żebym mógł dożyć i przypomnieć ci te słowa. Robert, nie opieprzysz swojego zięcia, że nas obraża? – zapytał wesoło.

– Nie wszystkie kobiety lubią młokosów. Niektórzy mężczyźni, tacy jak ja i ty, Martin, są niczym wino, im starsi, tym lepsi – mruknął Orłowski zajęty pałaszowaniem wieprzowiny z rusztu.

– A szczyt formy mają około dziewięćdziesiątki – mruknęła Renata. – Wszystko wtedy mają sztywne, hmm, oprócz jednego narządu – odchrząknęła. – Gdzie są chłopcy? Co oni robią tak długo przy akwarium z węzami?

– Idę do nich, żeby czasami nie strzeliło im coś głupiego do głowy – zaproponował Martin.

Po kolacji Orłowscy, wracając do swojego apartamentu, natknęli się na Camillę otwierającą drzwi pokoju. Jej mąż stał przed innymi drzwiami.

– Zmieniłaś pokój? Przedtem zajmowałaś ten w apartamencie – zapytała Renata.

– Tak. Odstąpiłam go cioci, bo tam jest wygodniejsze łóżko, no i chciałam trochę odpocząć od Tea. Jej nie będzie przeszkadzał, bo przy niej mój syn jest wyjątkowo grzeczny.

Od męża już od dawna odpoczywasz – pomyślała Renata. Wiedziała od Giulii, że małżonkowie od samego początku mieli osobne pokoje. Camilla wcześniej dzieliła apartament z nianią. Orłowska, nie chcąc być wścibską, nie poruszyła tego tematu, tylko inny – fryzjerski.

– Camillo, zapytałaś panią Rosę, czy mnie uczesze?

– Nie miałam okazji, bo nie było jej dziś u mnie. Przeziębila się. Nie wiadomo, czy da radę jutro przyjść – odparła. – Ja też coś źle się czuję. Po wczorajszym wieczorze boli mnie głowa.

– Tak jak mnie – potwierdziła Renata. – Niestety, nam, kobietom, alkohol nie służy. Zarówno naszemu zdrowiu, jak i urodzie. – Za późno zauważyła swoją gafę, ale Camilla jakby tego nie słyszała.

Rozdział 6

Nazajutrz „narciarska” część rodziny Orłowskich udała się na stok, a Renata poszła na spacer do miasteczka. Młodzi wybrali czarną trasę, a Robert z Martinem, ze względu na chłopców, łagodniejszy zjazd.

– Martin, mogłeś jechać z nimi, bo z nami sobie nie pojeździsz – zauważył Robert.

– Ale sobie z tobą pogadam. Chyba przyjemniej ci będzie, gdy dotrzymam ci towarzystwa?

– Oczywiście, ale szkoda pięknego dnia na ośłą łączkę.

– My też moglibyśmy zjeżdżać tam, gdzie ciocia Iza i wujek Johan – powiedział Eryk. – Dobrze już jeździmy. Nie chcemy oślej łączki.

– Wasz dziadzio żartował z tą ośłą łączką. Przecież to normalna trasa zjazdowa – stwierdził Martin.

– Ale najłatwiejsza, bo niebieska – odparł naburmuszony Eryk. – To wybierzmy chociaż trasę czerwoną.

– Czerwoną trasą możecie zjeżdżać przy waszym ojcu, a nie przy dziadku. Zapominasz, smyku, że mam kontuzjowane kolano? – mruknął Robert, poprawiając wiązanie przy nartach chłopca. – Zjeżdżamy?

Byli w połowie stoku, gdy nagle obok nich pojawiła się grupka nastolatków. Jeden z chłopaków przejechał tuż obok Eryka, o mało co nie wjeżdżając na niego. Robert podenerwowany zaczął asekurować wnuka, nie zwrócił jednak uwagi na innego wyrostka zjeżdżającego wprost na Kamila. Na szczęście Martin zauważył zbliżające się niebezpieczeństwo i zasłonił sobą chłopczyka. Impet zderzenia wywrócił go, ale Kamilowi nic się nie stało. Martin przekoziołkował dwa razy, zanim się zatrzymał. Jedna narta odpięła się i zaczęła zjeżdżać. Wystraszony Robert podjechał do przyjaciela.

– Martin, jesteś cały? – zapytał zaniepokojony, nachylając się nad mężczyzną.

– Chyba wszystko w porządku – uspokoił go Martin. – Ręce całe, nogi również – wysapał, poruszając kończynami.

– Co za cholerny gnojek z tego smarkacza – zawołał Robert. – Jak dorwę tych łebków, to im nogi z dupy powyrywam – warknął. – Ten gówniarz specjalnie to zrobił!

– Chyba nie. To początkujący – stwierdził Martin, odpinając nartę. – Zobacz, wjechał na jakąś kobietę i teraz razem leżą na śniegu. Trzeba poszukać mojej narty.

Jakiś czas później, kiedy byli już na dole, wstąpił do kawiarenki, żeby trochę odpocząć i napić się czegoś gorącego na rozgrzewkę. Mężczyźni raczyli się kawą, a chłopcy gorącą czekoladą. W pewnym momencie Robert zwrócił się do kolegi.

– Dzięki, stary – powiedział, wyciągając rękę do Martina.

– Za co mi dziękujesz?

– Ochroniłeś mojego wnuka przed wypadkiem na stoku – mruknął Robert.

– Dziadziusiu, to wszystko przez to, że jeździmy niebieską trasą – stwierdził Eryk. – Gdybyśmy zjeżdżali czerwoną, nie doszłoby do tego. Niebieską jeżdżą tylko początkujący, a im nie można ufać.

– Hmm, z tego wniosek, że najbezpieczniejsza jest trasa czarna, bo nią zjeżdżają sami wyjadacze – zażartował Martin.

– Właśnie! – Eryk nie poznał się na żarcie. – Dziadziusiu, jutro wybierzemy się na czarną trasę, tak jak ciocia Iza i wujkowie, dobrze? Tam na pewno nie wjechał w nich żaden gówniarz.

– Hmm, ten gówniarz był starszy od ciebie co najmniej pięć lat i wyższy o pół metra – zauważył Martin.

– Wujku, i co z tego? Gdyby nie skręcił sobie nogi, sprawiłbym mu lanie, że chciał wjechać na mojego brata.

– Lanie za to, że nie potrafi jeszcze dobrze jeździć?

– Jeśli nie umie dobrze jeździć, to powinien zjeżdżać z oślej łączki! – zawołał czupurnie Eryk. –

My już dobrze jeździmy, dlatego...

– Martin, gratuluję refleksu – przerwał wnukowi Robert. – Swoją drogą, ten incydent uświadomił

mi, jaka to odpowiedzialność brać na siebie wasze bezpieczeństwo, chłopaki. Najchętniej już bym nie wyściubiał nosa z hotelu i tam oczekiwał dnia, żeby was dowieźć do Polski i oddać ojcu w jednym kawałku.

– Dziadziu, jesteś nieprecyzyjny – wtrącił Kamil. – Chyba w dwóch kawałkach? W jednym kawałku mnie, w drugim kawałku Eryka – zauważył poważnym tonem.

Robert i Martin popatrzyli na siebie porozumiewawczo i parsknęli śmiechem.

Tymczasem Renata Orłowska kończyła swoją zwyczajową przechadzkę po miasteczku. Madonna di Campiglio opustoszała. Kilka dni temu na uliczkach i w sklepach panował tłok, a dziś przewijało się niewiele osób. Na pewno tłoczą się przed wyciągiem narciarskim – pomyślała Renata. Wciąż było mroźnie, ale słonecznie. Dekoracje świąteczne już zniknęły, mimo to miasteczko nie straciło urody. Kobieta rażno kroczyła wąskimi drózkami odśnieżonymi przez służby porządkowe. Wracając do pokoju, natknęła się w recepcji na Giulie odbierającą klucze od gości.

– Ci też się wyprowadzają? – zapytała.

– Tak. To przez tego wirusa. Dziś nasz premier Giuseppe Conte zarządził blokadę jedenastu gmin w rejonach Lombardii i Wenecji Euganejskiej. Na szczęście nie dotyczy to prowincji Trydent. U nas, jak na razie, mało zachorowań.

Kiedy przy kolacji omówiono już dokładnie zajście na stoku, a Martin wysłuchał peanów nad swoją opiekuńczą postawą i doskonałym refleksem, Renata, trochę zaniepokojona, poruszyła temat koronawirusa.

– Może my też powinniśmy skrócić pobyt i wracać do domu? Lotaryngia i Wenecja Euganejska są tuż obok. Trydent też mogą zabarykadować. Co wtedy zrobimy?

– Renata, nie przesadzaj – powiedział Mark Biegler. – Nie po to przyleciałem tyle kilometrów, żeby po paru dniach wracać do domu.

– Zostańmy do końca tygodnia, tak jak planowaliśmy – poparł go Schmidt.

Wkrótce się okazało, że nie mieli już wyboru, ponieważ zdecydował za nich koronawirus.

Rozdział 7

We wtorek z samego rana do hotelu przyjechali dwaj karabinierzy. Nakazali gościom nie opuszczać pensjonatu. Wkrótce dotarł medyk i zrobił wszystkim testy na obecność koronawirusa. Orłowski dowiedział się od Giulii, że w nocy zmarła Rosa Brasi, fryzjerka, która czesała Camillę.

– Przecież nie mieliśmy z nią kontaktu! – zaprotestowała Renata. – Nigdy nie widziałam jej na oczy.

– Ale przychodziła do hotelu. – Giulia się zawahała. – Rosa była przyjaciółką mojego taty.

Orłowski znieruchomieli. Robert odchrząknął nerwowo.

– Jak się tata czuje? – zainteresował się. – Czy to rzeczywiście grypa?

– Teraz to już sami nie wiemy. Nie ma takich duszności, jakie miała Rosa – odparła cicho Giulia, unikając jego spojrzenia.

– Przyjaciółka pani ojca miała duszności i nic nam nie powiedziano? – oburzył się Orłowski, mocno zaniepokojony. – Ten wirus jest bardzo zaraźliwy. Pani ojciec mógł zarazić gości. Obsługiwał bufet.

Dziewczyna spuściła głowę.

– Nikt nie przypuszczał, że Rosa złapała koronawirusa. Myśleliśmy, że to zwykłe przeziębienie.

– A nie chcieliście stracić gości, tak? – Pytanie było czysto retoryczne. – Mimo że wasz premier zamknął kordonem kilkanaście gmin w sąsiednich regionach, woleliście narażać swoich gości na niebezpieczeństwo zarażenia? – Widząc, że dziewczyna jest o krok od płaczu, nie drażył tematu, tylko zapytał: – Jakie objawy ma pani ojciec? Był chociaż u lekarza?

– Tak, wczoraj. Zrobiono mu test na koronawirusa.

– I nie zażądano izolacji?

– *Papà* z nikim się nie spotyka.

– Pani też może być zakażona. Czytałem, że niektórzy przechodzą COVID-19 bezobjawowo albo skąpoobjawowo. Czy coś pani dolega?

– Nie. Naprawdę dobrze się czuję.

W hotelu zapanował niepokój. Zarówno Polacy, jak i Niemcy zaszyli się w swoich pokojach, nie schodząc nawet do jadalni, bo posiłki dostarczano im na miejsce.

– Malutka, przyznaję ci rację. Przyjazd tutaj nie był dobrym pomysłem – mruknął Robert znad laptopa.

Cały czas siedział z nosem utkwionym w internecie. Czytał wszystkie informacje dotyczące koronawirusa, sięgając po artykuły w językach angielskim i niemieckim.

Rano zjawiła się rozpromieniona Giulia.

– Dostaliśmy wynik testu. Ujemny. *Papà* nie ma koronawirusa – zawołała radośnie. – Jeśli on nie ma, to nikt inny również go nie złapał.

– Nie wiadomo – mruknął Robert. – Z kim Rosa miała jeszcze kontakt oprócz pani Vogel?

– Ze mną i Lorenzem. Ale wszyscy dobrze się czujemy, pani Camilla również. Jeśli *papà* się od niej nie zaraził, to my też nie. Hmm, Rosa często zostawała u papy na noc – powiedziała z pewnym wahaniem.

– Jak dziś czuje się ojciec?

– Wspaniale. – Zawstydziała się. – To znaczy jest szczęśliwy, że nie zaraził się od Rosy, ale zarazem bardzo mu smutno, że umarła. Byli ze sobą od dwóch lat.

– A kiedy będą nasze wyniki?

– Jutro albo pojutrze. Wydaje mi się, że nie ma potrzeby, żebyście państwo siedzieli w pokojach. Oczywiście mogą tu państwu przynosić posiłki, ale wygodniej byłoby wam przy stole.

– Zastanowimy się i damy pani znać – powiedział Robert. – Czy jest możliwość, żebyśmy jedli w innej sali niż rodzina pani Vogel?

– Tak, jeśli sobie państwo tego życzą. Ale wydaje mi się, że gdybyśmy mieli się zarazić, to byśmy się już zarazili.

– Nie wiadomo. Ten szczep koronawirusa jest jeszcze mało poznany. To jedna wielka niewiadoma.

– Robert, przesadzasz – mruknęła Renata.

– Chociaż teraz zachowajmy rozwagę.

– Czy to nie za późno?

– Malutka, nie dręcz mnie, już raz przyznałem ci rację. Ile razy mam jeszcze powtarzać, jaka to z ciebie przewidująca kobieta?

Wiadomość o negatywnym wyniku Franca Ferra i jego szybkim powrocie do zdrowia poprawiła humor rodzinie Orłowskich. A kiedy nazajutrz ujrzeli go pełnego wigoru odśnieżającego podjazd, bez obaw zasiedli przy stole jadalnianym. Oprócz nich i Niemców nie było już innych gości. Ujrawszy Camillę Vogel, starannie uczesaną i umalowaną, piękniejszą nawet niż zwykle, nawet Robert się uspokoił.

Obie rodziny wymieniły między sobą uprzejmości, ale już wspólnie nie biesiadowały. Orłowskich jak zwykle obsługiwała Giulia, a stołem Camilli zajmował się Lorenzo. Prawdopodobnie między narzeczonymi doszło do ostrego spięcia, bo oczy dziewczyny były zapłakane. Renata widziała wcześniej, jak Giulia i Lorenzo kłócili się na zapleczu. Z całego personelu hotelu zostali tylko oni i Franco Ferro, bo resztę pracowników wysłano na urlop. Orłowska wbrew swojej wścibskiej naturze nie zapytała Giulii o przyczynę sporu z narzeczonym.

Renata, ucinając sobie z dziewczyną kobiece pogawędki, poznała jej historię. Giulia była jedynaczką. W wieku piętnastu lat została półsierotą. Wychowywał ją tylko ojciec. Od dzieciństwa przysposabiano ją do pracy hotelarza, przez co nie mogła zrealizować swoich marzeń i zostać nauczycielką. Edukację skończyła na szkole średniej i zaliczeniu internetowych kursów dotyczących pracy w hotelarstwie i gastronomii. Poznała Lorenza trzy lata temu, kiedy jeszcze był studentem i w sezonie narciarskim pracował u nich w hotelu. Pół roku później został na stałe w Madonna di Campiglio jako etatowy pracownik i przyszły zarządca. Giulia, odkąd poznała Lorenza, przestała być nieszczęśliwa i pogodziła się z myślą o czekającym ją „dożywociu” w hotelu Stella. Jej narzeczonemu odpowiadała perspektywa bycia hotelarzem, co bardzo ją uspokoiło i spowodowało, że obsługiwanie gości nabrało dla niej innego wymiaru. Nie traktowała już swojej pracy jako katorgi, lecz jako rodzinny obowiązek i dobre źródło utrzymania.

Wracając po kolacji do swoich pokoi, Orłowscy natknęli się w korytarzu na Camillę.

– Kiedy wracacie do domu? Zostajecie tu dłużej? – zapytała kobieta.

– Nie. Wracamy, gdy tylko pozwolą nam jechać – odparł Robert. – Nie wiadomo, czy z tego nie wybuchnie pandemia. Zawsze to lepiej chorować u siebie. A wy kiedy wracacie?

– Skończymy z Alfredem załatwiać sprawy służbowe i też wracamy. On leci do Los Angeles, a my do Berlina. A ty, Martinie, kiedy wracasz do domu?

– Tak jak wszyscy.

Wtedy jeszcze nikt nie przypuszczał, że czwartkowy poranek zmieni plany wszystkim w hotelu – zarówno gospodarzom, jak i gościom.

Rozdział 8

Tak jak każdego poranka Orłowscy i ich ekipa tuż przed dziewiątą zeszli na śniadanie. Ze zdziwieniem zauważyli stojących przy recepcji czterech karabinierów. Zapłakana Giulia i wystraszony Franco Ferro głośno z nimi rozmawiali, energicznie gestykułując. Obok nich stał Martin Schmidt.

– Co się dzieje? – zapytał przyjaciela zaniepokojony Robert.

Za Martina odpowiedziała Giulia, wybuchając płaczem:

– Pani Camilla nie żyje!

Wszystkich zamurowało. Kobieta w kwiecie wieku i w pełni sił witalnych, którą widzieli kilkanaście godzin temu, była martwa!

– Co się stało? – wydukał zszokowany Mark.

– Nie wiemy. Przyszłam dziś do niej rano, żeby ją uczesać, bo jej to wczoraj obiecałam, i... – Znowu szloch. – Pobiegłam do pokoju doktora Schmidta. Myślałam, że jeszcze da się coś zrobić. Doktor nawet próbował udzielić jej pierwszej pomocy, ale... było już za późno.

– Nic nie słyszeliśmy – zauważyła Renata.

– Nie chcieliśmy państwa budzić. Teo jeszcze o niczym nie wie.

– Może pójdę do niego? On mnie lubi.

– Na razie nie ma takiej potrzeby, zajmuje się nim ojciec. No i jest też ciotka i niania – odparła Giulia. Odgarnęła włosy z czoła i wytarła policzki z łez. – Przygotowałam dla państwa śniadanie. A potem panowie policjanci chcieliby zadać państwu kilka pytań.

W tym momencie pod hotel przyjechała karetka, a z niej wysiadło dwóch medyków w skafandrach, w maskach i przyłbicach.

Giulia przywitała się z nimi i przez moment rozmawiała. Po chwili wróciła do Orłowskich jeszcze bardziej podenerwowana.

– Są wyniki testów. Pani Camilla ma... miała – szybko się poprawiła – wynik pozytywny.

– A my? – zapytał Robert z natężeniem w głosie.

– Wszyscy państwo macie wynik negatywny. Ale... Lorenzo ma pozytywny – wyznała ze strachem w oczach.

– Gdzie on teraz jest?

– Leży w łóżku, bo źle się czuje. Karetka zabierze go do szpitala. Do tego zgubił telefon. Czy ktoś z państwa go nie widział?

– Nie, a jak wyglądał?

– Smartfon w beżowym etui. Trudno, najwyżej dam mu swój stary. W szpitalu musi mieć komórkę, żebyśmy mieli z nim kontakt. – Westchnęła i spojrzała na nich przeproszająco. – Wszyscy państwo musicie pozostać w hotelu jeszcze trzy tygodnie. Kwarantanna. Za kilka dni powtórzą nam testy.

Następne godziny dla rodziny Orłowskich były straszne. Robert nie odrywał oczu od laptopa, doksztalając się w temacie nowego koronawirusa SARS-CoV-2 i wywołanej przez niego choroby COVID-19. Renata nie mogła się skupić przy czytaniu książki i co chwila niespokojnie chodziła po pokoju. Nawet chłopcy zachowywali się wyjątkowo cicho. Robert i Martin wspólnie doszli do wniosku, że lepiej będzie na razie się ze sobą nie kontaktować i nie opuszczać swoich pokojów.

– Boże, taka młoda i piękna kobieta – westchnęła Renata ze swojego fotela. – Biedny Teo. Został sierotą w wieku trzech lat.

– Pólsierotą. Zapominasz, Malutka, że ma ojca.

– Mieć Georga Sewera za ojca, to jakby go nie mieć. Zauważyłeś, że mały Ignął tylko do Camilli i Zuzy? Nawet ciotka jest mu bliższa niż ojciec, z którym mieszka na co dzień. Oprócz tego facet jest narkomanem. Swoją drogą, zastanawiam się, dlaczego taka kobieta jak Camilla wybrała na ojca swojego dziecka mężczyznę w typie Sewera. Owszem, młody i dość przystojny, ale nic więcej sobą nie prezentuje. Ja na jej miejscu wolałabym już tego Linna.

– Już to mówiłaś, Malutka – burknął znad laptopa Robert. – Coś musiał mieć w sobie, jeśli Camilla go poślubiła.

Orłowska ponownie westchnęła.

– W głowie mi się nie mieści. Jeszcze wczoraj jedynym jej zmartwieniem było, kto ją uczesze, a dziś już nie żyje.

– Ja też tego nie mogę zrozumieć. Jak można umrzeć na covid, nie mając wcześniej żadnych objawów?! Czyżby ten wirus był aż tak śmiertelny?

– Giulia mówiła, że podobno Camilla wieczorem skarżyła się na ból głowy i duszności.

– Nie zauważyłem w jadalni, żeby kaszłała. Wyglądała całkiem dobrze, w każdym razie nie na chorą.

– Makijaż działa cuda.

– Dziwne, że Lorenzo nie ma typowych objawów dla wirusa płucnego. – Robert zmarszczył brwi. – Stracił węch i smak, i jest trochę słaby. Hmm, to znaczy, że patogen zaatakował układ nerwowy. Tak mało jeszcze wiemy o tym cholernym koronawirusie. Czytałem, że najgorzej przechodzą go starsze osoby, a przecież Camilla miała zaledwie czterdzieści kilka lat. – Zmarszczył brwi. – Nigdy bym nie przypuszczał, że wpadniemy w takie bagno.

– Żeby tylko chłopcom nic nie było.

– Podobno chińskie dzieci przechodzą covid łagodnie, a nawet bezobjawowo, ale ja nie wierzę Chińczykom. W 2003 roku też zwlekali, żeby poinformować świat o SARS-CoV-1. – Spojrzał na żonę z pewnym zawstyżeniem. – Malutka, miałaś rację. Niepotrzebnie tu przyjechaliśmy. To moja wina, to ja nalegałem.

Zmarszczył brwi.

– Martin i Giulia byli w jej pokoju. Mogli się zarazić, prawdopodobnie ciało po śmierci też może zakażać. Martin powiedział, że nie robił jej sztucznego oddychania, bo stwierdził zgon. – Przymknął oczy. – Wszyscy mieliśmy wczoraj z nią kontakt.

Strach Roberta się pogłębił, gdy nazajutrz źle poczuł się Alfred Linn. Kiedy przyjechali pielęgniarki, żeby pobrać mężczyźnie wymaz, Orłowski zapłacił za zrobienie dodatkowych testów wszystkim osobom w hotelu. Wyniki miały być gotowe nazajutrz.

– Mam nadzieję, że teraz dotrzymają terminu – mruknął.

– Włosi z natury nie są terminowi i nie lubią pośpiechu. Przypomniała mi się ich komunikacja miejska, gdy byliśmy w Rzymie. Żaden autobus nie przyjechał według rozkładu. Pamiętasz, jak autobus spóźnił się czterdzieści minut, a potem przyjechały aż trzy, jeden za drugim?

Robert nie słuchał żony, nadal wpatrywał się w laptop.

– Gdy byłem w łazience, słyszałam, jak rozmawiasz przez telefon z Giulią. Czy zapytałeś ją o Alfreda Linna? Jakie ma objawy?

– Inne niż Lorenzo. Ma gorączkę, prawie trzydzieści dziewięć stopni, bolą go mięśnie i głowa. Męczy go kaszel, ale na razie nie ma duszności. Obiecano Giulii, że wieczorem przyjedzie do niego lekarz i zadecyduje, czy konieczna jest hospitalizacja.

– Nad czym tu deliberować?! Powinni go wziąć natychmiast, żeby nie było tak jak z Camillą.

– Chcieli go zabrać już dziś rano, tyle że on nie chce jechać do szpitala.

– Ale jest zagrożeniem dla innych – mruknęła Renata.

– Nie sądzę. Siedzi sam w pokoju, z nikim się nie kontaktuje. Giulia, kiedy przynosi mu posiłki, ma na sobie kombinezon i maseczkę. Zobaczymy, co wykaże test.

Okazało się, że wynik Linna był pozytywny. Nazajutrz stan jego zdrowia pogorszył się do tego stopnia, że mężczyzna sam chciał jechać do szpitala. Miał problemy z oddychaniem i jeszcze wyższą temperaturę niż dzień wcześniej.

Znowu na Orłowskich padł blady strach. Ich wyników jeszcze nie było. Największe obawy Robert miał co do Giulii i Martina, bo oboje byli w pokoju Camilli, udzielając jej pomocy. Dla bezpieczeństwa przestali się ze sobą kontaktować. Aż do otrzymania wyników wszyscy mieli pozostawać w swoich pokojach. Następną noc upłynęła im w niepokoju. Renata długo nie mogła zasnąć, tak jak Robert. Orłowski był nawet bardziej zaniepokojony niż żona, ale na zewnątrz starał się tego nie okazywać. Oglądał w internecie filmiki z chińskich szpitali i dużo czytał na temat COVID-19. Najbardziej przerażała go dynamika choroby i jej nieprzewidywalność. Przeważnie zabijała starych

i schorowanych, ale potrafiła być śmiertelna również dla osób w kwiecie wieku. Najlepszym przykładem była Camilla Vogel. Przeraziła go nie tyle jej śmierć, ile to, jak błyskawicznie do niej doszło. Czytał, że podobne sytuacje w przebiegu covid zdarzają się stosunkowo często. Do jego strachu o rodzinę dochodziła również świadomość, że czuł się odpowiedzialny za tę sytuację, w jakiej się teraz znaleźli. To on zaciągnął tu swoją rodzinę, a przecież mogli spędzić urodziny Martina w Polsce.

Rano cały hotel odetchnął z ulgą. Wszystkie pozostałe testy okazały się negatywne. Lorenzo nadal nie odzyskał smaku i węchu, ale nie czuł się gorzej. Zmieniło się tylko to, że do dotychczasowych objawów dołączyło zapalenie spojówek. Ale nie miał problemów z oddychaniem. Lekarze zamierzali wypisać go wkrótce ze szpitala.

Następny test obiecano im zrobić za siedem dni, kwarantanna miała jednak trwać trzy tygodnie. Za namową Roberta postanowiono na razie nadal się ze sobą nie kontaktować.

– Robert, czy ty nie przesadzasz? – zaproponował Mark Biegler, niezadowolony z samotności. On i Martin nie dzielili z nikim pokoju, dlatego izolacja była dla nich trudniejsza niż dla Orłowskich i von Briestów.

– Rozsądniej będzie, gdy poczekamy do wyników następnego testu. Wirus może utrzymywać się na pewnych powierzchniach nawet do kilkunastu dni. Niektórzy z nas mieli bliższy kontakt z zarażonymi – powiedział Robert na wideoczacie z resztą rodziny.

– Rozmawiałam z Camillą na korytarzu w dniu jej śmierci – wtrąciła Renata.

– Hmm, oprócz tego, że próbowałem udzielić Camilli pomocy, zamieniłem też kilka słów z Linnem – dodał Martin.

– A ja z Lorenzem – mruknęła Iza.

– Szkoda, że nie założyliśmy masek.

– Cóż, ujemny wynik Franca Ferrera wprowadził nas w błąd i uspił naszą czujność – bąknął trochę zawstydzony Robert.

– Dlaczego on nie złapał wirusa, przecież sypiał z Rosą Brasi? Trudno o większą bliskość fizyczną – zauważyła Iza.

– Nie mam pojęcia. Ten patogen to jedna wielka niewiadoma – westchnął Orłowski, marszcząc brwi. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Może był genetycznie uodporniony? Wytrzymajmy jeszcze kilka dni.

Tymczasem zrobiła się piękna pogoda. Nie mogąc kontaktować się z pozostałą rodziną, Renata większość czasu spędzała na balkonie, słuchając audiobooków. Jej mąż siedział przed laptopem, a chłopcy bawili się w swoim pokoju.

– Ciszej – powiedziała Renata do wnuków, pogłaśniając dźwięk w słuchawkach. – Wasze wrzaski zagłuszają nie tylko lektora, lecz także mój mózg. Moja percepcja słuchowa i kojarzeniowa jest mocno ograniczona, nie wiem, czego słucham.

– Malutka, zamknij drzwi, mnie też trudno się skupić – powiedział Robert znad ekranu laptopa.

W pokoju zrobiło się trochę ciszej, ale chłodny powiew powietrza dotarł do wnętrza i Renata przymknęła drzwi balkonowe. Audiobookowy kryminał tak wciągnął ją w mroczne perypetie bohaterów, że zapomniała o zewnętrznym świecie. Z fikcji literackiej błyskawicznie spadła na ziemię, gdy za szybą drzwi tarasowych ujrzała Eryka. Szeroko uśmiechnięty stał w kasku narciarskim na głowie i pukał w okno. Serce zabiło jej nerwowo.

– O Boże, Eryk, co ty robisz na balkonie? – zawołała wystraszona. – Jak się tu znalazłeś?

– Przeszedłem po drabince – odparł uśmiechnięty.

Balkony wszystkich pokoi oddzielone były od siebie drewnianą kratownicą, po której latem pięły się bluszcze. Nie dało się przedostać na sąsiedni balkon bez pokonania tej przeszkody, trzeba było zrobić duży krok w przestrzeni.

Do chłopca podskoczył Robert. Chwycił go za ramiona i mocno potrząsnął.

– Co ty wyprawiasz, głupi szczeniaku! – krzyknął z wściekłością. Ani Renata, ani Eryk nie widzieli go nigdy tak podenerwowanego. – Czy wiesz, że gdybyś spadł, mógłbyś się zabić?! Mało mieliśmy przez ciebie problemów?! Zapomniałeś, że przez ponad rok byłeś w śpiączce?!

Chłopiec, wystraszony gniewem dziadka, rozplakał się głośno. Orłowski, wciąż rozdygotany

z nerwów, starał się opanować, ale z trudem mu się to udawało.

– Nie wolno przechodzić z balkonu na balkon. Ta kratownica jest ze sklejki, to cud, że nie poleciałeś na dół.

W tym momencie otworzyły się wewnętrzne drzwi od pokoju chłopców i stanął w nich wystraszony Kamil. Gniew Roberta przeniósł się teraz na drugiego wnuka.

– To, że Eryk jest nieobliczalny, to nic nowego, ale ciebie, Kamil, zawsze brałem za rozsądnego chłopaka. Jak mogłeś dopuścić, żeby twój brat zrobił takie głupstwo?!

– Dziadziu, ja mu mówiłem, żeby tego nie robił, ale on nie chciał mnie słuchać i nazwał mnie tchórzem, bo nie poszedłem w jego ślady. – Chłopiec często budował zdania jak stary malutki. Roberta przeważnie to bawiło, ale teraz tylko bardziej zdenerwowało.

– To dlaczego, mądralo, nie powiedziałeś nam, co ten smarkacz ma zamiar zrobić?! Mało mamy problemów?! Czy nie dotarło do was, że mama Tea nie żyje?! Czy wiesz, że twój brat mógł do niej dołączyć?!

– To jest pierwsze piętro. Stwierdziłem, że jeśli Eryk spadnie, to najwyżej złamie sobie nogi lub rękę, ale się nie zabije. Dlatego kazałem mu założyć kask narciarski.

– Ale mógł sobie złamać kręgosłup, durniu! Czasami zwykły upadek z krzesła może skończyć się tragicznie, a co dopiero z piętra. Dlaczego nam nie powiedziałeś, co on zamierza zrobić?

– Bo nie chciałem być skarżypytą – odparł cichutko chłopiec, spuszczać głowę. – Nie chciałem podpaść Erykowi, bo chcę, żeby mnie lubił – dodał jeszcze ciszej.

Dopiero wtedy Orłowski się opanował. Kilka razy odetchnął głęboko.

– Za bardzo się uniosłem, Kamilu. Nakrzyczałem na ciebie, chociaż to wina Eryka, bo bardzo się wystraszyłem tego, co się mogło stać twojemu bratu. Jesteście pod naszą opieką. Wasi rodzice powierzyli was mnie i babci, bo uważali, że dobrze się wami opiekujemy, tymczasem o mało co nie doszło do tragedii. Widzę, że zagraża nam nie tylko wirus, lecz także wasza niefrasobliwość i brak wyobraźni. Jeśli jeszcze raz narazicie siebie na niebezpieczeństwo, nigdy więcej nigdzie z nami nie pojedziecie ani nie pójdziecie. Nawet do kina. Bo będę się bał, że w każdej chwili może wam coś głupiego wpaść do głowy. – Spojrzał na Eryka. – Obiecujesz mi, że nie powtórzy się podobna sytuacja?

– Tak. Przysięgam, że nigdy nie przejdę na drugi balkon – powiedział, podnosząc rękę w geście przysięgi. – Słowo polskiego zucha.

– To nie dotyczy tylko balkonów, mam na myśli również inne niebezpieczne sytuacje.

– Przysięgam, dziadziusiu.

– A ty, Kamilu, obiecujesz informować mnie, jeśli będziesz podejrzewał, że pomysły Eryka są niezbyt rozsądne i mogą zagrażać jego bezpieczeństwu?

Chłopiec niepewnie spojrzał na brata.

– Eryk, pozwolisz mi poskarżyć na siebie?

– Nie chodzi mi o to, żebyś skarżył na brata, ale żebyś mnie informował, jeśli stwierdzisz, że jego zamiar może go narazić na niebezpieczeństwo – powiedział Robert.

– Eryk, mogę na ciebie donosić?

– Nie pytaj Eryka o zgodę. – Robert się zniecierpliwiał. – W ogóle co to za słownictwo. Skarżenie, donoszenie?

– Bo Eryk mówi, że nie chce mieć brata szpicla, a szpicel to ktoś, kto donosi na drugiego. A ja chcę być jego bratem.

– Eryk, skąd znasz słowo „szpicel”?

– Usłyszałem w filmie.

– Kamil, jeszcze raz apeluję do ciebie o rozwagę. I żądam informowania mnie o wszystkich niebezpiecznych pomysłach twojego brata. Chyba że nie chcecie, żebyśmy z babcią się wami opiekowali.

– Nie, dziadziu. Obiecuję, że będę pilnował Eryka, żeby nie zrobił czegoś niebezpiecznego.

Wyniki testów uspokoiły wszystkich mieszkańców hotelu Stella – nikt nie miał koronawirusa. Rodzina Orłowskich odetchnęła z ulgą. Poluzowano obostrzenia, jakie zalecili Robert i włoscy lekarze. Znowu spędzali czas w swoim gronie, a posiłki jedli na dole, w pokoju przeznaczonym tylko dla nich.

Dla niemieckich gości przeznaczono na jadalnię inny pokój. Żeby utrudnić niezamierzony kontakt, wyznaczono również różne godziny posiłków. Zlikwidowano szwedzki stół, a obsługa miała założone maseczki. Czas przeznaczony wcześniej na slalomy narciarskie zamieniono teraz na przechadzki po ogrodzie i posiaduchy na tarasie. Goście z Niemiec rzadko korzystali z tych udogodnień. Georg i ciotka Lena cały czas przebywali w pokojach, jedynie Zuza przyprowadzała Tea do ogrodu, i to w godzinach, kiedy nie było tam nikogo. Zaostrzenia w kontaktach między gośćmi były trochę przesadzone, ale i tak zarówno Orłowscy, jak Niemcy nie mieli ochoty na relacje towarzyskie.

Zwłoki Camilli spoczywały w kostnicy i czekały na pozwolenie przetransportowania do Berlina. Z rozmów z Giulią Orłowscy wywnioskowali, że Lena bardzo przeżywała śmierć swojej siostrzenicy, natomiast Georg pocieszał się alkoholem, bo kokaina już mu się skończyła. Wszyscy goście z niecierpliwością czekali na koniec kwarantanny i możliwość powrotu do domów.

Nikt w hotelu już nie zachorował na covid. Lorenzo szybko powracał do zdrowia, ale stan Alfreda Linna był coraz gorszy. Nie wystarczyło podawanie tlenu, lekarze musieli podłączyć go do respiratora.

Rozdział 9

Grafitowe bmw wjechało na podjazd posiadłości Orłowskich, a zaraz za nim pojawiło się srebrne audi. Po męczącej podróży, z kilkudniowym postojem w Wiedniu i po kilkunastogodzinnym korku na granicy wreszcie dotarli do domu. W Wiedniu zatrzymali się trochę dłużej, niż wcześniej zaplanowali, z powodu siostry Marka, Tiny, którą dopadł koronawirus. Dość ciężko przechodziła chorobę, dlatego musiała być hospitalizowana. Ale na szczęście już wyzdrowiała i teraz znajdowała się pod opieką swojego przyjaciela Davida Singlera.

Robert Orłowski spojrzał na żonę.

– No, wreszcie jesteśmy w domu, Malutka. – Uśmiechnął się do Renaty.

– Już myślałam, że nigdy tu nie wrócimy. Zawsze to lepiej chorować na polskiej ziemi niż u obcych.

– Kwarantanna to nie choroba, Malutka. – Nagle zmarszczył brwi, gdy spojrzał przez szybę. – Kurwa, co ten smyk znowu wyprawia – warknął i wyskoczył z samochodu.

– Eryk, do jasnej cholery, wracaj natychmiast! Co ci mówiłem?! Nie wolno nam się do nikogo zbliżać! – zawołał. – Mamo, dlaczego nie siedzisz w domu? – zwrócił się do Barbary Orłowskiej, która stała na podjeździe w objęciach prawnuka.

– Ładne powitanie po ponadpółtoramiesięcznej nieobecności – odburknęła starsza pani Orłowska, ściskając chłopca.

– Eryk, puść babcię. Mamo, nie zachowuj się jak niepiśmienna idiotka! Jesteśmy objęci kwarantanną.

– No to ja też będę nią objęta. Robert, nie przesadzaj, przecież nikt z was nie jest chory.

– Skąd wiesz? Mogliśmy po drodze złapać to cholerstwo. Jesteś w grupie ryzyka, masz osiemdziesiąt lat.

– Nie musisz mi przypominać, niestety dobrze pamiętam datę swoich urodzin. – Odsunęła się jednak od chłopca i uśmiechnęła przepaszająco. – Eryku, dziadzius ma rację, lepiej bądźmy ostrożni.

Chłopczyk z ociąganiem wrócił do dziadka. Tymczasem dziadek zaczął strofować pasażerów audi.

– Iza, dlaczego nie pilnujecie chłopców? – zapytał z wyrzutem. – Pozwoliłem im jechać z wami, bo myślałem, że jesteście odpowiedzialni. – Mimo że zwrócił się do córki, zarzut skierowany był też do Marka i Johana, którzy również byli w samochodzie.

– Jednego upilnowałam – mruknęła dziewczyna.

– Akurat Kamila nie trzeba pilnować, jest mądrzejszy od was wszystkich – burknął Robert.

– Przepraszam, zająłem się parkowaniem i nie zdążyłem zareagować – tłumaczył się Mark Biegler.

– Cholera, Krzysiek, po co wyłazisz z domu? – Teraz Robert skierował złość na syna, który ukazał się pod portykiem swojego domostwa. – Eryk, nie waź się iść do ojca!

– Tato, przesadzasz. Przecież dzieli nas odległość pięciu metrów. – Bronił się Krzysztof Orłowski. – Chciałem sprawdzić, czy w realu wyglądacie tak samo jak w telefonie.

– Na pewno ładniej, smartfony strasznie zniekształcają – wtrąciła Renata. – Witaj, synku.

W tym momencie z domu wybiegła Milenka, córeczka Krzyśka, a za nią Wika, która pochwyciła wijącą się dziewczynkę i wzięła na ręce.

– Dziadzia, Kam, Eryk! – wołała mała z płaczem, szamocząc się z matką.

– Właśnie tego chciałem uniknąć – mruknął Robert. – Dobrze, że moja druga córka okazała się rozsądną dziewczyną i wita nas przez szybę.

Pomachał Marcie, żonie Marka, która stała w oknie ich mieszkania nad garażem w towarzystwie dwóch małych główek i machała przyjezdnym.

Po kolacji przygotowanej przez panią Stasię i jej córkę okrojona przez kwarantannę rodzina Orłowskich usiadła przed laptopem, żeby przeprowadzić wideoczat z pozostałymi krewnymi. Renata unikała kamery, twierdząc, że za bardzo się stresuje, gdy widzi zniekształcony obraz swojej twarzy.

– Nie mogę na siebie patrzeć – powiedziała, odsuwając się z pola widzenia. – W tej kamerze nawet mój piękny mąż nie jest piękny. Wystarczy, że będziecie mnie słyszeć.

– Moja żona się boi, żebyście nie dostrzegli jej siwych odrostów, dlatego rejteruje sprzed kamery. Dzięki kwarantannie dowiedziałem się, że mam dużo mniej siwych włosów niż ona. Nie wypadało jej prosić karabinierów, którzy dostarczali nam jedzenie do pensjonatu, żeby przysłali jej fryzjerkę i manicurzystkę, dlatego upiększała się tylko tymi kosmetykami, które wzięła z Polski. – Robertowi wrócił dobry humor.

– Robert, nie igrzaj z rozwścieczoną koronawirusem kobietą, bo ten wirus oprócz COVID-19 może również powodować wściekliznę – odparła Renata.

– Krzysiek, twoja matka się wścieka, bo nie mogła założyć nowych botków i futra, które kupiła zaraz po przyjeździe do Madonna di Campiglio. I niestety nie założy ich przez następne dwa tygodnie, dlatego tak przeżywa tę kwarantannę.

– Po pierwsze, to nie futro, tylko futerko. Po drugie, sztuczne, bo jestem wrogiem mordowania zwierząt w tak absurdalnym celu. Po trzecie, mogłam je nosić już w Wiedniu, ale tego nie zrobiłam. Po czwarte, wręczam ci żółtą kartkę. Uważaj, bo następna będzie czerwona, co poskutkuje dla ciebie kwarantanną w piwnicy.

– Malutka, nie bądź taką zołą przy naszych wnukach, bo w dorosłym życiu będą bojkotować ożenek i przez to skażą na staropanieństwo dwie nieszczęsne dziewczyny. A teraz proszę tych z laptopa o zrelacjonowanie nam, co się działo w domu, kiedy nas nie było.

– Tato, nic nowego nie wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny. Przecież byliśmy non stop w kontakcie – mruknął Krzysiek.

– Milenko, pokaż nam ząbki, które ci wyrosły. – Robert szeroko się uśmiechnął. – A panna Greta Biegler niech powie wierszyk, którego ostatnio nauczyła ją mamusia.

Mark, Robert i Johan siedzieli przed telewizorem i słuchali przemówienia ministra Szumowskiego, wtrącając co chwila jakiś komentarz, a Renata z Izą zniknęły na piętrze, żeby rozpakować walizki. Natomiast najmłodszy panowie Orłowscy zaszyli się w pokoju, który kiedyś był sypialnią ich ojca. Siedzieli na dywanie i głośno dyskutowali.

– Zrobimy tak: ty będziesz stał na czatach, a ja założę maskę i rękawiczki i pójde do garażu. Precysem się przez wejście dla psów, otworzę nasz skarbiec i wezmę z niego talizman – mówił Eryk.

– Przecież możemy zadzwonić do naszego taty, żeby przyniósł nam ten talizman. Dziadzio mówił, że nie wolno nam opuszczać domu, bo możemy być chorzy i przenieść koronawirusa dalej, i zarazić tatę albo mamusię, albo ciocię Martę, bo korzystają z garażu. A potem oni zarażą dziewczynki i wszyscy będą chorzy jak ciocia Tina. Albo mama Tea.

– Przecież nie jesteśmy chorzy. Nie zachorowaliśmy nawet w pensjonacie Madonna di Caprio.

– Nie di Caprio, tylko di Campiglio – sprostował Kamil. – Poprosimy tatę, żeby przyniósł nam talizman.

– Głupi jesteś! Wtedy tata dowie się o naszym skarbcu i nie będziemy mogli nic tam schować.

– To znajdziemy sobie nowy skarbiec. – Kamil wciąż nie był przekonany.

– Żaden nie będzie tak doskonały jak ten w garażu. – Eryk zmarszczył brwi. – Jesteś parszywym tchórzem, Amerykańcu.

– Nie jestem parszywym tchórzem ani Amerykańcem – oburzył się Kamil. – Dziadzio mówi, że jestem mądry i rozsądny. Na świecie jest pandemia! Dlatego trzeba być ostrożnym. Przecież mu to obiecaliśmy w hotelu.

– Dziadziuś przesadza. Nie słyszałeś, co powiedział tata? Babcia Renata też często tak mówiła.

– Ale dziadzio jest lekarzem, a babcia Malutka nie jest. On lepiej zna się na pandemii niż inni.

– Nasz tata też jest lekarzem i też się zna na tej pandemii.

– Nie pandemii, tylko pandemii.

– Ale mnie się bardziej podoba nazwa pandamia i... – przerwał, bo zadzwoniła jego komórka. – To na pewno dzwoni moja mamusia.

Robert wszedł do sypialni małżeńskiej. Drzwi do łazienki były otwarte na oścież. Dostrzegł córkę trzymającą w jednej ręce talerz z jakąś podejrzaną mazią, a w drugiej szczoteczkę do zębów, którą

smarowała włosy Renaty na brązowo.

– Iza, czy zapomniałaś, że nie wolno nikomu wchodzić do naszej sypialni? – powiedział, udając surowy głos. – Co robi tu ta obca kobieta? Gdzie jest moja żona?

– Ha, ha, ale śmieszne – bąknęła Renata.

– O Jezu! To naprawdę ty, Malutka? Nie poznałem. Myślałem, że Iza wpuściła tu obcą babę. Co ci się stało w głowę?

– Jakież insekty mi się pojawiły we włosach. Użyłam twojej szczoteczki do zębów, bo nie znalazłam innej. Ale potem ją starannie wymyję i będzie jak nowa. Zresztą masz mocne zęby, nie musisz ich tak często myć.

– Hmm, mam nadzieję, że to żart. Chyba w tym domu są jakieś zapasowe szczoteczki? – Zmarszczył brwi. – Czy fryzjerki też używają szczoteczek do zębów, by ufarbować włosy klientkom?

– Nie, używają pędzli. Ale ja nie mam pędzla.

– O Boże, to tak wygląda kobieta w salonie fryzjerskim? Taki widok może sprawić, że mężczyzna wpadnie w impotencję. Skąd wzięłaś farbę?

– Wika mi kupiła. A teraz wyjdź. Nie chcę narażać cię na impotencję. Wystarczy koronawirus.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Co najmniej dwie godziny. Aha, dostałeś czerwoną kartkę.

Mark Biegler stał przy oknie w pokoju gościnnym Orłowskich, trzymając w ręce telefon. Naprzeciwko, przed oknem ich mieszkania nad garażem, stała Marta, również ze smartfonem w dłoni.

– Nie mogę się z tym pogodzić, że dzieli nas odległość tylko kilkunastu metrów, a mimo to nie mogę się do ciebie przytulić – wyszeptwała do telefonu Marta. – Przecież nikt z was nie jest chory, Robert chyba przesadza. Najwyżej razem pochorujemy.

– *Mein Schatz*, nie mów tak. Gdybyś zobaczyła Tinę i posłuchała, co mówi o tej chorobie, zmieniłabyś zdanie. Nie wspomnę o Camilli i Alfredzie Linnie.

– Wiem. Tylko tak mi się powiedziało. Co z nim?

– Już nie jest pod respiratorem, ale wciąż przebywa w szpitalu. Życiu jego nie zagraża niebezpieczeństwo.

– Całe szczęście. Nie znam tego człowieka, ale każda wzmianka o śmierci z powodu covidu mnie przeraża. Tina mówiła, że to paskudztwo o mało jej nie zabiło. Dlatego siedzimy grzecznie w domu. Siebie mogę narażać, ale nie nasze dzieci. Ale tak bardzo za tobą tęsknię...

– Ja za tobą też. Pomaga mi trochę świadomość, że mogę cię ujrzyć przez szybę. Jesteś taka piękna. Boże, jak ja cię kocham, *mein Schatz*...

Johan leżał w łóżku i patrzył na krzątającą się Izę. Ubrana w czerwony peniuar malowała paznokcie również na kolor czerwony.

– Izis, chyba wolałbym spędzać kwarantannę w naszym mieszkaniu, a nie u twoich rodziców.

– A ja nie. Lepiej jest znosić kwarantannę w kilka osób, a nie w dwojkę. Pomijając prozaiczną kwestię zakupów. Gdybyśmy byli odizolowani od świata tylko we dwoje, to wkrótce doszłoby do rozwodu. A tak możemy kłócić się kolektywnie, a nie w duecie. Za kilka minut, gdy wyschną paznokcie, wskoczę do łóżka.

– Hmm, twój ojciec wysłał mi ostrzeżenie.

– Jakie ostrzeżenie?

– Żebyśmy nie zrobili dziecka.

– Wiesz, tatko boi się tego wirusa. Ten mikrobia jest jeszcze niepoznany, nie wiadomo, jakie mogą być następstwa zarażenia u ciężarnych kobiet. Ale przecież się zabezpieczamy.

– To samo mu powiedziałem. Odparł, że jedyny pewny sposób na antykoncepcję to szklanka zimnej wody. Nie znałem tego waszego powiedzonka, no to mi objaśnił.

– Tak? Hmm, rozmawialiście o naszym pożyciu małżeńskim? I co ci powiedział?

– Żeby wziąć szklankę zimnej wody i wlał sobie do bokserów.

– Ha, ha! Ciekawa jestem, czy sam kiedyś skorzystał z tej metody. Możliwe, że czeka go to dzisiaj.

– Izis, twoje łóżko jest niewygodne.

– Taak? Bartek nie narzekał – mruknęła i zaraz pożałowała swoich słów.

Johan gwałtownie wstał.

– To w tym łóżku spał też ten twój *Schleimscheisser*?

– Bartek nie jest żadnym lizusem ani dupowłazem. To raczej o tobie można tak powiedzieć. Spałeś z tą starą wywłoką, żeby mieć swój program w telewizji.

– A ten twój *Kackarsch* był nawet gotów się z tobą ożenić, żeby podlizać się szanownemu ordynatorowi Orłowskiemu!

– Co powiedziałaś?! Gdy tylko skończy się ta cholerna kwarantanna, składam pozew o rozwód.

Iza wzięła kołdrę i poduszkę i płonąc z gniewu, ruszyła schodami na dół. Nie rozkładając kanapy w pokoju dziennym, położyła się na niej.

– Malutka, chodź wreszcie do łóżka, ileż można na ciebie czekać.

– Dziś nie śpię z tobą.

– To gdzie będziesz spała? Przecież twoja obraźnia jest zajęta przez Marka.

– To będę spać na dole, na kanapie.

– Ostrzegam, że kanapa jest bardzo niewygodna. Ale dlaczego się znowu na mnie obraziłaś?

– Nie obraziłam się. Przecież siwa baba nie powinna cię rajcować.

– Ale już nie jesteś siwa. Dobrze wiesz, Malutka, że ty zawsze mnie rajcujesz – zamruczał.

– Owszem, nie jestem siwa, ale niedawno byłam. – Przesłała mężowi cierpki uśmiech. – Po prostu nie chcę cię narażać na impotencję. Może kiedyś przyda ci się sprawność seksualna w łóżku jakiejś hożej blondynki, która swój naturalny chemiczny blond uzyskała w salonie fryzjerskim, gdzie nigdy żaden facet nie zagląda w obawie przed utratą swej jurności.

– Malutka, przecież żartowałem.

– Wiesz, Robert, twoje poczucie humoru jakoś mi nie pasuje. Dobranoc – powiedziała, zgarniając swoją kołdrę i poduszkę.

– Malutka, przepraszam – zawołał, ale jego słowa zagłuszyło trzaśnięcie drzwi.

Renata zeszła na dół. Ze zdziwieniem stwierdziła, że kanapa w pokoju dziennym jest zajęta przez Izę. Zmarszczyła brwi. Niedobrze. Kilka miesięcy po ślubie, a oni już śpią osobno. To przez tę cholerną kwarantannę – stwierdziła w duchu. Westchnęła i udała się do dużego salonu pełniącego funkcje reprezentacyjne, gdy odwiedzali ich wyjątkowi goście, przed którymi Robert chciał zaszpanować – tam też była kanapa.

– Dziadziuś, wstawaj! – Robert usłyszał wrzask Eryka nad lewym uchem. – Gdzie jest babcia?

– Eryk, daj mi spokój. Chcę jeszcze pospać – powiedział do chłopczyka siedzącego na nim okrakiem.

Nagle Robert otworzył zaniepokojony oczy.

– Coś ty taki gorący? – Dotknął czoła chłopca. – Jesteś rozpalony. Pokaż język.

Szybko wstał i narzucił na siebie szlafrok.

– Leż w łóżku i nigdzie się nie ruszaj. Idę po termometr.

Po chwili wrócił i zmierzył wnukowi temperaturę. Trzydzieści osiem stopni i pięć kresiek. W tym momencie chłopczyk głośno zakasłał.

Orłowski chwycił telefon i wybrał numer do syna.

– Krzysiek, Eryk ma wysoką temperaturę.

Nie upłynęło kilka minut, gdy do domu Orłowskich wpadł Krzysiek. Robert, słysząc go, zbiegł na dół, nakazując wnukowi nie opuszczać sypialni dziadków.

– Krzysiek, nie wchodź do domu – zawołał. – Zrobię wszystkim wymazy i pojedziesz z nimi do laboratorium.

– Co się dzieje? – usłyszeli głos Renaty. – Krzysiu, co tu robisz? Nie powinno cię tu być.

– Eryk ma wysoką temperaturę – powiedział Robert do żony.

– O Boże. – Renata przytuliła się do męża, ale on odskoczył od niej błyskawicznie.

– Malutka, nie zbliżaj się do mnie, Eryk siedział na mnie w naszym łóżku. Możliwe, że mnie zaraził.

– I co z tego? Mnie wczoraj też pocałował, gdy dałam mu czekoladę. Oprócz tego nie pozwolę

ci chorować pojedynczo. Gdzie ty, Kajusie, tam ja, Kaja.

– Malutka, nie gadaj głupstw. Jestem bardziej od ciebie odporny. Jeśli ja wyzdrowieję, a ty nie, będę musiał znowu wjechać na jakieś drzewo, ale tym razem skutecznie.

– Jestem młodsza od ciebie o cztery lata, nie mam jeszcze sześćdziesiątki. Muszę zobaczyć, co z Erykiem, i zanieść mu śniadanie.

– Nie. Na razie tylko ja będę miał z nim kontakt. Musimy zrobić wam wszystkim wymaz – oznajmił Krzysiek.

Kilka godzin później były wyniki testu. Tylko jeden wynik był pozytywny, Eryka. Reszta domowników była zdrowa.

– Na razie Eryk nie wymaga hospitalizacji – orzekł Robert. – Oprócz temperatury i małego kaszlu nic mu nie dolega. – Zwrócił się do syna: – Zawiozę go do twojej garsoniery i tam razem pomieszkamy.

– Nie, tato. Ja z nim tam pojadę.

– Krzysiek, prawdopodobnie ja też jestem zainfekowany, tylko wirus jeszcze się nie uaktywnił.

– Tato, to mój syn, nie twój – powiedział Krzysiek ostro. – Ja się muszę nim zająć. Jest szansa, że nikt z was jeszcze się nie zaraził. Obiecано mi, że za cztery dni ponownie zrobią wam testy. Pożyczyliśmy szpitalowi dwa respiratory, więc mamy u nich fory.

– Synu, młodzi też różnie przechodzą to cholerstwo. Jesteś potrzebny rodzinie – zaproponował Robert.

– Kurwa mać, ty też – warknął Krzysiek, ale potem dodał łagodnie: – Tato, jesteś w grupie ryzyka. Masz skończone sześćdziesiąt lat. To, że wyglądasz na czterdziestolatka, nie świadczy, że w środku jesteś młody. Twój organizm ma sześćdziesiąt lat.

– Krzysiek, zrozum...

– Tato, podjąłem decyzję. Eryk jest moim synem, ja za niego odpowiadam. Jedziemy do mieszkania. Spakuję go. Wy zajmijcie się Kamilem.

Pojechali. Trzy dni później Krzysiek również zachorował. Zakupy robiła im Aga, matka Eryka, co nie za bardzo podobało się Wice. Kiedy jednak stwierdziła, że była żona nie kontaktuje się z jej mężem osobiście, tylko przez drzwi, niepokój minął. Na szczęście ani Krzysiek, ani Eryk nie wymagali hospitalizacji. Znosili chorobę dość lekko, oprócz kaszlu i podwyższonej temperatury nie mieli innych objawów.

Pozostali Orłowscy nadal mieli negatywne wyniki testów.

– Jak to się dzieje, że nikt z nas nie zachorował, tylko Eryk? – dziwiła się Renata.

– Nie wiem, nie jestem wirusologiem. Możliwe, że zależy to od uwarunkowań genetycznych. Zastanawiam się, gdzie on złapał to cholerstwo. Chyba musiało to się stać w drodze powrotnej.

– Możliwe. Na przykład w toalecie. Najpierw bardzo chętnie zakładał maskę i rękawiczki, ale szybko mu się to znudziło. Na szczęście obaj łagodnie przechodzą chorobę. Widocznie Opatrzność nad nami czuwa.

– Miejmy nadzieję, że szybko znajdą szczepionkę, bo wszystko wskazuje, że koronawirus zostanie z nami na dłużej – westchnął Orłowski.

Dzień po tej rozmowie z samego rana zadzwonił do Roberta Jon, mąż Barbary.

– Robert, Basia ma wysoką temperaturę i suchy kaszel – powiedział i zaszlochał głośno.

– O Boże – wyszeptał Robert, przymykając oczy. – O Boże, tylko nie to.

Rozdział 10

Do domu Orłowskich zawitał strach. Robert ciągle wisiał na telefonie, dopytując o zdrowie matki. Ze względu na kwarantannę nie mógł jej odwiedzić, ale okazało się, że Aga pracuje na pół etatu w szpitalu Żeromskiego, dzięki temu mogła informować ich na bieżąco o stanie Barbary. Starszą Orłowską otoczono troskliwą opieką, bo na razie na oddziale zakaźnym nie było wielu pacjentów. No i Aga odwiedzała ją codziennie. Pacjentce niczego nie brakowało, ale na razie medycyna była raczej bezsilna ze względu na brak leku zwalczającego COVID-19. Lekarze nie mieli dużego wpływu na przebieg choroby. Nie wypracowano jeszcze odpowiednich terapii, leczono objawowo. Niestety stan Barbary się pogarszał, potrzebowała maski tlenowej. Zastosowano również remdesiwir, ale lek był pomocny na początku choroby, a po siedmiu dniach podawania, kiedy pacjent już przeszedł okres intensywnej replikacji wirusa, medykament przestawał być skuteczny. Codzienna obecność Agi też nie na wiele się zdała. Cóż może pomóc lekarz radiolog, kiedy zakaźnicy są bezsilni? Mogła tylko podać Barbarze wodę, umyć ją i oklepać plecy. Starła się też dodawać kobiecie otuchy i zabawiać rozmową, ale Orłowska była zbyt słaba, by mówić, dlatego był to przeważnie monolog.

Robert psychicznie bardzo źle znosił chorobę matki. Najgorsze było to, że nie mógł jej odwiedzić. Domyślał się, jak matka czuje się osamotniona, leżąc w izolatce i zmagając z mało znaną chorobą. Jakie musi czuć przerażenie, nie wiedząc, czy zobaczy jeszcze kiedyś rodzinę. Ani syn, ani wnuk, mimo że obaj byli lekarzami, nie mogli jej pomóc. Robert dzwonił do niej w ciągu dnia, ale słysząc jej słaby głos, przeważnie już po kilku minutach kończył połączenie. Rozmowa z matką z jednej strony trochę go uspokajała, bo Barbara wciąż żyła, ale jej głos był coraz słabszy, co rodziło w nim duży niepokój.

– Musi nastąpić przesilenie. Tato, nie martw się, babcia ma silny organizm, pokona koronawirusa – pocieszał Krzysiek, który czuł się już dobrze i czekał na wynik testu.

– Ale ma osiemdziesiąt lat! Osoby starsze mają osłabiony układ odpornościowy. No i kilka lat temu miała zawał.

– Na szczęście nie potrzebuje na razie respiratora. Aga przed chwilą do mnie dzwoniła. Rozmawiała z lekarzem prowadzącym, jutro mają zastosować metodę leczenia wysokimi przepływami tlenu. Podobno daje dobre efekty.

Rzeczywiście terapia pomogła, Barbara poczuła się lepiej. Robertowi ulżyło. Niestety nie na długo, ponieważ Jon zaczął kaszleć i wystąpiła u niego wysoka temperatura. Zrobiono mu test i okazało się, że wynik jest pozytywny.

– Jak to możliwe, przecież wcześniejsze testy były negatywne? – dziwiła się Renata.

– Nie mam pojęcia. Może tamte testy były wadliwe, może nie rejestrowały niskiej replikacji wirusa.

– To znaczy, że my też możemy jeszcze zachorować?

– Nie mieliśmy styczności ani z mamą, ani z Jonem. Pani Stasia donosiła im obiad, nie wchodząc do domu, dlatego jest małe prawdopodobieństwo, że ktoś się od nich zakaził. Inkubacja choroby trwa kilka dni, a przecież minęło już sporo czasu. No i od Eryka też się nie zaraziliśmy. – Westchnął. – Tak mało wiemy o tej chorobie...

Tymczasem stan Jona się pogarszał, trzeba było wezwać karetkę. On również trafił do szpitala Żeromskiego.

Adze udało się przekonać ordynatora, by wpuszczono Krzyśka do szpitala. Jako ozdrowieńcowi na razie nie groziło mu ponowne zakażenie.

Barbara była blada jak prześcieradło, którym ją przykryto. Jej twarz zlewała się z bielą poduszki. W niczym nie przypominała wcześniejszej, pełnej wigoru kobiety. Na widok wnuka ubranego w kombinezon ochronny, maseczkę i przyłbicę rozplakała się ze wzruszenia. Wiedziała już o chorobie Jona, dlatego zrobiła się teraz wyjątkowo płaczliwa.

– Babciu, jak się czujesz?

– Dobrze. Aga co chwilę do mnie przychodzi. Dobra z niej dziewczyna. Zbyt surowo ją potraktowaliśmy.

– Babciu, nie musisz się martwić o Agę, ona zawsze doskonale daje sobie radę – mruknął. –

Chyba przestrzega rygoru sanitarnego? Nie chciałbym, żeby się zaraziła.

– Oczywiście. Przychodzi tu ubrana jak kosmonautka. Ma na sobie kombinezon, maseczkę i przyłbicę. Tak jak inni lekarze. Dobrze, że ty i Eryk przeszliście dość łagodnie ten wstrętny covid. My, starzy, i tak musimy powoli zacząć się zbierać z tego świata. Kilka lat wcześniej czy później nie zrobi dużej różnicy – powiedziała, ocierając łzy.

– Babciu, przestań gadać głupstwa. Ty i Jon musicie jeszcze zaliczyć wesele Eryka i Kamila – powiedział Krzysiek wesoło, z trudem panując nad niepokojem związanym ze stanem Jona. – Ale już się dobrze czujesz, prawda? Badania są w porządku.

Barbara jakby wyczuwała jego lęk.

– Ze mną jest już dobrze, ale boję się o Jona. – Znowu się rozplakała. Po chwili dodała, uśmiechając się przez łzy: – Nie chcę mieć czwartego męża.

– Jon to wilk morski. Zapomniałaś o tym? On nigdy na nic nie chorował.

– No nie do końca. Parę razy złapał przeziębienie.

– Tylko katar i lekki kaszel. Wkrótce znowu będziesz mu parzyć ziółka.

– Krzys, nie jestem idiotką. Wiem, że ludzie w naszym wieku nie mają dużych szans na przeżycie, gdy covid zaatakuje oba płuca, a on w jednym ma już duże zmiany covidowe. Jeśli trafi pod respirator, to... – Głos się jej zawiesił. – Dobrze wiesz, co respirator robi z płucami. Gdyby nawet przeżył, to... – nie dokończyła.

– Babciu, nie martw się. Obiecuję, że razem z ojcem zadbamy o to, żebyście oboje wkrótce wrócili do domu.

Niestety okazało się, że obietnica będzie trudna do spełnienia. Stan Jona pogarszał się z dnia na dzień. Nie pomogło nawet podanie osocza ozdrowieńców ani zastosowanie wysokich przepływów tlenowych. Oddech mężczyzny był coraz płytszy. Planowano nazajutrz podłączyć pacjenta do respiratora.

W południe Robert wezwał syna na rozmowę. Ze względu na obowiązujący lockdown ich klinika działała połowicznie. Prawie nie robiono zabiegów operacyjnych, a wizyty zastąpiono teleporadami. Przychodnię stomatologiczną całkowicie zamknięto. Krzysiek ani Robert nie byli więc potrzebni w klinice.

– Krzysiek, chciałbym z tobą przedyskutować pewną kwestię – zaczął. – Wiesz, że ostatnio dokładnie śledzę wszystko, co jest związane z COVID-19. Raporty wskazują, że pacjenci chorzy na chorobę Parkinsona bardzo łagodnie przechodzą covid. Ma to prawdopodobnie związek z zażywaną przez nich amantadyną. Rozmawiałem z pewnym lekarzem z Przemyśla, Włodzimierzem Bodnarem. Udało mu się wyleczyć pacjentów, stosując viregyt k. Podobno ten lek daje zaskakująco dobre rezultaty. Według niego już po dwudziestu czterech godzinach od podania, w chwili osiągnięcia odpowiedniego stężenia, można inaktywować wirusa na każdym etapie schorzenia. Objawy zaczynają ustępować już po czterdziestu ośmiu godzinach od podania. Zastanawiam się, czy nie spróbować amantadyny u Jona. Bodnar mówił, że wyleczył nią wielu pacjentów. To nie szarlatan w typie Zięby, tylko pulmonolog z trzydziestoletnim doświadczeniem. Podobno pisał do wielu zakaźników i wirusologów, ale go zignorowali. Przeanalizowałem to dokładnie. Może taka terapia ma sens? Ten lek ma rekomendacje przy grypie typu A, możliwe, że również inaktywuje Sars-CoV-2. Viregyt k, podawany co sześć godzin w dawce stu miligramów, nie powinien Jonowi zaszkodzić. Oczywiście trzeba zachować leczenie objawowe. Co o tym myślisz?

– Spróbujmy. Nie ma co czekać.

– Hmm, ale jest problem. Amantadyna nie jest wpisana w schemat leczenia COVID-19. Żaden zakaźnik na to nie pójdzie, będzie się bał ryzykować. Musielibyśmy zrobić to w tajemnicy.

– Aga próbuje załatwić z ordynatorem, żeby pozwolił mi być w separacie przy Jonie cały czas. Pielęgniarki będą zadowolone, że wyręczę je w pielęgnowaniu chorego, a lekarze nie zauważą, że podaję mu coś nadprogramowego.

– Krzysiek, chyba nie muszę ci przypominać, że to wbrew sztuce lekarskiej – mruknął Robert. – Nikt nie może się o tym dowiedzieć, bo czekałby nas sąd lekarski.

– Wiem, ale warto zaryzykować.

Rozdział 11

Dzień później, kiedy Krzysiek przyszedł na oddział, na którym leżał Jon Johanson, ku ogromnemu zaskoczeniu zastał tam swojego ojca przepisowo zabezpieczonego w kombinezon i maskę.

– Tato, co tu robisz?
– Pracuję jako wolontariusz – odparł spokojnie Orłowski.
– Przecież nie skończyła ci się jeszcze kwarantanna – zauważył cicho.
– Licząc od dnia powrotu z zagranicy, właśnie dziś się skończyła. Wczoraj zrobiłem test, już czwarty z kolei, również negatywny.
– Jak załatwiłeś wolontariat?
– Ma się swoje sposoby.
– Przecież ja miałem to zrobić – powiedział Krzysiek konspiracyjnym szeptem.
– Myślisz, że bym ci pozwolił się narażać? Ja jestem krok przed emeryturą, mogę więc zaryzykować starcie z izbą lekarską. – Ściszył głos. – Rozmawiałem już z mamą. Stwierdziłem, że to ona powinna zdecydować, bo niestety Jon jest w takim stanie, że nie da rady podjąć decyzji. Zgodziła się. – Wypuścił z płuc powietrze. – Już mu podałem pierwszą dawkę. Załatwiłem z lekarzem prowadzącym, że wstrzymają się jeden dzień z podłączeniem go do respiratora. Będę tu z Jonem cały czas. Zobaczymy.

O dziwo, poprawa stanu zdrowia Jona nastąpiła już po pierwszej dobie. Pacjentowi coraz łatwiej się oddychało, dlatego lekarze zrezygnowali z respiratora. Robert przez tydzień nie opuszczał szpitala. W tajemnicy leczył ojczyma, stosując zalecenia lekarza z Przemyśla. Widząc poprawę stanu zdrowia Jona, nieraz miał ochotę podzielić się z lekarzami informacjami dotyczącymi amantadyny, ale tego nie zrobił, bo zdawał sobie sprawę z konsekwencji swojego bezprawnego działania. Nadszarpnąłby swój autorytet lekarski i naraził ordynatorowi, który pozwolił mu opiekować się chorym. Rozumiał ostrożność lekarzy zakaźników. Żeby wpisać dany lek w schemat leczenia, trzeba oprzeć się na wiarygodnych wynikach badań klinicznych, a nie jedynie na dowodach niesprawdzonych naukowo. Nawet on nie był do końca pewien, czy w przypadku Jona rzeczywiście pomogła amantadyna, czy dotychczasowe leczenie dało rezultat dopiero z pewnym opóźnieniem. Po dłuższym zastanowieniu sam był sobą zniesmaczony. Nie wolno bez zgody pacjenta eksperymentować na jego zdrowiu. Stosując lek nierekomendowany w schemacie leczenia, naraził chorego na niebezpieczeństwo powikłań. Oczywiście monitorował na bieżąco stan Jona i gdyby zauważył u niego jakieś niepożądane oznaki, szybko by odstawił medykament, ale nie świadczyło to dobrze o jego lekarskim profesjonalizmie. Gdyby inny lekarz spoza kręgu specjalizacji postąpił tak, jak on to zrobił w przypadku Jona, na pewno potępiłby jego zachowanie. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

Robert wrócił do domu, gdy Jonowi nie zagrażało już niebezpieczeństwo. Wraz z nim opuściła szpital również Barbara. Nadal była słaba, schudła siedem kilo. Choroba poczyniła zmiany w jej wyglądzie, zretuszowała jej twarz do danych w metryce. Tak dobrze dotąd maskowane osiemdziesiąt lat nagle pojawiło się na skórze policzków, wokół oczu i w rysach twarzy. Młodzieńcza wyprostowana sylwetka zgarbiła się w znak zapytania, a kiedyś energiczny chód przemienił się w starcze człapanie.

Robert zamieszkał w domu matki, żeby się nią opiekować. Nie chcąc narażać reszty domowników, kontaktował się z nimi tylko za pośrednictwem wideocztatu.

- Robert, czy to nie przesada? Boisz się wejść do naszego domu?
- Byłem kilka dni w szpitalu, nie wiadomo, czy czegoś nie przyniosłem.
- Przecież miałeś kombinezon, maseczkę i przyłbicę!
- Malutka, i tak ktoś musi opiekować się mamą. Nadal jest bardzo słaba.
- Nie zabraniam ci się nią opiekować, ale mógłbyś odwiedzić również własną żonę.
- Malutka, jakoś na razie nie mam ochoty na seks.
- Nie denerwuj mnie, Robert, przecież nie to miałam na myśli – warknęła Renata.
- Taak? Hmm, a ja myślałem, że się trochę za mną stęskniłaś.
- Przystań patrzeć na świat i ludzi z poziomu rozporka. Masz już skończone sześćdziesiąt lat!

– I co z tego? Wciąż jestem mężczyzną, a nie eunuchem.

– Jak zwykle jesteś monotematyczny.

Minął jeszcze tydzień, zanim Robert wrócił do własnego domu. Przedtem spotykał się z rodziną na tarasie, z założoną na twarz maseczką.

– Covid jest tak paskudną chorobą, że niedogodność w postaci maseczki to drobnostka – mówił. – To cholera robi ogromne spustoszenie w organizmie, wystarczy spojrzeć na mamę i Jona. Covid zrobił z dwojga ludzi w pełni sił witalnych dwoje staruszków. Kiedy zobaczyłem ich zdjęcia rentgenowskie... – Nie dokończył, tylko machnął ręką, głośno wzdychając. – Najgorsze jest to, że niektórzy pacjenci skąpoobjawowi, a nawet ci całkiem bezobjawowi, również mają zmiany pocovidowe występujące nie tylko w płucach, lecz także w mózgu i sercu. Miejmy nadzieję, że kiedyś to im ustąpi. Wciąż nie mogę zapomnieć błyskawicznej śmierci Camilli Vogel. – Zasepił się. – Na razie Polska przechodzi pandemię suchą stopą w porównaniu z innymi państwami. Ale to dopiero preludium do tego, co nas czeka jesienią i zimą. Patrząc na niefrasobliwość naszych polityków, obawiam się, że będzie ciężko.

– Na szczęście u nas śmiertelność jest stosunkowo niska.

– Na razie. Zobaczymy, co będzie jesienią. Teraz śmiertelność jest niska, bo i zakażeń niewiele. Lockdown zrobił swoje, niestety kosztem gospodarki i relacji międzyludzkich. Sam fakt, że boję się z wami spotykać, to już coś bardzo nienormalnego. Wkrótce grozi nam depresja i inne zaburzenia psychiki.

– Mam już dość tych wszystkich kwarantann i lockdownów. Nie mogę się doczekać powrotu normalności. Co za czasy, żeby nie można było się objąć i całować z bliskimi.

– Wiem, Malutka, ale nie martw się, ze mną już wkrótce będziesz mogła się całować.

Rozdział 12

Pierwszego czerwca na tarasie w domu Orłowskich zorganizowano dla dzieci przyjęcie z okazji Dnia Dziecka. Na imprezę Robert postanowił zaprosić też Agę. Chciał w ten sposób podziękować byłej synowej za opiekę nad matką w szpitalu. Wszyscy byli już zmęczeni izolacją, a przebywanie na świeżym powietrzu było bezpieczniejsze niż w domu. Pogoda również poszła im na rękę, bo było ciepło i nie padało. Renata upiekła tort makowy według przepisu swojej mamy. Był to ulubiony przysmak wszystkich domowników, wypiek był nawet lepszy niż biszkopt pani Stasi.

– Dla chłopców trzeba kroić tylko troszeczkę tortu, bo w ponczu jest dużo spirytusu. Młodszym dzieciom w ogóle go nie dawajmy – powiedziała cicho do Marty i Wiki, kiedy nakrywały do stołu. – Nie zamierzałam go piec, ale Iza się uparła, bo uwielbia ten tort. Powiedziała, że też jest dzieckiem. Dorosłym, ale moim dzieckiem.

– Może w ogóle nie dawajmy go chłopcom? – zaproponowała Marta.

– Wątpię, czy nam się to uda, bo kiedyś go spróbowali i teraz cały czas się o niego upominają – mruknęła Wika.

– O, przyjechała już Aga.

Aga Torbicka weszła na taras w maseczce na twarzy. Ubrana w białe opięte dżinsy i efektowną szafirową bluzkę pod kolor jej oczu oraz z włosami rozsypanymi na ramionach wyglądała oszałamiająco.

– Mamusia przyjechała! – zawołał rozentuzjasmowany Eryk. – Przywiozłaś ze sobą Bombla?

– Nie. Już ci mówiłam, że twój kot źle by się tutaj czuł i mógłby uciec. To typowy kotek blokowy. Przepraszam cię, Eryku. – Do słów dołączyła również przepaszający uśmiech. – Ale przywiozłam prezenty. Każdy dostanie ode mnie jakąś zabawkę. Proszę ustawić się w kolejce.

– My jesteśmy za duzi na zabawki – odburknął Eryk.

– Dla was mam nowe gry komputerowe.

– Po co im kupiłaś gry, mało ich mają? – burknął Robert. – Robisz mi sabotaż. Cały czas walczę, żeby odciągnąć ich od komputera.

– Nie wiedziałam, co im kupić. Eryka cieszy tylko gra komputerowa – usprawiedliwiła się. – Przepraszam.

– Już dobrze. Czego się napijesz? Krzysiek, Johan, obsłużcie dziewczynę. Zresztą ja cię obsłużę. Wino, drink, koniak? A może piwo jak moja żona?

– Woda mineralna niegazowana z cytryną.

– Ano tak, zapomniałem. – Uśmiechnął się do kobiety. – Ładnie wyglądasz, Aga. Nawet ładniej niż wtedy, gdy byłaś moją synową.

– Przecież pod maseczką nic nie widać – powiedziała mile polechtana.

– Mówię tak z przyzwyczajenia. Wiem, że wy, kobiety, lubicie komplementy. – W oczach pojawiły mu się wesole chochliki. – Ściągnij tę maskę, żebym mógł ocenić, czy trochę nie przesadziłem.

– Lepiej nie, przecież pracuję w szpitalu zakaźnym. Dla bezpieczeństwa usiądę półtora metra od was. Maseczkę ściągnę tylko przy jedzeniu i picciu.

– Odpowiedzialna dziewczyna – pochwalił Robert. – Iza, bierz z niej przykład.

– Ja nie pracuję w szpitalu – mruknęła Iza. – Odkąd to, tatusiu, każesz mi brać przykład z Agi?

– Od czasu, jak przestała bywać w naszym domu.

Aga wyszła z domu Orłowskich później, niż zamierzała. Dobrze się bawiła. Zdażyła się przyzwyczaić do kąśliwego poczucia humoru Orłowskiego i jego nieodrodnej córeczki. Z ulgą stwierdziła, że widok Krzyśka nie spowodował żadnych rewelacji, motylki spały grzecznie w żołądku, a serce nie przyspieszyło pulsu. Była już wyleczona z miłości do byłego męża.

Wsiadła do auta z zamiarem powrotu prosto do domu, ale przejeżdżając Wielicką, przypominała sobie, że jej lodówka jest pusta, a dobrze byłoby przekąsić coś na śniadanie. Zatrzymała się koło Lidla. Z koszykiem w ręce zaczęła krążyć sklepowymi alejkami, gdy nagle ujrzała Bartka Krawczyka, dawnego narzeczonego Izy. Nie widziała go od dnia ślubu von Briestów.

Spotkali się w kościele. Ona była tam zaproszonym gościem, a Bartek niepożądanym świadkiem

zaślubin eksukochanej. Aga zrezygnowała z uczestnictwa w weselu i razem z Krawczykiem poszli do restauracji, by uśmierzyć swój ból. On z powodu Izy, ona z powodu Krzyśka. On robił to za pomocą wódki, a ona kawy i mineralnej. Dość długo tam siedzieli, rozmawiając o utraconych miłościach. Pod wpływem impulsu Aga niepotrzebnie się przed nim otworzyła, opowiadając o swojej niezbyt chlubnej przeszłości. Widząc minę mężczyzny, szybko się przekonała, że zbytnia szczerość była błędem. Była dobrą obserwatorką i mimo że Krawczyk starał się ukryć szok, bez trudu go rozszyfrowała. Umówili się potem na randkę, ale do niej nie doszło, bo Bartek odwołał, tłumacząc się dyżurem. Drugiego telefonu już nie było. I był to koniec ich znajomości.

Widząc teraz mężczyznę przy regale z nabiałem, zamierzała wyjść niepostrzeżenie ze sklepu, żeby uniknąć rozmowy. Odwróciła się w stronę drzwi, ale Bartek ją dostrzegł.

– Aga. Nie uciekaj.

Przystanąła i przesłała mu blady uśmiech.

– Cześć, Bartek. Nie zauważyłam cię. Co tu robisz?

– To co ty – zakupy. Mieszkam w bloku obok. Raczej co ty tu robisz?

– Wracam od Orłowskich. Zrobili dzieciakom przyjęcie i mnie też zaprosili.

– Słuchaj, może napijemy się gdzieś kawy?

– Raczej nie. Jutro muszę wcześniej wstać.

– Gdzie pracujesz?

– Tu i ówdzie.

– To tajemnica?

– Ależ skąd. Zamknęłam gabinet z USG, bo właściciel podniósł czynsz, a pacjentów miałam coraz mniej przez pandemię. Ludzie boją się teraz wyściubić nosa spoza domu i odkładają badania na później. Ale zaczęłam się na pół etatu w Żeromskim i podpisałam kontrakt z Lux Medem. A ty gdzie pracujesz?

– Na Botanicznej, tak jak przedtem.

– Tylko tam?

– Tak. Chcę zrobić doktorat, dlatego nie szukam dodatkowego zajęcia w przychodniach. Może jednak dasz się skusić na kawkę? Chodźmy do McDonalda, to kilka kroków stąd. Proszę. – Ostatnie słowo powiedział z natężeniem w głosie.

Aga chwilę się zastanawiała.

– Mówisz McDonald? Dobrze, niech będzie. Nie mogę odrzucić tak wspaniałej propozycji.

Zapłacili w kasie za zakupy i skierowali się w stronę fast foodu. Udało im się znaleźć stolik na zewnątrz.

– Nie ściągasz maseczki? – zapytał. – Na zewnątrz nie jest konieczna.

– Wiem, ale ze względu na pracę w szpitalu zakaźnym nie chcę narażać ludzi. Zdejmę do jedzenia.

– Co ci zamówić?

– Jestem po wizycie u Orłowskich, a na kawę za późno. Poproszę herbatę i lody z polewą czekoladową.

Bartek wrócił po kilku minutach z tacą zastawioną zamówionymi produktami.

– Dla siebie wzięłam lody i kawę. Na mnie kofeina nie działa. Mogę wypić hektolitry kawy, a potem spać jak niemowlę – powiedział z uśmiechem.

– Na mnie kawa działa skutecznie, dlatego wolę nie ryzykować. Paskudna ta herbata, ale lody smaczne. Jedyne, co mi smakuje w McDonalddie, to lody.

Mężczyzna przez chwilę przyglądał się Adze w milczeniu.

– Pięknie wyglądasz. Tak jak zawsze. – Zawahał się. – Wiesz, czego najbardziej w życiu żałuję? Tego, że nie zadzwoniłem.

Aga wzruszyła ramionami.

– Nie przesadzaj.

– Miałem okazję i jej nie wykorzystałem. A potem było mi głupio. – Odchrząknął. – Czy dalej jesteś z tym facetem, z którym cię widziałem w Hawelce?

- Nie wiem, o kim mówisz.
- Wysoki brodacz w okularach.
- Aga zmarszczyła czoło, starając sobie przypomnieć sytuację.
- Chyba chodzi ci o Andrzeja.
- I co, dalej z nim jesteś?
- Nigdzie z nim nie byłam oprócz obiadu w Hawełce. – Uśmiechnęła się kąpiąco.
- A... teraz masz kogoś?
- Pytasz o to, czy z kimś spiam?
- Hmm, można to też tak ująć. – Podrapał się po głowie.
- Dlaczego cię to interesuje?
- Bo chciałbym zaprosić cię na randkę.
- A jeśli znowu wypadnie ci dyżur?
- To wtedy wezmę L4 i na pewno przyjdę.

Aga z ironicznym uśmiechem przyglądała się mężczyźnie.

- Dlaczego nagle przestało ci przeszkadzać, że w przeszłości byłam kurewką?
- Hmm, z tego, co usłyszałem od ciebie, nigdy nią nie byłaś. Kurewka a sponsoretką to co innego.
- Ta i ta bierze od faceta pieniądze.
- Dużo o tym wszystkim myślałem. Przyznaję, że w pierwszej chwili trochę się wystraszyłem twojej przeszłości. Ale... potem zrozumiałem, że to nie ma żadnego znaczenia. – Utkwił wzrok w jej oczach. – Przepraszam, byłem głupcem. Czy dasz mi szansę to naprawić?

Aga przechyliła się do tyłu. Lekko kiwając nogą założoną na kolano, obserwowała Bartka.

- Wiesz, Bartek, teraz nie potrzebuję mężczyzny. Zdobyłam to, o czym zawsze marzyłam. Dobry zawód, piękne mieszkanie, fajny samochód i pieniądze. Żeby nie czuła się samotna, mam Eryka. Zanim poznałam Krzyśka Orłowskiego, nie pragnęłam dziecka. Eryk był tylko środkiem do celu. Potem to się zmieniło. Syn zawładnął mną całkowicie. Przestał się dla mnie liczyć prestiż lekarza i grube konto w banku. Dla syna zrobiłabym wszystko. Gdyby potrzebował nerki, oddałabym swoją, gdyby potrzebował pieniędzy, zrobiłabym skok na bank albo... do łóżka jakiegoś opasłego bogacza. Gdyby nie miał ojca, starałabym się znaleźć mu dobrego ojczyma, żeby miał męskie wzorce. Ale Eryk niczego z tych rzeczy nie potrzebuje. A ja nie potrzebuję mężczyzny. Już nie. Jest mi dobrze samej.

Krawczyk westchnął.

- Dajesz mi kosza? Co mam zrobić, żebyś się ze mną umówiła?
- Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – W moim życiu nie ma teraz miejsca dla mężczyzny. W stu procentach wypełniają je Eryk i praca.

Dwa dni później, kiedy Aga opuszczała szpital im. Stefana Żeromskiego, ze zdziwieniem zauważyła przy schodach Bartka Krawczyka trzymającego w ręku bukiet róż.

- Co tu robisz? – zapytała. – Jest zakaz odwiedzania pacjentów.
- Wiem, ale zakaz nie dotyczy spotkań z lekarkami poza budynkiem szpitala – odparł z uśmiechem. – Jestem górale, tak szybko się nie poddaję. Przyjechałem taksówką, dlatego mam prośbę: czy mogłabyś mnie podrzucić do jakiejś restauracji? W rewanżu postawię ci obiad. To nie będzie randka, tylko wspólne konsumowanie popołudniowego posiłku.

Chwilę się zastanawiała.

- Dobrze. Jeśli to nie randka, tylko konsumpcja obiadu w duecie, zgadzam się. Ale płacę za siebie.

- Dlaczego? – Zmarszczył brwi.
- Już dawno skończyłam naciągać mężczyzn na pieniądze.
- W takim razie ja ci zapłacę za podwiezienie. Nie mam w zwyczaju naciągać kobiet, a benzyna kosztuje.

- Do której restauracji mam cię podwieźć?
- Ty decyduj, nie znam wielu lokali, bo większość czasu spędzam w pracy lub w domu.
- To tak jak ja.
- Mamy więc coś, co nas łączy. Która knajpka zakodowała ci się w pamięci dobrym jedzeniem?

– Karczma Bida. Jedzenia było dużo, potrawy smaczne i niedrogie. Ale najbliższa jest w Głogoczowie. Za daleko. Jedźmy na Kazimierz.

Pół godziny później siedzieli w ogródku jednej z restauracji, która serwowała kuchnię żydowską. Rozmawiali, żartowali i się przekomarzali. Czas płynął im w przyjemnej atmosferze. Nie umawiając się wcześniej na obiad, powtórzyli to nazajutrz. Bartek ponownie zjawił się, gdy kończyła pracę, z bukietem kwiatów w dłoni. Robił to regularnie. Przychodził albo przed szpital Żeromskiego, albo przed budynek Lux Medu na Puskarskiej, gdzie Aga pracowała. Co dziwne, Bartek sam przeprowadził śledztwo, gdzie i w których dniach miała dyżur. Kiedy spotkała go pierwszy raz przed Lux Medem, naprawdę się zdziwiła.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Mam swoje sposoby. Kiedyś Iza mi zarzucała, że jestem przewidywalny, dlatego teraz postanowiłem nie powtarzać swoich błędów.

– A co z twoją pracą? Masz wolne?

– Na szczęście okazuje się, że kończymy pracę o innych godzinach, bo musiałbym kombinować. Na przykład przestawiać pacjentów lub urywać się z dyżuru.

Aga w odpowiedzi uraczyła go perlistym śmiechem i kręceniem głową w geście niedowierzania. W taki sposób spotykali się przez dwa tygodnie.

– Aga, przypomniałem sobie, że mam w zanadru jeden ważny atut, który może przesądzić o charakterze naszych obiadów – powiedział kiedyś nachylony nad pieczenią z rusztu. – Eryk bardzo mnie lubił. Pamiętasz o tym?

– Wszystko, co dotyczy mojego synka, tkwi głęboko w mojej pamięci – odpowiedziała z uśmiechem. – Dziwne, że dopiero teraz wyciągnąłeś ten argument.

– Wcześniej próbowałem oczarować cię swoją osobowością. Czy mogę zadzwonić do Eryka i poprosić o rekomendacje?

Aga parsknęła śmiechem.

– Dobrze. Na następny obiad przyprowadzę Eryka. On zadecyduje, czy umówię się z tobą na randkę.

– Czy znowu spotkamy się przy kamiennych stopniach szpitala Stefana Żeromskiego?

– Byłby z tym problem, bo w niedzielę nie pracuję. Przyjedź po nas na nasze osiedle.

– Wpuszczą mnie tam? Jest chronione.

– Gdy będziesz na miejscu, zadzwoń.

Spotkali się w najbliższą niedzielę. Na widok Bartka Eryk wydał okrzyk radości.

– Pan Bartek! Super! Czy jest pan chłopakiem mojej mamy?

Aga i Berek parsknęli śmiechem.

– To od ciebie zależy, Eryku. Czy pozwolisz mi umówić się z twoją mamą?

– Przecież się umawiacie.

– Na razie umawiamy się tylko po to, żeby coś przekąsić. Chcę zaprosić twoją mamę na prawdziwą randkę.

Chłopiec zmarszczył brwi i chwilę rozmyślał.

– Dobrze, pozwalam.

– Dzięki, stary. W nagrodę zadecyduj o wyborze lokalu, w którym dziś zjemy obiad.

– McDonald – odparł malec bez namysłu.

– McDonald? Myślałem że zaproponujesz coś bardziej wykwintnego.

– W takim razie McDonald na Floriańskiej. Tam jest wykwintnie.

Aga po odwiezieniu syna do domu jego ojca wróciła do swojego ekskluzywnego apartamentu. Jak zwykle przywitał ją Bombel, ocierając się o nogi i wydając pomruki kociej radości.

– Witaj, kotku, stęskniłeś się za mną? – powiedziała, biorąc kota na ręce i przytulając do siebie. Lubiała jego zapach. – Zaraz dam ci jeść.

Otworzyła lodówkę, wyjęła puszkę karmy i wyłożyła ją do miseczki. Kot teraz zamruczał radośnie do kawałków wołowiny w galaretkę.

Włączyła Radio RMF Classic. Wsłuchana w V Symfonię c-moll op. 67, patrzyła na białe

skórzane fotele, eleganckie meble, wysmakowane bibeloty i drogie obrazy na ścianach. Czy dobrobyt i praca mogą wypełnić samotność? Czy między spotkaniami z synem musi zawsze zadowalać się jedynie towarzystwem kota i duchem Beethovena? Może wpuścić w te mury poza Erykiem jeszcze kogoś? Zanurzyła się w miękkim fotelu i przymknęła oczy. Pomyślała o Krawczyku. Oprócz miłej prezencji, inteligencji i pokrewnego zawodu miał coś, co wyróżniało go spośród mężczyzn – sympatię jej syna. Ten ostatni atut przewyższył wszystkie pozostałe.

Nazajutrz, w czasie przeznaczonym na śniadanie, zadzwoniła do Bartka.

- Możemy umówić się na randkę.
- Kiedy? Dziś, jutro? – zawołał ucieszony.
- W piątek. Przyjedź po mnie o osiemnastej.
- Dopiero w piątek?! To cały tydzień. Umrę z głodu bez obiadów.
- Musisz zadowolić się stołówką. Cały ten tydzień mam zajęty.
- Okej.

Spotkali się w piątek. Aga ubrała się wyjątkowo starannie. Elegancka sukienka w kolorze écru do pół kolan, oblekająca jej sylwetkę niczym skórka na berlinkach, podkreślała wszelakie wklęsłości i wypukłości kobiecego ciała. Z kolorem tkaniny ładnie współgrała świeża opalenizna. Całości dopełniały kilka tonów ciemniejsze gustowne wdzianko i dziesięciocentymetrowe szpilki. Aga wyglądała świeżo i bardzo szykownie.

Krawczyk jakby przewidział kolorystykę ubioru Agi, bo jego ubranie było w podobnych barwach. W lnianym beżowym garniturze i nieco ciemniejszym T-shircie prezentował swobodną elegancję odpowiednią na letni weekendowy wieczór.

– W takim ubraniu można zjeść kolację tylko w Wierzyńku – zauważył z uśmiechem, wręczając kobiecie bukietik małych różyczek.

– Jedźmy na Rynek Główny, a potem zobaczymy, co dalej. Wierzynek kojarzy mi się jedynie z wysokimi cenami i snobizmem.

Aga wybrała włoską restaurację przy jednej z uliczek wychodzących od płyty Rynku. Oboje siedzieli pochyleni nad kartą dań, jakoś dziwnie zmieszani.

– Wiesz, tak długo czekałem na ten dzień, że teraz boję się coś sknocić – powiedział Bartek z nieśmiałym uśmiechem.

– Cóż można sknocić przy wyborze potraw? – odparła, również się uśmiechając. – Dla mnie poproszę risotto z krewetkami.

– W takim razie biorę to samo – powiedział do kelnerki, chociaż nie przepadał za owocami morza. – Jakie wino?

– Nie piję alkoholu. Zapomniałeś?

– Myślałem, że dziś zrobisz dyspensę – mruknął zakłopotany.

W restauracji spędzili miło dwie godziny. A potem poszli do mieszkania Agi.

Kiedy weszli do środka, nagle oboje poczuli skrępowanie. Chociaż w młodości Aga była sponsorką sprzedającą się mężczyznom za pieniądze, nie miała wielu kochanków. Jej sponsorzy byli dużo starsi od niej i zamożni. Zawierała z nimi pewien układ – ona oferowała im swoje ciało i usługi seksualne na wyłączność, oni comiesięczny ekwiwalent pieniężny. Nie rozdrabniała się na wielu kochanków, była wierna jednemu bieżącemu sponsorowi. Wybrała tę drogę, bo potrzebowała wsparcia finansowego. Pochodziła z patologicznej rodziny, gdzie pieniądze wydawane były na wódkę, a nie na kształcenie dzieci. Już w podstawówce postawiła sobie ambitny cel – studia medyczne. Kosztowało ją to dużo wysiłku, ale cel osiągnęła. Została lekarzem i żoną Krzyska Orłowskiego, syna jednego z najlepszych i najbogatszych neurochirurgów w Polsce. Udało jej się spełnić marzenia. Odniosła sukces zawodowy i finansowy, a dzięki dobremu mariażowi uzyskała również pewien prestiż społeczny. I co najdziwniejsze, zakochała się. Wcześniej uważała, że nie jest zdolna do miłości. Zawsze traktowała mężczyzn, z którymi się wiązała, jak swoisty bankomat będący jedynie środkiem do celu. Tymczasem pokochała męża prawdziwą miłością, a synka wręcz ubóstwiała. Krzysiek niestety nie tylko jej nie kochał, lecz wręcz zaczął nią gardzić, gdy poznał jej przeszłość. Natomiast synek ubóstwiał dziadka Roberta i resztę Orłowskich, dla matki przeznaczając niewiele miejsca w swym serduszkach – w każdym

razie tak myślała Aga. Wypadek Eryka i jego ponadroczna śpiączka, a potem rozwód z Krzyskiem spowodowały nowe zawirowania w jaj życiu. Wtedy jedynym jej marzeniem było, żeby syn się obudził i wyzdrowiał. Kiedy stał się cud i Eryk wyszedł ze śpiączki, nastawienie Krzyska do byłej żony diametralnie się zmieniło. Zyskała jego sympatię i przyjaźń, co spowodowało, że Aga ponownie zamarzyła o jego miłości. I znowu poniosła sromotną porażkę.

W ciągu tych kilku lat od rozwodu nie związała się na dłużej z żadnym mężczyzną. Z kilkoma poszła na kawę, z dwoma do łóżka, a ostatnio w ogóle się z nikim nie umawiała. Mężczyzna nie był jej potrzebny do życia. Potrzebowała tylko Eryka.

Teraz pojawił się Bartek.

– Czego się napijesz? – zapytała.

– Obojętne – odpowiedział, siadając w fotelu. – Ślicznie tu. Wynajęłaś dekoratorkę wewnątrz?

– Nie, sama urządziłam. Po mojemu.

– Zauważyłem to.

– To po co się pytasz? – zabrzmiało to oschle.

– Nie chciałem cię obrazić – zmieszał się. – Mieszkanie jest tak samo doskonale jak ty. Pełna perfekcja – piękno i styl.

– Nie przesadzaj – mruknęła, włączając radio. – Może być muzyka klasyczna? Czy preferujesz disco polo?

– Obojętne, nie jestem znawcą muzyki. Puść to, co ty lubisz.

– Ja lubię Beethovena.

Podszedł do niej, gdy stawiała szklanki na stół.

– Drink może poczekać, jestem spragniony ciebie – zamruczał, obejmując ją.

A potem pocałował. Najpierw nieśmiało, jakby się bał, czy podoba, ale szybko pocałunki przestały być delikatne, stały się gwałtowne, pożądlive i zaborcze. Trema minęła.

Ich pierwszy raz odbył się na kanapie. Nie pozbyli się nawet całkowicie ubrań, zdjęli tylko te elementy garderoby, które najbardziej przeszkadzały.

– Mogę zgasić światło? – szepnął, sięgając ręką po wyłącznik lampki. – Nie jestem tak doskonały jak ty.

To całkiem Agę rozbroiło. Poczwała w sobie napływającą falę czułości i tkliwości. Poprzedni mężczyźni, z którymi się umawiała, reprezentowali typ cwanych chojraków, którzy żądają, a nie proszą – i od życia, i od kobiety. Już nie imponowała jej taka postawa, wołała kochanka trochę nieśmiałego, nieco zagubionego i bardzo spragnionego. Nie księcia, tylko kogoś, kto by traktował ją jak księżniczkę.

Poddała się jego pieszczotom. Pozwoliła ustom pieścić swoje piersi, dłoniom uda, zezwalała palcom na penetrację miejsca na ich zwieńczeniu. Pozwalała, ulegała... a potem mocno już podniecona czynnie dołączyła do niego. Rzadko jej się zdarzało odczuwać pożądanie do mężczyzny. Tylko Krzysiek potrafił rozpalić w niej namiętność. Ale od rozwodu minęło dużo czasu, już zapomniwała, co to jest żar ciała, pragnienie bliskości i to błogie ciepło rozlewające się po ciele. Dziwne, że takie odczucia wyzwolił w niej Bartek, mężczyzna raczej mało pociągający fizycznie. Może spowodowała to świadomość, że jest kochana? Bo wiedziała, że Bartek ją kocha, chociaż tego nie powiedział. Słowa nie były potrzebne, mówiły to jego oczy i wyraz twarzy, gdy na nią patrzył. Była kochana – a to dla Agi na tym etapie życia było największym afrodyzjakiem. Podniecona ujęła jego członek i zaczęła pieścić. Zawsze była sprawną kochanką, przecież musiała poznać dogłębnie tajniki *ars amandi*, żeby zadowolić swoich sponsorów, ale teraz do profesjonalnej biegłości dołączyło również uczucie. Czwała, jak pod dotykiem jej dłoni, ust i języka jego penis pęcznieje, jak sztywnieje i po chwili wybucha ekstazą. Nie przeszkadzało jej, że nie doczekała spełnienia, to było nieważne.

Dla niej nie było ważne, ale nie dla Bartka.

– Przepraszam – wycharczał. – Tak bardzo się starałem, żeby poczekać na ciebie, ale to przerosło moje siły. Bardzo przepraszam. Zbłądziłem się.

Aga parsknęła śmiechem.

– Nie przesadzaj, to oznacza, że nie zapomniałam swojego fachu. Że wciąż jestem dobra.

Miał to być żart, ale wyszło coś innego i zabrzmiało bardzo niewłaściwie. Bartek znieruchomiał. Milczał. To ją tylko zdenerwowało i rozjuszyło. Zerwała się z kanapy i zaczęła zakładać na siebie bieliznę.

– A więc się dowiedziałeś, jak to robią kurwy. Powinieneś być zadowolony, że masz za darmo to, za co inni płacili.

– Dlaczego jesteś na mnie zła? Czy dlatego, że na ciebie nie poczekałem? – zapytał cicho.

Cała wściekłość minęła jak ręką odjął. Odsapnęła.

– Orłowski spowodowali, że mam kompleksy na punkcie swojej przeszłości – powiedziała cicho. – Chociaż nie powinnam ich mieć. Inne kobiety robiły to w dużo gorszym wydaniu. Różnęły się na prawo i lewo z różnymi facetami i miały przebieg o wiele większy niż ja. Jedne robiły to za działkę koki, inne za nieoficjalne prezenty, a jeszcze inne za naiwne marzenia o miłości. – Ruchem dłoni odgarnęła włosy na plecy. – Natomiast ja, nie licząc Krzyśka, sypiałam tylko z czterema facetami. Nigdy nie robiłam skoku w bok, byłam im wierniejsza od ich prawowitych żon i dużo od nich tańsza. Owszem, płacili mi, ale pieniędzy nie przeznaczałam na ciuchy, alkohol czy narkotyki, tylko na to, żeby kiedyś zmienić swoje parszywe życie. Zawsze byłam wobec nich uczciwa, wykładając im wszystkie karty na stół. O przepraszam, z jednym wyjątkiem, jednemu nie wyłuszczyłam, o co mi naprawdę chodziło, tylko wyłudzałam forszę w bardziej zakamuflowany sposób. Ale pozostali znali zasady gry. Od czasu rozwodu spałam tylko z dwoma facetami. Policz więc ich dobrze. Czy rzeczywiście uważasz, że było ich w moim życiu aż tak wielu?

Znowu pokój wypełniło milczenie.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – zapytał cicho. – Nie chcę wracać do twojej przeszłości. To nieważne, co robiłaś i z kim byłaś. Ważne, kim jesteś teraz.

– A ja chcę, żebyś sobie zakodował w mózgu, że nie mam zamiaru dłużej posypywać głowy popiołem. Koniec tego. Nie jestem wywłoką, która musi się wstydić swojej przeszłości.

– Nigdy tak nie uważałem. Przecież przed chwilą to samo powiedziałem. O co ci chodzi, Aga?

– Już o nic. Chodźmy do sypialni. Albo nie, wcześniej weźmiemy kąpiel. Mam zainstalowane jacuzzi.

Rozdział 13

W połowie czerwca Europa nareszcie otworzyła granice. Najbardziej nie mógł się tego doczekać Johan. Za sprawą pandemii nie był w Berlinie od stycznia, dlatego chciał sprawdzić naocznie, co się dzieje w jego niemieckim biznesie. Firmę komputerową założył ojciec Johana trzydzieści pięć lat temu i zawsze było jego marzeniem, żeby działała pod zarządem syna, który niestety przez kilka lat mocno się przed tym wzbierał. Trwało to dość długo, ale w końcu Alex von Briest się doczekał – Johan rzucił telewizję i zajął się sprzedażą komputerów i laptopów oraz ich serwisem. Sieć sklepów była rozrzucona na terenie całego kraju i przynosiła niezłe dochody. Do sukcesu przedsiębiorstwa przyczyniła się popularność młodego von Briesta, który rozreklamował ich markę, stając się twarzą firmy. Po ślubie z Izą i przeprowadzce do Krakowa Johan wraz z Wiką Orłowską utworzyli spółkę zajmującą się projektowaniem gier komputerowych opartych na mitologii słowiańskiej i germańskiej. W opracowywaniu fabuły do gier pomagała im Iza. Pandemia opóźniła ich projekt, na razie na rynek trafiły tylko dwie gry, ale odniosły spory sukces finansowy i wszystko wskazywało, że będzie to kura znosząca złote jaja.

Ze względu na pamięć o ojcu Johan jednak nie zamierzał sprzedawać sklepów w Niemczech, mimo że w okresie pandemii nie przynosiły już zamierzonych zysków. Nie zamknął firmy, bo wiedział, że Alexowi by się to nie spodobało. Nie chciał również odbierać przyrodniej siostrze Indze stałego źródła utrzymania. Dziewczyna prawdopodobnie w krótkim czasie roztrwoniłaby sprzedany majątek. Obiecał ojcu, że zawsze będzie dbał o siostrę i jej córkę. Nie wciągnął Ingi do interesu, ponieważ się do tego nie nadawała. Zarządzanie przedsiębiorstwem powierzył Wojtkowi, który kiedyś uczył go języka polskiego, gdy Johan starał się zdobyć miłość Izy. Chociaż miał zaufanie do swojego dyrektora, wolał sprawdzić, czy wszystko w porządku. Cóż, stara maksyma towarzysza Stalina: „Kontrola najwyższym stopniem zaufania”, wcale nie była taka głupia. Inne życiowe motto, przypisywane z kolei Leninowi, „Wierzyć, to znaczy sprawdzać”, również mogło znaleźć zastosowanie w biznesie.

Johan zabukował bilet lotniczy na osiemnastego czerwca, ale tylko dla siebie, bo Iza nie miała ochoty lecieć do Niemiec. Do Berlina przeważnie podróżował liniami lotniczymi, żeby nie męczyć się wielogodzinną jazdą samochodem. W garażu jego berlińskiego domu czekał mercedes klasy S, kupiony przez ojca kilka miesięcy przed śmiercią, dzięki temu Johan nie był skazany na taksówki ani wypożyczalnię samochodów.

Na widok rodzinnego domu zawsze nawiedzały Johana te same uczucia – radość, że znowu jest w ukochanym miejscu, i smutek, że nie ma tam ojca. Wciąż nie mógł się pogodzić z jego stratą. Gdyby nie miał Izy, nie wiadomo, czy dałby sobie radę z tym wszystkim. Na pewno byłoby mu dużo, dużo ciężiej. Młoda żona i nowe życie w Polsce stały się pewnym zagłuszaczem wspomnień i żaloby, dzięki temu nie myślał tak często o tacie. Łączyła go z ojcem wyjątkowo mocna więź, bo oprócz niego Johan nie miał nikogo. Matkę stracił w wieku siedemnastu lat, przyrodnia siostra nigdy nie była mu bliska, a rozpieszczona siostrzenica szybko go irytowała.

Kiedy Johan przekroczył próg swojego apartamentu wydzielonego z domu rodzinnego, poczuł zapach świeżo wypastowanej podłogi i... wzbierającą w nim nostalgię. Żałował, że nie było z nim żony.

Na jej wspomnienie nagle się zasmucił. Od kilku miesięcy, dokładnie od urlopu w Madonna di Campiglio, nie za dobrze się między nimi układało. Na pozór wszystko było w porządku, ale na ich małżeństwie nie wiadomo czemu pojawiła się rysa. Zauważyła to nawet jego teściowa. Iza się zmieniła. Już nie była tą dziewczyną co przedtem. Johan winą obarczał pandemię i towarzyszące jej obostrzenia. Kwarantanna i lockdown, zalecany dystans i rozluźnienie więzi towarzyskich oraz wymuszona przez sytuację ciągła obecność współmałżonka powodowały, że czuli się sobą zmęczeni.

Po dość chłodnym przywitaniu z przyrodnią siostrą i siostrzenicą, które mieszkały za ścianą, i wymianie z nimi kilku grzecznościowych zdań wrócił do siebie. Skoro kilkuletnia Alice na widok prezentu w postaci domku dla lalek zamiast „dziękuję” powiedziała: „Mam już ładniejszy”, a jej matka nie zaproponowała nawet kawy czy drinka, to Johan stwierdził, że nie było sensu dłużej tam siedzieć. Kiedy żył ojciec, relacje bratersko-siostrzane były w miarę poprawne, chociaż niezbyt ciepłe. Po śmierci

Alexa przeobraziły się w lodowate. Rodzeństwa nic już nie łączyło oprócz testamentu ojca, którego prawomocność siostra ciągle podważała. Nie podobało się jej, że musi dzielić dom z bratem i zamiast współdziałać w zarządzaniu firmą – zadowolić się jedynie comiesięczną rentą w wysokości średniej krajowej oraz roczną dywidendą. Chociaż taka kwota byłaby marzeniem wielu berlińczyków, kobiecie nie wystarczała. Również fundusz powierniczy dla córki wydawał się Indze zbyt skromny.

Johan usiadł w fotelu w swoim apartamencie i z piwem w dłoni zaczął przeglądać pocztę. Trochę się tego nabierało w czasie kilkumiesięcznej nieobecności. Wśród urzędowych przesyłek wyróżniał się list z kancelarii prawniczej Wanke. Vater und Sohn. Była to prośba o spotkanie. Nazwa kancelarii nic mu nie mówiła. Czyżby Inga zmieniła prawnika i znowu próbowała podważyć testament? Może dlatego tak zimno go przyjęła? Chwycił za telefon, żeby z nią porozmawiać, ale po namyśle odłożył aparat. Jeśli siostra koniecznie chce się kontaktować drogą służbową, niech tak będzie.

Nazajutrz wyciągnęły go z łóżka promienie słońca ostro wdzierające się przez niedosunięte rolety. Spojrzał na zegarek, nie było jeszcze siódmej. Chociaż mieszkając w Polsce, wstawał dużo później, dziś szkoda mu było stracić dzień na leniuchowanie. Zrobił szybką toaletę, zjadł dwa tosty z konfiturą i popił kawą z ekspresu, nie miał ochoty na obfite śniadanie. Wziął kluczyki od mercedesa i poszedł do garażu. Kwadrans później był już w firmie. Przywitał się z Wojtkiem i pracownikami, wypił z kolegą drugą kawę i chwilę z nim porozmawiał, po czym zabrał się do pracy. Musiał zrobić szybki audyt, czy wszystko gra. Regularnie co miesiąc otrzymywał drogą mailową sprawozdania, dlatego był na bieżąco z problemami firmy, ale teraz chciał przyrzeć się dokładniej działalności przedsiębiorstwa.

Zaangażowany w sprawy księgowe poszczególnych sklepów, zapomniał o piśmie z kancelarii prawnej, dlatego dopiero dwa dni później odwiedził prawnika. Biuro kancelarii Wanke. Vater und Sohn znajdowało się w eleganckim wieżowcu niedaleko od siedziby jego firmy i zajmowało dwa piętra. Sekretarka, usłyszawszy jego nazwisko, od razu go zaanonsowała szefowi.

Zza wielkiego biurka wstał tęgi mężczyzna w średnim wieku, z gęstą rudawą czupryną włosów.

– Franz Wanke – przedstawił się, wyciągając rękę na powitanie. – Nareszcie mam przyjemność pana poznać. Od dawna pana oczekiwałem. Już nawet miałem zamiar rozpocząć poszukiwania w Polsce. Proszę siadać.

Johan usiadł na wskazanym krześle. I dobrze zrobił, bo to, co usłyszał od prawnika, zwałoby go z nóg.

Po wyjściu z kancelarii długo nie mógł dojść do siebie. Przez chwilę siedział w samochodzie, by ochłonać. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. W życiu by się nie spodziewał! Co ma teraz zrobić? Na trzeźwo chyba temu nie podołam – stwierdził, włączając stacyjkę.

Przekroczywszy próg domu, przebrał się w wygodne szorty i podkoszulek, a zaraz potem skierował się do barku, żeby przygotować sobie drinka. Ze szklanką w ręce zatopił się w miękkim popielatym fotelu wyłożonym poduszkami, które kiedyś kupiła Iza. Wypił duży haust napoju i przymknął oczy. Jak ma się teraz zachować? Postawiono go przed bardzo trudnym wyborem. Którą opcję ma wybrać? Tę łatwiejszą czy tę dużo trudniejszą, która skomplikuje wszystko? Nie był psychicznie przygotowany, żeby wywróciło się całe jego dotychczasowe życie. Jak na to wszystko zareaguje Iza? Zdawał sobie sprawę, że jego decyzja będzie miała duży wpływ na ich związek. Czy jego małżeństwo to przetrwa?

Kiedy podniósł szklankę do ust, by wypić drugi łyk drinka, zadzwoniła komórka. Spojrzał na wyświetlacz, numer nieznany.

– Moje nazwisko Henri Kraft. *Polizeioberkommissar* Henri Kraft. Jestem z policji – usłyszał zdziwiony Johan. – Dowiedziałem się, że jest w pan w Berlinie. Chciałbym z panem porozmawiać. Czy mógłbym dziś do pana wpaść?

– O co chodzi?

– To nie rozmowa na telefon. Wyjaśnię panu, gdy się spotkamy. Chyba że woli pan wizytę w komisariacie.

– Dobrze, proszę przyjść. Mieszkam...

– Znam pański adres. Będę za pół godziny.

Johan zmarszczył czoło i podrapał się po głowie. Czego od niego może chcieć policja? Czy ma

to jakiś związek z firmą? A może Inga coś narozrabiała? W młodości miała konflikt z prawem przez narkotyki, ale odkąd urodziła Alice, wystrzegła się mocniejszych używek, popalając jedynie trawkę. Czy powinien ją o to zapytać? Na myśl o rozmowie z siostrą aż się wzdrygnął, chyba już wolał poczekać na policjanta.

Dokładnie pół godziny później usłyszał dzwonek domofonu. Po chwili w drzwiach domu pojawił się mężczyzna około czterdziestki. Był wysokim postawnym blondynem z włosami trochę przeredzonymi na czubku głowy i o surowym wyrazie twarzy. Nie miał na sobie policyjnego munduru, tylko szary garnitur i krawat.

Jak mu nie gorąco w tym ubranku – pomyślał Johan, który miał na sobie bermudy i T-shirt. Policjant wyciągnął dłoń na powitanie.

– *Polizeioberkommissar Henri Kraft. Bundeskriminalamt.*

Federalna Policja Kryminalna? – zdziwił się Johan. – Cóż u licha chcą ode mnie federalni? – pomyślał w duchu, a na głos powiedział:

– Johan von Briest. – Uścisnął podaną mu dłoń. – Zapraszam dalej.

Policjant wszedł do mieszkania, rozglądając się z ciekawością, po czym rozsiadł się na wskazanym fotelu.

– Cóż pana do mnie sprowadza?

– Śmierć pani Camilli Vogel.

– Camilli? – zdziwił się Johan. – Odkąd to policja zajmuje się osobami zmarłymi na COVID-19?

– Pani Vogel, owszem, miała koronawirusa, ale nie umarła na covid. Została zamordowana.

– Co takiego?! Camilla zamordowana? To nonsens! Włoska policja nic takiego nie stwierdziła.

– We Włoszech nie zrobiono sekcji, z góry zakładając, że to covid. Akurat wtedy wybuchła panika związana z pandemią. Ale gdy dotarły do nas zwłoki, zrobiliśmy sekcję. Pani Vogel była nietuzinkową osobą, znano ją w całych Niemczech, nie mogliśmy przejść nad jej śmiercią obojętnie. Oprócz tego dopominała się o to jej ciotka, Lena Wolf. Wszczęto śledztwo, a mnie oddelegowano do wyjaśnienia sprawy. Chociaż z reguły morderstwa nie należą do zakresu obowiązków BKA, prokurator federalny przekazał nam sprawę ze względu na umiejscowienie zbrodni i fakt, że w śmierć pani Vogel mogą być zamieszani obywatele innych państw Unii, a my jako część integralna Europolu i Interpolu jesteśmy najbardziej odpowiednią jednostką do tego typu zadań. To tyle w formie wyjaśnień.

– Mam rozumieć, że należą do osób podejrzanych o morderstwo? – oburzył się Johan.

– Tak. Tak jak pozostali przebywający w tym czasie w hotelu Stella – odparł spokojnie policjant i lekko się uśmiechnął. – Zbrodnia dotyczy obywatelki Niemiec, ale popełniono ją na terenie Włoch, dlatego przydzielono mi do pomocy policję z Trydentu. Dla ułatwienia śledztwa wszystkie osoby, które mieszkały wtedy w hotelu, będą poproszone o stawienie się w Madonna di Campiglio w ustalonym terminie. Proponuję początek lipca, żebyście państwo mieli czas uregulować swoje sprawy. Koszty podróży i pobytu w hotelu mają być finansowane ze środków unijnych, nie będą was obciążać. Już skontaktowaliśmy się z policją krakowską, która poinformuje o tym pańską rodzinę. Osoby zamieszkałe w Niemczech są już zawiadomione. – Uśmiechnął się troszkę ironicznie i dodał: – Będziecie mieli państwo darmowe wczasy w pięknym włoskim kurorcie.

– Oczywiście będą to przymusowe wczasy – sarknął von Briest.

– Mam nadzieję, że nikt z państwa, jeśli jest niewinny, nie będzie nam robił trudności w wyjaśnianiu sprawy. Mniemam, że panu i pańskim bliskim również zależy na znalezieniu mordercy pani Vogel.

Rozdział 14

Renata pakowała dwa nesesery – większy dla siebie, mniejszy dla Roberta. Szóstego lipca o szóstej rano mieli lot do Trydentu, gdzie będzie czekał na nich samochód, żeby ich zawieźć do Madonna di Campiglio.

– Wiesz, Robert, ta wyprawa bardziej mnie cieszy niż ta w lutym – powiedziała do męża Renata. – Ponieważ będzie ciepłutko i przyjemnie. Niedaleko, bo tylko sześćdziesiąt kilometrów stamtąd, znajduje się jezioro Garda. Może sobie popływamy...

– Nie gadaj głupstw, Malutka – przerwał jej mąż. – Przedtem jechaliśmy na wczasy, a teraz na przesłuchanie. To nie będzie urlop, tylko maglowanie przez niemiecką i włoską policję.

– Przez telefon ten niemiecki gliniarz wydawał się całkiem miły. I zna perfektnie angielski.

– Wyznaczyli takiego, który mógłby się z nami dogadać. Może i zna nie najgorzej angielski, ale akcent ma fatalny – mruknął. – Raczej za bardzo się nie ciesz, Malutka. Przystanie być sympatyczny, gdy wsadzi kogoś z nas do niemieckiego więzienia.

– Mnie na pewno nie, chyba że ciebie. Miałeś dobry motyw do morderstwa. Camilla była oporna na twoje samcze umizgi, a ty, jak każdy wzgardzony przez kobietę facet, postanowiłeś się zemścić.

– Malutka, przestań bajdurzyć. Nie zapominaj, że ta kobieta nie żyje. Nie wolno żartować ze śmierci.

– A ty nie moralizuj. Po pierwsze ledwo ją znałam, a po drugie kilka miesięcy temu przeżyłam już szok i żalobę związaną z jej śmiercią. – Wzruszyła ramionami. – Twoje lamenty teraz to czysta hipokryzja. Przestań wylewać nad nią krokodyle łzy. Przecież jej nie znaleźliśmy, była nam całkiem obojętna. Więcej – nasza córka jej nie cierpiała!

– Właśnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Renata nagle się wyprostowała, a jej wzrok zawisł na twarzy męża. Poczula niepokój. – Czy nasza Iza może mieć jakieś kłopoty?

– Nie wiem. – Robert potarł czoło.

– Czy ty coś przede mną ukrywasz? – Kobieta teraz wyraźnie się zaniepokoiła. – Rozmawiałeś z Izą?

– Tak. Powiedziała, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

– To dlaczego sugerujesz, że może być podejrzana?

– Nie tylko ona, wszyscy według Krafta jesteśmy podejrzani, bo byliśmy w hotelu, gdy Vogel została zamordowana. – Zamyślił się na chwilę. – Wiesz, Malutka, na wiadomość, że to było morderstwo, z jednej strony przeżyłem szok, ale z drugiej poczułem pewną ulgę, że nie zabił jej covid. Nic ci wcześniej nie mówiłem, ale miałem ogromnego pietra w związku z tym koronawirusem. Hmm, chociaż od początku mi nie pasowało, że zgon nastąpił w tak błyskawicznym tempie i bez żadnych wcześniejszych symptomów choroby, mimo to uwierzyłem włoskim patologom. Cóż, to kurewstwo było wtedy dla nas wielką niewiadomą. Teraz już trochę więcej wiemy. Ten cholerny patogen już nie jest tak bardzo tajemniczy jak w lutym i marcu, ale wciąż nie dawał mi spokoju tak dynamiczny rozwój choroby u Camilli. Na wieść, że przyczyną jej śmierci nie był covid, naprawdę bardzo mi ulżyło.

– Dobrze, że dopiero teraz się o tym dowiedzieliśmy, a nie wtedy w hotelu. Świadomość, że był między nami morderca, jeszcze bardziej by nas przytłaczała i napawała lękiem.

– Nie wiem, co dla ciebie byłoby straszniejsze, koronawirus czy morderca, ale mnie bardziej przerażał ten skurwiel w koronie. Uczucie, że człowiek nie jest w stanie zapanować nad rozwojem sytuacji i się obronić przed zagrożeniem, było dla mnie bardzo niekomfortowe. Paskudnie się czułem z tą bezradnością. Morderca z krwi i kości nie wzbudza we mnie aż takiego lęku jak śmiertelny, bardzo zakaźny patogen, na którego nie ma jeszcze lekarstwa. Generalnie mikroby to największe niebezpieczeństwo dla człowieka.

Renata westchnęła i wróciła do pakowania, ale po chwili znowu je przerwała.

– Niepokoi mnie zachowanie Izy i Johana. Dlaczego on wciąż jest w Berlinie? Przedtem nie mogli jednego dnia bez siebie wytrzymać, a teraz zobacz, co się dzieje. Nie chciała z nim tam lecieć,

a on również nie był skory tu wrócić.

– Nie przyleciał do Krakowa, bo zamierzał nadrobić zaległości w pracy, przecież nie było go tam pół roku. Malutka, jak zawsze przesadzasz. Kwarantanna spowodowała, że się trochę sobą zmęczyli. Bardzo dobrze się stało, że mieli okazję od siebie odpocząć. W pożyciu małżeńskim krótkie rozstanie działa jak afrodyzjak. Zobaczysz, jacy będą za sobą stęsknieni.

– Jakoś po Izie nie widzę, żeby tęskniła za mężem – bąknęła Renata. – Oby nie wyszło na twoje, że miałeś rację, odradzając jej małżeństwo. Tak to jest krakać. Kraczesz, kraczesz, aż wykraczesz.

– Za chwilę usłyszę, że problemy małżeńskie naszej córki to moja wina, bo wykrakałem, tak? Renata wzruszyła ramionami i ponownie westchnęła.

Zajechali pod hotel Stella. W westybulu oprócz personelu w масечkach przywitało ich dwóch medyków. Przyjechali, by pobrać od nich wymazy.

Z grupy wyłonił się wysoki blondyn około czterdziestki.

– Witam państwa. Komisarz Henri Kraft. Stwierdził, że będzie bezpiecznie, jeśli wszyscy zostaną przetestowani – powiedział. – Dzięki temu nie będziemy musieli nosić w hotelu масечек. Dla dobra nas wszystkich bardzo państwa proszę o pozostanie na terenie hotelu. Obiekt dysponuje dużym ogrodem i basenem. Piesze wycieczki po mieście czy po górskich szlakach proponuję przełożyć na później. Teraz musimy zająć się śledztwem. Gospodarze przygotowali dla państwa trochę atrakcji, żeby umilić wam czas izolacji. Wieczorami będzie dostępny alkohol, barbecue i muzyka. Można korzystać też z basenu, ale proszę przełożyć spożywanie mocniejszych trunków na wieczór. Wyniki testów otrzymamy za kilka godzin, dlatego na razie proszę nie zdejmować масечек. Zaraz po pobraniu wymazów możecie państwo udać się do swoich pokojów.

Wszystkie osoby dostały te same pomieszczenia, które zajmowały w lutym. Orłowski miał więc do dyspozycji cały apartament, bo chłopcy zostali w Polsce.

– Dobrze, że Kraft nie zaliczył dzieciaków do grona podejrzanych i pozwolił im pozostać w domu – mruknął ironicznie Robert.

– Ciekawa jestem, kto się zajmuje Teo, jeśli jego najbliżsi są tutaj? – zastanawiała się Renata.

– Dopóki nie dorwiesz Giulii, musisz na jakiś czas poskromić swoją ciekawość.

– Wnioskuje, że jedynymi gośćmi hotelu będziemy my – podejrzani? Mam nadzieję, że Francowi zostaną wyrównane straty – zauważyła Renata.

– Na pewno. Niemcy są bardzo skrupulatni w każdym aspekcie.

W tym momencie usłyszeli pukanie i w drzwiach ukazała się wysoka sylwetka Marka Bieglera.

– Przyjechał już Johan. Zrobili mu test – zakomunikował.

– Nie przyszedł się przywitać? – zdziwiła się Renata.

– Najpierw musi się przywitać z żoną. A takie przywitanie po prawie miesięcznej rozłące powinno się odbyć w kameralnych warunkach. – Mark klapnął na fotel. – Kiedy nadjedzie Martin?

– Mówił, że zbliża się do Trydentu, powinien być za godzinę.

– Szkoda, że nie możemy opuszczać obiektu – westchnęła Renata. – Z chęcią zwiedziłabym Trydent.

– Może po wszystkim, gdy już Kraft wypuści nas ze swoich łap, będziemy mieli trochę czasu na wycieczkę po północnych Włoszech. Trydent jest miściną, ale Mediolan to naprawdę piękne miasto.

– Nie taka znowu miścina. Miściną to jest Madonna di Campiglio. Nie mieszka tu na stałe nawet tysiąc osób.

– Co myślisz, Mark, o tym Henrim Krafcie i jego nowatorskim sposobie prowadzenia śledztwa? – zapytał trochę kpiąco Robert.

– No cóż, wygodniej mu zebrać wszystkich świadków, czytaj: podejrzanych, w jednym miejscu, niż gdyby byli rozsiani po całej Europie. Będzie miał twardy orzech do zgryzienia. Prawdę mówiąc, wątpię w owocność jego śledztwa. Minęło już prawie pół roku od dnia morderstwa, nie zabezpieczono żadnych śladów. Facet chyba zdaje sobie z tego sprawę, a ten spęd to tylko po to, żeby pokazać niemieckiemu społeczeństwu, że policja nie przeszła obojętnie nad kwestią morderstwa celebrytki. To śledztwo jest pod publiczność. Sama sekcja zwłok i przesłuchanie świadków to za mało, żeby znaleźć winnego.

- Zobaczymy, co potrafi zdziałać pan komisarz w ciągu jednego tygodnia.
- Skąd wiesz, że będziemy tu tydzień? Rozmawiałeś z nim?
- Bąknął coś o kilku dniach. Przecież nie może nas tu przetrzymywać, aż rozwiąże sprawę.

Trwałoby to wieczność.

Wieczorem na kolacji byli obecni już wszyscy: dziesięcioro dawnych gości, trzy osoby personelu i komisarz. Rano miał dojechać inspektor z Trydentu. Posiłek był przygotowany przy jednym dużym stole, przy którym przewidziano również miejsca dla Franca Ferra, jego córki i Lorenza. Nie obawiano się koronawirusa, bo wszystkie testy okazały się negatywne. Tym razem obowiązywał szwedzki stół.

Renacie nie za bardzo pasowało spożywanie posiłków w tak dużym gronie, ale tak zarządził komisarz Kraft. Czyżby chciał mieć wszystkich na oku? Wszystko na to wskazywało, ponieważ usiadł w miejscu najdogodniejszym do obserwacji. Po drugiej stronie stołu, naprzeciw Orłowskich, zajęła krzesła trójka Niemców: Georg Sewer, Alfred Linn i ciotka Camilli. Po lewej stronie Leny Wolf siedzieli właściciele hotelu, Franco i Giulia oraz Lorenzo. Niania Zuzanna Kowalska vel Suzi ku zaskoczeniu Renaty nie usiadła obok tamtej trójki, tylko po stronie Orłowskich.

- Czy mogę się do państwa dosiąść? – zapytała po polsku. – Zawsze to różnie wśród rodaków.
- Oczywiście, proszę usiąść – bąknęła Renata, wciąż z niedowierzaniem patrząc na dziewczynę.

Kiedy kilka minut temu ujrzała ją w drzwiach jadalni, przeżyła szok. Zuzę z trudem można było teraz rozpoznać. Mysie włosy, kiedyś przylizane i związane z tyłu frotką, nabrały ładnego miodowego koloru i puszyły się objętością. Zniknęły mało twarzowe okulary. Permanentny makijaż brwi i doklejone rzęsy powiększyły oczy i podkreśliły ich szaroniebieską barwę, a puder, róż i korektor dopełniły reszty. Miała na sobie obcisłe białe spodenki i niebieski króciutki top na wąskich ramiączkach. Jej opalone ciało kusiło krągłościami pośladków i piersi, przyciągając męskie spojrzenia. Wyglądała naprawdę bardzo apetycznie.

- Pani Zuzo, widzę, że zmieniła pani swój *image* – zauważył Robert.
- Nareszcie mogę być sobą. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Gdybym tak wyglądała, starając się o pracę, Camilla na pewno by mnie nie zatrudniła, a mnie zależało na tej posadzie.
- Wygląda pani rewelacyjnie. Co pani teraz robi, gdzie pracuje? Nadal opiekuje się Teo? – zapytała Orłowska.
- Ależ skąd. Zaczepiłam się w butik, ale szukam czegoś lepszego.
- Pan Sewer zatrudnił inną nianię? Dlaczego?
- Małym zajmuje się ciotka Camilli.
- Nie jego ojciec?
- Nie drażę ich spraw rodzinnych. – Znowu wzruszyła ramionami. – Cóż, podziękowano mi za pracę, ale wywalczyłam odprawę. Zresztą nie wiem, czy bym długo wytrzymała z Leną Wolf. Ona jest jeszcze gorsza od Camilli.
- Pani Zuzo, trochę ciszej. Pani Wolf zna dobrze rosyjski, a rosyjski jest podobny do polskiego.
- Guzik mnie obchodzi, czy usłyszysz, czy nie – prychnęła lekceważąco.
- Kto teraz jest z Teo?
- Nie wiem. Chyba nowa opiekunka.

Przerwali rozmowę, bo od stołu wstał Kraft. Wyprostował się i odchrząknął.

– Chciałbym jeszcze raz powitać państwa i podziękować za przybycie – powiedział po angielsku. – Jutro zaczniemy przesłuchania. Liczę na współpracę. Mam nadzieję, że wyjaśnimy okoliczności śmierci pani Camilli Vogel.

– Czy długo będzie nas pan tu przetrzymywał? – zapytał Georg Sewer. – Nie mam czasu na wakacje, muszę pracować.

– Doskonale pana rozumiem, ale mam nadzieję, że pański nowy pracodawca, jeśli ma pan takiego, zrozumie niemiecką policję – odparł spokojnie Kraft. – Obiecuję, że ja i mój kolega z Trydentu zrobimy wszystko, żeby szybko znaleźć winnego.

– Czy mógłbym wreszcie się dowiedzieć, jak zginęła moja żona? Co to za tajemnice?! – prychnął Georg.

- Teraz mogę już państwu zdradzić parę szczegółów. Pani Camilla Vogel została uduszona

poduszką.

– Uduszona poduszką? – zdziwiła się Renata, gdy rodzina zebrała się w ich apartamencie. – W takim razie to musiał być mężczyzna. Kobieta nie miałaby tyle siły. Jestem pewna, że zrobił to jej mąż. Od początku mi się nie podobał. Narkoman i alkoholik w jednym. Który ojciec pozwoliłby na to, żeby jego syna miała wychowywać stara kobieta?

– Rzeczywiście to dziwne. Nie tylko niemłoda, lecz także schorowana – mruknął Mark. – Nie wyciągajmy jednak pochopnych wniosków. Może ciotka opiekuje się małym tylko tymczasowo.

– Już w lutym zauważyłam, że między chłopcem a jego ojcem nie ma bliskiej więzi – stwierdziła Renata. – Tylko nie rozumiem, dlaczego ciotka zdecydowała się na zmianę niani. Teo lubił Zużę, a ona jego. Biedny dzieciak.

– Na pewno nie biedny, matka zadbała o jego przyszłość finansową – mruknęła Iza. – W życiu nie widziałam tak rozpieszczonego bachora. Nawet nasz Eryk nie był aż tak rozpieszczony.

– A co myślicie o metamorfozie Zuży? – zapytała Renata. – To chodzący dowód na to, że z bardzo przeciętnej dziewczyny można zrobić piękność.

– Z tą pięknnością to chyba przesada – stwierdziła Iza. – Owszem, dzięki kilogramom tynku i tapety trochę wyładniała, ale wciąż ma twarz prowincjonalnej gęsi. Namalowane brwi i doklejane rzęsy nie zmienią u niej głupowatego wyrazu twarzy, wprost przeciwnie.

– Córeczko, czyż nie przemawia przez ciebie kobieca zazdrość? My, kobiety, dla których matka natura okazała się macochą, musimy korygować to, czego nam nie dano, a inne dostały w pakiecie DNA w nadmiarze przez niesprawiedliwą reglamentację. Zawsze uważałam, że trzeba wspomagać przemysł kosmetyczny, to jedna z ważniejszych gałęzi gospodarki. Dzięki tej branży psychologowie i psychiatrzy mają mniej pacjentek, a księża mniej grzechów do odpuszczania u swoich parafianek z tytułu zazdrości i zawiści.

– Przestań bajdurzyć, Malutka – powiedział Robert. – Co pijemy panowie? Browarek czy coś mocniejszego?

Rozdział 15

Nazajutrz na śniadaniu pojawił się *ispettore capo* Dario Moretti. Był to średniego wzrostu trzydziestokilkuletni mężczyzna o gęstej czuprynie ciemnych kędzierzawych włosów i regularnych romańskich rysach. Ubrany w niebieskie dżinsy i szafirowy podkoszulek, w niczym nie przypominał schludnego Henriego Krafta w beżowej koszulce i odprasowanych spodniach.

– Ten Moretti ma twarz jak rzymscy wodzowie ze starożytnych rzeźb i popiersi. Tylko jest trochę kurdupłowaty. Gdyby komisarzowi Kraftowi uciąć głowę i na jego karku osadzić głowę inspektora Morettiego, wyszedłby superprzystojniak – powiedziała po polsku Renata znad talerza z jajecznicą.

– Malutka, stwierdzam z ubolewaniem, że zachowujesz się jak przekupka z Kleparza. Czy twoje życiowe dywagacje muszą krążyć wokół fizjonomii innych ludzi?

– I kto to mówi! – Orłowska odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem, zatapiając zęby w świeżutkim pieczywie i uważnie obserwując siedzących przy stole.

Zuza usiadła obok Martina i zabawiła go rozmową. Lena Wolf zajęła miejsce po lewej stronie Alfreda Linna, prowadząc pogawędkę z siedzącą naprzeciwko Giulią Ferro. Lorenzo natomiast odpowiadał monosylabami ojcu narzeczonej. Georg Sewer z nikim nie rozmawiał – ani z sąsiadującym Linnem, ani z Kraftem. Teraz wzrok Renaty spoczął na twarzy córki. Zachowanie Izy już od dawna niepokoiło kobietę. Między dziewczyną a jej mężem była dziwna bariera chłodu i niedomówień. Coś niedobrego działo się w ich małżeństwie.

Po śniadaniu na pierwszy ogień przesłuchań poszedł Mark Biegler. Policjanci zaprosili go do niewielkiego kantorka obok recepcji, który kiedyś służył za gabinet Franca Ferra.

– Proszę usiąść. Chyba wygodniej nam będzie rozmawiać po niemiecku – powiedział Kraft, wskazując krzesło. – Okazuje się, że mamy wspólnych znajomych. Podobno Marcel Rex z wiedeńskiej policji to pański kolega?

– Tak, znamy się. Kiedyś razem pracowaliśmy.

– Słyszałem. Także to, że pomógł pan w schwytaniu mordercy Felixa Schmidta, męża pańskiej dawnej narzeczonej, Berty Schmidt? Czy to jakiś krewny Martina Schmidta?

– Nie, to zbieżność nazwisk. Przypominam, że Felix był Austriakiem, a Martin jest Niemcem. Schmidt to bardzo popularne nazwisko. Widzę, że dobrze się pan przygotował do naszej rozmowy – bąknął Mark.

– Owszem, na tym polega moja praca. – Policjant uśmiechnął się cierpko. – Słyszałem również o pańskiej pracy w Europolu i późniejszym niezbyt fortunnym finale – odchrząknął. – Mam nadzieję, że ze względu na pańską zawodową przeszłość będziemy mogli liczyć na współpracę z panem?

– Z przyjemnością pomogę w śledztwie, ale muszę znać trochę szczegółów.

Komisarz wygiął usta w urzędowym uśmiechu i rozłożył ręce.

– Gdybym tylko mógł to zrobić, ale niestety jest pan w gronie osób, które znały ofiarę.

– Czyżby mnie pan zaklasyfikował do grona podejrzanych o zabicie Camilli Vogel?

Niemiec zrobił minę, jakby językiem wydłubywał z zębów kawałek mięsa pozostały po posiłku.

– Hmm, pana na razie do tego grona nie zaliczam. Na razie... – Przy ostatnim słowie uśmiechnął się blado. – Ale nie wiadomo, co wyjdzie w trakcie śledztwa. Czy przed przyjazdem do hotelu Stella spotkał pan kiedyś Camillę Vogel?

– Nie.

– Czy podczas pobytu w Madonna di Campiglio zawarł pan z panią Vogel bliższą znajomość?

– Pyta pan, czy zostaliśmy kochankami?

– Ależ skąd! A czy tak było? – Znowu trochę kpiący uśmiech. – Chodzi mi o charakter pańskich relacji z panią Vogel.

– Między nami nie było żadnych relacji. Zamieniłem z nią zaledwie kilka grzecznościowych słów.

– Podobno razem tańczyliście?

– Owszem, chyba raz z nią zatańczyłem. – Mark utkwiał w mężczyźnie uważne spojrzenie. – Czy

pańskie pytanie o nasze relacje było zadane na serio?

Śledczy wzruszył ramionami.

– Pani Vogel była znana z tego, że lubiła zaprzyjaźniać się z przystojnymi mężczyznami.

– Myślałem, że tak było przed jej ślubem. Sugeruje pan, że po ślubie również?

– Niczego nie sugeruję.

W tonie głosu policjanta Biegler nie wyczuł stanowczości. Czyżby Camilla miała kochanka?

– Słyszałem, że Johan von Briest był kiedyś w bardzo zażyłych relacjach z panią Vogel. Czy podczas ponownego tutaj spotkania znowu coś między nimi zaiskrzyło?

Mark parsknął śmiechem.

– Panie komisarzu, traktujmy się poważnie. Przecież pan dobrze wie, że Johan to mąż siostry mojej żony. Gdyby nawet coś między nimi zaiskrzyło, na pewno nigdy bym tego nie potwierdził.

– Nie zaprzecza pan, a więc mogło coś ich na nowo do siebie zbliżyć?

– Zaprzeczam. Stanowczo zaprzeczam. Jestem w stu procentach pewien, że między nimi nic się nie wydarzyło.

– Na razie dajmy temu spokój. – Niemiec machnął ręką. – Kto według pana mógł chcieć śmierci pani Vogel?

– Skąd mam wiedzieć?! Nie znałem tej kobiety.

– Jest pan bystrym facetem, nic dziwnego nie rzuciło się panu w oczy?

– Wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiałem, bo byłem pewien, że przyczyną jej śmierci był covid.

– Hmm, ale już od pewnego czasu pan wie, że została zamordowana. Czy nie zastanawiał się pan, kto to zrobił?

– Od takiego zastanawiania jest policja, nie ja.

– Słyszałem od krakowskich kolegów, że lubi pan się bawić w detektywa.

– Dużo pan wie na mój temat – mruknął Mark.

– Jak już mówiłem, na tym polega moja praca.

Kiedy Mark dołączył do rodziny, zalało go morze pytań.

– Jak było? O co cię pytał? Co o nim myślisz?

– Co myślę? To facet, który zna się na swojej robocie. Nie próżnował. Prześwietlił mnie dobrze.

Podejrzewam, że nie tylko mnie, prawdopodobnie zrobił to z wszystkimi. Przygotujcie się na wiele niewygodnych pytań – mówiąc to, spojrzął na Johana i Izę. – Wydaje mi się, że Camilla miała tutaj kochanka. Kraft uważa, że mógł nim być każdy mężczyzna. Nawet ja.

– Ty?! – parsknęła śmiechem Renata.

– Naprawdę sugerował, że Camilla miała tu kochanka?

– Nie sugerował, ale odniosłem wrażenie, że tak podejrzewa. Więcej, to raczej nie są podejrzenia, tylko pewność.

– Kraft podejrzewa, że zabił ją kochanek? – zastanawiała się na głos Renata.

– Tego nie powiedziałem.

– Hmm, kochanek. A więc wszyscy faceci, którzy wtedy byli w hotelu, są podejrzani jako ewentualni kochankowie – ciągnęła Renata. – Oprócz Roberta i Alfreda Linna powinno się wziąć pod uwagę również ciebie, Martin, i ojca Giulii.

– Renatko, jak wcześniej zauważyłaś, Camilla interesowała się przede wszystkim młodymi facetami, dlatego zarówno ja, jak i Franco Ferro powinniśmy być skreśleni z listy – przekomarzał się Schmidt, lekko się uśmiechając.

– Mogła zrobić wyjątek. Martin, przecież się tobą interesowała. Rozmawiała, tańczyła. A pan Ferro nadal jest niczego sobie. Gdyby był nieco wyższy, mógłby zostać umieszczony w moim osobistym almanachu przystojniaków. Jeśli kiedyś wybrała Alfreda Linna na kochanka, to innych facetów w podobnym przedziale wiekowym też może by zaakceptowała, gdyby odpowiednio się sprawowali w alkowie. Mimo że preferowała młodych...

– Przestań! – powiedziała Iza i wybiegła z pokoju.

Wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Co jej się stało? – zawołali chórem, patrząc pytająco na Johana.

– Co się tak na mnie gapicie? Skąd mogę wiedzieć? – wzruszył ramionami z podenerwowania.

Po chwili się opanował. – Pójdę zobaczyć, co z Izą.

Rozdział 16

Po obiedzie na przesłuchanie poproszono Roberta. I tym razem pytania zadawał komisarz Kraft, a nie inspektor Moretti.

– Gdzie poznał pan Camillę Vogel?

– Tutaj, w hotelu Stella.

– Wcześniej nigdy jej pan nie spotkał?

– Nie.

– Ale wiedział pan, kto to taki Camilla Vogel?

– Słyszałem, że jest szefową stacji telewizyjnej Super Star, bo umieszczaliśmy tam reklamy naszej kliniki.

– A w czasach, gdy była przyjaciółką pańskiego zięcia, nigdy nie doszło do spotkania?

– Powtarzam, nie.

– Podobno podczas pobytu w tym hotelu w lutym zaprzyjaźniliście się państwo ze sobą. Czy to trochę nie dziwne? Pańska córka musiała czuć się niezręcznie w towarzystwie byłej przyjaciółki męża.

– Po pierwsze wcale się nie zaprzyjaźniliśmy, spędziliśmy wspólnie tylko dwa wieczory. Po drugie trudno w tak małym hotelu jak Stella nie natknąć się na siebie. Moja córka i zięć są cywilizowanymi ludźmi, nie są małostkowi i nie rozgrzebują przeszłości.

– Hmm, niezbyt dobrze bym się czuł, siedząc przy stole z byłym kochankiem mojej żony. Ale może w świecie artystycznym to taka norma.

– Cóż, my teraz również musimy siedzieć przy stole z dwoma policjantami, którzy podejrzewają nas o morderstwo, i też niezbyt dobrze się z tym czujemy.

Kraft po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Nikt pana, doktorze, nie podejrzewa o zabójstwo! Pan i pańska rodzina jesteście świadkami, dlatego tu państwa zaprosiliśmy. – Zamilkł na chwilę. – Podobno córka była zazdrosna o Camillę Vogel?

– Któż panu naopowiadał takich głupstw! Córka nie miała żadnych podstaw, by być zazdrosną. Johan rozstał się z panią Vogel kilka lat temu, bo pokochał dziewczynę bardziej dla niego odpowiednią w każdym aspekcie. Camilla nigdy nie była zagrożeniem dla ich małżeństwa. Jeśli pan tak uważa, to kiepski z pana detektyw.

– Pańska córka jest piękną dziewczyną, ale... no cóż, stara miłość nie rdzewieje. Pan von Briest i Camilla Vogel bardzo się kochali, wszyscy telewidzowie o tym wiedzieli. Swego czasu byli najgorętszą parą w Niemczech.

– Proszę mnie nie rozśmieszać – parsknął Robert.

– A nie zdziwiło pana, że Camilla Vogel znalazła się w tym samym hotelu i czasie co państwo? Trochę dziwny zbieg okoliczności... Może te wczasy były wcześniej ustawione?

– Niby przez kogo? Johana i Camillę? Przecież to nonsens!

Detektyw z uśmiechem na twarzy przyglądał się Orłowskiemu.

– A czy panu, doktorze, podobała się Camilla Vogel? To była piękna kobieta. Słyszałem, że jest pan mało odporny na kobiece wdzięki. Wieści o pańskich romansach dotarły nawet do Berlina.

– Co mi pan tu imputuje? – zdenerwował się Robert. – Skąd pan czerpie tak mało wiarygodne informacje! A raczej plotki. – Orłowski zmarszczył brwi. – Chce mnie pan wyprowadzić z równowagi? To taka pańska metoda przesłuchiwanie świadków?

Chwila ciszy. Orłowski strzelał oczami pioruny, a policjant przyglądał mu się z leciutkim uśmiechem.

– Kiedy i gdzie widział pan ostatnio Camillę Vogel? – zapytał Kraft.

– Wieczorem po kolacji, na korytarzu, gdy wracaliśmy z żoną do swoich pokoiów.

– Czy rozmawialiście ze sobą?

– Żona zamieniła z nią kilka grzecznościowych słów.

– O czym?

– Nie pamiętam dokładnie, ale chyba o fryzjerce.

– Ma pan na myśli Rosę Brasi?

– Nie, pomyliło mi się. Rozmowa o fryzjerce była wcześniej, wtedy przecież ta kobieta już nie żyła – poprawił się Robert. – Chyba Camilla zapytała nas, kiedy wracamy do domu.

– Czy było widać po pani Vogel jakieś oznaki zdenerwowania? Może inaczej się zachowywała?

– Nie, nic takiego nie zauważyłem.

– Czy nie zdziwiła pana nagła śmierć pani Vogel? Jest pan lekarzem. Czy dostrzegł pan u niej wieczorem jakieś symptomy śmiertelnej choroby?

– Nie, nie dostrzegłem. Dlatego się zdziwiłem, bo nic nie wskazywało, że umrze. Ale wtedy wybuchła ta panika z covidem...

– Dziwne. Podobno jest pan dobrym lekarzem, tak jak pański przyjaciel Martin Schmidt. Dwóch znakomitych lekarzy nie zakwestionowało nagłej śmierci zdrowej dzień wcześniej kobiety?

– Po pierwsze nie widziałem ciała, a po drugie taką opinię w akcie zgonu wystawili włoscy patolodzy. Przyjęliśmy to za pewnik. Cóż, po tej ekspertyzie przeraziłem się śmiertelnością tej nowej, nieznanej nam choroby. Bałem się o bezpieczeństwo mojej rodziny.

Detektyw zapisał coś w notesie. Po chwili podniósł znad niego wzrok i ponownie spojrzał na Orłowskiego.

– Jeśli nie pan ani nie Johan, to kto według pana mógł być kochankiem Camilli?

Robert z niedowierzaniem patrzył na policjanta, a potem parsknął śmiechem.

– Pan chyba żartuje, zadając mi takie pytanie?! Skąd mam wiedzieć. Wcześniej nigdy nawet nie pomyślałem, że ona miała jakiegoś kochanka! Przecież była mężatką.

Teraz roześmiał się detektyw.

– Według pana obrączka chroni przed romansami?

– Ich staż małżeński był za krótki na znudzenie się sobą. Oprócz tego jej mąż był dużo od niej młodszy. – Robert wzruszył ramionami. – Teoretycznie powinien zadowalać ją w łóżku.

– Mówi pan: „teoretycznie”? – Policjant nawet nie starał się ukryć uśmiechu.

– No cóż, w społeczeństwie panuje przekonanie, że męska sprawność seksualna jest uzależniona od wieku. Im młodszy mężczyzna, tym bardziej powinien być jurny. Hmm, według mnie to błędna opinia. – Robert również się uśmiechnął.

– Nie wypowiadam się, bo w tej kwestii nie mam aż tak dużej wiedzy jak pan.

– Jak to? Nie wie pan, czy panu staje? – zapytał obcesowo Robert.

– Na razie nie mam z tym problemów. Ale jestem dużo młodszy od pana, doktorze. Nie wiem, jak to jest u sześćdziesięciolatków. Dajmy jednak spokój tym wywodom, bo to ani nie czas, ani nie miejsce na tego typu rozmowy. – Mruknął i przyjął oficjalny ton głosu. – Czy wiedział pan, że Alfred Linn był kiedyś narzeczonym pani Vogel?

– Tak, coś mi się obilo o uszy. Nie znam człowieka, zamieniłem z nim zaledwie kilka słów, dlatego proszę mnie o niego nie wypytywać. – Robert podniósł obie ręce do góry.

– Czy zauważył pan coś w ich relacjach, co by wskazywało na bliższą zażyłość?

– Pyta mnie pan, czy mogli ponownie sypiać ze sobą? Nie wiem. Nie interesuję się takimi sprawami w przeciwieństwie... – nie dokończył i zdanie zawisło w powietrzu, jakby w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– W przeciwieństwie do pańskiej żony. Tak chciał pan powiedzieć, prawda?

Robert zmarszczył czoło.

– Proszę mi nie wpychać do głowy pańskich słów.

Detektyw przyglądał się Orłowskiemu, drapiąc się po czole. Cmoknął i wstał z krzesła.

– Na razie panu dziękujemy. Ale prawdopodobnie jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

– Czy mam kogoś zawołać na przesłuchanie?

– Nie. Teraz jest pora na popołudniowy relaks. Przecież obiecałem państwu wakacje. – Komisarz uśmiechnął się półgębkiem.

Rozdział 17

Następne dwa dni upłynęły mieszkańcom hotelu na leżakowaniu, pływaniu w basenie i wieczornym popijaniu piwa lub drinków oraz na czekaniu na wezwanie do pokoju przesłuchań. Kraft na razie dał spokój Orłowskiemu, z ich grona wziął na przesłuchanie jedynie Martina Schmidta. Teraz uwaga komisarza skierowana była na trójkę Niemców i Włochów.

– Dlaczego Kraft nie wziął mnie na maglowanie? – mruknęła Renata do męża podczas obiadu, rzucając ukradkowe spojrzenie na detektywa. – Chciałabym mieć to z głowy.

– Malutka, najbardziej podejrzanych zostawia sobie na koniec – odparł ze złośliwym uśmiechem Robert. – Stwierdził, że ty jako największa zazdrośnica o kobietą urodę stoisz najwyżej na liście podejrzanych.

– Izy i Johana również jeszcze nie przesłuchał – mruknęła Renata. – Trochę mnie to denerwuje.

– Mnie też – odparł wyjątkowo poważnie Robert. – Nie wiadomo, co temu Kraftowi siedzi w głowie. Ale trzeba przyznać, że jest dociekliwym gliniarzem. Zrobił dokładny wywiad na temat każdego z nas. Ma wręcz poufne informacje. Zastanawiam się, skąd tyle wie.

– O, idzie Zuza. – Renata, mówiąc to, pomachała ręką dziewczynie. – Wszystko wskazuje, Martin, że zagięła na ciebie parol – mruknęła do siedzącego obok Schmidta. – Mogę się założyć, że usiądzie koło ciebie, chociaż ma bliżej wolne miejsce obok Marka. No ale jego obrączka tak mocno świeci w oczy, że odstrasza nachalne dziewoje niczym strach na wróble ptaki.

Rzeczywiście Zuzanna upodobała sobie towarzystwo Orłowskich, a najbardziej Martina. Pewnego wieczoru Martin, leżąc w łóżku w swoim pokoju, usłyszał pukanie. Myśląc, że to Robert lub Mark, wynurzył się spod kołdry i otworzył drzwi. Stała w nich Zuza Kowalska. Miała na sobie krótkie kimono, a na ustach szeroki uśmiech. W ręku trzymała butelkę wina.

– Nie mogę zasnąć, dlatego nabrałam ochoty na wino. Ma pan może korkociąg? – zapytała po polsku, bo wiedziała, że w polskim gronie zawsze rozmawiano w tym języku.

– Mam. Jest w każdym barku – odparł dość chłodno.

– U mnie nie ma, chyba musiałam go gdzieś posiać.

– Nie rozumiem – zauważył zdziwiony. – Przepraszam, ale nie znam dobrze polskich zwrotów.

– „Posiać” to potocznie „zgubić”. – Uśmiechnęła się niezrażona chłodnym powitaniem. – Pan też nie śpi?

– Już zasypiałem, ale musiałem poszukać korkociągu – odparł bez uśmiechu, wręczając jej otwieracz.

– Czy mógłby mi pan otworzyć butelkę, bo zawsze mam z tym problemy. – Znowu kokieterijny uśmiech ozdobił jej twarz.

Martin bez słowa wziął z jej rąk wino i kilkoma fachowymi ruchami szybko uporał się z korkiem.

– Proszę bardzo – powiedział, wręczając jej butelkę.

– Czy w ramach podziękowania mogę pana poczęstować kieliszkiem wina?

– Nie, dziękuję. Wino tuż przed snem nie jest dobrym pomysłem.

– A czy mogę wypić kieliszek w pańskim towarzystwie, żeby nie było, że piję sama? – Tym razem do uśmiechu dołączyła powłóczyście spojrzenie.

– Przepraszam, pani Zuzo, ale czuję się zmęczony, chciałbym już położyć się do łóżka. – Obawiając się ze strony dziewczyny jakiegoś dwuznacznego komentarza, szybko dodał: – Oczywiście sam.

Po jego słowach dziewczyna nagle się wyprostowała.

– Wypraszam sobie takie insynuacje. Nie zamierzałam spać w pańskim łóżku ani robić tam innych czynności – odparła lodowatym tonem. – Chciałam jedynie z kimś porozmawiać. Przepraszam za najście i dziękuję za fatygę.

Martin miał na końcu języka zapytać, co to znaczy „fatyga”, ale zrezygnował, żeby nie przedłużać rozmowy. Kiedy Zuza wyszła, odetchnął z ulgą.

Z początku Renata z przyjemnością przygarnęła Zuzę Kowalską do ich kręgu, ale widząc jej

narastającą nachalność, zaczęła troszkę się irytować. Dziewczyna ciągle koło nich się plątała. Nie mogli swobodnie rozmawiać, bo wciąż ich nachodziła. Jedynie w swoim apartamencie czuli pewien komfort, bo tam jeszcze nie odważyła się wtargnąć.

– Martin, dlaczego nie skorzystasz z umizgów takiej ładnej dziewczyny? – zapytał wesoło mężczyznę Robert, gdy znaleźli się w apartamencie Orłowskich. – Jest tak na ciebie napalona, że nie będziesz musiał nawet chwalić się swoim kontem bankowym, żeby zaciągnąć ją do łóżka.

– Jakos nie mam ochoty na młode dziewczyny. Robert, chyba już dorosłem – odparł wesoło Schmidt, przechylając kufel z piwem. – Już mnie nie przekonuje twoja życiowa maksyma, że uroda to największe bogactwo kobiety, a bogactwo to największy walor mężczyzny. Owszem, wiem, że różnica lat w metryce dobrze się bilansuje z odpowiednimi wartościami liczbowymi w rachunku bankowym, no i euro ma większe wzięcie niż złotówka, ale... Ale ja czekam na miłość. Na miłość dojrzałej kobiety. Kobiety takiej jak twoja żona – dodał żartobliwie.

– O, jak mi miło – odparła z uśmiechem Renata. – Martin, twoja metamorfoza uczuciowa jest godna podziwu. Zawsze byłem wrogiem związków o dużej różnicy wieku. Cieszę się, że to wreszcie zrozumiałeś.

– Martin, nie podlizuj się Renacie. Różnica wieku czasami nie przeszkadza również kobietom. Malutka, przypomnij mi, jak to było z twoją kuzynką i jej przyjacielem o szesnaście lat młodszym? – zapytał z uśmiechem Robert. – Czy ona też musiała go zachęcić odpowiednim kontem w banku?

– Nie. Ona złapała go na wciąż zgrabne czterdziestokilkuletnie nogi i biustonosz o miseczce numer cztery – odparła Renata. – Oprócz tego piętnaście lat i kilkanaście dni to nie tyle samo co trzydzieści lat.

– Właśnie dlatego nie dam się złapać na zgrabne, trzydzieści lat młodsze ode mnie nogi panny Zuzanny – orzekł Martin, pociągając następny łyk piwa. – Zresztą ostatnio doszedłem do wniosku, że status kawalera z odzysku jest dużo lepszy niż status żonatego. Już nigdy więcej nie dam się nabrać na żadne kobiece nogi. Notabene, gdzie są państwo Von?

Wszyscy w rodzinie tak teraz nazywali Izę i Johana przez nick Izę na Facebooku, ponieważ swój profil oznaczyła „Izis Von”, a jej mąż miał konto „Johan Von”.

– Nie wiem, ostatnio nas unikają.

– Nic dziwnego, że wolą towarzystwo swoje niż staruchów – powiedział Martin wesoło.

Rozdział 18

Mark Biegler skończył rozmawiać z żoną przez telefon i głośno wzdychając, odłożył komórkę. Nie widzieli się dopiero kilka dni, a już tęsknił za Martą i dziećmi. Wiedział, że jego najbliżsi zawsze mogą liczyć na pomoc Krzyśka i Wiki, mimo to wolałyby być w Polsce. Nic nie było do końca wiadome z tym koronawirusem. Chociaż latem pandemia trochę odpuściła, niepokój pozostał, tym bardziej gdy Mark się dowiedział, że jego siostra Tina ma teraz poważne powikłania pocovidowe i mimo upływu czterech miesięcy od choroby nadal nie może dojść do siebie. Martwił się jej stanem zdrowia, ponieważ covid pozostawił spustoszenie nie tylko w jej płucach, lecz także w sercu i układzie krążenia. Miała duszności i arytmie, szybko się męczyła i wciąż była słaba. Dobrze chociaż, że mieszkał z nią David. Kiedyś między Markiem a obecnym partnerem siostry doszło do poważnego konfliktu, który o mało co nie doprowadził do rozwodu Bieglerów, ale czas potrafił skutecznie zabić rany i wyczyścić z pamięci niektóre przewinienia kolegi.

Mark z głową wypełnioną myślami o Marcie i dzieciach skierował się ku schodom prowadzącym do westybuli. Zatrzymał się, słysząc gniewne głosy dochodzące zza rogu korytarza. Należały do Zuzy i Georga. Rozmawiali po niemiecku.

– Zostaw mnie! – głos Zuzy wybrzmiał gniewem. – Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

– Nie bądź idiotką, Kraft nie jest głupi, na pewno się wszystkiego domyślił. Trzeba było pozostać dawną Suzi. Ostrzegalem cię. Robiąc z siebie lalunię, dałaś ludziom temat do gadania. Przez twój wygląd skierowałaś na nas podejrzenie Krafta.

– Nie mam zamiaru ciągle grać roli brzydkiego kaczątka. Nie boję się Krafta, nic mi nie może zrobić.

– Naprawdę?

W tym momencie ucichli, bo ktoś pojawił się na schodach. Mark wycofał się do swojego pokoju. Dotychczas nie zawracał sobie głowy śledztwem ani własnymi podejrzeniami, ale teraz odezwała się w nim detektywistyczna ciekawość. Zuza i Georg byli kiedyś kochankami?! Prawdopodobnie byli nimi również w lutym. Czy nadal są? Może kokietowanie Martina to tylko przykrywką? Czy pozbycie się żony nie jest dobrym motywem do morderstwa? Ciekawe, czy Kraft o nich wie.

Odczekał chwilę i wyszedł z pokoju. Orłowscy i reszta byli w ogrodzie i raczyli się piwem. Upał już zelżał, teraz można było z przyjemnością delektować się urokiem ciepłego wieczoru, bo do południa panował niemiłosierny skwar. Oprócz grona Orłowskich nie było nikogo z Niemców, którzy większość czasu spędzali w swoich pokojach, wychodząc z nich tylko na posiłki. Georg prawdopodobnie ćpał, Linn konferował, a ciotka Camilli czytała książki i oglądała telewizję. Lena Wolf mimo upałów przez cały czas ubierała się w czerń. Błada i kościstochuda, przypominała zasuszone włoskie wdowy, jakich wiele przewijało się po ulicach Madonna di Campiglio. Musiała bardzo przeżyć śmierć siostrzenicy, bo z jej twarzy nigdy nie schodził wyraz smutku. Camilla była jej jedyną krewną. Teraz pozostał jej tylko Teo.

Na myśl o chłopcu Mark spochmurniał. Jego synek był w podobnym wieku. Biedny Teo. Wychowywanie przez starą, schorowaną i wciąż pochmurną kobietę niezbyt dobrze rzutuje na przyszłość dziecka. Zastanawiające dla Marka było to, dlaczego sąd scedował opiekę nad malcem na Lenę, a nie na ojca. Czyżby to narkotyki i alkohol zaważyły na tej decyzji?

Nikt z Niemców nigdy nie próbował zasymilować się towarzysko z Polakami. Wręcz ostentacyjnie unikali rozmów i pogaduszek. Przy stole siedzieli wpatrzeni w swoje talerze, z nikim nie rozmawiając. Lena zawsze siedziała daleko od Georga, którego traktowała niczym pariasa, rozmawiając jedynie z Alfredem. Kiedy kończył się posiłek, znikali, zaszywając się w swoich pokojach.

– Mark, nareszcie jesteś. Gdzieś ty był tak długo? – zapytała Renata. Moment później zmarszczyła brwi, wzdychając. – Uwaga, uwaga, nadchodzi Zuza.

Dziewczyna, opalona niczym indiańska squaw, narzuciła na brązowe ramiona stylonowe bolerko.

– Przyniosłam środki przeciw komarom. Kto chce? Panie doktorze, popsikać pana? – zwróciła się do Martina. Wszyscy z towarzystwa unikali z nią brudersaftu. Nawet Iza i Johan zwracali się do niej per pani, dając do zrozumienia, że nie życzą sobie żadnych poufałości.

– Nie, dziękuję. Komary mnie nie lubią – odparł Martin, ignorując jej wyciągniętą dłoń trzymającą spray.

Rozdział 19

Nazajutrz znowu wszyscy spotkali się w jadalni na śniadaniu. Coraz bardziej doskwierała im izolacja w hotelu. Mimo że mieli zapewnione dobre warunki do odpoczynku, wszystkich przytłaczała świadomość ograniczonej możliwości przemieszczania się. Mark postanowił poruszyć tę kwestię z Kraftem, gdy podchodzili do stołu.

– *Herr Polizeioberkommissar* – zwrócił się do detektywa po niemiecku – kiedy nam pan pozwoli wyjść poza obszar hotelu?

– Czy państwu tutaj naprawdę jest tak bardzo niedobrze? Na świecie panuje pandemia. Tu czujemy się bezpieczni, nie musimy rozmawiać w maseczkach ani się bać, że ktoś przyniesie nam wirusa – uśmiechnął się Kraft rozbrajająco.

– Pomimo pandemii ruch turystyczny ponownie zaczął się rozwijać. Ludzie podróżują samolotami, jeżdżą na wczasy. A my czujemy się jak w obozie jenieckim. To niezbyt dobre skojarzenia dla Polaków, gdy śledztwo prowadzi Niemiec, trzymając nas w izolacji od świata.

– Przecież pan nie jest Polakiem, tylko Austriakiem, panie Biegler.

– Czuję się Polakiem.

– Aha, dobrze wiedzieć. – Kraft przesłał mu cień uśmiechu. – Postaram się przyspieszyć śledztwo. Proszę o trochę cierpliwości.

Mark westchnął i rozejrzał się po jadalni. Zdziwiony ujrzał stojących z boku Johana i Alfreda Linna, rozmawiających ze sobą półgłosem. Po chwili podeszła do nich ciotka Camilli.

– Ho, ho, Niemcy nabrali ochoty na rozmowę ze swoim wyrodnym rodakiem, który stał się Polakiem – mruknęła Renata. – Odniosłam wrażenie, że nie chcą się z nami spoufalać. Hmm... albo odezwały się w nich antypatie narodowe.

– Malutka, ty też nie chcesz spoufalać się z niektórymi osobami – mruknął Robert do żony.

– Wcale nie. Po prostu nie chcę, żeby Zuza nachodziła nas również w pokoju, dlatego wprowadziłam pewien dystans. – Zamilkła, widząc nadchodzącą Zuzannę.

Kiedy dołączył do stołu Johan, Renata zarzuciła go pytaniami. Wiedziała, że Niemcy nie znają polskiego.

– O czym tak deliberowaliście, zięciu? – zapytała.

– O niczym konkretnym. Pytali mnie, czym się teraz zajmuję, mieszkając w Polsce.

– Dopiero teraz ich to zainteresowało? – zdziwiła się.

– Alfred Linn ma dla mnie propozycję pracy w swojej stacji.

– Przecież wie, że mieszkasz na stałe w Krakowie.

– Do Berlina nie jest aż tak daleko. Oglądał moje archiwalne programy i mu się spodobały.

– I co mu odpowiedziałeś? – zapytała niespokojnie Iza.

– Że muszę zapytać żonę o zgodę – mruknął, uśmiechając się. Nie zabrzmiało to żartobliwie, uśmiech też nie był wesoły.

– Naprawdę myślisz o powrocie do telewizji? – dopytywała Renata.

– Jeszcze nie myślę. – To też wybrzmiało trochę dziwnie.

Renata z niepokojem obserwowała córkę i zięcia. Coś między nimi się psuło. Dostrzegła to fizycznie i czuła podświadomie.

Po śniadaniu do pokoju przesłuchań poproszono Johana.

– Proszę usiąść – powiedział Kraft, wskazując na krzesło.

Moretti jak zwykle się nie odzywał, zapatrzony w leżące przed nim papiery.

Johan usiadł trochę podenerwowany i zaniepokojony dociekliwością detektywa. Przesłuchane już osoby opowiadały, że Kraft wiedział o sprawach, których nie powinien wiedzieć. Czy dogrzebał się również do sekretów Johana?

– Panie Briest – zaczął detektyw, pomijając człon nazwiska „von”. – Jakie relacje łączyły pana z Camillą Vogel?

– Ostatnio żadne.

– A przedostatnio? – zapytał. – Chyba pan nie zaprzeczy teraz temu, o czym kiedyś mówiono w całym Niemczech.

– Detektywie, jeśli wszyscy w Niemczech – powiedział to z przekąsem – wiedzą o charakterze moich dawnych relacji z Camillą Vogel, to po co pan mnie o to pyta?

– Proszę odpowiedzieć na zadane pytanie. – Głos komisarza zabrzmiał surowością. – Przypominam, że to przesłuchanie w sprawie morderstwa.

Johan westchnął zrezygnowany.

– Byliśmy kochankami.

– Jak długo?

– Czy to ważne?

– Tak, jeśli o to pytam.

– Kilka lat.

– Dokładnie ile?

– Może pięć albo sześć. Ale nie był to związek w dokładnym rozumieniu, raczej chronicznie powtarzające się epizody o charakterze seksualnym. Camilla w tym czasie oficjalnie była w związkach z innymi mężczyznami, ja byłem jedynie jej erotycznym kaprysem.

– Taak? A gdzie ta wielka miłość, o której przed kamerami rozprawiała pani Vogel? Coś się tu nie zgadza.

– Byłem pracownikiem stacji Super Star i podwładnym Camilli. Zaczynałem od najniższego szczebla jako statysta. Zależało mi na tej pracy, dlatego wypełniałem wszystkie jej polecenia, również te dotyczące statystowania w jej alkwie. Kiedy miała ochotę na seks ze mną, wzywała mnie do siebie, a ja przychodziłem.

– Kiedy to pańskie „statystowanie w alkwie” się zaczęło?

– Byłem jeszcze licealistą.

– Rozumiem, że mieliśmy do czynienia z molestowaniem nieletniego? Czy pańscy rodzice o tym wiedzieli?

– Nie – uciął krótko. Nie zamierzał prostować, że mama już nie żyła. – Nie było to molestowanie. Dla każdego młodego chłopaka pierwsze doświadczenie seksualne z tak piękną kobietą jak Camilla byłoby wyróżnieniem, a nie molestowaniem. Gdybym tego nie chciał, do niczego by nie doszło.

– Ale przestałby pan już być pracownikiem stacji Super Star, prawda?

– Możliwe.

– Bardzo jednak panu zależało na tej pracy, nieprawdaż? I dlatego pozwalał pan na ten niemoralny proceder?

– Komisarzu, zaręczam, że to nie był gwałt ani nieprzyjemny przymus. To było wyróżnienie.

– Trochę chore.

– Gdyby panu w przeszłości taka piękna i wpływowa kobieta jak Camilla zaproponowała podobny układ, gwarantuję, że inaczej by pan patrzył na te sprawy.

– Słyszałem, że w tego typu korelacjach młody człowiek bardzo angażuje się uczuciowo. Czy pana również to dotyczyło?

– Czy się w niej zakochałem? Nie. Zawsze traktowałem to jak trampolinę do sukcesu w branży medialnej.

– Hmm, co za cyniczny i zepsuty był z pana chłopak – zauważył Kraft, szyderczo się uśmiechając.

– Rzeczywiście, byłem wtedy gotów oddać skórę diabłu, dlatego stałem się żigolakiem Camilli.

– Pani Vogel chyba nie traktowała pana jak żigolaka. My, widzowie, znaleźliśmy inną wersję tej historii. Postrzegaliśmy was jako zakochanych w sobie bez pamięci. Camilla Vogel tak pięknie wyrażała się o waszej miłości. Czyżby to było jednostronne uczucie?

– Jej popisy przed kamerą miały miejsce tuż przed naszym rozstaniem, kiedy wyczuła, że się jej wymykam. Camilla Vogel nigdy nikogo nie kochała. Ona nie umiała kochać. Te jej miłosne wyznania w świetle jupiterów to była tylko gra dla uzyskania lepszej oglądalności.

– Chyba jednak nie, jeśli się zdecydowała zająć z panem w ciążę – powiedział, patrząc Johanowi

prosto w oczy.

– A więc pan już wie – westchnął Johan, przymykając powieki. – Jak się pan o tym dowiedział?

– To ja zadaję tu pytania, nie pan – mruknął policjant. – Czy płacił pan alimenty, czy nie poczuwał się do opieki nad synem? Z tego, co wiem, chwilę później ożenił się pan z Izabelą Orłowską, obecną pana żoną. Czy ona przed ślubem wiedziała, że ma pan dziecko?

– Oczywiście, że nie wiedziała! Skąd miała wiedzieć, jeśli nawet ja o tym nie wiedziałem.

– Chce pan powiedzieć, że nie wiedział pan nic o waszym dziecku?

– To nie NASZE dziecko! To dziecko Camilli! Jeszcze jeden jej kaprys! Ubzdurała sobie, że chce zabawić się w mamusię, a do tego potrzebny był plemnik. I zamiast iść do banku spermy, postanowiła skorzystać z mojego nasienia. Potraktowała mnie jak inseminatora! Zbierała moją spermę, a potem lekarka wstrzykiwała ją do jej macicy. Czyż to nie jest chore?! Gdy ją na tym przyłapałem, zerwałem z nią natychmiast. Prawdopodobnie udało jej się doprowadzić do zapłodnienia, mimo że zniszczyłem słoik z prezerwatywą pełną spermy. Nie miałem o niczym pojęcia. Byłem pewien, że to dziecko Georga, przecież byli małżeństwem.

– Kiedy się pan dowiedział, że jest pan ojcem syna Camilli? Tutaj, w hotelu?

– Nie. Dowiedziałem się w Berlinie od jej adwokata. Przeczytał mi kodycył, który spisała w Madonna di Campiglio, zmieniający jej testament.

– Mówi pan, że podczas pobytu tutaj jeszcze pan o niczym nie wiedział?

– Mówiłem już, że nie.

– Dziwne. Spotykacie się po latach PRZYPADKOWO akurat w tym małym hoteliku, gdzie diabeł mówi dobranoc, i dopiero z testamentu dowiaduje się pan, że jest ojcem jej dziecka? A najdziwniejsze jest to, że matka pańskiego syna nagle ginie w niewyjaśnionych okolicznościach. Muszę przyznać, że morderca wykazał się sprytem, wybierając akurat ten moment. Epidemia, panika, nagłe zgony. Naprawdę BARDZO dobry moment na morderstwo. I o mało co zabójcy by się udało zmylić policję – mówiąc to, detektyw patrzył wyzywająco w oczy Johana.

– Mam rozumieć, że tym sprytnym mordercą według pana jestem ja? – wycedził Johan.

– Ależ skąd – powiedział Kraft, mrużąc oczy. – Panie Briest, kiedy pan widział ostatnio Camillę Vogel?

– Tak jak wszyscy, wieczorem po kolacji, w dniu jej śmierci.

– Gdzie ją pan widział?

– W jadalni.

– Nie na korytarzu, jak Orłowscy?

– Nie, teściowie poszli wcześniej do pokoi, ja zostałem z żoną jeszcze przy barze.

– Co robiliście?

– Piliśmy drinka.

– Później już nie widział pan Camilli Vogel?

– Nie.

– Czy może to ktoś poświadczyć?

Johan wzruszył ramionami.

– Żona.

– Nikt inny?

– W naszym pokoju tylko my spaliśmy.

– Nie opuszczał pan później pokoju?

– Nie.

– A żona?

– Chyba też nie.

– Chyba?

– Na pewno nie.

Kraft przez chwilę w milczeniu przyglądał się Johanowi. Odchrząknął w pięść.

– Na razie panu dziękujemy.

Johan wstał z ociąganiem z krzesła.

- Panie komisarzu, mam prośbę. Czy mógłby pan nie mówić mojej żonie o... – zawahał się – o Teo? Ona o niczym nie wie. Chciałbym jej to pierwszy powiedzieć.
 - Tyle czasu już upłynęło, a pańska żona jeszcze nie wie, że ma pasierba? – zabrzmiało to kpiąco.
 - Jeszcze jej nie powiedziałem.
- Detektyw obserwował Johana.
- Dobrze, przesłucham pańską żonę jutro, a nie teraz, jak zamierzałem. Daję wam dużo czasu na uzgodnienie alibi – powiedział, wciąż z ironicznym uśmiechem w kącikach ust.

Rozdział 20

Johan nie skierował się nad basen, gdzie przebywała rodzina, tylko do pokoju. Z niezadowoleniem zauważył, że nie ma jego żony. Wyjął telefon.

– Izis, przyjdź do pokoju, musimy porozmawiać – rzucił.

– Czekam, czy Kraft wezwie mnie na przesłuchanie.

– Teraz tego nie zrobi. Przyjdź.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły i ujrzał w nich Izę.

– Co się stało? Dlaczego nie przyszedłeś nad basen? – zapytała. – Wszyscy są ciekawi twoich relacji.

– Wcześniej muszę się z tobą nimi podzielić. Bez świadków.

Iza zbladła, na twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

– Co się stało? – zapytała głucho.

Johan spojrzał na nią spod spuszczonej głowy i westchnął.

– Nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

– Mów wreszcie.

– Syn Camilli ma moje geny.

– Co? Nie rozumiem.

– To nie Georg jest jego biologicznym ojcem.

Oczy Izy zabłyśły gniewem.

– Nie potrafisz nawet powiedzieć po ludzku, że to ty zrobiłeś jej dziecko, tak? Tylko mi pieprzysz o genach!

– Nie zrobiłem jej dziecka, to ona zrobiła je sobie sama, posiłkując się moim nasieniem. Ta pokręcona harpia zbierała moją spermę! Zapragnęła dziecka niczym nowej zabawki i postanowiła użyć do tego moich plemników! Znalazłem w jej łazience pojemnik ze zużytą prezerwatywą. Wyrzuciłem ją, ale ten babon, nie wiem jakim cudem, dopiął swego i zaszła w ciążę.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Gdy byłem w Berlinie – powiedział cicho, spuszczać głowę.

– Co takiego?! I dopiero teraz raczyłeś mi o tym powiedzieć? – Patrzyła na niego badawczo. – A może sama Camilla ci o tym powiedziała? Umówiłeś się z nią w tym hotelu! – zawołała oskarżycielsko. – Nie bez powodu przyjechała do tej dziury, bo wiedziała, że tu będziesz. Od początku wydawało mi się podejrzane to nieoczekiwane spotkanie. Powiedz prawdę, spotykałeś się z nią już wcześniej w Berlinie, wtedy, gdy jeździłeś tam sam? Cały czas się z nią pieprzyłeś za moimi plecami – ostanie słowa wręcz wyszczała.

– To ty przestań pieprzyć! Nie miałem pojęcia, że ją tu zastaniemy. Całkiem już zapomniałem, że ktoś taki jak Camilla Vogel istnieje na tym świecie! Dowiedziałem się o Teo dopiero w Berlinie, od adwokata Camilli. Tutaj nigdy z nią nie rozmawiałem o jej synu.

– Kłamiesz. Wiem, że kłamiesz – powiedziała cicho.

– Nie kłamię, Izis. Nie miałem o niczym pojęcia. Dokąd idziesz? Musimy uzgodnić pewne sprawy – zawołał, widząc ją w drzwiach.

– Chcę być jak najdalej od ciebie – wyszczała.

Aż do pory obiadowej Johan nie wychodził z pokoju. Bał się spotkania z rodziną Izy. Nie chciał widzieć wścibskiej miny teściowej i oskarżającego spojrzenia teścia. Orłowski będzie miał satysfakcję, że ostrzegął córkę przed małżeństwem. Johan von Briest nigdy mu nie pasował na zięcia.

Z niechęcią poszedł do jadalni. Wszyscy siedzieli już za stołem oprócz Izy.

– Gdzie jest Iza? – zapytała Renata.

– Nie wiem.

Dziewczyna zjawiła się, gdy zjedli już zupę. Usiadła bez słowa obok Johana i nałożyła na talerz duszony filec z łososia i surówkę.

– Nie zjesz zupy pomidorowej? – zapytała Renata. – Bardzo dobra, gotowana specjalnie pod nas,

Polaków, jak powiedział pan Franco. Zrobisz mu przykrość.

– Nie mam ochoty, w ogóle nie jestem głodna.

Jedli w milczeniu. Jedyne Kraft rozmawiał po angielsku z Morettim o meczu piłki nożnej.

Johan dołączył do towarzystwa dopiero po kolacji, tłumacząc się pracą zdalną. Orłowscy z Bieglerem i Schmidtem popijali piwo i zaśmiewali się z dowcipów Roberta. Iza siedziała osowiała na boku, sprawiając wrażenie nieobecnej. Pierwsza oczywiście zaczęła Renata.

– Może wreszcie powiecie nam, o co chodzi? Johan, co ci zrobił Kraft, że oboje z Izą macie wisielczy humor? Słuchamy.

– No powiedz im! – wybuchnęła Iza. Widząc milczenie męża, skrzywiła się ironicznie. – A więc dobrze, to ja im powiem. Teo jest synem Johana.

Wszystkich zamurowało. Nagle zrobiło się cicho, nawet cykady przestały hałasować. Po chwili odchrząknął Robert.

– Czy to prawda? Od kiedy o tym wiedziałeś? – zapytał chłodno. – Gdy żeniłeś się z Izą, wiedziałeś, że masz dziecko?

– Kurwa, nie poczuwam się do żadnego ojcostwa! Ten mały to syn Camilli. To jej zachcianka!

Na twarzy Roberta pojawił się grymas obrzydzenia i pogardy.

– TEN MAŁY to jest dziecko, nie żadna zachcianka. W wieku trzech lat został sierotą. Trochę empatii, jeśli cię nie stać na inne uczucia – powiedział lodowato Orłowski.

– Wybacz, drogi teściu, że nie żywię żadnych ciepłych uczuć do obcego dziecka, o którego istnieniu dowiedziałem się pół roku temu, a miesiąc temu o tym, że ma w sobie moje geny. Nic więcej, tylko geny. Już mówiłem mojej żonie, w jaki sposób to się stało. Niech ona was wprowadzi w tajniki jego poczęcia – powiedział gniewnie, podnosząc się z ratanowego fotela. – Przepraszam, ale muszę jeszcze dziś napisać kilka maili.

Tę noc Iza spędziła w apartamencie rodziców. Johan długo nie mógł zasnąć. Nie była to jego pierwsza nieprzespana noc. Problemy z zaśnięciem pojawiły się wraz z testamentem Camilli. Celowo dotąd wstrzymywał się z poinformowaniem Izy o zaistniałej sytuacji, bo przewidywał jej reakcję. I się nie mylił. Chciał opóźnić ten moment – końca ich małżeństwa. Od kilku miesięcy ich związek przechodził poważny kryzys, a dzisiejszy dzień był gwoździem do trumny. Nie miał ochoty walczyć o inny finał. Czuł tylko obojętność i coraz większe znużenie. Wszystko zaczęło się psuć tutaj, w Madonna di Campiglio. To tu pojawiły się pierwsze symptomy niezrozumienia, obojętności i oziębłości w łóżku. Upiływające miesiące coraz bardziej pogłębiały te rysy, aż z drobnych pęknięć zrobiła się przepaść. Dziś dodatkowo pojawiła się niechęć, a nawet wrogość. Jutro pojawi się nienawiść.

Nie czuł się winny. To Iza wprowadziła w ich małżeństwo wirusa zazdrości, oschłości i obojętności. To ona prowokowała drobne sprzeczki i poważniejsze kłótnie. To ona miała muchy w nosie i to ona unikała kontaktów erotycznych.

Nie poczuwał się do winy również w kwestii dziecka Camilli. Nadal nie potrafił użyć słów „ojciec” i „ojcostwo” w kontekście swojej osoby. Nie odczuwał również żadnej odpowiedzialności za syna Camilli. To było JEJ dziecko. Tylko jej, nie jego. Do pewnego czasu ONA również tak uważała. Ten testament to prawdopodobnie była jej zemsta za to, że ją porzucił.

Musi porozmawiać z Georgiem. Musi przekonać go, żeby skończył z narkotykami i alkoholem i przejął opiekę nad chłopcem. To przecież jego Teo uważał za ojca.

Rozdział 21

Iza niepewnie usiadła na krześle naprzeciwko komisarza Krafta. Obok niego siedział Moretti zapatrzony w ekran laptopa i coś pisał. Dziewczyna z trudem wytrzymała uważne spojrzenie detektywa. Nerwowo się poruszyła, obciągając na udach krótką plażową spódniczkę.

– *Herr Polizeioberkommissar*, słucham pana – odparła perfekcyjną niemiecczyzną z lekkim austriackim akcentem.

– Mówi pani dobrze po niemiecku – pochwalił Kraft. – Cieszę się, że nie musimy rozmawiać w języku angielskim. Chyba nie jestem zbyt biegły, bo pani nie zrozumiała, gdy prosiłem o nieopuszczanie terenu hotelu? – Uśmiechnął się rozbajajaco. – Może moje polecenia w języku niemieckim będą bardziej precyzyjne.

– Nie wiedziałam, że jesteście internowani. – Nastroszyła się i wyprostowała plecy, zmieniając pozycję na krześle. – We Włoszech już nie obowiązuje zakaz przemieszczania.

– Prosiłem o nieopuszczanie hotelu ze względu na nasze bezpieczeństwo i wygodę. Lepiej się rozmawia bez masek na twarzy, nieprawdaż?

– Dusiałam się tutaj, musiałam trochę pospacerować, jest przecież lato.

– Nie przyjechaliśmy tutaj, żeby spacerować. Zebraliśmy się tu w innym celu.

– Ale przyjechaliśmy dobrowolnie, a odnosimy wrażenie, że jesteście tu przetrzymywani siłą. Pańskie flegmatyczne działania wskazują na to, że panu nie zależy na szybkim zakończeniu sprawy. Dlaczego przesłuchania trwają tak długo? Można by to zrobić w ciągu dwóch dni.

– Cóż, my, Niemcy, jesteśmy znani z dokładności. Wolimy wypełniać swoje obowiązki niespiesznie, ale dobrze. Czy pani kiedyś była pracownikiem policji śledczej, żeby dawać wskazówki, jak mamy pracować? Nie? A więc proszę tego nie robić. – Odchrząknął. – Nasza rozmowa, chociaż jest nagrywana, będzie trochę odbiegać od rutynowego formatu. Uważam, że swoboda pytań i odpowiedzi lepiej wpłynie na naszą współpracę i zaowocuje dobrymi rezultatami. Bo przecież nam wszystkim zależy na szybkim rozwiązaniu sprawy, prawda?

– Trochę to dziwne i nietypowe, że niemiecka policja, znana z surowego przestrzegania protokołu i dyscypliny w szerokim tego słowa znaczeniu, stosuje nieformalne metody śledztwa – bąknęła Iza.

– Wolę być Herkulesem Poirot niż komisarzem Maigret. – Znowu uśmiech. Po spisaniu danych osobowych detektyw przystąpił do zadawania pytań: – Kiedy poznała pani Camillę Vogel?

– Kilka lat temu, w mieszkaniu mojego obecnego męża.

– Proszę opisać to spotkanie.

– Zatrzymałam się wtedy w mieszkaniu Johana, a Camilla właśnie wróciła z Kuby. Gdy się dowiedziała, że mieszka u niego dziewczyna, natychmiast przyjechała, żeby mnie stamtąd przepędzić – powiedziała monotonnym tonem. – I dopięła swego. Johan wybrał pracę w jej stacji. I w jej łóżku. A nie mnie.

– Wiedziała pani, że ich relacje oprócz zawodowych mają również charakter erotyczny?

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam, ale szybko się o tym przekonałam.

– I co pani zrobiła?

– Wróciłam do Polski. A Johan dostał stały program autorski na kanale Super Star.

– Jak to się stało, że została pani jego żoną?

– No cóż, nauczył się dla mnie języka polskiego, zdał polską maturę, zatrudnił się na mojej uczelni i stał się Polakiem – powiedziała i nieoczekiwanie głos jej się załamał, a w oczach pojawiły się łzy. Zamrugnęła szybko powiekami, żeby je przepędzić.

– Jak długo jesteście małżeństwem?

– Czy to ważne?

– Rzeczywiście, nieważne. Kiedy ponownie spotkała pani panią Vogel?

– Tutaj, w lutym tego roku.

– Nie było innych spotkań? Na przykład w Berlinie?

– Nie.

- A czy pani mąż spotykał się z panią Vogel?
- Skąd mam wiedzieć, proszę jego o to zapytać – zdenerwowała się Iza.
- Proszę pomyśleć, czy coś wskazywało, że utrzymują kontakt?
- Nie, nic takiego nie zauważyłam.
- Jak zareagował mąż na widok Camilli Vogel w hotelu, w którym spędzaliście urlop?
- Nijak. Zdziwił się, że świat jest taki mały.
- A jak pani zareagowała?
- A jak miałam zareagować? – Wzruszyła ramionami. – Też się zdziwiłam.
- Tylko tyle?
- Nie rzuciłam się na nią z pazurami, jeśli to pan sugeruje. Oczywiście nie poczułam do niej nagłego przyływu sympatii, ale nie okazywałyśmy sobie wrogości. Camilla nawet mnie przeprosiła za swoje wcześniejsze zachowanie. W każdym razie obie nasze rodziny, jej i moja, spędziły wspólnie dwa wieczory, a ja i ona zachowywałyśmy się bardzo poprawnie. Nie doszło do żadnych rękoczynów, żadna z nas nie podrapała drugiej ani nie wyrwała jej włosów – podsumowała ironicznie.
- Nie poczuła pani zazdrości?
- Niby dlaczego? – prychnęła. – Camilla nigdy nie była dla mnie zagrożeniem. Jeśli nawet Johan kiedyś coś do niej czuł, to dawno mu to minęło.
- O czym panie ze sobą rozmawiały?
- W ogóle ze sobą nie rozmawiałyśmy, byłyśmy tylko w tym samym towarzystwie. Ona rozmawiała z moimi rodzicami i wujkiem Martinem.
- A z pani mężem?
- Nie wiem, nie zwróciłam uwagi.
- Podobno razem tańczyli?
- Taak? Możliwe, że wtedy, gdy ja tańczyłam z kimś innym.
- Czy poza tymi dwoma wieczorami rozmawiały panie ze sobą? Na przykład na korytarzu albo w jadalni?
- Nie.
- Kiedy widziała pani ostatnio Camillę?
- Tak jak wszyscy, na kolacji dzień przed jej śmiercią.
- Co pani robiła tamtego wieczoru?
- Nic. Razem z Johanem oglądaliśmy telewizję, a potem poszliśmy spać.
- Czy tego wieczoru opuszczała pani pokój?
- Nie.
- A mąż?
- Też nie. Już mówiłam, że razem byliśmy w pokoju.
- Hmm, tak? Chyba ktoś się pomylił, widząc pani męża na korytarzu, a panią wychodzącą z pokoju – mruknął. – Ale to na razie nieważne. To chyba tyle na dzisiaj. Aha, kiedy się pani dowiedziała, że pani mąż jest ojcem syna Camilli Vogel?
- Wczoraj. Powiedział mi po wyjściu od pana.

Rozdział 22

Tylko Renata Orłowska nie była jeszcze przesłuchiwana, inne osoby Kraft wzywał nawet wielokrotnie. Coraz bardziej niepokoiło to Renatę, z czego lubił żartować jej mąż.

– Malutka, nie denerwuj się tak bardzo. Pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na mnie i na rodzinę. Gdybyś nawet karę odsiadywała w Niemczech, to obiecuję odwiedzać cię raz w tygodniu. Postaram się również, żeby nigdy nie zabrakło ci kosmetyków. Niestety nie wiem, czy pozwoli ci chodzić w sukienkach, będziesz musiała uruchomić produkcję seksownych uniformów więziennych.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – burknęła Orłowska. – Po prostu chciałabym mieć to z głowy. Ten Kraft potrafi wyprowadzić ludzi z równowagi, wystarczy popatrzeć na Izę i Johana – zniżyła głos. – Według mnie mordercą jest Georg. Źle mu z oczu patrzy. Małżonkowie zawsze są na samej górze listy podejrzanych. Najwięcej sprawców jest właśnie wśród najbliższej rodziny. Ciotka Camilli nie wygląda mi na morderczynię, a więc pozostaje mąż. Może się dowiedział, że nie jest ojcem Teo, i wpadł w szal, a potem w amoku ją udusił? Kraft chyba myśli podobnie, bo kilka razy go przesłuchiwał. I Zużę. Ale ona chyba nie mogłaby nikogo zabić, nawet tak wrednej szefowej jak Camilla.

– Może zabiła nie szefową, tylko żonę swojego kochanka? – bąknął Mark, pociągając łyk wody mineralnej.

– Czy ja wiem? Już bardziej mi pasuje wersja, że zrobili to we dwojkę. Na przykład żeby się uwolnić od Camilli albo zdobyć jej majątek. *A propos* Zuzy – kontynuowała Renata – widzę, Martin, że wypadłeś już z łask powabnej Zuzanny, już cię nie adoruje. Dlaczego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Cóż, dałem jej do zrozumienia, że jestem bankrutem. A to odstrasza kobiety. – Mówiąc to, przesłał jej szelmowski uśmiech.

– Proszę nie uogólniać. Ja bym się w tobie zakochała, gdybyś miał na koncie nawet debet.

– Słyszysz, Robert, uważaj. Twoja żona leci na mnie.

– Może dlatego, że mieszkasz w Berlinie. Stamtąd bliżej do jej ewentualnego zakładu penitencjarnego. Liczy na to, że będziesz ją często odwiedzał.

– Robert, twoje poczucie humoru bardzo obniżyło loty – powiedziała Renata, zerkając na Zużę pomagającą Giulii i Lorenzowi przynosić na stół półmiski z sałatką i wędliną.

Renata wreszcie się doczekała przesłuchania. Zaraz po śniadaniu Kraft poprosił ją do pokoju. Był sam, Moretti gdzieś zniknął.

– Pani Orłowska, nareszcie będziemy mieli okazję porozmawiać – powiedział czystą polszczyzną bez śladu akcentu, uśmiechając się do kobiety. – Przepraszam, że tak długo pani na to czekała.

Orłowska najpierw otworzyła oczy szeroko ze zdziwienia, a potem zmarszczyła brwi z niezadowolenia.

– Panie komisarzu, jest pan oszustem – wycodziła. Zaraz jednak się zreflektowała, że to policjant, dlatego złagodziła słowa bladym uśmiechem. – Wprowadził nas pan w błąd, udając, że nie zna polskiego i podsłuchując nas bezkarnie przy stole.

– Nigdy nie powiedziałem, że nie znam polskiego. Zebrane tu towarzystwo jest międzynarodowe, jedynym językiem, który wszyscy znają, jest angielski. Teraz, kiedy nie ma innych świadków, mogę zrobić wyjątek i rozmawiać w pani ojczystym języku, ponieważ zauważyłem, że pani najwygodniej jest się nim posługiwać.

– To nie w porządku, że pan to przed nami ukrywał. Mam wrażenie, że byliśmy inwigilowani.

– I ma pani rację – powiedział z łobuzerskim uśmiechem. – Przecież moim zadaniem jest znaleźć sprawcę.

– Wydaje mi się, że podobne postępowanie policji jest trochę bezprawne. Tym bardziej się dziwię, że to niemiecka policja stosuje takie metody.

– Pani Orłowska, pracuję w Bundeskriminalamt. Jest to organ egzekwujący prawo w trochę innym zakresie niż typowe działania policji, dlatego nasze metody również nie są typowe. Dla nas liczy się przede wszystkim skuteczność. Powierzono mi to zadanie właśnie ze względu na znajomość języka

polskiego i trochę włoskiego. Dla wyjaśnienia – moja mama jest Polką. Chociaż urodziłem się w Niemczech, mama mówiła do mnie po polsku, co potem okazało się bardzo przydatne. Chyba podobnie jest z Markiem Bieglerem, prawda? – Odchrząknął w pięść. – Ale wracajmy do sprawy, bo czeka na panią piękne włoskie słońce i orzeźwiająca woda w basenie. W jakich okolicznościach poznała pani Camillę Vogel? Ta kobieta podobno nie była skłonna do zawierania przypadkowych znajomości?

– Na spacerze zagadałam do Zuzanny Kowalskiej, gdy usłyszałam, że zwracała się do Tea po polsku. Wieczorem Teo zaczął mnie w jadalni. Camilla przedstawiła się nam, a potem zaprosiła do swojego stolika. Ale o tym pan prawdopodobnie już wie od Zuzy Kowalskiej, prawda?

– Chciałem usłyszeć to od pani. Czy nie przeszkadzało państwu, że panią Vogel i waszego zięcia łączyła wcześniej intymna zażyłość? Córka chyba musiała czuć się mało komfortowo w towarzystwie ekskochanki męża?

– Nie przesadzajmy, to było dawno temu. Camilla nigdy nie była zagrożeniem dla małżeństwa mojej córki. Zresztą sama była już w innym związku.

– Hmm, mówi pani, że Camilla nie była zagrożeniem, ale odnoszę wrażenie, że stała się nim teraz, po śmierci. Zauważyłem, że w małżeństwie córki pojawiły się problemy.

– Tylko tak się panu wydaje. Między córką a zięciem doszło do drobnych niesnasek, ale gwarantuję panu, że są niegroźne.

– Co jest powodem tych niesnasek?

– Przecież dobrze pan wie. Teo.

– Hmm, a mnie się wydawało, że od początku pobytu państwa Bristów w hotelu coś między nimi nie grało... Kiedy się pani dowiedziała, że pani zięć jest ojcem Tea?

– Gdy przesłuchał pan Johana. Dopiero wtedy zięć nam o wszystkim powiedział.

– A kiedy córka się o tym dowiedziała?

– Tuż po wizycie Johana w tym pokoju.

– Naprawdę? – Zawiesił na niej wzrok. – Dlaczego wcześniej jej tego nie powiedział?

– Panie komisarzu, skąd mam wiedzieć. Trzeba zapytać o to mojego zięcia.

– Kiedy widziała pani ostatnio Camillę Vogel?

– Mąż panu już mówił. Po kolacji. Spotkałyśmy się na korytarzu. Nasze pokoje znajdowały się na tym samym piętrze. Przecież pan to już wszystko wie.

– Czy potem opuszczała pani apartament?

– Nie.

– A mąż?

– Też nie. Musieliśmy opiekować się wnukami.

Kraft oparł głowę o rękę zgiętą w łokciu i zrobił minę, jakby nad czymś rozmyślał.

– Jakie wrażenie wywarła na pani Camilla Vogel?

– Myślałam, że jest mniej sympatyczna. Z opowieści inaczej ją sobie wyobrażałam, a okazała się miłą i dość przystępną kobietą.

– Z jakich opowieści? Któż tyle o niej opowiadał?

Orłowska trochę się zmieszała.

– Nie wiem, chyba córka.

– Kiedy córka o niej pani opowiadała?

– Nie pamiętam. Chyba po jej powrocie z Berlina, gdy musiała opuścić mieszkanie Johana.

– Po takim policzku córka chyba musiała nienawidzić Camillę?

– Nie przepadała za nią, ale nie nienawidziła. Jeśli pan podejrzewa, że to Iza zabiła Camillę, to naprawdę zmienię pochlebne zdanie o niemieckiej policji.

– Ależ skąd! Na razie nikogo nie podejrzewam.

Rozdział 23

Johan siedział w fotelu i gapił się bezmyślnie w telewizor. Kodycyl zostawiony przez Camille wywrócił do góry nogami całe jego życie. Spisała go u notariusza w Madonna di Campiglio dzień przed śmiercią, jakby przewidziała, co się później stanie. Dlaczego to zrobiła? Czyżby sądziła, że zagrażało jej jakieś niebezpieczeństwo? Czy dlatego chciała zabezpieczyć syna? Przed Georgiem?

Wciąż krążyła mu po głowie jedna myśl: gdyby w tamtą feralną noc podjął inną decyzję, czy Camilla nadal by żyła? Czy mógł zapobiec jej śmierci? Czy był odpowiedzialny za to, co się potem wydarzyło? Nie, nie może tak myśleć, bo oszaleje. Nigdy nie kochał tej kobiety, nigdy nie była mu bliska, czasami nawet ją nienawidził. Owszem, chciał się jej pozbyć ze swojego życia, ale nie z tego świata...

Musi coś zrobić. Musi uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. Musi wyjaśnić: DLACZEGO.

Wstał i wyjął z walizki dokumenty otrzymane w Berlinie od adwokata. Odczytał nazwisko i adres notariusza mieszkającego w tym miasteczku. Powinien z nim porozmawiać, on na pewno wie, dlaczego to zrobiła. Zszedł na dół do części administracyjnej hotelu. Zauważył Lorenza piszącego coś na laptopie i poprosił go o zamówienie taksówki.

– Komisarz Kraft zabronił państwu opuszczać obiekt – mruknął mężczyzna.

– Jesteśmy w hotelu, nie w więzieniu. Czy to daleko stąd? – zapytał, podsuwając Lorenzowi karteczkę z adresem biura notarialnego.

– Niedaleko. Nie ma sensu zamawiać taksówki.

– Nie chcę błędzić, proszę wezwać taksi.

Nie zważając ani na polecenia Krafta, ani sugestie Lorenza, Johan wymknął się z hotelu. Przed budynkiem już czekał na niego taksówkarz.

Biuro znajdowało się na parterze prywatnego domu notariusza. Prawnik był niepozornym mężczyzną w średnim wieku, ale dobrze znającym język angielski.

– Camilla Vogel? Oczywiście, że pamiętam. Piękna kobieta – powiedział, kiedy Johan wyłuszczył mu powód swojej wizyty. – Słyszałem o jej śmierci. Wszyscy się tu znamy. Przyszła do mnie bez zapowiedzi, akurat wróciłem z Trydentu, gdzie pracuję. Chciała dopisać kodycyl do swojego testamentu.

– Czy mówiła panu, dlaczego to zrobiła? Jestem tym Johanem von Briestem z kodycylu, to mnie w nim umieściła.

– Od razu skojarzyłem, gdy się pan przedstawił. Nieczęsto mam takie sprawy i zagranicznych klientów. Nie wiedziałem, że pani Vogel to znana postać w Niemczech, dopiero później się o tym dowiedziałem. Sławna i bogata. I taka piękna. Jaka szkoda, że nie żyje. Mam sentyment do pięknych kobiet. Dlatego wybaczyłem jej obcesowość. – Machnął ręką. – Pięknym kobietom dużo się wybacza...

– Dlaczego tak nieoczekiwanie zmieniła testament? – przerwał Johan notariuszowi. – Czy czegoś się obawiała? Może groziło jej niebezpieczeństwo?

– Ależ skąd! Była trochę poruszona śmiercią swojej fryzjerki. Znałem Rosę Brasi, szkoda kobiety. Okropny ten koronawirus, tylu ludzi pozabijał. Mój kuzyn i dwóch przyjaciół przez niego zmarło. Teraz mamy spokój, ale boimy się, żeby to się nie powtórzyło jesienią i zimą. Takie straty w gospodarce. Turystów coraz mniej...

– Co dokładnie Camilla panu powiedziała? – Johan znowu przerwał rozgadanemu Włochowi. – Może jednak czegoś się obawiała? Albo kogoś? Nic nie mówiła o swoim mężu?

– Wyczułem, że była na niego zła. Zdziwiłem się, bo w zapisie zmieniło się tylko nazwisko, w miejsce męża dopisała pana. Inne dane pozostały niezmiennione.

– Czy dobrze rozumiem, że pieniądze i udziały miały przypaść Georgowi Sewerowi?

– Tak. Dodała również zapis, że ojcem jej syna jest Johan von Briest. Potem potwierdziłem jej umowę z Alfredem Linnem dotyczącą fuzji... To zresztą nieistotne.

– On też tu był u pana?

– Tak. Ale o to proszę mnie nie pytać. To są sprawy poufne klientów.

– Wspominał pan, że Camilla była zła na męża. Mówiła dlaczego?

– Nie. A ja nie dopytywałem.
– Nie wyczuł pan, czy zmiany w testamencie spowodowane były strachem?
– Na to pytanie nie mogę dać panu rzetelnej odpowiedzi. Jestem tylko notariuszem, nie interesują mnie powody kierujące klientem, tylko zaistniały stan. Potwierdzam jedynie zgodność podpisu na dokumencie.

– To nie pan spisywał zmiany w testamencie?
– Nie, wszystko było już przygotowane przez ich prawnika. Takie rzeczy załatwia się teraz mailowo.

Johan zamyślił się na chwilę.

– A jakie relacje mieli Camilla Vogel i Alfred Linn?
– Nie rozumiem?
– Czy w ich zachowaniu zauważył pan coś dziwnego? Jak byli do siebie nastawieni? Przyjaźnie czy wrogo?

– Normalnie. Jak dwoje ludzi biznesu podpisujących umowę. Jak już mówiłem, wszystkie uzgodnienia zawarli między sobą wcześniej, ja tylko potwierdziłem ich podpisy.

Po wyjściu od notariusza Johan zrobił sobie mały spacer po miasteczku. Przyjezdni w maseczkach na twarzach leniwie snuli się ulicami, co chwila zaglądając do sklepów i restauracji. Johan przemierzył wzdłuż i wszerz centrum miejscowości, co nie trwało zbyt długo, po czym skierował się ku hotelowi. Z daleka zauważył postać komisarza stojącego w oknie biura, ale szybko odwrócił wzrok i ruszył schodami na piętro. Wszedł do pokoju i rzucił się na łóżko. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Jego myśli znowu powędrowały do Georga. Z tego, co mówił notariusz, Camilla nie objawiała wobec męża strachu, czuła jedynie złość. Dlaczego tak nagle zmieniła zapis w testamencie? Czy wiedział o tym Georg? Może dowiedziała się o jego romansie z Zużą i dlatego on w obawie przed wykluczeniem go z testamentu zabił Camillę? Prawdopodobnie nie wiedział o jej wizycie u notariusza, bo ktośby w czasie urlopu zmieniał testament. A może wiedział? I zabił ją w afekcie? Jeśli zabił, czy zrobił to sam, czy wspólnie z kochanką? Pytania objęły się o kości Johanowej czaszki niczym piłka o ściany podczas meczu squasha.

Iza weszła do pokoju. Johan nadal leżał na łóżku i udawał, że ogląda telewizję. Wyjęła z szafy świeżą bluzkę i szorty, a potem poszła do łazienki, żeby się przebrać.

– Możesz to zrobić tutaj, nie będę cię podglądał – mruknął, nie odwracając wzroku od ekranu telewizora.

Dziewczyna zniknęła w łazience. Wyszła z niej po jakimś czasie odświeżona prysznicem, w nowym ubraniu i ze świeżym makijażem.

– Izis, powiedz, o co ci chodzi – rzucił, chwytając ją za rękę.
– Puść mnie – warknęła, gwałtownie mu się wrywając.
– O co jesteś na mnie wściekła? – Puścił jej rękę. – Nie miałem pojęcia o istnieniu tego dzieciaka. Prawdopodobnie nigdy bym się o nim nie dowiedział, gdyby nie jej śmierć.

– Nie wierzę ci, cały czas mnie okłamujesz. Dlaczego dopiero teraz, gdy Kraft wszystko odkrył, raczyłeś mi o tym powiedzieć? Uważasz, że to w porządku?

– Wiedziałem, jak zareagujesz, dlatego ociągałem się z powiedzeniem ci o chłopcu.

– Ten chłopiec ma na imię Teo i jest twoim synem. Twoim i Camilli Vogel.

– Dla mnie to całkiem obcy dzieciak! Wiem, że to podłe, ale nic do niego nie czuję oprócz złości, że przez niego znalazłem się w niezręcznej sytuacji.

– Ładnie to nazwałeś: „niezręczna sytuacja” – przedrzeźniła go, sarkastycznie się uśmiechając. A potem zapytała: – Co było w tym kodycylu?

Przymknął oczy i westchnął.

– Że Teo Vogel jest moim synem. Na potwierdzenie słów dołączyła kilka włosów małego, żebym zrobił test, jeśli nie wierzę. Zrobiłem... Zgadza się. Zrobię jeszcze jeden, żeby nie mieć żadnych wątpliwości. Pobiorę od niego bardziej wiarygodny materiał genetyczny.

– Jesteś żalony – parsknęła.

– Wiem, ale chcę mieć pewność, bo nigdy nie miałem zaufania do tej kobiety. Po niej wszystkiego

można się spodziewać.

– Co masz zamiar teraz zrobić?

– Nie wiem... Lena Wolf żąda ode mnie, żebym się zajął małym, bo to życzenie Camilli. Zostawiła w tym celu trzy miliony euro i fundusz powierniczy, którym chłopiec będzie mógł dysponować po ukończeniu dwudziestu pięciu lat. Przekazała mi również udziały w nowo utworzonej spółce z Alfredem Linnem. Ale ja mam w dupie jej pieniądze i udziały! Nie chcę tego, ale Lena jest stara i ma raka, który nie rokuje za dobrze.

Iza nadal milczała, ale nawet na moment nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

– Hmm, według mnie Kraft od początku podejrzewa Georga i Suzi – ciągnął Johan. – Mieli najlepszy motyw. Camilla w testamencie najpierw wyznaczyła na opiekuna Georga, zmiany dokonała dzień przed śmiercią. Georg mógł nie wiedzieć o kodycyлу. Miał dostać to, co Camilla przepisała na mnie. Prawdopodobnie Lena też go podejrzewa, dlatego jest do niego i Zuzy wrogo nastawiona, no i z tego powodu ją odprawiła.

– Skąd to wiesz?

Nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Iza rzuciła mu lodowate spojrzenie.

– Rób, co ci się żywnie podoba, ale pamiętaj, że nie mam zamiaru niańczyć twojego bachora – warknęła, trzaskając drzwiami.

Rozdział 24

Następne śniadanie nie odbiegało od rutyny codzienności, natomiast obiad naruszył schemat dnia. Właśnie kończyli jeść pieczeń wołową w sosie beszamelowym, gdy w drzwiach jadalni pojawiła się młoda kobieta w maseczce na twarzy i z rączką Tea w swojej dłoni. Podeszła do Leny Wolf i powiedziała coś do niej po niemiecku. Chłopczyk wyrwał rękę i popędził do Zuzy.

– Suzi! – zawołał, rzucając się jej w ramiona. – Nie mam ząbka! *Die Zahnfee* o mnie zapomniała i nie przyniosła mi pieniązka – powiedział żałośnie po polsku. – *Mami* poszła do nieba, ciebie też nie ma. Ja tak nie chcę! – Bródka zaczęła mu się trząść, a z oczu popłynęły łzy. – Ja chcę, żebyś ty ze mną mieszkała!

Zuzanna, zaskoczona nieoczekiwanym pojawieniem się chłopca, wreszcie doszła do siebie.

– Teo, co tu robisz? Jak ty urosłeś! Taki duży chłopiec nie powinien płakać – powiedziała, całując go w policzek. Wyjęła serwetkę i starła łzy z jego twarzyczki.

Zachowanie chłopca wstrząsnęło wszystkimi przy stole. Nie pobiegł do ciotki ani do mężczyzny, który przez trzy lata był jego ojcem, tylko do niani. Renata, patrząc na malca tulącego się do opiekunki, poczuła skurcz w sercu. Biedny bogaty dzieciak – pomyślała.

– Teo, nie martw się, kiedy wypadnie ci następny ząbek, Zębowa Wróżka na pewno o tobie nie zapomni i zostawi ci pieniążek – pocieszała chłopczyka Zuza.

– *Tante* Lena powiedziała, że *die Zahnfee* nie ma. – Chłopczykowi znowu drgnęła bródka.

– Oczywiście, że Zębowa Wróżka istnieje – wtrąciła Orłowska. – Przychodzi tylko do dzieci, dlatego twoja ciocia o niej zapomniała.

Chłopiec odwrócił się w stronę Renaty.

– Masz dla mnie *Praline*?

– Teo, bardzo cię przepraszam, ale nie wiedziałam, że tu będziesz, dlatego nie wzięłam ich ze sobą. Mam za to cukierki. – Jak to dobrze, że przywiozła z Polski ulubione toffi z nadzieniem czekoladowym.

– *Bonbons*? Jakie?

– Bardzo smaczne. Dam ci po obiedzie.

Tymczasem do chłopca podszedł Alfred Linn.

– *Onkel* Alfred – zawołał Teo, przytulając się do mężczyzny. – Kiedy *Mami* wróci z nieba? Czy panowie już naprawili jej samolot?

– *Ich werstehe es nicht*. – Mężczyzna rozłożył bezradnie ręce. – *Ich versteh' dich nicht, Teo*.

Chłopczyk zaczął mówić po niemiecku. Biedactwo – pomyślała Orłowska – przeżywa teraz mętlik emocjonalny, taki sam jak językowy. Poczuła, jak oblewało ją współczucie dla tego dziecka. W wieku trzech lat stracił matkę, jedyną osobę, która go naprawdę kochała. Mimo że Renata bardzo słabo знаła Camillę i niezbyt pochlebne miała o niej zdanie, to nie wątpiła w jej macierzyńską miłość. Ze smutkiem zauważyła, że relacje Tea z mniemanym ojcem chyba nigdy nie były serdeczne. Do ciotki również nie był za bardzo przywiązany. Stara i schorowana kobieta, oschła w obejściu i surowa w słowach, nie przejęła funkcji babci. Widać było po jej zachowaniu, że opiekę nad małym traktuje jak nieprzyjemną konieczność i rodzinny obowiązek, który chciałaby scedować na kogoś innego. Tym kimś był Johan von Briest. Na myśl o zięciu i córce Renata zmarszczyła brwi. Niestety oboje nie nadawali się do roli opiekunów trzylatka. Byli za młodzi na rodzicielstwo. Wspólne geny nie wystarczyły Johanowi, żeby poczuł jakąkolwiek więź z synkiem. Natomiast Iza od samego początku wręcz nie znosiła chłopczyka. Może podświadomie przeczuwała, że kiedyś mały stanie się przyczyną poważnych problemów w ich małżeństwie?

Tymczasem ciotka wzięła Tea za rękę i zniknęła na schodach prowadzących na piętro.

– O co chodzi z tym dzieciakiem? Dlaczego go tutaj przywieziono? – zapytała Orłowska męża, który znał perfektnie niemiecki.

– Niania ma pogrzeb w rodzinie, nie mogła się nim opiekować – odparł szeptem. – Ciotka jest mocno podenerwowana.

– Domyślam się. Skończył się dla niej błogi okres leniuchowania w pokoju. Zobacz, Georg nawet nie drgnął na widok Tea. Nie rozumiem tego. Przecież przez trzy lata pełnił funkcję jego ojca. Wychowywał go! Gdyby nawet wiedział, że to nie on go spłodził, powinien choć trochę się do niego przywiązać. Porównaj jego zachowanie z zachowaniem Zuzy. Ona naprawdę lubi małego.

Kątem oka spojrzała na córkę i zięcia. Siedzieli obok siebie w milczeniu, kończąc obiad. Wcześniej również obserwowała ich reakcję na widok chłopca. Johan pobladł, a Iza zmarszczyła brwi i mocno zacisnęła szczęki. Nie skomentowali ani słowem pojawienia się dziecka i nawet na siebie nie spojrzeli. Renata westchnęła. Nie wyglądało to dobrze.

Rozdział 25

Iza usiadła w altance w zaułku ogrodu, by posłuchać audiobooka. Przymknęła oczy, zadowolona, że nie było tu nikogo, kto by zakłócił jej samotnię. Myślała o Johanie. Dlaczego on kłamie? Dlaczego kluczy między niedomówieniami i półprawdami? Dlaczego milczy? Musi mieć powód mówienia nieprawdy. Wszystko, co złe w ich małżeństwie, zaczęło się właśnie tutaj, w Madonna di Campiglio. Albo dopiero tu się wykryło, a początki miały miejsce już wcześniej, tylko nie była tego świadoma? Iza podczas wyjazdów męża do Berlina rzadko mu towarzyszyła z powodu swoich zajęć na uczelni. Prawdopodobnie właśnie wtedy doszło do nawiązania ponownych relacji Johana z Camillą. Iza nigdy nie wierzyła w moc cudownych przypadków. Jakim cudem w małej miejscowości, w niewielkim hoteliku, w tym samym czasie co oni spędzała urlop Camilla Vogel?! Bogata snobka, przyzwyczajona do luksusu i przepychu, która nie wsiadłaby do auta gorszego niż mercedes klasy S?

Opinię o kobiecie Iza wyrobiła sobie już po pierwszym spotkaniu, a resztę dopowiedziały czasopisma plotkarskie i internet. Miała wrażenie, że doskonale znała Camillę Vogel. Oczu nie zamydlił ani sympatyczny sposób bycia Niemki, ani przyjazny uśmiech na jej wyprasowanej skalpelem twarzy. Rodzice i Mark dali się nabrać, nabrać się również wujek Martin, ale nie Iza. Ona od razu dostrzegła pod miłą maską swojskiej uprzejmości prawdziwe oblicze tej niemieckiej suki. Wystarczyło popatrzeć, jak się zwraca do niani i męża, i już się odkrywało prawdziwy charakter Camilli. Wystarczyło zauważyć spojrzenie, jakim obrzucała Johana, i już się wiedziało, jakie ma wobec niego plany. A kiedy Iza zauważyła ją i Johana na korytarzu, szepczących coś do siebie, zrozumiała wszystko. Nawet nie zdziwił jej widok męża pod drzwiami pokoju Camilli w tamtą noc, tuż przed śmiercią Niemki.

Dziewczyna nie miała wątpliwości, że Johan jest winny. Nie wiedziała tylko, czy był jedynie zdradzającym mężem, czy mordercą.

– Halo, proszę nie spać, szkoda dnia. – Usłyszała wesoły męski głos.

Iza otworzyła powieki i ujrzała przed sobą Lorenza trzymającego w rękach dwie szklanki z ciemnym napojem.

– Najlepszy sposób na przepędzenie senny w tak upalny dzień to mrożona kawa – powiedział, wręczając jej szklankę. Jego angielszczyzna była perfekcyjna, nawet akcent miał oksfordzki.

– Nie śpię, ale z przyjemnością skosztuję napoju – uśmiechnęła się do Włocha.

Wcześniej nie zwracała na niego uwagi, chociaż był przystojnym mężczyzną. Nie zwracała uwagi, bo miała przy boku jeszcze przystojniejszego faceta. Rzadko również rozmawiała z młodym Włochem, ponieważ to przeważnie Giulia obsługiwała ich stół.

Nieźle z niego włoskie ciacho – pomyślała, patrząc na jego twarz. Miał niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, wypracowaną na siłowni muskulaturę i opalone ciało, czarną czuprynę i idealne rysy rzymskiego wodza. Mógłby być trochę wyższy, wtedy byłby superprzystojniakiem. Wolała wysokich mężczyzn, takich jak Johan.

– Skąd tak dobrze znasz angielski? – zapytała.

– Studiowałem anglistykę. Mam łatwość do języków. Znam również niemiecki. Przydaje mi się to teraz w pracy.

– Jesteś stąd?

– Nie, z Sycylii. Ale studiowałem w Mediolanie. Podczas ferii i przerw semestralnych dorabiałem między innymi tutaj, w Stelli, żeby mieć forszę na studia. Poznałem Giulie, zdobyłem dyplom, no i zostałem. – Słowom towarzyszyło tłumione westchnienie.

W jego głosie można było wyczuć nutki żalu i smutku.

– Chyba nie żałujesz? Madonna di Campiglio to śliczna miejscowość.

– Śliczna dla turystów na dwa tygodnie, góra miesiąc. Wcześniej nie rozumiałem Giulii, gdy narzekała na małomiasteczkowość, ale teraz muszę jej przyznać trochę racji. Mieszkanie w takiej dziurze przytłacza. Przed pandemią było dość znośnie. Przyjeżdżało dużo turystów i zawsze coś się działo, ale teraz jest prawdziwy marazm. Wiosna była tu okropna i nie wiadomo, jak w tym roku będzie wyglądał sezon zimowy. Ten rejon żyje z turystyki.

– Mój tata, który jest lekarzem, też się obawia sezonu jesienno-zimowego. U nas w Polsce jak na razie było znośnie, mało zachorowań w porównaniu z Włochami, ale to dzięki lockdownowi. Ale nasi hotelarze i restauratorzy również narzekają.

– A ty co robisz? Gdzie pracujesz?

– Jeszcze nie pracuję, studiuje. W tym roku będę robić magisterkę.

– Co studiujesz?

– Dziennikarstwo i – tak jak ty – anglistykę.

– Tego drugiego się domyśliłem, bo mówisz po angielsku lepiej niż ja.

Zamilkli na chwilę. Iza sączyła kawę, a Lorenzo jej się przyglądał.

– Długo jesteście małżeństwem?

– Niebawem minie dwa lata.

– Dlaczego tak się spieszyliście ze ślubem? Nie trzeba było poczekać, aż skończysz studia? – zapytał nieoczekiwanie, ale szybko dodał: – Przepraszam za wścibstwo. Nie powinienem zadawać takich pytań.

Iza wzruszyła ramionami.

– Nie ma za co przepraszać, to rzeczywiście dziwne brać ślub, gdy się jeszcze studiuje. – Zawahała się. – Właśnie teraz staram sobie odpowiedzieć na to pytanie. Dlaczego ja to zrobiłam... – Mówiąc to, patrzyła w dal. Po chwili jej oczy spoczęły na twarzy mężczyzny. – A dlaczego ty i Giulia jeszcze się nie pobraliście? Przecież skończyłeś już studia. Słyszałam, że jesteście ze sobą już dość długo. Podobno Franco nie pozwala wam spać w tym samym pokoju. – Uśmiechnęła się filuternie.

Lorenzo nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Moment później wstał z ławeczki.

– Muszę się zabrać do przygotowywania kolacji.

– Dlaczego Franco nikogo nie zatrudni, przecież należy wam się odpoczynek?

– Teraz nie stać go na dodatkowy personel. I tak dobrze, że policja niemiecka ponosi wszystkie koszty waszego pobytu tutaj, płacąc jak za komplet gości. Hotelowi jest na rękę, żeby śledztwo trwało jak najdłużej. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – Dziękuję za miłe towarzystwo.

– A ja dziękuję za pyszną kawę – odparła Iza i dodała z leciutką ironią: – O, Giulia na horyzoncie. Widocznie cię potrzebuje, bo tu idzie.

Już wcześniej Iza zauważyła po zachowaniu Włoszki, że jest bardzo zazdrosna o swojego chłopaka. Ile razy pojawiała się przy nim Zuza Kowalska, momentalnie, jak spod ziemi, wyrastała obok też Giulia Ferro. No tak, zazdrość to jedno z najczęściej występujących powikłań miłosnej choroby – pomyślała smutno. Iza do lutego nie miała żadnych podstaw do zazdrości. Johan nigdy nie dawał jej do tego powodów. Dopiero przyjazd tutaj spowodował, że dziewczyna odczuła na sobie jej bolesny dotyk.

Zazdrość boli, ale jeszcze bardziej boli brak zaufania do drugiej osoby. Nieufność do wypowiedzianych słów i czynów człowieka, którego się kocha.

Rozdział 26

Kolacja upłynęła w atmosferze napięcia i pretensji Izy skierowanych ostentacyjnie do męża. Chociaż siedziała obok Johana, nie rozmawiała z nim, zwracała się tylko do matki i innych krewnych. Obecność Tea przy stole jeszcze bardziej zepsuła jej humor. Chłopiec kręcił się nerwowo na krześle i nie zważając na uwagi ciotki, głośno kaprysił przy jedzeniu. Zachowanie chłopczyka coraz bardziej irytowało i złościło dziewczynę. Wstrętny bachor. Rozwydrzony przez matkę i jej pieniądze. Nieposłuszny i rozkapryszony.

– Masz dla mnie *Bonbons*? – zapytał Renatę Teo.

– Mam. Ale wcześniej musisz zjeść kolację.

– Nie jestem głodny! Chcę *Bonbons*!

– Jeśli nie jesteś głodny, to oznacza, że nie masz apetytu na wszystko, co jest do zjedzenia. Na cukierki również – odparła spokojnie Renata.

– Na cukierki mam apetyt!

– Gdy ci wróci apetyt na kolację, dam ci cukierki. Są pyszne.

– Dobrze – westchnął. – *Mami* też mi nie pozwalała jeść *Bonbons* przed jedzeniem.

Iza kochała wszystkie zwierzęta, psy, koty, konie, nie zabijała nawet much ani pajaków, ale za małymi dziećmi raczej nie przepadała. Kochała jedynie swoich bratanków (dzieci Krzyśka) i siostrzeńców (dzieci Marty). Inne dzieciaki były jej obojętne, a niektóre z nich wyjątkowo ją irytowały. Do tych ostatnich należał Teo. Denerwowało ją nie tyle jego zachowanie, ile to, że był synem Camilli. Teraz, gdy się okazało, że jego biologicznym ojcem jest Johan, awersja do chłopca jeszcze bardziej się pogłębiła.

Johan starał się nie patrzeć na chłopca, natomiast rejestrował wszystkie ruchy, gesty i słowa Georga. Mężczyzna był bardziej apatyczny niż w poprzednich dniach. Ospale dłubał widelcem w talerzu, połowę potrawy zostawiając niezjedzoną. Z nikim nie rozmawiał, ale gdy chłopczyk podszedł do niego, zwracając się do niego per *Papa*, żeby zawiązał mu sznurówkę w tenisówkach, niemrawo się do niego uśmiechnął i coś zagadał. Wcześniej Johan zauważył, że dzieciak zwrócił się też do Georga o naprawę samochodzika, z którego wypadła kierownica. Chłopczyk chyba nie odczuwał potrzeby bliskości z ojcem, tylko traktował go jak kogoś do rozwiązywania dziecięcych problemów. Stosunek Georga do chłopca był podobny. Tolerował, pomagał, czasami się opiekował, ale nie kochał. Na pewno by go nie skrzywdził, ale zarazem nie był w stanie zrezygnować dla niego ze swoich przyjemności lub wyrzec się czegoś dla jego dobra.

A może Georg tylko sprawiał takie wrażenie.

Johan postanowił porozmawiać po kolacji z dawnym kolegą i wyjaśnić niektóre sprawy. Znał go dość dobrze, bo pracowali razem kilka lat. Razem imprezowali, razem podrywali dziewczyny, a nawet wspólnie organizowali małe orgietki. Ale to było dawno temu, przed poznaniem Izy. Kiedy Johan zakochał się w Izie, całkiem stracił dla niej głowę i zerwał kontakt z dawnym kumplem. Tamten Georg, którego znał, był birbantem łasym na sławę i pieniądze, ale łagodnym i uczciwym. Nigdy nie wykazywał odrobiny okrucieństwa, nie kopał pod nikim dołków ani nie donosił. Jedynie trochę się podlizywał – oczywiście szefowej.

Po kolacji Sewer swoim zwyczajem szybko się ulotnił, zaszywając się w pokoju. Johan dał mu chwilkę na krótką sjęstę i odczekawszy pół godziny, poszedł do niego. Zapukał i nacisnął klamkę. Wystarczył rzut oka, żeby Johan się domyślił, co przed chwilą robił mężczyzna. Rozszerzone źrenice, czerwony nos i tępawy wyraz twarzy.

– O, kogóż ja widzę! *Herr* Johan von Briest – zawołał Georg. – Cóż się stało, że przypomniałeś sobie o dawnym koledze.

– Myślałem, że skończyłeś już z koksem – mruknął Johan. – Nie boisz się, przecież za ścianą mieszkają gliny?

– A cóż mogą mi jeszcze gorszego zrobić, niż zrobili?

– Na razie jeszcze niczego złego ci nie zrobili.

– Ale zrobią. Kraft jest zapewne w trakcie pisania nakazu aresztowania. – Sewer głupkowato się uśmiechnął. – Mimo że nie ma dowodów.

– Gdyby komisarz chciał, to już by cię zamknął – bąknął Johan. – Prawdopodobnie ma również innych podejrzanych.

– Na przykład ciebie? Przecież to ty zyskałeś najwięcej na śmierci tej żdzirzy.

– Niczego nie zyskałem. – Johan starał się opanować złość. Przecież nie po to przyszedł do Georga, żeby obrzucać się oskarżeniami i inwektywami. – Skąd masz koks?

– A co, chciałbyś kupić?

– Przecież wiesz, że nie wciągam, najwyżej popalam. – Specjalnie powiedział w czasie terażniejszym, bo wiedział, że w ten sposób zyska zaufanie kolegi. Rzucił zioło już dawno temu, gdy związał się z Izą, która nie aprobowała żadnych narkotyków. – Nie wierzę, żebyś przywiózł to samolotem. Hmm, małego skręta to może bym zapalił. Masz?

– Nie, to mnie od dawna nie rajcuje.

– Lorenzo załatwił ci kokę? Tak jak w lutym?

– Skąd wiedziałeś, że to on?

– Czysta dedukcja. Zresztą nieważne. Zrób mi drinka. Jeśli nie masz, zejdę na dół i coś kupię.

– Mam jeszcze trochę whisky – powiedział Georg i skierował się w stronę barku.

Ze szklaneczkami w dłoniach usiedli w fotelach naprzeciw siebie. Johan z niepokojem patrzył na alkohol w naczyniu kolegi. Jeśli Georg to wypije, trudno będzie z nim rozmawiać, a miał dużo spraw do obgadania.

– Wiedziałeś, że Teo nie jest twoim synem?

– Oczywiście, że wiedziałem. Camilla zaciągnęła mnie do łóżka, kiedy Teo się już urodził. Wyłuszczyła kawę na ławę. Powiedziała, że chce zamieszkać z facetem, żeby mały miał męskie wzorce i żeby miał do kogo mówić „tato”. Zawsze powtarzała, że to jej syn, tylko jej. Dlatego dzieciak nosił jej nazwisko. Chciałem go zaadoptować, ale powiedziała, że się musi nad tym zastanowić. Zastanawiała się prawie trzy lata i nic z tego nie wyszło – prychnął.

– Wiedziałeś, kto jest... – z trudem mu było to wyartykułować – kto jest biologicznym ojcem Teo?

– Nie. Nie wiedziałem aż do odczytania testamentu. Zawsze mi mówiła, że to ja będę jego prawnym opiekunem, gdyby jej coś się stało. Miałem być z tego tytułu zabezpieczony finansowo. A mały miał mieć fundusz powierniczy.

– A więc wspominała ci o swojej ewentualnej śmierci?

– No tak, przecież była starsza ode mnie.

– Kiedy się dowiedziałeś o nowym kodycyliu?

– Mówiłem już, że w dniu odczytania testamentu.

– A kiedy się dowiedziała o tobie i Suzi?

Spojrzał na Johana badawczo.

– Skąd o nas wiesz? Kraft ci powiedział czy zrobiła to ta idiotka?

– Nikt mi nie powiedział, domyśliłem się zaraz po ponownym przyjeździe tutaj. Nie przypuszczałem, że z Suzi jest taka szprycha.

– Mówiłem tej kretynce, żeby zachowała swój dawny wygląd, ale miała dość udawania Kopciuszka. – Zacisnął szczękę ze złości. – Kraft od razu się zorientował.

– Czy Camilla zrobiła ci z jej powodu awanturę?

– Johan, ty mnie nie słuchasz. Powtarzam ci: nie miałem pojęcia, że Camilla się o nas dowiedziała. Kurwa, naprawdę nie wiem, kiedy się domyśliła. Nic nie dawała znać po sobie, cały czas zachowywała się normalnie. – Zmarszczył brwi. – Nie wierzysz mi jak ten jebany Kraft?

– Przestań pierdolić, wszyscy już na urodzinach Martina zauważyli, że między wami coś nie gra. Camilla była na ciebie wkurwiona.

– Wkurwiona jak zwykle. To żadna nowość. Zawsze była zołą, dobrze o tym wiesz.

– Hmm, dla mnie przez jakiś czas była bardzo miła – powiedział Johan z pewną satysfakcją.

– Naprawdę? Myślałem, że się tylko tak wygłupiała przed kamerą – bąknął niezadowolony

Georg.

Johan szybko się zreflektował, że nie ma sensu drażnić kolegi.

– Była miła, ale krótko. Wtedy, gdy odkryła, że już mi nie zależy na pracy w Super Star. Wcześniej traktowała mnie tak samo jak ciebie. Jak swojego niewolnika.

– Masz rację, jak niewolnika – mruknął Georg i pociągnął spory łyk drinka. – Ta żmija uwielbiała ludzi upodlać i poniżać. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż wdeptywanie człowieka w podłogę.

– Nie narzekaj, gdyby ci było z nią tak źle, zostawiłbyś ją. Hmm, tak jak ja to zrobiłem.

Georg wzruszył ramionami.

– Nie zrobiłem tego z czystego z lenistwa. No i mi się opłacało. Byłem w radzie nadzorczej, miałem dostęp do jej konta. I pozwoliła mi prowadzić teleturniej. Profity przeważały nad minusami. Nie za bardzo ingerowała w moje życie, mieliśmy osobne pokoje i sypialnie, a ostatnio nawet nie wymagała mojej obecności w swoim łóżku. Moim zadaniem było jedynie udawać na zewnątrz, że tworzymy udany związek. Że jestem zakochanym w niej mężem i dobrym tatusiem. Rola ojca również nie była zbyt absorbująca. Byłem tylko statystą, żeby rodzinka dobrze się prezentowała w oczach ludzi i mediów.

Powiedział „statystą” – zauważył w duchu Johan. Tak, obaj byli dla Camilli jedynie statystami. Chyba żaden facet nie odgrywał w jej życiu głównej roli. Może Alfred Linn? Wątpliwe, najwyżej rolę drugoplanową.

– Kiedy Suzi została twoją kochanką?

– Od początku nią była. To ja załatwiłem Suzi tę pracę. Camilla szukała na nianię Polki, mówiąc, że dziewczyny ze Wschodu są tańsze i mniej wymagające niż Niemki. Wiedziałem, że ta wiedźma nie zatrudni żadnej ładnej dziewczyny, dlatego dałem Suzi wskazówki, jak ma wyglądać. Czułem się trochę mniej sponiewierany, mając świadomość, że ja również z kimś sypiam. Przecież ta ździra cały czas miała kogoś na boku i nawet się z tym za bardzo nie kryła – prychnął. – Pierdolona nimfomanka! Wyśmiewała się ze mnie, że nie zadowolam jej seksualnie.

– Jak ci się teraz układa z Suzi?

– Zerwała ze mną. Wszystkie baby to pierdolone ździiry.

– Dlaczego zerwała?

– Phi, baba zawsze znajdzie powód – prychnął. – Oficjalnie? Bo nagle zaczęło jej przeszkadzać, że za dużo ćpam i piję. Ale to tylko pretekst, cały czas piłem i ćpałem i jej to nie przeszkadzało. Prawdziwy powód był bardziej prozaiczny: pieniądze. Ta mała Camilla odcięła mnie od forsy i wyrzuciła z rady nadzorczej, zawiązując spółkę z tym kretyńcem Linnem. Podstępna żmija! Specjalnie go tu ściągnęła, bo miał lecieć do Stanów!

Jakby przeczuwała swoją śmierć – pomyślał Johan nie po raz pierwszy.

– Ździra! Głupia flądra.

Johan, słuchając Georga, z początku nie wiedział, którą kobietę Sewer miał na myśli, dopiero po kolejnych słowach się zorientował.

– Nie żeby mi na niej aż tak bardzo zależało, ale to potwierdza, że jest z niej wyrachowana wywłoka.

– Może da się jeszcze uratować wasz związek? Suzi to sympatyczna dziewczyna – zaczął Johan. Odchrząknął. – Byłaby wspaniałą opiekunką dla Tea. On za nią przepada, ona też go lubi. – Przerwał na chwilę. – Wiesz, Georg, ja na twoim miejscu walczyłbym zarówno o nią, jak i Tea. Przecież przez prawie trzy lata byłeś jego ojcem! Masz do niego dużo większe prawo niż ja. Powinieneś wnieść sprawę do sądu rodzinnego. Domyślam się, jak musisz się teraz parszywie czuć, gdy odebrano ci dziecko. Co z tego, że mały nie ma twoich genów? W ciągu tych trzech lat na pewno powstała między wami silna więź. – Znowu odchrząknął, trochę zawstydzony własną hipokryzją. – Ten dzieciak nie ma teraz nikogo bliskiego. Tracąc ciebie, stał się sierotą! Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne, dlatego jestem gotów stanąć przed sądem po twojej stronie i zrzec się wszystkich apanaży, które scedowała na mnie Camilla.

Sewer, który początkowo słuchał Johana dość podejrzliwie, nagle się ożywił. Wyprostował się i nadstawił uszu.

– Zawalcz o Suzi, przekonaj ją, żeby do ciebie wróciła. Byłaby dobrą matką dla chłopca. Wiem

o tym. – W każdym razie na pewno lepszą niż Iza, pomyślał w duchu. – Musiałbyś tylko przystopować z narkotykami i alkoholem. – Widząc zmarszczone brwi mężczyzny, szybko dodał: – Ale pomyśl o przyszłości. Miałbyś pieniądze, może udałoby się przekonać Linna, żeby cię ponownie zatrudnił. On chce dla tego dziecka jak najlepiej. Mnie Teo w ogóle nie zna, jestem dla niego całkiem obcym facetem, a do ciebie się przywiązał. No i uwielbia Suzi. – Znowu odchrząknął. – Musiałbyś jednak rzucić narkotyki i alkohol – powiedział zdecydowanym tonem Johan. – To jest warunek, bez którego sąd nie uzna twoich racji.

Sewer siedział w milczeniu i kontemlował słowa Briesta. Spojrzał spod brwi na Johana, drapiąc się po głowie.

– Nie chcesz małego, co? – westchnął. – Nie potrzebujesz forsy, bo stary zostawił ci niezły majątek? Nawet taki ładny kasek, który dla ciebie przeznaczyła Camilla, nie za bardzo cię kusi, jeśli dodatkiem jest dziecko?

Johan wzruszył ramionami.

– Tu nie chodzi o mnie, tylko o małego – odchrząknął, sam sobą zniesmaczony. – Przecież wiesz, że mieszkam teraz w Polsce. Wyrosłem już z telewizji, założyłem firmę. Moja żona na pewno nie przeniosłaby się do Niemiec, a Teo jest Niemcem. Powinien chodzić do niemieckiej szkoły – brnął coraz bardziej w szowinistyczną nutę. – Dla dzieciaka zmiana kraju byłaby dodatkową przeszkodą do pokonania. Naprawdę uważam, że najlepszą dla niego opcją byłbyś ty i Suzi. Oczywiście ty trzeźwy. Ale wiem, że możesz to zrobić. Znam cię, przecież byliśmy kiedyś kumplami. Wierzę w ciebie, w twoją siłę – dodał patetycznie. I znowu odchrząknął.

Rozdział 27

Iza długo nie mogła zasnąć, a gdy już zasnęła, budziła się wielokrotnie. Tę noc również spędziła w apartamencie rodziców. Około szóstej rozbudziła się na dobre, zarzuciła na bikini pareo i wyszła z pokoju. Kątem oka zauważyła na dole krzątającego się Franca i Giulię. Skinąwszy im ręką na powitanie, ruszyła w stronę ogrodu.

Skoro już teraz jest bardzo ciepło, to co będzie w południe? – przeleciało jej przez głowę. Jej myśli znowu powędrowały do ich sypialni i Johana śpiącego samotnie w dużym łóżu. Wczoraj po kolacji zauważyła, że poszedł do pokoju Georga. No tak, ma teraz pretekst, żeby wrócić do starych przyzwyczajzeń. I nałogów. Niedobra żona to doskonały powód, żeby się napić albo wciągnąć krechę jak za dawnych dobrych czasów – pomyślała z sarkazmem. Później fajnie by było poprawić sobie humor w łóżku jakieś ślicznotki. A może nawet zorganizować małą orgietkę? Kiedyś Johan się przed nią wygadał, że w ten sposób on i Georg się zabawiali, gdy razem pracowali w Super Star.

Złość na męża jeszcze bardziej się pogłębiła. Kiedy wreszcie skończy się to wszystko? Kiedy wrócą do domu? Ale czy powrót do Krakowa zakończy ich problemy? Żałowała, że nie miała przy sobie papierosów, bo chętnie by teraz zapaliła. Cokolwiek, nawet jointa.

Od strony basenu usłyszała plusk wody, a po chwili niepokojące odgłosy. Ktoś gwałtownie szamotał się w wodzie. Czyżby to było dziecko? Przecież tylko jedno dziecko było w hotelu. Teo!

Zerwała się z ławki i popędziła w tamtą stronę. Ujrzała chłopczyka w piżamce, uderzającego rozpaczliwie rękami o wodę, by utrzymać się na powierzchni. Ani w basenie, ani przed basenem nie było nikogo dorosłego. Kiedy Iza dobiegła na miejsce, mały był już na dnie. Dziewczyna wskoczyła do wody, nie ściągając nawet pareo, i zanurkowała na dno. Chwyciła chłopca i podpłynęła na brzeg. Głośno dysząc, wyrzuciła dziecko na zewnątrz zbiornika i sama również wyszła na brzeg. Mały leżał bezwładnie na kamiennych płytach, nie oddychając. Przerażona dziewczyna chwyciła Tea za nogi głową do dołu i energicznie nim potrząsała. Z ust i nosa wylewała się woda. Dopiero po chwili malec zaczął głośno kaszleć i się krztusić, wypluwając z płuc resztkę cieczy. Potrząsała nim aż do momentu, gdy usłyszała jego cichy płacz. Wtedy go odwróciła do normalnej pozycji i przytuliła mocno do piersi.

– Teo, Teo, już wszystko w porządku. Już nic ci nie grozi – uspokajała go, głaszcząc po plecach.

– *Mami, Mami* – zawołał, pochlipując. – Ja chcę do mamy – powiedział po polsku.

Dziewczynie serce ścisnęło się z żalu. Biedactwo, czyżby nie pamiętał, że jego „Mami” tutaj nie ma? Czy w ogóle rozumiał, że odeszła na zawsze? Że z „nieba” nie można już wrócić? Kto mu mówił o niebie? Chyba nie ciotka, bo to zatwardziała ekskomunistka. Bardziej pasowało to do Zuzy.

Iza odgarnęła z twarzy chłopczyka mokre włosy i nadal go tuląc, odruchowo pocałowała w policzek.

– Już dobrze, Teo. Już dobrze. – Odsunęła go trochę od siebie i zapytała: – Co robiłeś tutaj sam, bez opieki? Gdzie jest twoja ciocia?

– Ona śpi, bo jest stara. A ja jestem młody i nie lubię długo spać. Nudziło mi się.

– Czy nikt ci nie mówił, że dzieciom nie wolno wchodzić samym do wody?

– Ja nie wszedłem. Chciałem nabrać wody do wiaderka i wpadłem.

– Nigdy nie wolno się bawić koło basenu, kiedy nie ma w pobliżu nikogo dorosłego. Chodźmy teraz do cioci.

– Moje wiaderko i łopatka wpadły do wody.

– Przyniosę je, tylko siedź tu i się nie ruszaj.

Wskoczyła ponownie do basenu po zabawki. Chwilę później, ociekająca wodą, z chłopcem na rękach ruszyła w stronę hotelu. Po drodze zauważyła zdziwione spojrzenia Franca i jego córki. Lorenzo też był już na nogach.

– Iza? Opiekujesz się Teo? – zapytał z uśmiechem Russo, niezorientowany w sytuacji.

Mieszkańcy hotelu już wiedzieli, że ojcem biologicznym chłopczyka jest mąż Izy i prawdopodobnie dostrzegli również jej niezadowolenie z tego ojcostwa. To z pewnością było tematem plotek personelu.

– Opiekuję się nim, bo nikt inny tego nie robi – odburknęła po angielsku. – Wymknął się ciotce z pokoju i poszedł nad basen. O mało co się nie utopił, ale na szczęście byłam w pobliżu.

– Gdy się ma pod opieką dziecko, trzeba mieć oczy naokoło głowy – powiedział Franco. – To nie na siły pani Leny.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, Iza skierowała się ku schodom prowadzącym na piętro. Dotarła przed drzwi pokoju Leny Wolf. Wciąż trzymając na rękach chłopczyka, który przywarł do niej jak rzep ostu, zastukała energicznie. Dopiero po chwili otworzyła jej zaspana kobieta, patrząc ze zdziwieniem na ociekającego wodą siostrzeńca.

– Teo, dlaczego jesteś mokry? – zapytała niezbyt mądrze, patrząc na jego piżamkę.

– Dlatego, że wpadł do basenu – powiedziała lodowato Iza płynną niemiecczyzną. – Gdyby nie było mnie w pobliżu...

– Co? Jak to? Teo! Co robiłeś w basenie? Przecież zakazałam ci tam wchodzić?! – powiedziała groźnie.

Mały jeszcze bardziej przywarł do Izy, nieświadomy znaczenia jej słów.

Ta baba kojarzy mi się ze strażniczką obozu koncentracyjnego – pomyślała Iza. Biedny brzdąc.

Szybko się okazało, że wcale nie był aż tak biednym brzdącem, tylko raczej rozkapryszonym.

Wyrwał się z rąk Izy i groźnie spojrzał na ciotkę.

– Wcale nie wchodziłem do basenu, tylko wpadło mi tam wiaderko! A potem ja też wpadłem.

– Dlaczego wyszedłeś z pokoju bez pozwolenia? Przecież ci zabroniłam.

– Ale mi się nudziło, a ty spałaś!

– Jeśli pani nie potrafi zapewnić chłopcu dostatecznej opieki, trzeba wynająć opiekunkę – wtrąciła Iza.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Teo miał opiekunkę, ale niestety zmuszona była go tu przywieźć. Doskonale pani o tym wie – odparła zarzuty chłodno kobieta. – A tutaj nie dam rady nikogo znaleźć na jej miejsce.

– Jest Suzi, jeśli pani o tym zapomniała. Z tego, co wiem, doskonale wywiązywała się z obowiązków niani. Trzeba było jej nie zwalniać – mruknęła Iza.

– Pani Izabelo, chyba jest pani dobrze zorientowana w skomplikowanej sytuacji, w jakiej wszyscy się znaleźliśmy po śmierci Camilli? Mąż na pewno pani o wszystkim powiedział. O roli Suzi w całej tej tragedii chyba również pani słyszała, prawda? Ale to na razie nie pora na roztrząsanie tych spraw. Nie przy dziecku. Czy moglibyście państwo przyjść do mojego pokoju i porozmawiać?

Iza się wyprostowała.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Mnie to nie dotyczy, to sprawa mojego męża – odparła sucho. – Radzę szybko postarać się o nianię, zanim dojdzie do nieszczęścia.

Odwróciła się i ruszyła do swojego pokoju, nie oglądając się za siebie.

Kiedy Iza weszła do sypialni, rodzice już wstali i szykowali się do śniadania. Spojrzeli zdziwieni na mokre ubranie córki.

– Kąpałaś się w pareo? – zapytała Renata.

– Nie kąpałam się, wskoczyłam do basenu, żeby wyciągnąć topiącego się bękarta mojego męża – powiedziała z przekąsem.

– Nie rozumiem, ciotka pozwoliła mu się kąpać w basenie? Przecież nie umie pływać? Ona też się topiła?

– Jej tam nie było, smacznie spała w swoim łóżku.

– To kto się zajmował Teo?

– Nikt.

– O Boże. Był tam sam? Przecież mógł się utopić.

– Właśnie mu w tym przeszkodziłam.

Na chwilę w pokoju zrobiło się cicho. Robert, wzdychając, klapnął na fotel, a Renata wciąż bacznie obserwowała córkę.

– Teo to taki słodziak – bąknęła. – Biedactwo, został sierotą... Potrzebuje rodziny.

Słowa matki zdenerwowały dziewczynę, podziały jak iskra zapalająca jej złość i frustrację.

– No to go sobie adoptuj! – warknęła.

– Cóż, gdyby był synkiem mojego męża, to chyba bym to zrobiła.

– Na twoje szczęście tacie udało się nie mieć bękarta. Hmm, nie licząc Marty... Ciekawa jestem, czy byłabyś taka wspaniałomyślna, gdyby Blanka miała z tatą dziecko!

Robert zmarszczył złowrogo brwi.

– Iza, dość! – oświadczył groźnie. – Przypominam ci, że ślubowałaś Johanowi przed ołtarzem miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że go nie opuścisz aż do śmierci.

– Owszem, ale nie ślubowałam niańczyć jego bachora! Jestem jeszcze młoda, nie skończyłam nawet studiów, a każecie mi zaszyć się w domu z cudzym dzieckiem.

– Nie chcę być małostkowy, ale chyba zapomniałaś, że byłem przeciwny temu małżeństwu. Ciągle ci powtarzałem, że jesteś na to za młoda.

– Właśnie że nie! Nie pasował ci Johan, a nie mój młody wiek – burknęła. – Może miałaś rację co do Johana... Czy oczekujesz z mojej strony gratulacji za jasnowidztwo?

– Chyba zbyt pochopnie oceniałem twojego męża, ale nie myliłem się co do twojej niedojrzałości. No cóż, wzięłaś go z całym inwentarzem. Powinnaś zaakceptować sytuację, tym bardziej że Johan nie jest w pełni za nią odpowiedzialny.

Iza milczała. Przecież nie mogła podzielić się z rodzicami swoimi obawami i podejrzeniami.

– Nie rozumiem cię, Iza, dlaczego jesteś taka wściekła na Johana? – Renata wzruszyła ramionami. – Nie widzisz, że on się miota? Że jemu też jest ciężko? Znalazł się między młotem a kowadłem. To dobry i uczciwy chłopak. I bardzo cię kocha.

Ten dobry i uczciwy chłopak może być mordercą – pomyślała Iza.

– Zastanów się, co robisz, żebyś później nie żałowała – dodał Robert.

– Cały czas żałuję. Żałuję, że przyjechaliśmy tutaj w lutym – bąknęła i nieoczekiwanie się rozpląkała.

Dali jej spokój. Nie nalegali nawet, gdy się uparła nie schodzić na śniadanie. Na poranny posiłek nie przyszli również Lena i Teo. Gina zaniósła im kanapki do pokoju. Johan w milczeniu zjadł jajecznicę na bekonie, nie zamieniając z nikim ani słowa. Nie zapytał również Orłowskich o Izę, która w tym czasie wzięła z ich małżeńskiej sypialni kilka sztuk garderoby. Nie chciała spotykać się z mężem, a o powrocie na stałe do zajmowanego wcześniej z nim pokoju nie było mowy.

Na obiad stawili się wszyscy. Iza usiadła jak zwykle obok męża, ale nawet na niego nie spojrzała. Atmosfera przy stole była przytłaczająca. Nikt nie wracał w rozmowie do wydarzeń przy basenie. Teo jak zwykle kaprysił, nie chcąc jeść pieczeni z indyka, czemu pozostali biesiadnicy wcale się nie dziwili, bo była wyjątkowo sucha. Z pomocą chłopcu przyszedł Franco, stawiając przed nim naleśniki polane syropem klonowym.

Po obiedzie goście rozpierzchli się do swoich pokojów z zamiarem przygotowania się do spaceru, ponieważ Henri Kraft, widząc coraz większe niezadowolenie, oficjalnie dał im dyspensę od nieopuszczania posiadłości. Uwagę wszystkich przyciągnął nietypowy widok – Lena i Zuza cicho ze sobą rozmawiały w kącie jadalni. Wcześniej nigdy nie doszło między nimi nawet do wymiany zwykłych uprzejmości na powitanie. Teraz Lena sprawiała wrażenie, że żarliwie do czegoś przekonuje dziewczynę. Pełna buty Zuza stała niedbale oparta o filar i z satysfakcją w oczach pozwalała się przekonywać. Wkrótce się domyślono, o czym była rozmowa, bo całe popołudnie Teo spędził w towarzystwie swojej byłej niani.

– Nareszcie Teo będzie miał dobrą opiekę. Zuza pomimo swoich wad jest bardzo odpowiedzialną osobką – rzuciła do męża Renata. – Iza, dokąd idziesz?

– Przejsz się. Przecież Kraft nam pozwolił.

– Załóż maseczkę i nie wchodź do żadnego lokalu – upomniał ją ojciec. – Niepotrzebny nam tutaj jeszcze covid.

Rozdział 28

Mark Biegler udał się do pokoju przesłuchań. Już wcześniej zauważył, że policjant bardzo skrupulatnie podchodził do swoich obowiązków i przestrzegał godzin pracy. Od śniadania aż do kolacji przesiadywał w przeznaczonym do tego pomieszczeniu. Dopiero wieczorem pozwalał sobie na krótki relaks, ale nigdy nie brał udziału w towarzyskich wieczornych spotkaniach w ogrodzie. Moretti, chociaż był jedynie cieniem Krafta, zachowywał się podobnie.

– Panie komisarzu, mam pytanie. Kiedy będziemy mogli wrócić do domu?

– Aż tak bardzo panu tu źle? – Policjant starał się podejść do pytania wesoło. – Macie państwo darmowe wakacje w pięknym miejscu w środku lata.

– Komisarzu, proszę nie dowcipkować. W domu czeka na mnie żona z dwójką małych dzieci – powiedział chłodno. – Moja rodzina z Krakowa również już się niecierpliwi tym przymusowym pobytem.

Policjant poprawił się na krześle i odchrząknął.

– Śledztwo nadal jest w toku. Sam pan rozumie, że okoliczności nie są nam przychylnie. Kilkumiesięczne opóźnienie i brak dowodów utrudniają śledztwo. Możemy opierać się jedynie na poszlakach i zeznaniach świadków. Policja niemiecka i włoska proszą o wyrozumiałość i cierpliwość. Już prawie odtworzyliśmy przebieg wydarzeń tamtego wieczoru, musimy tylko wykluczyć nieścisłości w zeznaniach niektórych osób.

– A więc macie już podejrzanego?

– Tak.

– To dlaczego go nie zatrzymacie?

– Na to jeszcze za wcześnie – zabrzmiało to w ustach komisarza dość niepewnie.

– Nie macie dowodów? – zapytał Biegler i dodał z kąpiącym uśmiechem: – I niestety chyba nigdy ich nie zdobędziecie. Panie komisarzu, nie owijajmy w bawełnę. Mimo wysiłków pańskich i pana włoskiego kolegi nie jesteście w stanie nikomu udowodnić winy ani przedstawić konkretnych zarzutów, żeby się przy tym nie zbłaźnić przed sądem. Brak odcisków palców, brak materiałów DNA, nawet brak filmu z kamery. Nie dysponujecie żadnym dowodem na tyle wiarygodnym, żeby przedstawić komuś akt oskarżenia. I tak będziecie musieli wcześniej czy później umorzyć śledztwo. Lepiej to zrobić wcześniej, bo dzięki temu zaoszczędzicie pieniądze podatników.

– Proszę nas nie pouczać, jak mamy pracować. I proszę nie liczyć na umorzenie sprawy. – Zabrzmiało to dość groźnie. – Zrobimy wszystko, żeby znaleźć winnego śmierci Camilli Vogel. Pan wybaczy, ale musimy wracać do pracy.

Mark, jak niepyszny, wyszedł z pokoju. Analizował słowa Krafta. Czy rzeczywiście mają podejrzanego? Kto więc nim jest? Wszystkie poszlaki wskazują na Georga. To on miał najlepszy motyw do pozbycia się żony, ale pod warunkiem, że nie wiedział o zmianie jej testamentu. A nawet gdyby wiedział, nadal mógł to zrobić w wyniku nagłego wzburzenia. Oprócz Georga nikt inny nie przychodził Bieglerowi do głowy.

Wszedł do swojego pokoju i wyjął z kieszeni komórkę, żeby zadzwonić do Marty. Aby uzyskać lepszy zasięg, musiał wyjść na balkon. W głębi ogrodu zauważył sylwetki Zuzy i Georga. Nie dało się usłyszeć rozmowy, ale mowa ciała mężczyzny wskazywała, że chce dziewczynę do czegoś przekonać. Zuza kręciła głową. Georg chwycił ją za ramiona, jakby chciał ją pocałować. Chyba jej się to nie spodobało, bo próbowała mu się wyrwać. Wyszarpała się z uścisku i spoliczkowała Georga. Mężczyzna zareagował podobnie, oddając uderzenie, z tą różnicą, że... zrobił to wielokrotnie. I pięścią. Mark już chciał zainterweniować, ale nie zdążył, bo podbiegł do nich Franco i gestykulując, odepchnął mocno Georga od dziewczyny.

W tym samym czasie Johan zastukał do drzwi pokoju Alfreda Linna. Po chwili mężczyzna otworzył i z wyrazem zaskoczenia na twarzy zaprosił go do środka.

– O, jak miło, że pan wreszcie przyszedł porozmawiać – powiedział, wskazując ręką fotel.

– Oderwałem pana od pracy? Przepraszam – bąknął Johan, patrząc kątem oka na otwarty laptop.

– Nie szkodzi, zrobię sobie małą przerwę. Teraz mam na głowie dwie stacje telewizyjne o całkiem różnych profilach. Urlop zafundowany nam przez Krafta wciąż się przeciąga. Myślałem, że to potrwa tydzień, tymczasem zaraz miną dwa, a on wciąż nas tu trzyma.

– Hmm, trochę poluzował, bo od dziś możemy poruszać się po mieście. Może dlatego, że zamierza nas jeszcze jakiś czas stąd nie wypuścić.

– Napije się pan czegoś, panie Johanie?

– Dziękuję. Przyszedłem w sprawie synka Camilli.

Linn zmarszczył brwi i obdarzył Johana chłodnym spojrzeniem.

– Synka Camilli i pana – ostatnie słowo mocno podkreślił.

– *Herr* Linn, już panu mówiłem, że nie poczuwam się do ojcostwa. To Camilla chciała dziecka i do tego celu użyła moich plemników. Na tym kończyła się moja rola. Nie miałem o niczym pojęcia, dowiedziałem się dopiero, gdy ją przyłapałem na przechowywaniu w pojemniku zużytej prezerwatywy. Zabroniłem jej tego robić. Naprawdę nie przypuszczałem, że dopnie swego. – Johan skrzywił się ironicznie. – Szkoda, że do tego celu nie wykorzystano pańskiej spermy.

– Moja była za stara.

– Więc wiedział pan o jej zamiarach?

– Tak, bo mnie też namawiała na dziecko, gdy byliśmy jeszcze ze sobą, ale wybiłem jej to z głowy.

– Mnie nie pytała o zgodę.

– Zostawmy to. Liczy się fakt, że na świecie pojawił się Teo, a Camilla nie żyje. Jej wolą było, żeby to pan zajął się chłopcem w razie jej śmierci.

– Mam w dupie jej wolę! – zawołał Johan. – Rozstaliśmy się w gniewie dawno temu. I tak naprawdę nigdy nie czułem do niej cieplejszych uczuć.

– Coś jednak was łączyło, i to przez wiele lat. Wiem, że mnie z panem zdradzała, ale zawarliśmy układ, że tworzymy otwarty związek.

– Jedyna więź, jaka nas łączyła, to układ „pani i jej niewolnik”! Byłem głupim szczeniakiem pragnącym za wszelką cenę zrobić karierę medialną. Ale w końcu dorosłem. Teraz mam nowe życie. Polską żonę, polską firmę i polskie obywatelstwo. Syn Camilli nie wpasowuje się w ten obrazek. Moja żona nie chce wychowywać dziecka kobiety, której nienawidziła.

– Ale dziś uratowała mu życie – zauważył cicho.

– Każdego by ratowała. Psa, kota, każde żywe stworzenie. – Johan wzruszył ramionami. – Jeśli deklaruje pan taką wielką przyjaźń i lojalność wobec Camilli, dlaczego sam nie zaopiekuje się małym?

– Po pierwsze, jestem za stary, po drugie, nie sprawdziłem się jako ojciec, ponieważ obaj moi synowie są... problematyczni. Po trzecie, to nie moje geny ma ten chłopiec.

– Odnoszę wrażenie, że kochankiem, którego szuka Kraft, był pan – mruknął. – Stąd ten przypływ lojalności względem Camilli. Obaj wiemy, jaka była z niej harpia. Nie wierzę, żeby bez podtekstu erotycznego nadal się pan z nią przyjaźnił. Dlaczego nagle wpadł jej do głowy pomysł, żeby z panem utworzyć spółkę?! I to w czasie urlopu!

– Jest pan w błędzie. Nie sypialiśmy ze sobą od czasu zerwania. Ja byłem dla niej za stary, ona dla mnie również. – Uśmiechnął się sarkastycznie. – Oboje lubiliśmy mieć w łóżku młode ciała, a dzięki pieniądzom mogliśmy sobie na to pozwolić. Mimo że nie byliśmy już kochankami, pozostawaliśmy przyjaciółmi. Naprawdę. Może dlatego, że byliśmy do siebie podobni. Sam się zdziwiłem, gdy do mnie zadzwoniła z propozycją współpracy. Później się okazało, że spieszyła się, bo chciała zrobić mężowi niespodziankę. – Znowu złośliwy uśmiech pojawił się w kąciku ust. – Dowiedziała się o jego romansie z tą polską nianią. A czegoś takiego Camilla nie mogła wybaczyć. Owszem, ona mogła zdradzać, ale być zdradzaną przez takie zero jak jej mąż, to nie mieściło się w przyjętych regułach gry. Postanowiła się na nim zemścić: zostawić go bez grosza. Stąd ten kodycył w jej testamencie i spółka z nowym zarządem.

– Czy według pana Georg wiedział, że Camilla odkryła jego romans? – zapytał, bo od tego pytania dużo zależało.

– Nie wiem. Robiła wszystko, żeby sprawić mu tę przykrą niespodziankę dopiero po powrocie do Berlina. Ale mógł się zorientować, że się dowiedziała o jego zdradzie. Wszyscy wiedzieli, że w tym

małżeństwie to Camilla była samcem alfa.

Johan doszedł do wniosku, że właśnie teraz nastąpił moment, w którym powinien powiedzieć Linnowi o przyczynie swojej wizyty. Odchrząknął.

– Georg chyba nie wiedział. Na pewno nie wiedział – dodał bardziej autorytatywnie. – Uważam, że to Georg powinien wychowywać chłopca. Rozmawiałem z nim. Jest bardzo przywiązany do małego. Przecież przez prawie trzy lata był dla niego ojcem. Bardzo odczuwa stratę synka. Nie może sobie z tym poradzić, dlatego sięga po różne używki. Ale zrozumiał, że musi się zmienić, żeby odzyskać dziecko. Teo też traktuje go jak swojego tatę. No i jest bardzo przywiązany do Suzi. Ona i Georg przechodzą teraz mały kryzys, ale wszystko wskazuje na to, że do siebie wrócą. Jeśli rzeczywiście ma pan na uwadze dobro dziecka, to powinien pan dać Georgowi przyzwolenie na opiekę nad synkiem. – Zrobił krótką przerwę. – Sewer ma zamiar wystąpić do sądu o powierzenie mu praw rodzicielskich. – Znowu odchrząknął. – Uważam, że trzeźwy Georg Sewer i Suzi Kowalska będą dla chłopca najlepszą opcją.

Na jego słowa Linn parsknął śmiechem.

– Ależ z pana hipokryta! Nie tylko hipokryta, ale jeszcze egoista, egocentryk i dupek. Z opisów Camilli inaczej sobie pana wyobrażałem. Gdyby teraz pana słyszała, diametralnie zmieniałaby o panu zdanie. Może trochę pana zdziwię, ale Camilla bardzo pana ceniła. Widziała w panu idealnego kandydata na ojca dla swojego dziecka. Uważała, że ma pan nie tylko dobry materiał genetyczny, lecz także jest ideałem pod względem charakterologicznym. Może z boku wydawać się to nienaturalne i trochę nienormalne, ale wybrała pana, bo chciała mieć idealne dziecko. Wiem, że zalutuje to eugeniką, ale pragnęła stworzyć nowe doskonałe życie. Właśnie tym się kierowała, decydując się na dziecko. Powiedziała mi to wszystko kilka dni przed śmiercią. Teraz jednak okazuje się, że fatalnie wytypowała dawcę genów. Jest pan słabeuszem bez charakteru, bezwolnym pantoflarzem, który boi się żony, który nie potrafi podjąć męskiej decyzji, a do tego w zakłamy sposób sięga po argumenty z natury fałszywe. Doskonale pan wie, jakim zerem jest Georg Sewer, bo zna go pan wiele lat. Camilla łudziła się, że można z niego zrobić odpowiedzialnego ojca, ale szybko się na nim poznała i odpuściła. Dlatego nie pozwoliła mu zaadoptować Tea. Ale mimo to wciąż dawała mu szansę, licząc, że się zmieni. A pan, wiedząc, że to narkoman, alkoholik, birbant i człowiek bez kręgosłupa moralnego, chce teraz oddać mu swoje dziecko?!

– Kurwa, Teo to nie moje dziecko! To dziecko Camilli! Ma pan rację, powołując się na eugenikę. To, co ona zrobiła, było chore! Nienormalne. Kojarzące się niechlubnie z teoriami i praktykami higieny rasowej lansowanej przez naszych wspaniałych eugeników i ich wyznawców w osobie Adolfa Hitlera. Ten chłopiec to produkt wynaturzonych eksperymentów chorej głowy Camilli Vogel!

Linn w milczeniu przyglądał się dyszącemu z wściekłości Johanowi.

– Czy naprawdę, patrząc na Tea, widzi pan w nim wynaturzony eksperyment? – zapytał cicho.

Johan schował twarz w dłonie. Też milczał. Po chwili powiedział cicho:

– Kocham żonę. Nie mogę od niej wymagać, żeby to zaakceptowała. Ona nie czuje się na siłach, żeby stać się matką dla dziecka Camilli. Dużo lepszą matką byłaby dla niego Suzi. A Georg, gdyby przestał pić i ćpać, też mógłby być niezłym ojcem. Źle go pan ocenia.

– Taaak? Wszystko na to wskazuje, że to morderca Camilli. On jeden miał dobry motyw. Po jej śmierci zyskiwał finansowe zabezpieczenie do końca życia.

– Przecież sam pan powiedział, że Georg nie wiedział o domysłach Camilli w kwestii jego romansu.

– Ale mógł wiedzieć. Kraft też tak uważa. Czy naprawdę chce pan dopuścić, żeby Tea wychowywał morderca jego matki?

– Georg nie zabił Camilli. Nie byłby do tego zdolny.

Uwagę Linna przyciągnęły odgłosy dochodzące z zewnątrz. Wszedł na balkon. Po chwili odwrócił się do Johana.

– Niech pan tu pozwoli. – Przywołał go ręką.

Johan wszedł na balkon w momencie, gdy Georg zamachnął się pięścią na Zuzę Kowalską.

Rozdział 29

Iza szła wolnym krokiem główną ulicą miasteczka. Oparła się pokusie wstąpienia do sklepu. Trochę denerwowały ją obostrzenia związane z pandemią, ale pomna upomnień ojca i złych wspomnień związanych z chorobą babci Basi i Jona postanowiła dostosować się do pandemicznych zaleceń. W lutym nie do końca wierzyła w zatrważającą moc zabójczego wirusa. Nie przeraziła jej nagła śmierć Camilli, bo wiedziała, że kobieta nie umarła śmiercią naturalną. Wiedziała o tym, ale wołała milczeć. Jeśli włoskie służby rzuciły winę na mikroba w koronie, nie miała zamiaru wyprowadzać ich z błędu. Zmieniła nastawienie do koronawirusa, gdy babcia i Jon cudem uniknęli śmierci. Zaczęła traktować go bardziej poważnie, ale wciąż uważała, że cały świat trochę przesadzał, wyolbrzymiając problem. I nadal tak uważała. Nie bała się zachorować na covid, przecież była młoda i odporna. Bardziej ją przerażała stagnacja służby zdrowia w kwestii innych schorzeń, również bardzo niebezpiecznych jak epidemia. Obawiała się też poważnego kryzysu gospodarczego, który dotknie społeczeństwo nie tylko w Polsce. Ostrzeżeń ojca nie brała zbyt serio. Również jego czarne wizjonerstwo dotyczące drugiej fali pandemii jesienią i zimą traktowała dość sceptycznie. Mimo to nosiła maseczkę, myła ręce i stosowała dystans społeczny. Niech mu będzie, przezorny zawsze ubezpieczony.

Przechodząc koło apteki, zauważyła wychodzącego z niej Lorenza. Stał obok błyszczącego od niklu harleya i włożył coś do skórzanej sakwy przypiętej do motoru. Na widok dziewczyny twarz mężczyzny się rozpromieniła.

– O, ty też wyrwałeś się na wolność? – zapytał z uśmiechem.

– Hasam po wolności już nie pierwszy raz. – Wzruszyła ramionami. – Mam w nosie polecenia jasnie pana komisarza.

– No cóż, Kraft miał swoje racje. W czasie pandemii lepiej siedzieć w domu.

– Tylko że my siedzimy nie w domu, ale w hotelu. Czy w okolicy jest coś ciekawego do zwiedzania oprócz górskich stoków?

– O tej porze roku najciekawsze jest Lago di Garda.

– To kawał drogi.

– Samochodem, ale motorem jest bliżej. Znam drogę na skróty. Można tam dojechać w ciągu godziny – mówiąc to, wskazał na stojącego obok harleya.

– To twój motor?

– Tak. Dasz się skusić na przejażdżkę? Zawsze mam przy sobie dwa kaski.

– Hmm, dwie godziny na przejazd... Nie zostanie wiele czasu na plażowanie.

– Ale sama jazda to prawdziwa rozkosz. Jeździłaś kiedyś na motorze?

– Raz czy dwa. Ale rodzice mi zabronili. Johan miał kiedyś motor, zmuszono go jednak do sprzedania.

– Nie daj się prosić. Zobaczysz, jak tam pięknie. Obiecuję, że zdążymy na kolację.

Iza chwilę się zastanawiała. Widząc wyczekujące spojrzenie Lorenza i mając przed sobą alternatywę płątania się po upalnych uliczkach miasteczka, podjęła decyzję.

– Jedziemy.

– Zuch dziewczyna! – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Wiedziałem, że nie jesteś tchórzem.

Od razu odkryłem w tobie zamiłowanie do przygody.

Wzruszyła ramionami.

– Nie przesadzaj. Co to za przygoda – jazda na motorze. Chyba że wylądujemy w jakimś dole ze złamanymi kończynami i bez kontaktu ze światem. Ale o to byłoby trudno, bo teraz wszyscy mają komórki.

– Na pocieszenie ci powiem, że jest tu bardzo słaby zasięg. Jest więc szansa na niezłą przygodę – odparł, szeroko się uśmiechając.

Z sakwy wyjął zapasowy kask i podał dziewczynie. Iza próbowała go włożyć, ale przeszkadzał jej koński ogon spięty na czubku głowy. Rozpuściła włosy. Były ciemnobrązowe, ale miedziane pasemka wyczarowane przez fryzjerkę rozjaśniły ich koloryt na cieplejszy odcień. Uwolnione od frotki rozsypały

się na plecy obfitą falą.

– Masz piękne włosy – zauważył Lorenzo z zachwytem. – Dlaczego je wiążesz?

– Bo mi gorąco. Jest ich za dużo. Chciałam je skrócić, ale Johan zabronił – westchnęła, ale zaraz buńczucznie dodała: – Ale chyba je obetnę.

– Nie waż się tego robić! To byłaby prawdziwa zbrodnia. Piękna nie wolno niszczyć – stwierdził, patrząc z podziwem na jej długie, gęste i trochę wijące się włosy. – Odchrząknął i przybrał bardziej obojętny ton. – Gdyby było ci zimno, mam kurtkę.

– Na razie marzę o odrobinie chłodu. Ale ostrzegam, żeby ci coś głupiego nie wpadło do głowy. Musimy zdążyć na kolację.

– Okej. Nie zamierzam bawić się w trampa. Ani gwałciciela – dodał z uśmiechem.

Pojechali. Trasa wybrana przez Lorenza była wąskim traktem leśnym, dość wyboistym i miejscami stromym, co dotkliwie odczuły pośladki Izy. Dziewczyna zaczęła żałować, że zgodziła się na przejażdżkę. Z początku trzymała się za kabłąk z tyłu motoru, ale musiała przyznać rację mężczyźnie, że będzie bezpieczniej i wygodniej obejmować go w pasie.

Jechali długo. To, co na początku było oryginalną przyjemnością i atrakcją, z czasem robiło się uciążliwością.

– Lorenzo, mam dość! – krzyknęła mu w plecy. – Odpocznijmy.

Włoch zatrzymał pojazd. Zsiadli z motoru. Znajdowali się na leśnej dróżce, otoczeni z wszystkich stron drzewami. Całkowite pustkowie. Iza poczuła na plecach mrowie niepokoju. Co będzie, gdy Lorenzo nie trafi do hotelu?

– Wiesz, odechciało mi się już dalszej jazdy. Odpocznijmy chwilkę i wracajmy do hotelu.

– Dlaczego? Został nam jeszcze tylko kawałek drogi i za kilkanaście kilometrów będziemy na miejscu.

– A potem trzeba będzie telepać się dłużej właśnie o te kilkanaście kilometrów. I tak nie mamy czasu na kąpiel i plażowanie. Lepiej przyjechać tu z samego rana samochodem.

– Hmm, jeśli pozwoli na to Kraft – mruknął trochę rozczarowany.

Kłapnęli na trawę obok motoru.

– Bardzo chce mi się pić. Masz mineralną?

– Nie mam. Mam syrop przeciwkaszlowy i tabletki nasenne.

– Naprawdę nie masz niczego do picia? To czym popijesz tabletki nasenne?

– Syropem przeciwkaszlowym – odparł.

Oboje parsknęli śmiechem.

– Muszę czymś popić stado muszek i komarów, które połknęłam w czasie jazdy.

– Niedawno coś wspominałaś o przygodzie... Czy można do tego zaliczyć śmierć z pragnienia?

– Tfu, tfu. Jeśli mi powiesz, że zabłądziłeś lub złapałeś gumę, to cię obezwładnię, zaknebluję i zostawię mrówkom na pożarcie.

– Nie radzę. Lepiej od ciebie znam topografię północnych Włoch.

– Zapominasz, że mam smartfona.

– Wątpię, czy tutaj złapiesz zasięg. – Uśmiechnął się leniwie. – Jesteś teraz na mnie skazana, moja piękna.

Iza nagle się zaniepokoiła. Czyżby Lorenzo miał zamiar chwycić się takich starych numerów, żeby ją przelecieć na łonie natury?

– Już odpoczęłam, wracajmy – powiedziała, starając się ukryć niepokój. – Musimy dojechać do jakiegoś sklepiku, żeby kupić coś do picia. Naprawdę zaschło mi w ustach.

Lorenzo nadal siedział na trawie, nie ruszając się i z rozbawieniem się jej przyglądając.

– Ty się mnie boisz – zauważył z uśmiechem. – Naprawdę się mnie boisz. Myślisz, że cię zgwałcę?

– Nie wygłupiaj się.

– Może jestem tym mordercą, którego poszukuje Kraft? – zabrzmiało to dość niepokojąco.

Dziewczynie przeleciały przez głowę sceny z obejrzanych horrorów. Poczuła na plecach mrowienie i strużki potu.

– Jesteśmy sami w środku lasu. Nikt nie wie o naszej przejażdżce... – ciągnął Lorenzo, patrząc na nią z nieprzeniknionym wyrazem na twarzy.

– Aż tak głupi nie jesteś – odparła Iza, przybierając nonszalancki ton i za wszelką cenę starając się ukryć niepokój. – Wcześniej czy później Kraft wpadłby na twój trop. A jeśli nie Kraft, to Mark. On ma smykałkę detektywistyczną. Złapał kilku morderców.

– Naprawdę? To dlaczego nie wykrył, kto zabił Camillę Vogel?

– Bo nikt mu tego nie zlecił. Ale gdyby coś złego mnie spotkało, na pewno by nie odpuścił.

– A jeśli jestem psychopatą, któremu nie zależy na życiu?

– Nie wyglądasz na psychopatę.

– A jak wygląda psychopata?

– Nie wiem. W każdym razie nie tak jak ty.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę jej się przyglądał, a potem wybuchnął głośnym śmiechem, pokazując śnieżnobiałe uzębienie.

– Izabel, nie bój się. Ani cię nie zgwałcę, ani nie zabiję.

– Wielkie dzięki ci, panie, za to – mruknęła.

Lorenzo zerwał się z trawy i podał Izie rękę.

– Chodź ze mną.

– Nigdzie nie pójdę. Chcę wracać do hotelu.

– Chodź, nie pożałujesz. – Widząc jej minę, dodał: – Niedaleko płynie strumyk. Napijemy się wody.

– Żeby złapać jakąś bakterię?! Mowy nie ma.

– W takim razie zostań tutaj, ja idę się napić.

Po chwili dziewczyna ruszyła za nim z pewnym ociąganiem. Rzeczywiście kilkadziesiąt metrów dalej płynął niewielki potok. Lorenzo przykucnął na brzegu, złożył dłonie i nabrał do nich wody.

Iza poszła w jego ślady. Złożyła dłonie, tworząc z nich miseczkę, i zanurzyła w potoku. Wypiła kilka łyków. Woda była pyszna, zimna i orzeźwiająca. Dziewczyna powtórzyła tę czynność jeszcze wielokrotnie, aż zaspokoiła pragnienie.

Usiadła na brzegu, wystawiając twarz ku słońcu. Obok niej spoczął Lorenzo.

– Znam dobrze to miejsce. Często tu przyjeżdżam.

– Mam nadzieję, że z Giulią?

W odpowiedzi wzruszył ramionami. Chwilę milczał.

– Niedaleko stąd mieszkali moi dziadkowie. Jakiś czas u nich mieszkałem.

– Mówiłeś, że jesteś z południa, z Sycylii.

– Tam się urodziłem, bo tam moja mama przyjechała za moim ojcem, a swoją wielką miłością.

On był z Sycylii, ona stąd. Większą część roku tam mieszkaliśmy, ale zawsze na ferie zimowe przyjeżdżaliśmy tutaj. Kiedy ojciec wyjechał do Niemiec do pracy, mama pojechała za nim. A mnie podrzuciła dziadkom. Potem znowu wzięła mnie do siebie, a po jakimś czasie z powrotem przywiozła do dziadków. Trwało tak aż do śmierci ojca.

– Twój tato nie żyje?

– I on, i mama. Dziadkowie też. Jestem sam. Byłem jedynakiem. Najbardziej brakuje mi dziadków. Ojciec był pijaczyną, a mama zawsze jego stawiała na pierwszym miejscu, nie mnie. Dlatego studiowałem w Mediolanie, żeby mieć blisko do babci i dziadka.

– Kiedy umarli?

– Dwa lata temu.

– A rodzice?

– Ojciec zmarł dziesięć lat temu, mama dwa lata później. Ich śmierć nie sprawiła mi takiego bólu jak śmierć dziadków. Wyobraź sobie, że odeszli prawie w tym samym czasie. Najpierw babcia miała wylew, a tydzień później dziadek zmarł na zawał.

– Ile mieli lat?

– Oboje byli po dziewięćdziesiątce. Mamę mieli bardzo późno. Wcześniej pochowali dwójkę bliźniąt w wieku trzech lat. Babcia zaszła w ciążę z mamą, gdy zbliżała się do klimakterium. Lekarze nie

znali przyczyny tak długiej niepłodności, bo babcia przez cały czas bardzo się starała o dziecko. – Zamilkł na chwilę. – Mówiła, że to kara Boża, bo nie dopilnowała bliźniaków.

– Co się im stało?

– Utopili się.

– O rany. Gdzie?

– W jeziorze Garda.

– Hmm, a ty chciałeś tam mnie zawieźć – powiedziała Iza z wyrzutem.

– W morzach utopiło się tysiące dzieci i jakoś nikt nie wzbrania się przed morską kąpielą. –

Przyglądał się Izie w milczeniu. – Uratowałaś Tea. Dałaś mu drugie życie.

– Bez patosu, proszę.

– Jesteś niesamowita. Ktoś inny na twoim miejscu obnosiłby się swoim bohaterstwem, a ty...

– Lorenzo, przestań pieprzyć! – przerwała mu gwałtownie.

– Czy to Teo jest powodem waszych problemów małżeńskich?

– Nie mamy żadnych problemów.

– Teraz ty przestań pieprzyć. Wszyscy wiedzą, że wam się nie układa. Już w lutym po śmierci pani Vogel zaczęło się coś psuć między wami. Wcześniej sprawialiście wrażenie bardzo w sobie zakochanych. Czy to przez Tea?

– Nie tylko – odparła z wahaniem. – Są też inne powody. A ty i Giulia? Jak wam się układa?

– Tak sobie. Coraz gorzej.

– Dlaczego? Giulii bardzo na tobie zależy. Tak mówi moja mama.

– Czy ja wiem, czy jej zależy? Chyba nie. Po prostu potrzebuje faceta, żeby wytrzymać w tym więzieniu, jakie stworzył jej ojciec. To przez niego zaczyna się psuć między nami.

– Franco Ferro sprawia miłe wrażenie. Traktuje cię jak syna.

– Nie żartuj! – prychnął. – Raczej jak niewolnika! Płaci mi mało, a wymaga bardzo dużo.

– Nie przesadzaj. Oni więcej od ciebie pracują. Wstają przed tobą, z samego rana, a kładą się spać o północy. To bardzo pracowici ludzie.

– Skąpi, a nie pracowici. Drugiego takiego dusigrosza jak stary Franco nie uświadczysz w Madonna di Campiglio. Jego wzorcem duchowym jest skąpiec Moliera. To skąpiradło nie chce zatrudnić nawet sprzątaczkę i Giulia musi sama sprzątać pokoje gości.

– Nigdy nie było nikogo do sprząkania?

– Wcześniej była kobieta, ale od lutego, gdy wyjechali goście, przychodzi tylko raz w tygodniu.

Zwolnił kucharki i podkuchenne, o kelnerach nie wspomnę.

– Zawsze był taki oszczędny?

– Skąpiradłem był zawsze, ale nie aż takim. Od czasów pandemii całkiem mu odbiło. Boi się, że ten sezon będzie stracony. Główny zarobek przypada tu późną jesienią i zimą. Latem goście wołają jechać nad morze, nie w góry.

– No cóż, rzeczywiście w tym roku pandemia może zaszkodzić turystyce i hotelarstwu. Mój ojciec też nas wszystkich straszy drugą falą pandemii w sezonie jesienno-zimowym. Może twój przyszły teść myśli perspektywicznie i chce przyoszczędzić na personelu?

– Ale ileż można wytrzymać takiej harówki?! Nic, tylko hotel, hotel, hotel. – Znowu spojrzał przeciągle na Izę. – Sama widzisz, że nie tylko ty jesteś nieszczęśliwa.

Iza nie odpowiedziała, jedynie wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że na początku bardzo mnie onieśmielałaś? – powiedział Lorenzo z pewnym ociąganiem.

– Ja ciebie onieśmielałam?! – Iza autentycznie się zdziwiła.

– Tak. Jesteś taka piękna, inteligentna... Masz tyle czaru w sobie. Z twarzy przypominasz mi aktorkę, Ginę Lollobrigidę. Oczywiście gdy była młoda. Wiesz, o kim mówię?

– Wiem, podobno moją babcie też do niej porównywano.

– Zauważył to Franco. Ale masz dużo lepszą od niej figurę.

Iza, zawsze odporna na męskie komplementy, teraz poczuła się trochę speszona.

– Napijemy się jeszcze wody? – spytał Lorenzo.

- Napijmy się i jedźmy.
- Cóż, no to trudno – słowom towarzyszyło westchnienie.
- Dlaczego trudno?
- Bo tak wspaniale mi się z tobą rozmawia... Jak z nikim.

Iza znowu poczuła zażenowanie. Jej też się dobrze rozmawiało z Lorenzem. Chociaż miała bardzo przystojnego męża, to jednak nie mogła być obojętna na urok Włocha. Reprezentował inny typ niż Johan, był bardziej chłopięcy. Jego kędzierzawe, trochę przydługie czarne włosy i czarne oczy kojarzyły jej się z piratem. Johan miał szczupłą twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi, piękne lazurkowe oczy i smukłą sylwetkę hollywoodzkiego gwiazdora. Natomiast Lorenzo to urwis z sąsiedztwa, z którym fajnie kradnie się jabłka.

Ciekawe, jaki jest w łóżku. Nieoczekiwana myśl przeleciała jej przez głowę i Iza zaraz się zawstydziała. Nadal jest mężatką! Nie wolno jej o tym zapominać.

- Jedźmy – powiedziała stanowczo.
- Czy wybrałabyś się ze mną jeszcze kiedyś na przejażdżkę?
- Noo sama nie wiem. Mogłoby się to nie spodobać Giulii. – O mężu nie pomyślała.

Lorenzo wzruszył ramionami.

- No to pojedziemy zaraz po śniadaniu. Dobrze?
- Dobrze – przytaknęła.
- Coś taka rozentuzjasmowana? – zapytał Robert córkę. – Gdzie byłaś pół dnia?
- Nie pół dnia, tylko cztery godziny. Spacerowałam po okolicy – odparła trochę zziębnięta Iza, ponieważ Lorenzo wysadził ją kawałek od hotelu, żeby nikt ich razem nie widział.
- Nie rozumiem, po co się plątać po ulicach w taki skwar, jeśli mamy tu pod nosem basen.
- Nie plątałam się po ulicach, tylko zrobiłam sobie małą wycieczkę.
- Wycieczkę? Nie powinnaś się sama za bardzo oddalać – ojciec zmarszczył brwi.
- Tatku, nie przesadzaj. Pyszna ta zupa z kraba – powiedziała, zmieniając temat. – Pieczeń też wygląda smakowicie.

Nie patrzyła w stronę Johana, ale spojrzeń na Lorenza również unikała. Uwagę wszystkich przyciągał Teo, który nie odstępował Zuzy na krok. Teraz też siedział obok niej i grzecznie zjadał wszystko, co było na talerzu. Po obiedzie Iza poszła do pokoju, który zajmowała z Johanem. Mężczyzna siedział przed laptopem i coś pisał. Nie zamieniając z nim ani słowa, otworzyła szafę i zdjęła z wieszaka dwie bluzki i szorty. Wzięła również bluzę z polaru z myślą o jutrzejszej przejażdżce. Johan nie zareagował na jej widok, nadal miał oczy utkwione w ekranie laptopa.

Rozdział 30

Martin Schmidt otworzył oczy, na zewnątrz było już widno. Od dawna miał problemy ze snem, ostatnio jeszcze się nasiliły. Nie potrzebował długiego snu, wystarczyło sześć godzin, żeby normalnie funkcjonować. Ale dzisiejsza noc była krótsza. Po krótkiej wizycie w łazience wyszedł na balkon. Zapowiadał się znowu piękny dzień. Dlatego kochał Włochy – tu zawsze było słonecznie, nie to co w Berlinie. Wciągnął głęboko do płuc powietrze, zrobił kilka przysiadów i parę pompek, żeby przegonić pozostałości po śnie. Wypił szklankę niegazowanej mineralnej i z dużym ręcznikiem kąpielowym w ręce z wawo zbiegł ze schodów. Przechodząc obok jadalni, zauważył za kontuarem Franca Ferra. Podszedł do mężczyzny, by uciąć z nim jak zwykle krótką pogawędkę. Podczas wcześniejszych pobytów w Stelli Martin i hotelarz potrafili przegadać ze sobą nawet kilka godzin. Tym razem Martin miał swoje towarzystwo, dlatego rozmowy ich nie były tak długie jak przedtem. Mimo kilku lat znajomości i podobnych dat w metryce nie przeszli ze sobą na ty. Tę powściągliwość towarzyską wykazywał przede wszystkim Ferro, a Schmidt się dostosował.

– *Guten Morgen, Herr Franco.*

– *Willkommen, Herr Doktor.*

Zawsze rozmawiali ze sobą w języku niemieckim, ponieważ Ferro lepiej znał niemiecki niż angielski, bo przez wiele lat pracował w Austrii i Niemczech.

– Panie doktorze, ranny ptaszek z pana. Przyuważyłem, że wstaje pan najwcześniej z gości, ale godzina piąta nawet jak na pana to wyjątkowo wcześnie na pobudkę.

– Nie mogę spać długo, siła przyzwyczajenia. W Berlinie o godzinie siódmej muszę już być na oddziale szpitalnym. Zawsze rano przed pójściem do pracy robię kilkukilometrową przebieżkę. Ale tu lepiej popływać. – Wolał nie wspominać hotelarzowi o problemach ze snem. Niektórzy ludzie uważali lekarzy za istoty bez żadnych zdrowotnych przypadłości. – A pan co robi tak wcześnie?

– Muszę umyć ekspres do kawy oraz wypucować szklanki i sztućce. W hotelu zawsze jest coś do roboty. Nie chcę za bardzo obciążać Giulii.

– Nie woli pan zatrudnić kogoś do pomocy?

– Życzeniem pana komisarza Krafta było, żebyśmy nikogo nie zatrudniali. Płaci nam jak za pełne obłożenie miejsc hotelowych, musimy więc dostosować się do jego zaleceń. Oprócz tego trzeba trochę przyoszczędzić, bo nie wiadomo, jak będzie w sezonie. Ach, ta pandemia! – westchnął.

– Dobrze, że Giulia i Lorenzo panu pomagają.

– Giulia, owszem, pomaga, ale Lorenzo? – prychnął z pogardą.

– Sprawia wrażenie gospodarnego chłopaka.

– Gospodarzem czuje się tylko wtedy, gdy liczy pieniądze. – Znowu westchnienie wydarło się z piersi mężczyzny. – Nieładnie narzekać na narzeczonego własnej córki, ale panu mogę się trochę pożalić. Leń z tego Lorenza i tyle. Nic mu się nie chce robić, śpi dłużej niż nasi goście. A przecież rano trzeba przygotować śniadanie. On tylko by się gapił w smartfon lub laptop.

– Cóż, młody, a młodym nie chce się pracować.

– Ja też byłem młody i nigdy nie stroniłem od pracy. Aż się boję pomyśleć, co będzie po ich ślubie. Póki mam jeszcze siły do roboty, jakoś trzymam to w kupie, ale gdy mnie zabraknie, to nie wiadomo, czy nie będzie chciał się pozbyć Stelli. – Znowu westchnięcie. – Ten hotel to moja krwawica. Ponad dwadzieścia lat ciężko tyrałem daleko od rodziny, żeby mieć Stellę. Chyba bym się w grobie przewrócił, gdyby sprzedali nasz hotel.

– Panie Franco, proszę się nie zamartwiać na zapas. Lorenzo na pewno kiedyś doceni, jakie miał szczęście, spotykając Giulie na swojej drodze. Taka dziewczyna jak ona to prawdziwy skarb. Wiem coś na ten temat, bo ja, niestety, nie miałem takiego szczęścia. – Teraz z kolei westchnął Martin. – Trzy żony, kilka tuzinów kochanek i żadna z nich nie nadawała się do życia.

– Wiem, że moja Giulia jest wyjątkowa, ale ten łapserdak chyba o tym nie wie. – Nieoczekiwanie się uśmiechnął. – Zresztą nie ma sensu narzekać. Jest, jak jest. Chociaż Lorenzo to nie mój wymarzony kandydat na zięcia, to dzięki niemu Giulia nie myśli już o wyjeździe do Mediolanu. Przedtem koniecznie

chciała się stąd wyrwać, żeby studiować pedagogikę. I komu bym zostawił ten hotel?

– Czy hotel jest najważniejszy? A Giulia? Panie Franco, jest pan bogaczem, bo ma pan prawdziwy skarb w domu. – Martin spojrział w dal i na chwilę umilkł. – Cóż, kiedyś trzeba zapłacić za swoje decyzje. W młodości nie docenia się rodziny, a potem na starość jest się samotnym. – Zabrzmiało to wyjątkowo smutno.

– Na szczęście ma pan przyjaciół, doktorze. Państwa Orłowskich.

– Tak. Robert i jego bliscy są dla mnie jak rodzina. – Odchrząknął i przesłał hotelarzowi błądy uśmiech.

Ruszył w stronę basenu. Ze zdziwieniem zauważył, że w altance siedziała Giulia. Szlochała. Chyba dostrzegła, że ktoś nadchodzi, bo nagle się zerwała, przecierając wierzchem dłoni oczy i policzki.

– Dzień dobry – odezwał się pierwszy, udając, że nie dostrzegł łez. – Pan Franco powiedział, że pani jeszcze śpi.

– Obudziłam się jeszcze przed wyjściem taty, ale chciałam pobyć trochę sama. Pójdę mu pomóc.

– Uśmiechnęła się niemrawo.

Martin przez chwilę obserwował oddalającą się dziewczynę. Ach, ty okrutna miłości – pomyślał – ileż bólu i łez sprawiasz zakochanym. Dużo lepiej jest nie kochać. Z tą sentencją w myślach wskoczył do basenu.

Rozdział 31

Iza szybko zjadła śniadanie i wykorzystując moment, gdy rodzice rozmawiali z Martinem i Markiem, szybko ulotniła się z hotelu. Wcześniej włożyła do plecaczka bluzę i butelkę mineralnej. Dziś też nie rozmawiała z mężem podczas śniadania. Unikając jego spojrzenia, pałaszowała tosty z prędkością światła, jakby mięsiąc głodowała. Skrępowanie między nimi nasilało się z godziny na godzinę.

Iza czuła dyskomfort nie tylko w towarzystwie męża, lecz także rodziny. Rodzice wyraźnie się niepokoiili, Mark, widząc jej zachowanie, z dezaprobatą kręcił głową, a Martin, którego Iza zawsze traktowała jak wujka, głośno wzdychał. Dlatego z przyjemnością udała się na spotkanie z Lorenzem. Mężczyzna miał na nią czekać przy drodze na Trydent. Kiedy doszła na miejsce, on już tam był.

– Czy Giulia wie o naszej przejażdżce? – zapytała.

– Nie.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś?

– A ty powiedziałaś swojemu mężowi?

– Nie.

– Dlaczego? – W jego oczach ujrzała isierkę dwuznaczności.

– Mamy ciche dni. Jedźmy, bo się rozmyślę.

Pojechali tą samą drogą wczoraj, ale zatrzymali się bliżej Madonna do Campiglio, na polance przy niewielkim strumyku.

– To ten sam potok, który wczoraj służył nam za pijalnię wody?

– Nie, inny. W Dolomitach jest wiele górskich potoków. Wybrałem to miejsce, bo tu możemy schłodzić się wodą i zaspokoić pragnienie.

– Mimo wszystko wolę wodę butelkowaną, dlatego mam ją w plecaczku.

– A ja wziąłem tylko kubek. I ukradłem Francowi trochę owoców i krakersów. I gumę do żucia oraz miętuski. Zrobimy sobie prawdziwą ucztę.

Na potwierdzenie słów wyjął z sakwy niewielką reklamówkę i mały koc, który rozłożył na trawie. Usiadł na nim i ręką zaprosił Izę, żeby poszła w jego ślady.

– Przecież jesteśmy po śniadaniu, musimy zgłodnieć do obiadu, żeby bardziej nam smakował – zauważyła.

– Widziałem, że nie wypijaś kawy. Dlatego wziąłem ją do termosu. Zabrałem też dla ciebie kawałek ciasta.

– Skąd wiesz, że nie piłam kawy?

– Bo moje oczy i myśli wciąż krążą wokół ciebie, pani – powiedział ni to żartobliwie, ni to poważnie.

– Powinny krążyć wokół twojej narzeczonej, a nie mnie – odparła wesoło, ale unikała jego spojrzenia.

Siedzieli na kocu obok siebie, opierając się o pień strzelistej sosny.

– Nalej mi tej obiecanej kawy. Rzeczywiście dziś jej nie piłam.

Odkręcił termos i napełnił kubek aromatycznym napojem. Z plastikowego pojemnika zdjął przykrywkę.

– Wziąłem dla ciebie ciasto, które najbardziej ci smakuje: sernik z brzoskwiniami w syropie i z czekoladową polewą.

– Skąd wiesz, które ciasto lubię?

Nie odpowiedział, udawał zajętego wykładaniem sernika.

Przez jakiś czas prowadzili rozmowę o pogodzie, o Madonna di Campiglio i stokach narciarskich. O hotelu Stella i gościach hotelowych.

– Od czasu, gdy zacząłem tu pracować, hotel stał się dość popularny wśród narciarzy, bo Franco zastosował się do moich rad i wskazówek. Podwyższył standard i zaczął się bardziej reklamować. Dzięki stronie internetowej i zarejestrowaniu na Facebooku oraz Instagramie mamy w sezonie coraz więcej gości. Niestety pandemia wszystko popsuła. Na szczęście Kraft i jego pomysł ze śledztwem w naszym hotelu uratował Francowi dupę, bo nie wiadomo, jakby teraz było. Franco ma nadzieję, że gdy wygaśnie

pandemia, wszystko wróci do normy.

– Ciągłe się zastanawiam, jak to się stało, że taka celebrytka jak Camilla Vogel trafiła do waszego hotelu. Czy często gościcie znanych ludzi?

– Podobno pani Vogel dowiedziała się o nas od swojego znajomego, który był w naszym hotelu i bardzo miło wspominał pobyt. Mamy wielu zamożnych klientów.

Na chwilę oboje zamilkli, wsłuchując się w świergot ptaków i szmer strumyka.

– Od kilku dni, dokładnie od tamtego spotkania w ogrodzie, ciągle o tobie myślę, Isabel – powiedział cicho. – Wiem, że mam narzeczoną, a ty męża, ale nie mogę sobie wyrzucić ciebie z głowy.

Iza nie odpowiedziała.

– Przepraszam, nie powinienem ci tego mówić. Ale... to jest silniejsze ode mnie. Wiem, że nie mam żadnych szans u dziewczyny takiej jak ty. Przepraszam. Kiedy wyjedziecie z Madonna di Campiglio, chyba już nigdy się nie spotkamy, bo ja też stąd wyjadę. Nie chcę dłużej zwodzić Giulii. To nie w porządku. Nigdy do niej nie czułem tego co do ciebie... – Oczami uciekł w bok. – Jestem żaloszny, co?

Iza nadal milczała.

– No cóż, o takiej dziewczynie jak ty mogę tylko pomarzyć. – Głos jego wybrzmiał smutkiem. – Szczęściarz z tego von Briesta.

Iza zerwała się z koca.

– Gorąco się zrobiło, muszę się schłodzić – oznajmiła i podbiegła do strumyka. Zanurzyła ręce w wodzie i ochlapała się nią po ubraniu. – Ale zimna!

– Nie boję się zimnej wody, dlatego cały się zanurzę – zapowiedział i moment później słowa wprowadził w czyn, ściągając szorty i koszulkę. Woda sięgała mu do połowy ud. Usiadł w potoku.

– Uważaj, bo cię porwie prąd – zaśmiała się Iza. – Brr, przeziębisz sobie to i owo, potem Giulia będzie narzekać.

– O to się nie martwię. Jak na razie żadna kobieta na mnie nie narzekała.

– Chwalipięta! Oj, wy, faceci, uwielbiacie promować swoje męskie możliwości. Jakby to było najważniejsze w życiu.

– No bo jest najważniejsze.

– Może dla was i waszej samczej samooceny. Dla kobiet również ważne są inne sprawy.

– Na przykład?

– Zaufanie. Bezpieczeństwo. Akceptacja. Zrozumienie. Uważność. Podobna percepcja w odbiorze świata i ludzi. Podobne życiowe cele. Podobne priorytety. I tak dalej. Sprawność seksualna plasuje się w środku, nie na początku listy cech najbardziej poszukiwanych.

– A których cech zabrakło twojemu mężowi? Hmm, może właśnie sprawności seksualnej?

– Akurat tym dysponuje w nadmiarze – prychnęła lekceważąco.

– No to czego mu brakuje?

– Nie powiedziałam, że czegoś mu brakuje.

– Naprawdę? To dlaczego nie jesteś z nim szczęśliwa?

– Nie jestem nieszczęśliwa!

– Przecież nie powiedziałem, że jesteś nieszczęśliwa, tylko że nie jesteś szczęśliwa.

Westchnęła.

– No może nie jestem w pełni szczęśliwa. Powiedzmy: tylko połowicznie.

– Dlaczego?

– Powiem ci wtedy, kiedy ty mi odpowiesz na to pytanie. Dlaczego nie jesteś w pełni szczęśliwy przy Giulii?

– Ze mną jest inaczej. Ja jestem z nią nieszczęśliwy. W pełni nieszczęśliwy.

– Dlaczego? Jakich cech poszukujesz u kobiety? Na pewno innych niż my u facetów.

– Masz rację, my szukamy czegoś innego niż wy. Ale w niektórych aspektach chcemy tego samego. Na przykład akceptacji, zrozumienia, uważności. No i seks stawiamy nie pośrodku listy, tylko na początku. A właśnie tego nie daje mi Giulia.

– Hmm, a czy ty dajesz jej to, czego ona od ciebie potrzebuje?

– Chyba nie – westchnął. – Niestety nie pasujemy do siebie w żadnym aspekcie – powiedział i nieoczekiwanie chlapnął w Izę wodą.

– Przestań! Będę cała mokra.

– To się wysuszysz. – I jeszcze raz polał ją wodą.

– Nie! Ta woda jest lodowata! – zawołała i uciekła od brzegu.

– Bo płynie z lodowca. – Chwycił kubek i napełnił go wodą. – Teraz ci zrobię większy prysznic.

– Nie waż się! – krzyknęła ze śmiechem i pobiegła w stronę drzew. A Lorenzo za nią.

Dopał ją kilkanaście metrów dalej, ale kubek był prawie pusty.

– Wylała mi się woda, ale inaczej cię schłodzę – powiedział i przygarnął ją do swojego ciała ociekającego wodą. I pocałował.

W pierwszej chwili Iza chciała go odepchnąć i nakrzyczeć na niego, ale jego ramiona była za silne, a pocałunek za gorący. Poddała się. A niebawem jej język dołączył do wspólnego walca. Całowali się długo, gwałtownie, namiętnie. Coraz bardziej pożądliwie, coraz bardziej zachłannie. Wkrótce usta Lorenza zniżyły się do jej piersi, a dłoń powędrowała w stronę jej podbrzusza, żeby wdrzeć się w dzinsowe spodnie. Kiedy dziewczyna poczuła, jak palce mężczyzny zanurzają się w jej kobiecości, gwałtownie się odsunęła.

– Nie! Lorenzo, przestań! – zawołała i odepchnęła go od siebie. – Nie chcę tego.

Mężczyzna, głośno dysząc, stał przed nią wciąż w nią wpatrzony, z rozczarowaniem rozlewającym się po twarzy.

– Przepraszam – powiedział po chwili. – Poniosło mnie. Jesteś taka piękna... Tak bardzo mi się podobasz... Przepraszam. Ale... Nie mogę przestać o tobie myśleć... – wyszeptał.

Iza wróciła na koc. Wyjęła z plecaka butelkę wody i wypila spory łyk. Lorenzo po chwili wahania również usiadł. Schował twarz w dłoniach. I milczał.

– Wiesz, z jednej strony chcę, żebyś jak najszybciej wyjechała z Madonna di Campiglio, żebym mógł o tobie zapomnieć. Ale gdy pomyślę, że już nigdy cię nie zobaczę, to mam wrażenie, że słońce schowa się za chmury i już nigdy nie zaświeci.

Tym razem spóźniła się na obiad. Kiedy Lorenzo wysadził ją i pojechał do hotelu, ona jeszcze wstąpiła do sklepu, by kupić kilka kosmetyków. Specjalnie opóźniła powrót, żeby móc trochę uspokoić myśli. Podeszła do stołu, gdy Giulia podawała deser. Unikając spojrzenia dziewczyny, usiadła na swoim miejscu i skierowała wzrok na ojca.

– Przepraszam, tatku, ale robiąc zakupy, zapomniałam o całym świecie.

– Mówiłem ci, żebyś się nie płała niepotrzebnie po sklepach. Nie bądź głupią ignorantką, nie lekceważ obostrzeń sanitarnych.

– Byłam w sklepie tylko chwilę, cały czas spacerowałam. Czy nie możesz zrozumieć, że się duszę w tym hotelu?

Rozmawiała z rodzicami, ani razu nie patrząc na męża.

– My już jesteśmy po obiedzie – zauważyła Renata.

– Nie jestem głodna, zjem tylko sałatkę i kawałek pieczeni. Za deser też dziękuję.

– Źle się czujesz?

– Nie, to przez ten upał.

Nieoczekiwanie głos zabrał Kraft.

– Mam dla państwa dobrą wiadomość. Już wkrótce będziecie mogli wrócić do domów.

– Czyżby śledztwo dobiegło końca? – zapytał z pewną ironią Biegler.

– Nie, ale nie będą nam już państwo potrzebni. Poddamy teraz głębokiej analizie wszystkie zeznania świadków i materiały biologiczne uzyskane podczas sekcji. W razie konieczności policja skontaktuje się z wami. – Mówiąc to, unikał spojrzeń osób zebranych przy stole.

Biegler nachylił się w stronę Roberta.

– Innymi słowy, śledztwo umorzono z braku dowodów – mruknął.

– Kiedy będziemy mogli stąd wyjechać? – zapytał Robert policjanta.

– Zabukowaliśmy dla państwa bilety na pojutrze. Chyba że coś się wydarzy.

I wykrakał – jak potem powiedziała Renata Orłowska.

Rozdział 32

Iza nie mogła zasnąć. Włączała i wyłączała klimatyzację, wychodziła na balkon albo przewracała się w łóżku. Jej myśli wciąż krążyły wokół leśnej polanki i tego, co się tam wydarzyło. To znaczy nic się nie wydarzyło, ale jednak... Cóż, Lorenzo pozostawił na jej siatkówce powidok, który nie mógł zniknąć, chociaż tego pragnęła. Wiadomość Krafta wcale jej nie ucieszyła. Jutro spotka się z Lorenzem po raz ostatni. Prawdopodobnie już nigdy więcej go nie zobaczy. Na wspomnienie jego pocałunku zrobiło się jej gorąco, poczuła napływającą wilgoć. Myślami wróciła do leśnej polanki. Jakby to było, gdyby go nie odepchnęła? Gdyby pozwoliła mu robić to, co zaczął? Jakby to było się z nim kochać?

Iza miała tylko dwóch partnerów seksualnych. Bartka i Johana. W kwestii doznań dostarczonych przez kochanków Johan przewyższał Bartka o niebo, ale nie miała dużej skali porównawczej. Jaki byłby Lorenzo? Włoscy kochankowie uchodzą za mistrzów w aspekcie *ars amandi*. Wciąż miała zakodowany w głowie widok jego opalonego torsu nakrapianego kropelkami wody, jego silnych ramion i błyszczących podnieceniem czarnych tęczęwek oczu. Obraz był tak podniecający, tak kuszący, że zapragnęła wrócić do tamtych chwil. I pozwolić mu na kontynuację tego, co zaczął...

Nie wiedziała, kiedy zasnęła i ile spała, gdy nagle obudził ją głośny krzyk. Zerwała się z łóżka. Po chwili usłyszała na korytarzu małe zamieszanie. Gwar głosów się nasilał. Coś musiało się stać. Zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie jedwabne krótkie kimono i wyszła na korytarz.

- Co się stało? – zapytała matkę, również zaspaną.
- Zuza spadła ze schodów. Mówi, że ktoś ją zepchnął.
- Zepchnął? Kto?
- Nie wie. Nie widziała, bo było ciemno.
- Czy coś jej się stało?
- Ojciec ją bada.

Zeszły na dół do foyer, gdzie na kanapie leżała Zuza. Chwilę później wokół niej zebrała się gromadka ludzi. Przyszli wszyscy mieszkańcy hotelu, łącznie z obydwoma policjantami. Najpóźniej zjawili się Franco i Lorenzo, co było trochę zastanawiające, bo ich sypialnie znajdowały się najbliżej, na parterze.

- Co się tu dzieje? – zdziwił się zaspany Ferro.
- Pani Zuzanna spadła ze schodów, bo korytarz był nieoświetlony – zauważył z wyrzutem Robert.

– Nie spadłam z powodu ciemności, tylko dlatego, że ktoś mnie popchnął – stwierdziła stanowczo Zuza.

– Dlaczego na korytarzu było ciemno? – zapytał Kraft. – We wszystkich hotelach na korytarzach nocą pali się światło albo na czujnik, albo zamontowane na stałe, tylko przyćmione. A tu nawet nie ma oświetlenia przy listwach podłogowych.

– Nie wiem, co się dzieje z tym oświetleniem, przecież wczoraj naprawiałem. – Bronił się gospodarz. – Muszę wezwać elektryka.

– Najwyższy czas zatrudnić jakiegoś fachowca, a nie robić wszystko samemu – burknął Lorenzo. Ferro zmierzył go zimnym spojrzeniem.

– Teraz, w czasach pandemii, ludzie wolą się nie narażać – bąknął hotelarz dość toporną angielszczyzną.

Lorenzo w odpowiedzi lekceważąco prychnął.

– Przestań – upomniała go Giulia.

– Chociaż nie zauważyłem poważniejszych obrażeń, powinno się pani zrobić dokładne badania – zawyrokował Robert. – Nie ma złamań, ale przydałaby się tomografia głowy.

– Nie ma takiej potrzeby – zaprotestowała Zuza. – Chodnik na schodach zamortyzował upadek. Spadając, starałam się oszczędzać głowę, dlatego trzymałam ją wysoko. Nie będę włączać się po szpitalach.

– W naszym miasteczku nie ma szpitala – wtrącił Ferro. – Jest tylko jeden lekarz i nie dysponuje

tomografem. Profesjonalną opiekę medyczną można uzyskać w Trydencie.

– Mnie nie jest potrzebna profesjonalna opieka medyczna – burknęła dziewczyna. – W ogóle żadna opieka nie jest mi potrzebna. Bardzo dobrze się czuję. Zostawcie mnie w spokoju, lepiej zajmijcie się znalezieniem tego typka, który mnie popchnął.

Kraft zakasłał.

– Proszę państwa, proponuję wracać do łóżek. Trzeba się wyspać. Przy śniadaniu wrócimy do tematu – powiedział.

Śniadanie nieco się opóźniło, bo większość gości stawiała się w jadalni około dziesiątej, a nie tak jak dotychczas o godzinie dziewiątej. Kiedy wszyscy siedzieli już przy stole, głos zabrał komisarz.

– W związku z wypadkiem pani Kowalskiej, która twierdzi, że ktoś ją zepchnął ze schodów, chciałbym z państwem porozmawiać w sali przesłuchań. Najpierw poproszę panią Kowalską, a resztę państwa proszę o nieopuszczanie hotelu.

– Muszę jechać dziś przed południem do Trydentu w ważnej sprawie dotyczącej spadku – powiedział Lorenzo. – Czy mógłbym zostać przesłuchany po obiedzie?

– No cóż, jeśli pan Russo ma do załatwienia ważne sprawy, niech jedzie, ale resztę państwa poproszę o pozostanie na terenie hotelu.

Iza jednak nie zamierzała zastosować się do zaleceń Krafta. Zaopatrzyła plecak w wodę mineralną, landrynki i bluzę z polaru. Kostium kąpielowy miała na sobie. Tym razem postanowiła skosztować zarówno słonecznej, jak i rzecznej kąpeli. Była umówiona z Lorenzem tak jak wczoraj, przy drodze wylotowej na Trydent.

– Dokąd idziesz? – Ojciec zmarszczył brwi. – Kraft zabronił nam opuszczać hotel.

– Nie zabronił, tylko poprosił o nieopuszczanie hotelu. Przesłucha mnie po południu. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem, duszę się w tym zamknięciu.

– Iza, o co chodzi z tymi twoimi spacerami? Co porabiasz przez tyle godzin?

– Uodparniam się, tatku, na tego wstrętnego koronawirusa. Sam mówiłeś, że wskazana jest tężyzna fizyczna, żeby organizm mógł zwalczyć to paskudztwo. Dlatego robię długie spacerki. Czy nie możesz, tatku, zrozumieć, że nienawidzę tego hotelu? Postrzegam go jako więzienie o obostrzonym rygorze. Niczym włoskie Alcatraz. Powiedźcie Kraftowi, że będę do jego dyspozycji dopiero po obiedzie.

Rozdział 33

Johan dostrzegł przez okno Izę z plecakiem na plecach, wychodzącą poza teren obiektu. Gdzie ona się pałęta przez tyle godzin? Z każdym dniem przybierała na sile złość na żonę. O co jej chodzi, do cholery?! Czy to jego wina, że Camilla postanowiła wykorzystać jego plemniki, żeby mieć dziecko? Przecież nie miał pojęcia o istnieniu chłopca. Zresztą ten romans miał miejsce na długo przed ich małżeństwem. Czego ona od niego wymaga? Żeby wyrzucił Tea ze swojego życia? Był przecież gotów to zrobić. Ale wcześniej powinni ze sobą porozmawiać jak dorośli ludzie. Tymczasem ona ostentacyjnie go ignoruje, stwarzając powód do różnych plotek.

Nienawidził tego miejsca, nienawidził Madonna di Campiglio. Wszystko, co złe w ich małżeństwie, zaczęło się tutaj, zimą. Gdyby tu nie przyjechali, nie doszłoby do spotkania z Camillą. I nie wypłynęłaby kwestia Tea.

Z jego piersi wydobyło się westchnienie. Rozwód niczym miecz Damoklesa wisi ponurym cieniem nad naszym związkiem – pomyślał smutno. Iza przestanie być panią Von.

Teraz w miejsce smutku i żalu pojawiło się poprzednie uczucie. Wściekłość. Miał dosyć jej fochów, jej much w nosie, jej idiotycznego zachowania. O co jej chodzi, do cholery?! Przecież nie było żadnych racjonalnych powodów, żeby go tak traktować. Nigdy jej nie zdradził, nigdy nawet o tym nie pomyślał! Przecież nie miał pojęcia o istnieniu tego dzieciaka. Dość tego! Nie zamierza się biczować. Nie będzie więcej prosił o jej uwagę, nie będzie przeproszał ani żebrał o wyjaśnienia. Koniec. Ma swoją męską dumę.

Jej rodzice wcale nie są lepsi od niej. Dlaczego jej na to pozwalają? Myślał, że go już zaakceptowano. Że traktują jak członka rodziny! Nawet Robert sprawiał takie wrażenie. Tymczasem teraz Orłowscy w ogóle nie reagowali na dziwaczne zachowanie swojej córki.

Ostatnio Johan czuł się fatalnie w towarzystwie rodziny Izy – jakby już został wykluczony z ich grona. Nawet rozmowy z Markiem Bieglerem, z którym miał relacje wręcz przyjacielskie, zalatywały sztucznością. Z tego powodu zaraz po posiłkach zaszywał się w swoim pokoju i zasiadał przed laptopem. Jedynym plusem obecnej sytuacji była prawie ukończona gra Król Olch, do której fabułę napisała Iza. Gra miała mało wspólnego z Goethem i jego balladą, ale tytuł nawiązujący do na wskroś niemieckiego poematu powinien zostać dobrze odebrany na rynku niemieckim. Razem z Wiką ustalili, że najpierw będą robić produkty z myślą o niemieckim kliencie, bo euro jest mocniejszą walutą niż złotówka. Dwie ich poprzednie gry zostały dobrze przyjęte i nieźle się sprzedawały w Niemczech. Oprócz tego Johan i Wika trochę się obawiali, że gra z Wiedźminem była jak na razie zbyt dużą konkurencją, żeby się przebić z podobną tematyką wśród polskiej klienteli. W planach mieli zamiar za jakiś czas, gdy już okrzepną finansowo, rzucić na polski rynek gry nawiązujące do słowiańskich legend i mitów, do których fabułę również miała napisać Iza.

Na wspomnienie o żonie czoło mężczyzny znowu się pofalowało. Teraz nie wiadomo, czy w ogóle jest sens dalej snuć plany biznesowe związane z Polską. Może nie da się już uratować ich małżeństwa? A gdy zabraknie w jego życiu Izy, nie będzie dla niego również miejsca w Polsce. Po co miałby tam dalej mieszkać sam, bez Izy?

Odleciała mu chęć do pracy. Postanowił zrobić krótką przerwę. Wyszedł na balkon, żeby zobaczyć, kto był przy basenie. Na szczęście nie było tam nikogo z kliku Orłowskich, mógł więc swobodnie popływać.

Wziął ręcznik i udał się nad basen. Znalazł zacienione miejsce w altance i wygodnie rozłożył się na leżaku. Niedaleko od niego pod parasolem siedziała Zuza i czytała książkę. Obok basenu w brodziku dla dzieci bawił się Teo, nalewając łąpatką wodę do plastikowego wiaderka. Miał na sobie tylko spodenki i ogromny słomiany kapelusz. Na ramiona założono mu czerwone dmuchane rękawki chroniące przed utopieniem.

– Teo, przyjdź do mnie, posmarujemy kremem skórę – powiedziała Zuza.

– Suzi, przecież już mnie smarowałaś.

– Ale zdążyłeś zmyć z siebie krem. Chodź tu do mnie.

– Teraz nie mam czasu, jestem zajęty. Nie przeszkadzaj mi.

Dziewczyna westchnęła i wstała z leżaka. Z kremem w ręce podeszła do chłopczyka i zaczęła systematycznie pokrywać ciało dziecka białą mazią. Mały, nie przerywając swojego zajęcia, obracał się, by mogła go dokładnie nakremować.

Z Zuzy byłaby bardzo dobra matka – westchnął von Briest. Szkoda, że prawdopodobnie nie dojdzie do jego planów matrymonialnych, by ożenić Georga z nianią. Wciąż tkwił Johanowi w głowie, niczym rżesa w oku, tamten widok z balkonu, gdy Sewer uderzył Zużę. A teraz dochodził dodatkowo jej upadek ze schodów. Jeśli rzeczywiście ktoś ją popchnął, to pierwszym podejrzanym był Georg. Do Krafta też na pewno dotarły informacje o ich konflikcie sprzed dwóch dni. Cała sprawa nabierała teraz nowych wymiarów. Pojawiało się pytanie – czy Georg popchnął ją ze złości w akcie zemsty, czy dlatego, że za dużo wiedziała o lutowym zdarzeniu?

Johan postanowił przerwać rozmyślenia i zażyć kąpieli. Skoczył do wody. Przepłynął kraulem dziesięć razy długość basenu. Od razu poczuł się lepiej. Pływanie zawsze go odprężało i dodawało energii. Teraz też. Trochę zmęczony, ale odświeżony kąpielą, wydostał się z basenu. Nie czekał, aż słońce spije z niego krople wody, nie skorzystał również z ręcznika, tylko wciąż ociekający wodą klapnął z powrotem na leżak. Chwilę leżał z zamkniętymi powiekami, gdy poczuł, że ktoś stanął obok niego.

– Napraw mi wiaderko. Urwało się – usłyszał dziecięcy głos.

Otworzył oczy. Przed nim stał Teo.

– Kobiety nie umiały naprawiać, tylko panowie – powiedział chłopczyk w języku polskim.

Ależ ten mały potrafi szybko się przestawić z języka niemieckiego na polski – pomyślał Johan. I wie, z kim w jakim języku rozmawiać. Do klanu Orłowskich i Zuzy zawsze zwracał się po polsku, natomiast do Niemców mówił po niemiecku. Tak jak i do Włochów. – Mówi się „umieją” – Johan automatycznie poprawił chłopca.

Było to ich pierwsze bliższe spotkanie. Dotychczas Johan widział go tylko zza stołu, w pewnej odległości, i nigdy z nim nie rozmawiał. Teraz miał okazję lepiej mu się przyjrzeć. Mały miał śliczną buźkę niewinnego aniołka z obrazów renesansowych malarzy i trochę przydługą czuprynkę jasnych, lekko kędzierzawych włosów. Ze zdziwieniem zauważył, że oczy chłopczyka są takie same jak jego, niebieskie. Sam nie wiedział, dlaczego to tak nim wstrząsnęło.

– Napraw, bo mi się spieszy! – ponaglał malec.

– Gdzie ci się spieszy?

– Muszę iść do pracy. Chcę wylać na trawę całą wodę z brodzika.

– Ale gdy wylejesz wodę, to gdzie dzieci będą się kąpać?

Chłopczyk zmarszczył brewki i się zamyślił.

– To potem będę nabierał wodę z basenu dużych ludzi.

Johan nagle się wystraszył.

– Słuchaj, Teo, nie wolno ci tego robić. Nie wolno ci nabierać wody z dużego basenu, bo możesz wpaść do niego i się utopić. Pamiętasz, jak wpadłeś do basenu i wyciągnęła cię z niego moja żona? Gdyby jej nie było, to... – nie dokończył, bo nie wiedział, co dalej powiedzieć.

– To byłbym w niebie z moją *Mami* – dopowiedział za niego mały. – Ale ja się teraz nie utopię, bo mam skrzydełka.

– Lepiej nie ryzykuj i nie podchodź do basenu.

– Suzi też tak ciągle mówi. I *Tante* Lena też, i *Onkel* Alfred.

– I ja też tak mówię. Jeśli wszyscy tak mówią, to muszą mieć rację. Daj, naprawię ci wiaderko.

Kilka minut później malec chwycił naprawioną zabawkę i pobiegł do brodzika.

– Co się mówi? – upomniała Zuza.

– *Danke* – odparł chłopczyk zaabsorbowany nalewaniem wody do wiaderka.

– A po polsku?

– Dziękuję.

Zuza poprawiła na nosie przeciwsłoneczne okulary i spojrzała na Johana.

– Słodziak z niego – stwierdziła. – Hmm, chyba że przechodzi w fazę niesubordynacji i staje się niegrzeczny.

Mężczyzna nie wiedział, co miały znaczyć jej słowa, dlatego wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru wysłuchiwać peanów na temat „jak to wspaniale mieć dziecko”.

– Jak się dziś czujesz? – zapytał.

– Dobrze. Przecież nic sobie nie złamałam.

– Taki upadek ze schodów może być niebezpieczny. Naprawdę uważasz, że ktoś cię popchnął?

– Przez godzinę maglował mnie na ten temat Kraft. Wybacz, ale nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Hmm, tylko że teraz nie wiadomo, czy przez ciebie nie będziemy musieli nadal tu siedzieć, chociaż zabukowano nam już bilety – mruknął.

– To moja wina, że ktoś chciał mnie zabić? – prychnęła.

– Nie widać, żebyś się bardzo bała – bąknął z powątpieniem.

– Ty też mi nie wierzysz?

– Ależ skąd, wierzę. – Podniósł ręce w geście poddania. – Jak myślisz, kto mógł to zrobić?

– Nie wiem.

– Czy mógłby to być Georg? – zapytał z pewnym wahaniem.

– Powiedziałam już: nie wiem.

– Co tam w ogóle robiłaś w środku nocy?

– Chciałam się napić wody z dystrybutora, który stoi na dole w holu, bo mi się skończyła butelkowana. – W jej głosie wyczuł dziwną nutkę, jakby recytowała nauczony na pamięć wiersz. – Chociaż ty daj mi spokój, wystarczy, że przez godzinę męczył mnie Kraft. – Westchnęła, a po chwili innym już tonem zapytała drwiąco: – A gdzie twoja piękna Isabel? Boi się dzieci i dlatego ich unika?

Słowa Zuzy zdenerwowały Johana. Wstał, żeby nie wchodzić z nią w dalszą dyskusję.

– Dziwię się tej rozpieszczonej smarkuli. I tobie również. Nie wiecie, ile tracie. On naprawdę jest uroczy. – Głos jej dziwnie zmiękł.

– Idę popracować. Elfy na mnie czekają.

– Jakie elfy?

– Pracuję nad grą komputerową o elfach.

Rozdział 34

Przez pokój przesłuchań przewinęli się wszyscy mieszkańcy hotelu. Po kolacji Niemcy znowu zaszyli się w pokojach, a reszta rozsiadła się w ogrodowej altance, racząc się piwem i drinkami alkoholowymi. Następnego dnia wieczorem mieli wracać do domu, ponieważ Kraft nie zmienił swojej decyzji. Prawdopodobnie policjanci dość sceptycznie podchodzili do domniemań Zuzy o zamachu na jej życie. Albo jej nie uwierzyli, albo zbagatelizowali całe zajście. Dziewczyny nie było w ogrodzie, bo usypiała Tea.

Do klanu Orłowskich dołączył również Johan.

– Jedziesz do Krakowa czy do Berlina? – zapytał mało dyplomatycznie Mark.

– Jeszcze nie wiem – odparł powściągliwie Johan, patrząc na Izę.

– A ty, Martin, kiedy odwiedzisz nas w Krakowie?

– Muszę załatwić parę spraw w Berlinie, a potem będę mógł wreszcie pojechać na prawdziwy urlop. Możliwe, że wpadnę do Krakowa. Robert, może popływamy łódką po Solinie? – zapytał Schmidt Orłowskiego.

– Z chęcią. Tam wirus nam nie grozi – odparł Orłowski. – Rozmawiałem dziś z Erykiem. Jedzie z Agą na Mazury. Zgadnijcie, kto jeszcze z nimi jedzie.

– No, kto?

– Bartek Krawczyk.

Oczy wszystkich skupiły się na twarzy Roberta.

– O! – wyrwało się Izie.

– Cieszę się, że Aga zmadrzała, wybierając na gacha odpowiedniego faceta. Mam nadzieję, że ich związek przetrwa dłużej niż jej małżeństwo z Krzyskiem. Z Bartka byłby idealny ojczym.

– Tatku, dlaczego to mówisz? – Iza zmarszczyła brwi.

– Nie doszukuj się żadnych podtekstów. – Robert zmarszczył brwi i spojrzał na córkę, a potem na Johana. – Uważam, że powinniście wreszcie porozmawiać ze sobą i dojść do porozumienia.

– Tatku, nie wtrynij się w nie swoje sprawy.

– Słuchaj, smarkulo, nie życzę sobie, żebyś się tak do mnie zwracała – powiedział Robert przez zęby. Na tego typu uwagi mógł sobie pozwolić jedynie jego syn. Córka nigdy. – Do kurwy nędzy, zacznij się wreszcie zachowywać jak dorosła kobieta. Johan, dziwię ci się, że wciąż tolerujesz jej kretyńskie zachowanie.

Słowa teścia trochę zdziwiły Johana. Wcześniej mu się wydawało, że Orłowski za nim nie przepadał, a teraz wyraźnie opowiedział się po jego stronie.

– Tatku, ty nic nie rozumiesz! – krzyknęła Iza i nieoczekiwanie wybuchła szlochem.

Zerwała się z ławki i pobiegła w stronę hotelu. Kiedy dobiegła na korytarz na piętrze, zawahała się, zastanawiając, gdzie się udać: czy do apartamentu rodziców, czy do sypialni Johana. Wybrała apartament. Wbiegła do pokoju i rzuciła się na łóżko.

Czy mogła powiedzieć rodzicom, że podejrzewa męża o morderstwo? Cóż z tego, że Kraft niczego się nie domyślił i go nie aresztował, ale ona wiedziała. Widziała, jak jej mąż wchodził do pokoju Camilli. Wtedy, w lutym, miała jeszcze jakąś nadzieję, że jej podejrzenia są bezpodstawne, że Camille zabił wirus, a nie Johan. Ale sekcja zwłok zrzuciła z jej oczu zabarwioną na różowo zasłonę. To było morderstwo. A mordercą był jej mąż.

Izę obudził rejwach przed budynkiem hotelu i jazgot nadjeżdżających samochodów. Za oknami już świtało. Drzwi od pokoju rodziców były zamknięte na klucz i przystawione szafą, dlatego nie mogła tam wejść, żeby zapytać o przyczynę hałasu. Wyszła na balkon. Na podjeździe stały dwa samochody z napisami „Polizia”. Zaniepokojona narzuciła na siebie szlafrok i szybko wyszła na korytarz. Zbiegła po schodach. Zauważyła w holu Marka, dlatego do niego podeszła. Kraft i Moretti rozmawiali z policjantami w mundurach. Franco tulił do siebie zapłakaną Giulię.

– Co się stało? – zapytała cicho Bieglera.

– Lorenzo nie żyje, a Zuza jest w szpitalu.

Oczy Izy zrobiły się okrągłe z oszołomienia. Z trudem przełknęła ślinę.

– Co ty mówisz? Jak to Lorenzo nie żyje? To niemożliwe, przecież widziałam go wczoraj...

– Miał wypadek na motorze.

– Nie rozumiem... Dlaczego Zuza jest w szpitalu?

– Jechała z nim na tym motorze.

– Co? Jak to?

– Wybrali się na nocną przejażdżkę – mruknął.

– On i Zuza? Nocą? – Nie mogła się połapać w tym wszystkim.

– Cóż, prawdopodobnie nie mogli już robić tego w hotelu, więc pojechali do lasu.

Iza najpierw pobladła, a potem poczerwieniała.

– Iza, co ci jest? Źle się czujesz? Usiądź na kanapie. Aż tak bardzo cię to zaskoczyło? Bo ja się domyśliłem, że mają romans już jakiś czas temu. A ten jej upadek ze schodów tylko mnie w tym utwierdził.

– Wiedziałeś i nic nie powiedziałaś? – zapytała cicho ochrypłym z emocji głosem.

– Dlaczego miałem o tym mówić. Przecież to nie nasza sprawa, kto z kim śpi. Nie lubię plotkować tak jak twoja... – Zamierzał powiedzieć „mama”, ale zaraz się poprawił: – Tak jak robią to kobiety. – Spojrzał na dziewczynę uważnie. – Iza, jesteś bardzo blada. Co się z tobą dzieje?

Wzięła się w garść.

– Nic. A co się ma dziać? Po prostu wstrząsnęła mną śmierć młodego człowieka – powiedziała to w miarę normalnym tonem.

Rozdział 35

Tego dnia goście hotelu zeszli na dół później niż zwykle. Po brutalnie przerwanej nocy wszyscy czuli się niewyspani. Śniadanie było najskromniejsze ze wszystkich tu wcześniej serwowanych. Szwedzki stół oferował jedynie wędlinę, sery i konfitury oraz pieczywo. Nie było jajecznicy i omletu ani kielbasek na gorąco, które zawsze cieszyły się dużym wzięciem. Dziś jednak nikt nie odczuwał ich braku, bo nikomu nie dopisywał apetyt. Przy stole zabrakło Zuzy Kowalskiej, którą lekarze składali w szpitalu, oraz gospodarza z córką. Franco krzątał się na zapleczu, a Giulia szlochała w swoim pokoju. No i nie było Lorenza.

Kraft z marsem na czole obrzucił smętnym spojrzeniem gromadkę zebraną przy stole.

– Mam dla państwa niezbyt miłą informację. Nadal musicie zostać w hotelu. Anulowałem rezerwację biletów lotniczych. Nie wiem, kiedy będą mogli państwo wrócić do domów. Jak wiecie, dziś w nocy w niewyjaśnionych okolicznościach zginął Lorenzo Russo, a Zuzanna Kowalska przebywa w szpitalu. Musimy wyjaśnić, czy był to wypadek, czy zabójstwo. I czy to ewentualne zabójstwo miało związek z morderstwem pani Vogel. Motocykl został oddany do ekspertyzy. – Policjant westchnął. – No a my będziemy musieli znowu porozmawiać.

Iza zaszyła się w pokoju, tłumacząc się bólem głowy. Nie miała ochoty na rozmowę z nikim. Naprawdę bolała ją głowa. Nadal nie mogła się oswoić z szokiem, jaki przeżyła na wieść o śmierci Lorenza. Jego śmierci w asyście Zuzy! Nie wiedziała, co ją bardziej zaskoczyło – to pierwsze czy to drugie. Nie wiedziała również, jak zakwalifikować i uszeregować emocje, które nią teraz szarpały. Żal, rozpacz, złość, rozczarowanie, ból? Jeśli ból, to jaki? Czy z powodu straty, czy z rozgoryczenia?

Oczywiście czuła żal, że zginął młody zdrowy człowiek, bo każda śmierć innego młodego człowieka przyprawiłaby ją o smutek. Świadomość jednak, że ten młody człowiek ją oszukał, nieco stępiła jej żal. Rozpacz szybko minęła wraz z obrazem Zuzy na tylnym siodełku motocykla. Poczesne miejsce w hierarchii uczuć zajęło teraz rozczarowanie. Ale słowo „rozczarowanie” wydawało się za mało wyraziste, żeby oddać obecny stan jej ducha. Chyba „rozgoryczenie” byłoby właściwszym określeniem. Najbardziej jednak dotkliwą emocją, która ją teraz wypełniała, była złość. Więcej – wściekłość. Wściekłość na siebie. Za swoją naiwność i głupotę. Jak mogła uwierzyć we wręcz lepkie od przesady wyznania Lorenza o jego miłości do niej i oczarowaniu nią. I jak mogła brać czynny udział w oszukiwaniu jego narzeczonej.

Co do Johana, nie czuła się winna. Według niej oszukiwanie męża mordercy nie należało do zbrodni dużego kalibru.

Nagle zeszytniała. Kraft wyraźnie sugerował, że śmierć Lorenza może mieć związek ze śmiercią Camilli! O Boże, jeśli to Johan zabił Camillę, możliwe, że zabił też Lorenza! Czy wiedział o ich przejażdżkach harleyem? Może to ona, Iza, miała zginąć razem z Lorenzem?! Może to o niej myślał, uszkadzając motor?

Zaczęła gorączkowo analizować zachowanie męża w ostatnich dniach. Przypominała sobie jego słowa, gesty, ruchy, spojrzenia. Raczej nic nie wskazywało, że wie o niej i Lorenzu. Znała Johana, mogła z jego mimiki odczytać, co w danej chwili czuje i myśli. Kiedy był o nią zazdrosny, nie potrafił tego ukryć. Przypominała sobie ich marcową sprzeczkę, tuż po powrocie do Krakowa, gdy się dowiedział, że Bartek spał w tym samym łóżku. Wybuchnął gniewem, nie potrafił stłumić złości. Ale może teraz nauczył się opanowania i został prawdziwym perfekcjonistą w oszukiwaniu?

Zaraz po śmierci Camilli, mimo dowodów, nie chciała uwierzyć, że jej mąż jest mordercą. Specjalnie dawała się omotać twierdzeniom lekarzy, że to koronawirus był przyczyną śmierci kobiety. Nie chciała być zbyt dociekliwa. Nie chciała wiedzieć. Nie chciała pytać. I tak prawdopodobnie nie usłyszałyby prawdy. A gdyby Johan ją jej wyjawiał, czy nie byłoby to jeszcze gorsze?

Kiedy na horyzoncie pokazał się Kraft, a wraz z nim inna teoria śmierci Camilli, nadal Izy nie było stać na szczerą rozmowę z mężem. Wołała nie wiedzieć „na pewno”. Wołała podejrzewać, niż poznać odpowiedź twierdzącą. Cóż by jej przyszło z tej wiedzy? Musiałaby coś z nią zrobić. Iść na policję? Powiedzieć rodzicom? Czy dalej żyć z mordercą? Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że

ten stan niepewności nie może trwać wiecznie. Liczyła na Krafta. To na niego scedowała odpowiedzialność za sprawiedliwość. I swoją przyszłość. To on, prowadząc śledztwo, miał zdecydować, czy jej mąż jest niewinny, czy jest mordercą...

Rozdział 36

Obiad i kolacja były podobne do śniadania. Okrojona liczba osób przy stole i okrojone menu. Kraft ograniczył się do przesłuchania Georga i Franca. Reszcie dał spokój. Iza i Johan siedzieli w swoich pokojach, a Orłowski z Markiem i Martinem postanowili spędzić wieczór w ogrodzie.

– Mark, co myślisz o tym wszystkim? – zapytała Renata.

– Co masz na myśli? Nasz dalszy pobyt tutaj czy śmierć Lorenza? – mruknął.

– Wiem, że ty teraz myślisz tylko o powrocie do domu, ale mnie chodzi o wypadek. Czy mamy do czynienia ze śmiercią tragiczną, ale naturalną, czy z udziałem osób trzecich?

– Renatko, jak to mądrze zabrzmiało w twoich ustach. – Na twarzy Marka zamigotał cień uśmiechu. – Zbyt nie nad tym nie zastanawiałem. Masz rację, bardziej mnie teraz interesuje, czy moja żona daje sobie radę z dziećmi.

– Nie przesadzaj, Mark. Marta ma do pomocy panią Stasię i jej córkę. Nie musi gotować ani robić zakupów. Kiedy Krzysiek był mały, a mój mąż był mężem Betty, musiałam nie tylko wszystko sama robić w domu, lecz także zarabiać na siebie i dziecko. No i pisać listy do mojego synka od wyimaginowanego tatusia – dodała z przekąsem.

– Gdyby wyimaginowany tatuś wiedział, że ma synka, nie byłby wyimaginowany – mruknął Robert znad smartfona. – Malutka, bądź bardziej precyzyjna w słowach. Wszyscy znają na pamięć tę historię, więc nie przynudzaj.

– Robert, sam musisz przyznać, że te listy były piękne. – W oczach Renaty pojawił się wesoły błysk, a wargi lekko się wygięły w ironicznym uśmiechu. – Mam wyjątkowe zdolności epistolograficzne. Nawet się przy nich popłakałem, gdy się dowiedziałem, że jesteś tak zajebistym facetem i tatusiem.

Robert spojrział krzywo na żonę i westchnął głośno.

– Lepiej wróćmy do Marka i jego teorii – mruknął. – Mark, jak myślisz, ktoś maczał palce w tym wypadku? – powiedział, żeby zmienić temat.

– Możliwe. Kraft prawdopodobnie bierze pod uwagę kilka opcji. Albo motor uszkodził morderca Camilli z jakichś nieznanych nam powodów. Albo zrobił to Georg, żeby zemścić się na Zuzie, hmm... albo to on jest mordercą Vogel. Albo zrobiła to Giulia, żeby zemścić się na Lorenzu, no i na Zuzie. Albo był to zwyczajny wypadek. – Mark wyprostował ściernięte ręce. – Ja bym optował za tym ostatnim. Noc, leśna droga pełna pułapek i wiele nie trzeba do nieszczęścia. Dobrze chociaż, że dziewczyna żyje. Kraft mówił, że jej stan jest stabilny.

– Naprawdę tak się wyraził? – zaśmiał się Robert. – Rozmawiałem przez telefon z lekarzem prowadzącym. Nic jej nie jest. Ma tylko pęknięte przedramię i lekko skrzywioną nogę w kostce oraz trochę zadrapań. No i jest nieco obolała. Chcieli od razu ją wypisać, ale na jej wyraźne życzenie zostawili ją na noc. Prawdopodobnie rano wróci do hotelu, mimo że nie ma na to zbyt dużej ochoty. Zresztą wcale jej się nie dziwię. Tym swoim romanssem raczej nie przysporzyła sobie sympatii Giulii i Franca. Z jej powrotu najbardziej ucieszy się Kraft, bo będzie mógł ją przesłuchać.

– No i Teo. Biedactwo ciągle o nią wypytuje – westchnęła Renata.

– Ja też uważam, że był to wypadek – stwierdził Martin Schmidt. – Giulia to miła dziewczyna. Nie byłaby zdolna wyrządzić komuś krzywdy. Już prędzej Sewer. Ale wątpię, czy potrafiłby opracować zamach, będąc na ciągłym cugu. To ćpun i alkoholik.

– Albo tylko udaje ćpuna i alkoholika – mruknął Biegler.

– Mnie też Sewer wydaje się najbardziej podejrany. Według mnie z wszystkich ludzi w hotelu tylko on byłby zdolny kogoś zabić – stwierdziła Renata autorytatywnym tonem.

Zuzy na śniadaniu jeszcze nie było, ale zjawiła się przy stole w porze obiadowej. Widać było po jej zachowaniu duże skrepowanie. Uciekała oczami w bok i nie wiedziała, gdzie ma usiąść. Sytuację troszkę rozładował Teo, który podbiegł do niej i mocno się przytulił. Był jedyną osobą, którą ucieszył widok dziewczyny. Ciotka jednak ostro zaprotestowała i nakazała mu wracać do stołu. Zuza zajęła miejsce obok Johana, nie tam, gdzie ostatnio siadała. Prawdopodobnie chciała być jak najdalej od Giulii

i jej ojca. Jej obawy były bezpodstawne, ponieważ rodzina Ferrów już nie stołowała przy wspólnym stole, tłumacząc się obowiązkami. Nie do końca było to prawdą, bo na zapleczu pojawiły się dodatkowe dwie kobiety, kucharka i pomoc kuchenna, które również sprzątały pokoje. Franco zwolnił Giulie z wszystkich obowiązków.

Zuza odwiedziła pokój przesłuchań jeszcze przed obiadem. Zaraz po niej Kraft wezwał do siebie Giulie i długo ją przesłuchiwał, opuszczając nawet obiad. Dziewczyna wyszła z jego gabinetu, gdy kończono jeść deser. Oczy wszystkich automatycznie powędrowały do niedawnej narzeczonej Lorenza. Widać to zauważyła, bo gwałtownie się odwróciła i przesłała konsumentom lodów czekoladowych wrogie spojrzenie.

– Co się tak na mnie gapicie?! – warknęła po angielsku. – Nie zepsułam Lorenzowi tego cholernego harleya! Nie chciałam jego śmierci. Jeśli tolerowałam jego romans z Camillą, to i ta polska *puttana* nie była dla mnie żadnym zagrożeniem – spojrzała krwiożerczo na Zuzę. – Jeśli już miałabym ochotę kogoś zabić, to zupełnie kogo innego. – Teraz wzrok przerzuciła na Izę. – *Signiora Isabel* była lepszą partią dla tego dupka Lorenza. On potrzebował kobiety z forszą i układami, a nie zwykłej gęsi, jak *signorina Susanna*. Gdybym chciała cię zabić, Isabel, mogłabym to zrobić już wcześniej, na przykład dodając arseniku do sernika z czekoladą, który zapakował ci ten łajdak na waszą motocyklową przejażdżkę. – Wyszczała, nie odrywając oczu od Izy. Widząc, że wszyscy siedzący przy stole odsuwają od siebie porcję lodów, parsknęła śmiechem, po czym znowu zwróciła się do Izy. – Myślisz, że o was nie wiedziałam?! – Ironicznie się do niej uśmiechnęła.

W tym momencie z zaplecza wyszedł Ferro i mówiąc coś po włosku podniesionym głosem do dziewczyny, pociągnął ją za rękę w stronę kuchni.

– Przepraszam państwa, córka jest bardzo wzburzona śmiercią Lorenza.

Oczy wszystkich przeniosły się teraz na Izę. Oczy Johana również. Dziewczyna, cała w płomieniach, uciekała spojrzeniem w bok.

– Ja... my nic nie robiliśmy złego – bąknęła. – Pokazywał mi okolice. Tylko tyle. – Nagle podniosła hardo głowę do góry i utkwiała wzrok w twarzy męża. Żuchwa Johana drgała nerwowo, zgrzytając zębami, a oczy ciskały błyskawice gniewu. – Nie spałam z nim.

Johan otarł usta serwetą i bez słowa wstał od stołu.

– Naprawdę z nim nie spałam. To była twoja wina!

Wszyscy w milczeniu trawili usłyszane rewelacje. Mina Roberta wskazywała, że jest wściekły na córkę nie mniej niż Johan. Renata wciąż w osłupieniu patrzyła na Izę. Mark niepewnie podrapał się po głowie, a Martin głośno westchnął.

– Oj, narozrabiałaś, dziewczyno – powiedział cicho Schmidt.

Tylko Zuza, przeżywszy pierwszy szok, odetchnęła z ulgą, że uwagę przeniesiono z niej na kogoś innego.

Robert rzucił córce zimne spojrzenie.

– Chodźmy do pokoju. Lepiej, żebyś nie jadła tych lodów, bo arsenik nie ma smaku ani zapachu – mruknął.

Nie zdążyli nawet wejść na schody, gdy z sali przesłuchań wychyliła się głowa Krafta.

– Pani von Briest, proszę pozwolić na chwilę.

Iza z nogami jak z ołowiu weszła do pokoju i z rezygnacją opadła na krzesło. Przez chwilę w pokoju panowało milczenie, nie licząc odgłosów klawiatury, które dochodziły z laptopa Morettiiego. Dziewczyna nagle poczuła złość.

– Może tym razem *ispettore capo* Dario Moretti będzie mi zadawał pytania? Czyżby pan nie znał angielskiego? – warknęła zaczepnie.

Moretti trochę zdziwiony podniósł wzrok.

– W zadawaniu pytań dużo lepszy ode mnie jest komisarz Kraft. – Ku ogromnemu zaskoczeniu dziewczyny Moretti powiedział to całkiem poprawną polszczyzną, z jedynie lekkim obcym akcentem.

Iza zgłupiała na moment, zaraz jednak wrócił jej rezon.

– Czyżby pańska matka też była Polką?

– Nie matka. Żona.

– Aha.

– Czy to takie dziwne, pani von Briest, że do śledztwa, w które są zamieszani obywatele polscy, przydzielono policjantów władających obcymi językami? – odparł tym razem Kraft z lekkim uśmiechem.

– Obcymi językami owszem, ale nie przypuszczałam, że również polskim. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Nie wiedziałam, że język polski jest taki popularny.

– Przecież Polacy są członkami Unii Europejskiej i bardzo lubią podróżować. Oprócz tego proszę nie zapominać, że do Europolu zatrudnia się wybranych ludzi, a znajomość języków obowiązujących w państwach członkowskich to podstawa w naszej pracy. To tyle w kwestii formalnej, a teraz przejdźmy do pytań – mruknął, przyjmując zawodowy ton śledczego. – Od kiedy spotykała się pani z Lorenzem Russo?

– Nie spotykałam się z nim, byłam z nim jedynie trzy razy na przejażdżce motocyklowej.

– Hmm, jeśli przejażdżki nie traktuje pani w kategoriach spotkań, to w takim razie kiedy pani pierwszy raz z nim się przejechała?

– Cztery dni temu.

– Dzień przed upadkiem pani Kowalskiej ze schodów?

– Nie, dwa dni.

– Jak to się zaczęło? – Widząc jej minę, dodał ponagląco: – W jakich okolicznościach się pani z nim umówiła na tę przejażdżkę?

– Spotkałam go przed apteką po południu, zaraz po obiedzie. Zaproponował, że mi pokaże jezioro Garda. Nigdy tam nie byłam, a dużo dobrego słyszałam o tym miejscu, dlatego się zgodziłam.

– Długo byliście nad jeziorem?

– Nie dojechaliśmy tam, bo jazda na motorze przez las była bardzo uciążliwa, dlatego chciałam wracać.

– I wróciliście od razu?

– Nie, zatrzymaliśmy się nad strumykiem, żeby ugasić pragnienie, bo nie mieliśmy wody mineralnej.

– A jak wyglądały następne wasze przejażdżki? Dotarliście do Gardy?

– Nie – powiedziała krótko.

– Też jechaliście przez las?

– Jeśli chce pan wiedzieć, czy uprawialiśmy w tym lesie seks, to odpowiadam panu, że nie – warknęła.

– To dlaczego pani z nim tam jeździła? Mężatka z narzeczonym innej kobiety?

– Kurwa mać – zakląła Iza. – Czy panu tylko seks w głowie?

– Mnie nie, ale Lorenzowi Russo raczej tak.

– Czy wszystkie słowa pani von Briest mam zaprotokołować? – zapytał z kamienną miną Moretti.

– Według uznania, inspektorze. – Kraft uśmiechnął się leciutko, po czym ponownie zwrócił się do Izy: – Czy wiedziała pani o romansie Russo z Camillą Vogel?

– Ależ skąd! Oczywiście, że nie wiedziałam.

– A o jego romansie z Zuzanną Kowalską?

– Również nie. Nie rozmawialiśmy o swoim życiu erotycznym.

– To o czym rozmawialiście?

Iza poruszyła się nerwowo.

– Tak ogólnie, o wszystkim.

– To znaczy?

– O jego pracy w hotelu. Trochę narzekał na ojca narzeczonej.

– Dokładniej.

– Że jest skąpcem, bo nie chce zatrudnić więcej pracowników.

– Gwoli usprawiedliwienia pana Ferra – nie zatrudniał ich na prośbę policji. Chcieliśmy, żeby w hotelu były obecne tylko te osoby, które przebywały tam w lutym. O czym jeszcze mówił Russo?

– Czuł pewne rozczarowanie swoim narzeczeństwem. Chciał, żeby narzeczona opuściła z nim

hotel i wyjechała z Madonna di Campiglio.

– Konkretnie dokąd?

– Do jakiegoś dużego miasta.

– Hmm, a czy pani nie proponował, żeby pani z nim gdzieś pojechała?

– Nie.

– Pani Izo, nie wierzę, żeby ktoś taki jak Russo nie próbował, hmm, zdobyć pani względy. –

Do słów komisarz dołączył przenikliwe spojrzenie. – Naprawdę nie próbował pani uwieść? Nawet pocałować? Dziwne.

Iza milczała.

– Między nami do niczego nie doszło – powiedziała stanowczo. – Kocham męża.

– Jakoś tego nie widać.

– Czy to stwierdzenie policjanta?

– Nie, mężczyzny.

– Proszę więc rozmawiać ze mną z pozycji policjanta.

– Dobrze, zwracam się do pani jako policjant. – Odchrząknął. – Można domniemywać, że była pani z Russo w bliskich relacjach natury erotycznej. Może więc powinienem traktować panią jak osobę podejrzaną o morderstwo? Możliwe, że na wieść o romansie Lorenza z panią Kowalską wpadła pani w szał zazdrości, w następstwie czego postanowiła ukarać niewiernego kochanka?

– Zapomniał pan, że nie miałam do niego żadnych praw. Lorenzo był narzeczonym Giulii. To raczej ona mogłaby pałać chęcią zemsty, nie ja. – Wzruszyła ramionami. – Proszę więc nie gadać bzdur.

– Kto według pani chciał śmierci Lorenza Russo?

– Możliwe, że Giulia.

– A jest możliwe, że również pani mąż?

– Ależ skąd! Johan o niczym nie wiedział.

– Skąd taka pewność?

– Bo dobrze znam mojego męża. Najlepszym na to dowodem jest jego dzisiejsza reakcja.

– A cóż takiego mąż zrobił, że jest pani tego tak pewna?

– Nic nie zrobił. Widziałam po jego minie, że nie miał pojęcia o naszych przejażdżkach. Wstał od stołu bez słowa – powiedziała cicho. – Znam go dobrze. – Odchrząknęła. – A może celem nie był Lorenzo, tylko Zuza? Przecież już wcześniej ktoś próbował zrzucić ją ze schodów?

– Może ma pani rację. – Przez dłuższą chwilę detektyw przyglądał się dziewczynie w milczeniu. – Pani Izo, czy naprawdę zna pani dobrze swojego męża?

Iza znieruchomiała. Ale Kraft nie powiedział nic więcej, tylko jej podziękował.

Kiedy tylko dziewczyna wróciła do pokoju, od razu zjawili się w nim ojciec i matka. Zamknęli za sobą drzwi i usiedli w fotelach, przymierzając się do dłuższej rozmowy. Z piersi Izy wyrwało się westchnienie. Będzie zmuszona wysłuchać z ust rodziców następnej pogadanki na temat jej niewłaściwego zachowania.

– Do cholery, co to miało znaczyć, Iza? – zaczął pierwszy Robert. – Czyś ty oszalała? Jak mogłaś szlajać się z takim palantem jak Lorenzo?

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że to palant.

– Naprawdę nie wiedziałaś? – Ironia aż kapała z każdego słowa Orłowskiego. – Co za facet umawia się z dziewczyną za plecami narzeczonej?!

– Znam takich, co umawiają się z dziewczynami za plecami żony – mruknęła, ale widząc minę ojca, szybko dodała. – I wcale nie uważam ich za palantów. Tatku, my naprawdę nie robiliśmy nic niewłaściwego. Po prostu bardzo się tu nudziłam, a on obiecał pokazać mi okolicę.

– Chociaż teraz przestań robić z siebie idiotkę – warknął. – Nie masz dwunastu lat. Powinnaś wiedzieć, do kurwy nędzy, po co facet jedzie do lasu z dziewczyną. Chyba nie po to, żeby z nią zbierać jagody! Nigdy nie uwierzę, że się do ciebie nie przystawiał!

– Ale do niczego nie doszło.

– Akurat z tego nie mnie będziesz się tłumaczyć, tylko swojemu mężowi. Mnie jedynie dziwi, że moja córka jest tak głupia i naiwna. Czego oczekiwałaś? Czego się spodziewałaś po tych leśnych

randkach? Że spotkasz swoją nową wielką miłość, gdy tymczasem twoja stara wielka miłość siedzi w pokoju i się zastanawia, jak cię udobruchać?! – Orłowski patrzył na córkę, z dezaprobatą kręcąc głową. – Przestań się zachowywać jak gówniara z podstawówki. Jeśli zapomniałaś, to ci przypominam: jesteś mężatką, do cholery! Rozmów się wreszcie z Johanem. – Westchnął. – Ale nie wiem, co teraz z wami będzie po tym numerze, który mu wycięłaś. Ośmieszyłaś jego i siebie. I nas, że mamy tak głupią córkę.

– Robert, daj jej spokój. Już wystarczy. – W obronie Izy stanęła Orłowska.

– Co wystarczy?! Pomijając względy moralne, wyszła na ostatnią kretynkę! Dała się omotać włoskiemu lowelasowi, który leci na pieniądze. Dlaczego zajął się Giulia? Bo jej ojciec ma hotel. Dlaczego sypiał z Camillą? Bo miała forszę i układy.

– Nie miałam pojęcia o Camilli. Ani o Zuzie – bąknęła cicho Iza.

– Ale wiedziałaś, że ma narzeczoną! Narzeczoną, która nas gości pod swoim dachem!

– Gości?! – prychnęła dziewczyna. – Tatku, przestań wygadywać bzdury. O niczym innym nie marzę, tylko o tym, żeby uciec spod tego „jej dachu” – Palcami zrobiła w powietrzu cudzysłów. – Wiem, że zrobiłam głupstwo, wiem, że postąpiłam niewłaściwie w stosunku do Johana i Giulii, i wiem, że wyszłam na idiotkę, ale nie mogę cofnąć czasu. Czuję się okropnie – wyszeptała, ocierając powieki wierzchem dłoni. – Proszę, nie utrudniajcie mi tego jeszcze bardziej. Bardzo was o to proszę.

Johan przewracał się w łóżku, nie mogąc znaleźć dobrej pozycji. Wreszcie zrezygnowany wstał. Postanowił się czegoś napić. Czegoś mocnego. Wyjął z barku butelkę czystej wódki i wodę mineralną niegazowaną. Była to najlepsza „popitka”. Nauczył go tak pić Wojtek, wieczny student i wieloletni mieszkaniec miasteczka studenckiego w Krakowie, a obecny dyrektor berlińskiej firmy Johana. Wcześniej nie korzystał z takiego „zestawu imprezowego”, ale rzeczywiście kac był dużo mniejszy niż przy drinkach czy popijaniu wódki sokami i napojami gazowanymi.

Po dzisiejszym obiadowym newsie zniechęcił Izę. Jak mogła się pieprzyć z tym włoskim Gigi L'Amoroso?! Jak mogła to zrobić swojemu mężowi?!

Tak bardzo ją kochał! Dla niej zmienił całe swoje życie. Poświęcił karierę, kolegów, porzucił ojca i Berlin. Przeczytał nawet te koszmarnie *Dziady* i *Kordiana*, żeby zdać polską maturę. Wszystko zostawił, żeby być przy niej, żeby być z nią. Tymczasem ta wymarzona kobieta, którą wręcz wielbił i czcił, okazała się zwykłą szmatą.

Mógł zrozumieć jej szok i złość, gdy się pojawił na ich drodze Teo. Mógł nawet zrozumieć jej niechęć i uprzedzenie wobec nieślubnego dziecka swojego męża, ale nie przypuszczał, że mogła się puścić z pierwszym lepszym fagasem, który jej się nawinął na drodze. Dziwka. Zwykła dziwka. Pieprzyć się w krzakach z kelnerem, kiedy on był gotów sprzedać diabłu duszę, żeby tylko ją udobruchać.

Im mniej w butelce pozostawało wódki, tym więcej gromadziło się w nim wściekłości. Biorąc ostatni łyk alkoholu, był tak pijany, że zapomniał już, dlaczego tak bardzo nienawidził swojej żony.

Nie poszedł na śniadanie. Obudziły go pokrzykiwania Teo dochodzące z ogrodu i koszmarny ból głowy. Spojrzał na zegarek, minęła dwunasta. Zwlókł się z łóżka i poszedł do łazienki. Opróżnił pół butelki mineralnej, zażył dwie tabletki paracetamolu i znowu wrócił do łóżka.

Nie wiedział, ile upłynęło czasu, gdy drzwi zaskrzypiały i weszła Iza. Omiotła wzrokiem bałagan panujący w pokoju, rzuciła okiem na pustą butelkę po wódce i bez słowa otworzyła szeroko drzwi balkonowe. Usiadła w fotelu na wprost łóżka. Przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądała się Johanowi. Nagle zerwała się i ruszyła ku drzwiom. Po chwili się zatrzymała.

– Dla twojej wiadomości: nie spałam z nim. Możesz mi wierzyć lub nie, ale z nim nie spałam. Całowałam się, ale do niczego nie doszło. – Zawiesiła głos, a potem dodała z nieoczekiwaną złością, żeby go zabolalo: – Mimo że miałam na to ochotę.

Rozdział 37

Mark Biegler położył się w ubraniu na łóżku, przymknął oczy i zaczął rozmyślać. Do tego czasu śledztwo nie za bardzo go absorbowало. Większym dla niego problemem było to, że nie może być z rodziną. Stosunkowo późne ojcostwo i trudności z płodnością spowodowały, że teraz wyjątkowo mocno doceniał fakt posiadania potomstwa. Córeczka Greta i synek Marek oraz ich matka stali się dla Bieglera najcenniejszymi na liście wszystkiego, co ważne. Do dziś żałował, że dał się namówić w lutym na narty, przez co stracił miesiąc z życia swoich dzieci, a teraz dodatkowo następne dwa tygodnie. Mimo że widział je w smartfonie kilka razy dziennie i kilka razy dziennie z nimi i z ich mamą rozmawiał, to wciąż czuł tęsknotę i dziwną pustkę.

Śledztwo prowadzone przez Krafta nie interesowało go w najmniejszym stopniu, jedynie irytowało, bo przez ślamazarstwo policjantów z Europolu wciąż był rozdzielony z rodziną. Teraz postanowił zacząć działać na własną rękę. Kilka lat temu udało mu się doprowadzić do rozwiązania pięciu spraw kryminalnych, które później opisał w powieściach wydanych w Wiedniu. Jedna z książek miała nawet zostać sfilmowana, ale nic z tego nie wyszło przez jego wyjazd do Australii. Nie żałował straconej okazji, bo dzięki pewnemu ginekologowi w Adelajdzie udało się Marcie zajść w ciążę i urodzić córeczkę, a później synka.

Przy tamtych sprawach zawsze miał do pomocy kogoś z policji. Obecnie ani Kraft, ani Moretti nie tylko nie kwapili się do współpracy, lecz wręcz go ostrzegali przed takim zamysłem. Śledztwo z samego założenia było wyjątkowo trudne nawet dla policji z powodu prawie półrocznej zwłoki i braku dowodów. Natomiast dla detektywa amatora rozwikłanie tej sprawy graniczyło z cudem. Mimo to postanowił bliżej przyjrzeć się świadkom i okolicznościom zdarzenia. W lutym nie zastanawiał się nad przyczynami śmierci Camilli Vogel, bo wszyscy, z policją na czele, domniemywali, że śmierć spowodował COVID-19. Pomimo pewnych wątpliwości rzucających się w oczy nikt, nawet lekarze Robert i Martin, nie podejrzewali morderstwa. Kiedy w czerwcu komisarz Kraft poinformował, że Camilla została zamordowana, i nakazał im przyjechać do Madonna di Campiglio, reakcja każdego z nich była trochę inna. Robert poczuł pewną ulgę, bo jego paniczny lęk przed tak wysoką śmiertelnością covidu trochę zelżał. U Renaty obudziła się ciekawość, natomiast Mark przyjął to jak niechcianą i bardzo uciążliwą dodatkową kwarantannę od rodziny.

Teraz postanowił bliżej zainteresować się okolicznościami obu śmierci. Przymknął oczy i się rozmarzył – jakby wspaniale było utrzyć nosa Kraftowi, podsuwając mu pod ten jego „utarty nos” wytropionego sprawcę. Na myśl o minie Krafta na ustach Bieglera automatycznie pojawił się uśmiech. Wcześniej nigdy nie pragnął laurów za schwytanie mordercy i cały splendor spływał na komisarza Biedę, ale w tym przypadku było inaczej. Mimo że dotąd nie interesował się poczynaniami Krafta, nagle w Bieglerze odezwał się detektywistyczny zew. Wiedział, że nie będzie to łatwe. Więcej – wręcz niemożliwe. Ale trzeba podjąć wyzwanie i spróbować.

Najwyższy czas, żeby przeanalizował wszystkie informacje dotyczące morderstwa i przepytał mieszkańców hotelu. Musi się zastanowić nad motywami i wyeliminować najmniej zainteresowanych śmiercią Vogel oraz ustalić chronologię wydarzeń. Może uda mu się coś wyciągnąć od Krafta. Przy poprzednich sprawach miał ułatwienie w postaci dostępu do wyników badań materiałów biologicznych, odcisków linii papilarnych i innych informacji śledczych. Pomagał mu komisarz Bieda, a w Wiedniu Marcel Rex. Teraz nie miał wglądu do żadnych danych, którymi dysponował Europol.

Nie wiedział, o której godzinie została zamordowana Camilla i kto był u niej w pokoju. Nie było nagrania z kamery umieszczonej na korytarzu, ale Kraft chyba ustalił godzinę śmierci. Została zamordowana przez uduszenie poduszką, więc być może zabójca zrobił to w wyniku gniewu lub pod wpływem innych gwałtownych emocji.

Ciekawe, czym dysponuje policja? – pomyślał Mark. Prawdopodobnie w ciągu tych kilku miesięcy wszystkie ślady uległy zniszczeniu. Cały materiał biologiczny, odciski daktyloskopijne i inne dowody pomocne w śledztwie teraz nie istniały. Pokój został wielokrotnie dokładnie wysprzątnięty, nie było w nim żadnych, najmniejszych nawet śladów po obecności Camilli Vogel i... mordercy. Podłogi

umyte, pościel dokładnie wyprana, a większość rzeczy usunięta ze względów epidemicznych. Reżim sanitarny bardzo przysłużył się sprawcy. Jedynym dowodem, którym dysponowała policja, były zwłoki Camilli.

Jak tu się dostać do wyników sekcji zwłok? – zastanawiał się. Na pewno wszystkie informacje są w laptopie Krafta. No i w jego głowie. Komisarz nie był skory do dzielenia się nimi z osobami niepowołanymi, a do takich należał również Mark. Włamać się do laptopa? Hmm, byłoby to bardzo trudne, bo trzeba mieć do niego dostęp. Wykraść komputer i złamać hasło? Nie był hakerem, jego wiedza informatyczna była na poziomie przeciętnego licealisty.

Ale przecież jest Johan von Briest! On na pewno mógłby rozszyfrować zabezpieczenie. Nie widział Johana wczoraj ani dzisiaj. Podobno ostro pochłał. No tak, Iza. Ach, te kobiety. Domyślał się, jak teraz może czuć się jego szwagier.

Trzeba sprawdzić, czy z nim wszystko w porządku.

Mark poderwał się z łóżka, chwycił komórkę i wyszedł z pokoju, który wraz z pokojem Martina znajdował się za winklem korytarza. Zapukał do drzwi sypialni Briesta i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Johan siedział przed laptopem i coś pisał.

– Dlaczego nie pokazywałeś się w jadalni ani wczoraj, ani dziś rano? – zapytał retorycznie, bo znał odpowiedź.

– Bo się odchudzam – mruknął Johan. A potem przesłał mu zaczepne spojrzenie. – Cóż to się stało, że pan Biegler zaszczycił mnie swoją osobą? Ostatnimi czasy Orłowscy i ich satelici mnie omijają.

– Bo ostatnio pan Johan von Briest gardzi naszym towarzystwem – odparł Mark z uśmiechem. Postanowił nie poruszać tematu Izy. – Co porabiasz?

– Jestem w królestwie elfów.

– To jeszcze nie skończyliście tej debilnej gry?

– Nie obrażaj milionów wielbicieli świata fantasy. Napijesz się czegoś?

– Chętnie wchłonąłbym zimnego browarka.

– Już się robi – powiedział Johan, otwierając lodówkę. – Trzeba przyznać, że ten hotelik umie zadbać o przyjemności swoich gości. W większości pensjonatów takiej lodówki nie uświadczysz.

– Martin wiedział, co robi, zapraszając nas tu w lutym na narty – stwierdził Mark.

– Szkoda, że nie przewidział pandemii i morderstwa jako atrakcji hotelowych.

– Ja właśnie w tej sprawie. Postanowiłem znowu zabawić się w Sherlocka. Czy będziesz moim Watsonem?

– Hmm, w czym mógłbym ci pomóc?

– Na początek powiedz mi wszystko, co wiesz. Podobno rozmawiałeś z Sewerem i Linnem? Byłeś też u notariusza?

Johan dokładnie zrelacjonował przeprowadzone rozmowy. Mark w skupieniu słuchał i notował w smartfonie. Kiedy von Briest skończył, Biegler zamyślił się, pocierając czoło dłonią.

– Zastanawia mnie, dlaczego Camilla tak szybko zmieniła testament. I dlaczego w ogóle wcześniej go napisała? Przecież była młodą kobietą. W wieku czterdziestu siedmiu lat nie myśli się o śmierci – powiedział.

– Bo miała syna – mruknął Johan. – A syn miał tylko ją.

– Rzeczywiście to jest argument. Rozumiem, chciała zabezpieczyć jego przyszłość, a Sewer okazał się opiekuńczym zbukiem, dlatego pomyślała o tobie. Ale dlaczego zrobiła to w takim pośpiechu?

– Bo przyłapała Sewera na zdradzie. W tym małżeństwie zdradzać mogła tylko ona. Znałem ją dobrze. To była prawdziwa harpia. W życiu zawodowym i rodzinnym.

– Ale dokonywać zmian w testamencie i zawiązywać nową spółkę podczas urlopu za granicą?

– Nie zapominaj, że jej fryzjerka umarła na covid. Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że kobieta miała cukrzycę. Po prostu Camilla przerażała się śmierci. Nawet Orłowski trząsł portkami, gdy się dowiedział o tych zgonach. Oprócz tego przez dłuższy czas miało nie być w Niemczech Alfreda Linna, bo wybierał się do Stanów.

– Hmm, może masz rację. Ja chyba też powinienem spisać testament – stwierdził Mark.

– Familia Orłowskich jest spora. Gdybyś umarł, miałby kto otoczyć opieką twoje bachorki –

mruknął Johan dość sarkastycznie. – Oni lubią dzieci, jeśli w ich żyłach płynie krew Orłowskich.

– Bardzo mało wiemy o śmierci Camilli. Tylko tyle, że została uduszona poduszką i znalazła ją rano Giulia. Według jej relacji wieczorem przed śmiercią Camilla narzekała na duszności. Hmm, trochę dziwne, że o tych dusznościach wcześniej nikomu innemu nie wspomniała. Przecież po kolacji rozmawiała z Orłowskimi na korytarzu. A może powiedziała o tym ciotce lub Linnowi? Trzeba sprawdzić, kto był w jej pokoju i o której godzinie. Kraft na pewno o tym wie – westchnął. – Chyba że mu nie powiedziano prawdy.

– Możliwe – mruknął Johan.

Ton, jakim to powiedział, trochę zdziwił Marka.

– A ty, Johan, byłeś u niej po kolacji? – zapytał.

– Ja? Co miałbym tam robić?

Znowu wyczuł w głosie mężczyzny coś niepokojącego.

– Na jej miejscu chciałbym z tobą porozmawiać, jeśli wcześniej uwzględniła cię w kodycyлу. Naprawdę nie wiedziałeś nic o Teo?

– Nie wiedziałem. Dowiedziałem się dopiero kilka miesięcy później w Berlinie, w kancelarii prawnej, kiedy przeczytano mi jej testament.

– Muszę się dowiedzieć, kto ją odwiedził w pokoju. Z zachowania Krafta wywnioskowałem, że był u niej kochanek. Według Giulii tym kochankiem był Lorenzo. Czyżby to on ją zabił? Ale dlaczego miałby to zrobić? Z tego, co mówiła Giulia, ten facet wykazywał się dużą interesownością. Dlatego bardziej potrzebował jej żywej niż martwej. – Mark potarł czoło dłonią. – Pasuje mi tu Sewer. On miał najlepszy motyw. Nawet lepszy od twojego.

– Co?! – Johan zmierzył go lodowatym spojrzeniem. – Kurwa, co mają znaczyć twoje insynuacje?

– Wybacz, myślę na głos. W twoim interesie było, żeby Camilla żyła, bo nie musiałbyś wychowywać Tea.

– Dzięki za zaufanie – sarknął von Briest.

– Ale zapisała ci dużo forsy... – Widząc minę Johana, Mark szeroko się uśmiechnął. Wstał z fotela i się przeciągnął. – Nie obrażaj się, żartowałem. Wiem, że forsa nie jest dla ciebie aż tak kusząca. Jesteś gotów zrezygnować z tej niezłej fortunki, żeby tylko nie wychowywać Tea. – Odchrząknął. – Czy mógłbyś mi towarzyszyć w rozmowie z Linnem i ciotką Camilli? Jesteś z nimi bliżej niż ja.

– Bliżej? – Johan się skrzywił. – Rozmawiałem z nimi zaledwie parę razy.

– Właśnie, a ja w ogóle. Oczywiście nie licząc „dzień dobry” i wzmianek o pogodzie.

Alfreda Linna nie było w pokoju, dlatego zaczęli od Leny Wolf. Kobieta nie otworzyła im drzwi, tylko powiedziała „proszę wejść”. Weszli do środka. Ciotka Camilli leżała na łóżku, ale na widok mężczyzny szybko się poderwała.

– Myślałam, że to Suzi z Teo – powiedziała, starając się ukryć wyraz zdziwienia, który pojawił się na twarzy. – Proszę usiąść. Czy panowie się czegoś napiją?

– Nie, dziękujemy – odparł Mark. – Chyba przeszkodziliśmy pani w drzemce?

– Dziś nie czuję się za dobrze. Ale to nic takiego, powinno mi zaraz przejść.

– Nie będziemy długo. Chcieliśmy zadać pani kilka pytań dotyczących Camilli – powiedział Mark.

– Tak? Myślałam, że w sprawie Tea. – Kobieta nie ukrywała rozczarowania. – W jakim celu mają być zadawane te pytania?

– Chcielibyśmy poznać bliżej okoliczności śmierci pani siostrzenicy i wyjaśnić, co się wtedy wydarzyło. – Tym razem głos zabrał Johan.

– Czyż nie są od tego komisarze Kraft i Moretti?

– Owszem, ale jak na razie nie są za bardzo skuteczni. Mark jest prywatnym detektywem i udało mu się już kilkakrotnie znaleźć sprawcę.

– To dlaczego komisarz Kraft nie korzysta z jego pomocy?

– Bo nie może, ponieważ Mark był wtedy w hotelu.

– Hmm, to znaczy, że pan Biegler należy do podejrzanych?

– Tak samo jak pani, pani Leno – mruknął Johan, wzruszając ramionami.
– Naprawdę tak pan uważa? – Uśmiechnęła się. – Jestem jedyną osobą, której naprawdę zależało, żeby Camilla żyła. Tak samo myśli komisarz.
– Nie wątpię. Ale znalazłoby się też parę innych osób, którym śmierć Camilli była nie na rękę. Na przykład ja. Pomoże nam pani?

Kobieta chwilę się wahała, po czym ostentacyjnie westchnęła.

– Proszę pytać.

– Kiedy widziała pani ostatnio siostrzenicę?

– Wpadła do mnie na chwilę około ósmej wieczorem, żeby mi powiedzieć dobranoc.

– Z tego, co pamiętam, pani pokój był połączony drzwiami wewnętrznymi z pokojem niani i Tea?

– Tak, ale drzwi były zamknięte na klucz, bo nie chciałam, żeby Teo mi przeszkadzał.

– Dlaczego siostrzenica oddała pani ten pokój, przecież wcześniej to ona go zajmowała?

– Miał więcej udogodnień. W łazience była wanna, a ja lubię leżeć w wodzie.

A może Camilla wolała więcej intymności? – mruknął w duchu Mark.

– Jej pokój też miał wewnętrzne drzwi?

– Tak, ale były zasłonięte szafą.

Szafą na kółkach – dopowiedział sobie Mark.

– Pani nie była po kolacji w jej pokoju?

– Nie. Prawie nigdy tam nie zaglądałam.

– Dlaczego pani przyjechała do Madonna di Campiglio w innym terminie niż Camilla?

– Bo wcześniej odbywałam kurację w południowej Bawarii. Akurat kończył mi się turnus, gdy Camilla przyjechała na urlop do Madonna di Campiglio. To niedaleko, więc mnie zaprosiła, żebym przedłużyła sobie odpoczynek.

– Czy pani wie, kto po kolacji odwiedził Camillę w pokoju?

– Wiem tylko o wizycie Alfreda.

– A czy był u niej Georg?

– Nie wiem. Ale to możliwe. Z reguły nikogo tam nie zapraszała, nawet małemu nie było wolno do niej wpadać. Wolała sama przychodzić do jego pokoju, żeby ucałować go przed snem. – Zawahała się i zaraz dodała: – Camilla miała problemy z zaśnięciem.

Głupie wytłumaczenie. Co ma piernik do wiatraka – pomyślał Mark. Raczej nie chciała, żeby jej przeszkadzano w schadzce z kochankiem.

– Czy siostrzenica zwierzała się pani z problemów małżeńskich?

– Raczej nie, bo od początku byłam przeciwna temu związkowi. Ale ona chciała, żeby Teo miał w domu męskie wzorce. Niestety nie mogła gorzej trafić. Myślała, że Georg będzie dobrym ojczymem, ale szybko się okazało, że to narkoman i alkoholik.

– Czyżby Camilla nie wiedziała tego wcześniej? Przecież wszyscy w Super Star o tym mówili. – Johan wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że wiedziała, tylko liczyła, że uda jej się go zmienić. Na jej miejscu wybrałbym kogoś innego na ojczyma.

– Cóż biedaczka miała zrobić, kiedy ojciec jej dziecka ożenił się z kimś innym? – oznajmiła tonem obrażonej hrabiny.

Mark, widząc wzburzenie na twarzy Johana, szybko zainterweniował następnym pytaniem.

– Czy pani wiedziała o romansie Georga i Suzi?

– Camilla powiedziała mi o tym po kolacji tego dnia, kiedy została zamordowana – odparła cicho.

– A czy Georg wiedział, że żona dowiedziała się o jego zdradzie?

– Nie wiem. Miała mu to wygarnąć, ale nie wiem, czy to zrobiła tego dnia, czy planowała to zrobić dopiero w Berlinie.

– Pani Leno, zastanawia nas, dlaczego pani siostrzenica w takim pośpiechu wezwała Linna, żeby przeprowadzić fuzję. Dlaczego się z tym nie wstrzymała do jego powrotu ze Stanów? Można odnieść wrażenie, że... obawiała się śmierci.

Kobieta milczała. Przez jej twarz przewinęło się wahanie. Po chwili znowu westchnęła.

– Obiecałam jej, że nikomu tego nie powiem, ale policja już wie... Zresztą teraz to już nie ma

znaczenia. Camilla była chora na raka. Na raka płuc. – W pokoju zapanowała cisza. – Nikt o tym nie wiedział. Nienawidziła współczucia ani litości. Zawsze chciała uchodzić za silną kobietę. Nie powiedziała nawet Alfredowi. Georg oczywiście również nie wiedział. Przed operacją mówiła współpracownikom, że jedzie na wczasy. – Wierzchem dłoni otarła łzę. – Nie brała chemii tak jak ja, zastosowano u niej inną terapię. Już czuła się dobrze i powoli dochodziła do siebie. Myślałyśmy, że to najgorsze jest już za nami. Ale parę dni przed śmiercią dostała maila z wynikami badań. Okazało się, że ma przerzuty... Śmierć fryzjerki też bardzo nią wstrząsnęła. Dlatego Camilla zaczęła się obawiać o przyszłość synka... W tej kwestii nie mogła liczyć na mnie, bo ja też jestem pacjentką onkologiczną, no i nie jestem już młoda. – Przymknęła na chwilę powieki i powiedziała cicho: – To przez nowotwór miała tę desperację, ten głód życia. I czasami bezwzględność.

– Bezwzględna była od zawsze – mruknął po polsku Johan, a po niemiecku zapytał: – Kiedy zachorowała?

– Niedługo po urodzeniu Tea. Pragnęła zabezpieczenia dla syna, dlatego napisała testament przed operacją. Wtedy jeszcze nie знаła prawdziwego oblicza Georga. Z biegiem czasu, gdy zaczynała dochodzić do siebie, testament nie był priorytetem, chociaż miała już wtedy duże wątpliwości w stosunku do męża. Dopiero gdy się dowiedziała o jego zdradzie, postanowiła wnieść zmiany w testamencie. – Kobieta utkwiała spojrzenie w Johanie. – Stwierdziła, że pan jest dużo lepszym materiałem na ojca dla Tea niż Georg. Ale niestety widzę, że się pomyliła. Zauważyłam, że brak empatii i zrozumienia cechuje nie tylko pańską żonę, lecz także pana.

Mark poruszył się niespokojnie.

– Teo to temat nie na dzisiaj – mruknął. – Czy Camilla wspominała pani coś o Lorenzu?

– Nie.

– Naprawdę nie pani nie wiedziała o jej nocnych schadzkach?

– Nie. Camilla miała duży temperament seksualny. Przez wiele lat była żoną o wiele starszego od siebie mężczyzny i nigdy go nie zdradziła, może stąd ten jej pociąg do młodych mężczyzn. Moja siostrzenica była kobietą nietuzinkową. Długo nie mogłyśmy dojść ze sobą do porozumienia, ale gdy zachorowałam, a potem ona, nasze relacje się zmieniły. – Lena Wolf mocno zacisnęła powieki. – Bardzo się do siebie zbliżyłyśmy. – Zrobiła krótką przerwę, żeby się opanować, zaczęła mówić dopiero po chwili. – To ja ją wychowywałam. Może byłam dla niej zbyt surowa... Chciałam wpoić jej własne ideały, ale mi to nie wyszło. Najgorsze, że te moje ideały były nie tylko zwykłą mrzonką, dodatkowo okazały się paskudnym falsyfikatem utopijnych teorii sprawiedliwości społecznej, zafałszowanym już w samym zaraniu. Ona była bystrzejsza ode mnie, bo od razu się na tym poznała. – Ostatnim słowem towarzyszyło głośne westchnięcie. – Bardzo żałuję, że straciłyśmy tyle czasu, że tak długo byliśmy daleko od siebie. I wcale nie mam na myśli odległości mierzonej w kilometrach.

– A czy Georg wiedział o jej romansie z Lorenzem? – Biegler powrócił do meritum.

– Nie wiem. Nigdy przed nim nie ukrywałam mojej antypatii do niego. Nasze relacje były bardzo luźne. Kiedy bywałam w domu Camilli, wołał nie wchodzić mi w drogę.

– A czy Linn wiedział o Lorenzu?

– Wątpię. Camilla była skrytą i dyskretną osobą. Prawdopodobnie o ich romansie, jeśli rzeczywiście coś ich ze sobą łączyło, nikt nie wiedział.

– Giulia podobno wiedziała.

– No tak. Z tego wniosek, że to jej, oprócz Georga, najbardziej zależało na śmierci Camilli.

Rozdział 38

Po opuszczeniu pokoju Leny Wolf Mark i Johan skierowali się do lokalu zajmowanego przez Alfreda Linna. Otworzył im drzwi i trochę zdziwiony wpuścił do środka.

– Zaskoczyliście mnie, panowie, wizytą – powiedział, wskazując im fotele. – Może napijemy się drinka?

– Dobry pomysł.

– Whisky? Dżin? Koniak?

– Mam ochotę na dżin z tonikiem – powiedział Mark.

– A pan, panie Johanie?

– Poproszę to samo.

– No to ja też się napiję dżinu, dawno go nie piłem.

Wlał alkohol do trzech szklanek, dopełnił tonikiem i wrzucił plasterki limonki oraz kilka kostek lodu. Postawił na stoliku, a sam usiadł na krześle, bo były tylko dwa fotele.

– Słucham. Czym mogę panom służyć? – zapytał, uśmiechając się do mężczyzn. – Bo domyślam się, że nie przyszliście tu bez powodu.

Mark odchrząknął.

– Nie będę owijał w bawełnę. Mamy zamiar charytatywnie pomóc komisarzowi Kraftowi w odnalezieniu mordercy – zakomunikował Biegler pół żartem, pół serio.

– Czy panowie nie przeceniają swoich sił? – zauważył Linn z ironicznym uśmiechem w kącikach ust. – Chcecie konkurować z Europolem?

Do rozmowy włączył się Johan.

– Chyba pan nie wie, panie Alfredzie, że Mark jest prywatnym detektywem i rozwiązał kilka zagadek kryminalnych.

– Nie wiedziałem. Jeśli ma pan takie duże osiągnięcia na polu detektywistycznym, dlaczego nie wykorzystał tego komisarz Kraft i nie zaproponował panu współpracy?

– Ponieważ tego feralnego dnia byłem w hotelu, przez co znalazłem się w gronie podejrzanych – odparł Mark również z uśmiechem.

– Dlaczego dopiero teraz odezwał się w panu bakcyl detektywistyczny?

– Bo chcę wracać jak najszybciej do domu, a wszystko wskazuje na to, że Kraft zamierza nas tu jeszcze jakiś czas przetrzymać.

– No dobrze, pytajcie. Mnie też spieszno do domu – odparł.

– Kiedy ostatni raz widział pan Camillę? – zapytał Mark.

– Przyszedłem do niej przed dziewiątą wieczorem i wyszedłem chyba po jedenastej.

– Po co pan tam poszedł?

– Bo mnie o to poprosiła albo raczej mi to nakazała. Mieliśmy obgadać jeszcze parę spraw.

– Czy w tym czasie ktoś do niej dzwonił?

– Nie, ale dostała SMS-a.

– Od kogo?

– Nie wiem, nie powiedziała.

– Czy był ktoś jeszcze u niej? Ciotka, jej mąż, synek?

– Nie. Nikt do niej nigdy nie przychodził bez jej zaproszenia. Nawet Teo. Mówiła, że pokój to jej osobisty azyl. Dlatego sama odwiedzała synka i ciotkę.

– Pamięta pan dokładnie, która była godzina, gdy opuścił pan jej pokój?

– Nie patrzyłem na zegarek, ale Camilla powiedziała, że już późno, bo minęła jedenasta. Odebrałem to jak wezwanie do wyjścia. Dlatego wyszedłem.

– Czy oprócz spraw zawodowych rozmawialiście jeszcze o czymś innym? O synku, ciotce?

– Coś tam o nich bąknęła, ale nic konkretnego, co byłoby tematem do dłuższej rozmowy.

– A o mężu? Czy powiedziała panu o jego zdradzie?

– Tak. Na początku nie chciała mi powiedzieć, dlaczego jej tak zależy na fuzji, ale potem się

przyznała.

– Czy rozmówiła się z mężem?

– Nie wiem. Chyba nie, bo przy nas nadal sprawiali wrażenie, że wszystko jest w porządku. – Zamyślił się. – Ale możliwe, że Sewer domyślił się odkrycia przez Camillę jego romansu i grał w jej grę. – Zmarszczył brwi. – Tak, to możliwe. Coś sobie przypomniałem. Przed kolacją w tym dniu, kiedy ją zabito, usłyszałem, jak niania powiedziała do Georga: „ona chyba wie”. Wtedy jakoś nie skojarzyłem tych słów z Camillą.

– Co odpowiedział na to Georg?

– „Bzdury pani opowiada”. Nie wiem, czy powiedział tak, bo zauważył mnie zbliżającego się do stolika, czy chodziło o coś innego.

– Czy pan wiedział o romansie Camilli z Lorenzem?

– Nie. Dlaczego miałyby mi się zwierzać ze swoich przygód miłosnych?

– Bo byliście podobno przyjaciółmi. A kiedyś nawet kimś więcej.

– Nie, nie mówiliśmy o takich sprawach.

– A o wcześniejszych jej romansach? Podobno zdradzała Sewera już wcześniej?

Linn wzruszył ramionami.

– Camilla była kobietą z dużym temperamentem, piękną, bogatą i wpływową. Dlatego bez trudu mogła mieć kochanków na pęczki.

– A pan również się do nich zaliczał? Mam na myśli okres po waszym oficjalnym zerwaniu – zapytał dość obcesowo Mark. – Często się zdarza taki sentymentalny powrót do przeszłości.

– Nie, panie detektywie. Oboje należeliśmy do osób, które nie są z natury sentymentalne. Kiedyś, gdy byliśmy w związku, łączyła nas nie tyle miłość, ile podobieństwo charakterów i podobne traktowanie wielu spraw. Oboje byliśmy pragmatykami, a nasz związek bardziej przypominał spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością niż romans odurzonych miłością kochanków. Byliśmy za starzy i zbyt przesiąknięci realizmem, żeby się w sobie zakochać. Tworzyliśmy dwójkę dobrych kumpli, którzy chcą być ze sobą, bo im tak wygodnie. Zamierzaliśmy nawet się pobrać, ale Camilla nie tolerowała innych kobiet w moim życiu, a ja z natury jestem poligamistą, zresztą tak jak ona. No i to dziecko. Ciągłe mówiła o dziecku. A ja się na to już nie pisałem. Dlatego się rozstaliśmy. Musi pan więc skreślić opcję, że nostalgia popchała nas ponownie do łóżka. Ale muszę przyznać, że to właśnie nostalgia i wzajemne zaufanie popchnęło Camillę do fuzji. Oboje wiedzieliśmy, czego możemy się po sobie spodziewać, dlatego mogliśmy stać się współnikami.

– Czy coś wskazywało, że Camilla spodziewa się tego wieczoru jeszcze jakiegoś gościa?

Linn się zamyślił.

– Hmm, chyba tak. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale możliwe, że na kogoś czekała. Jej ziewanie było zbyt ostentacyjne. Prawdopodobnie chciała się mnie pozbyć.

Johan spojrzął na Marka, jakby się zastanawiał nad pytaniem.

– Czy wiedział pan, że Camilla miała nowotwór? – zapytał w końcu.

– Nie. Dowiedziałem się o tym po jej śmierci od ciotki – odparł smutno. – Camilla zawsze chciała uchodzić za silną kobietę. Powinienem być się domyślić. Ostatnio odnosiłem wrażenie, że się bała śmierci i tego, co się stanie z Teo, ale myślałem, że powodem jej lęku był koronawirus. Śmierć fryzjerki mocno nią wstrząsnęła.

– Giulia wspominała, że tego dnia Camilla narzekała na duszności? Czy panu też mówiła, że nie domagała?

– Nieee. – Pokręcił powoli głową. – Camilla nigdy nie narzekała. Chyba jednak było coś dziwnego w jej zachowaniu, bo się nie dziwiłem, gdy usłyszałem od Giulii o jej dusznościach. Nie miałem też żadnych wątpliwości, że przyczyną śmierci był covid. Tak, nie zaskoczyło mnie, że umarła na covid. Może był to kaszel? Może jej oddech? Teraz już wiem, że to prawdopodobnie rak dawał znać o sobie.

Rozdział 39

Po wyjściu z pokoju Linna Mark i Johan postanowili odwiedzić również Georga, ale gdy weszli do środka, szybko stwierdzili, że nie można się z nim dogadać. Był tak zamroczony alkoholem, że z trudem rozumieli jego bełkot, dlatego rozmowę przenieśli na inny termin.

– Jest tak nawalony, że wątpię, czy przyjdzie na kolację – mruknął Johan, siadając w fotelu w pokoju Bieglera.

– Też tak uważam – odparł Mark. – Sam zobacz, w ciągu jednego popołudnia przeprowadziliśmy dwie rozmowy. Uważam, że przesłuchanie wszystkich osób nie powinno zająć Kraftowi więcej niż tydzień. Nie rozumiem, po co tak długo nas tu przetrzymuje. Moje dzieci za mną płaczą, żona tęskni, a ja się muszę dostosowywać do widzimisię pana komisarza.

– Chyba uważa, że nie dałby rady wyjaśnić wszystkich wątpliwości, gdybyśmy stąd wyjechali.

– Chyba tak. Nasz pobyt tutaj to dla niego ostatnia szansa na rozwiązanie sprawy. W sumie to przez cały ten czas przesłuchiwał nas, Polaków, tylko dwa razy. Najwięcej maglował Włochów i Niemców. No i Zuzę. Z tego wniosek, że ich zeznania są dla niego bardziej interesujące niż nasze. Chciałbym wiedzieć, co mu się pląta po głowie, a jeszcze bardziej, co się znajduje w jego laptopie. Gdyby nam się udało zdobyć dostęp do wyników sekcji Camilli, to mielibyśmy dużą szansę znaleźć winnego. – Spojrzał na Johana i odchrząknął. – Dałbyś radę złamać hasło w jego komputerze?

Johan spojrzał na kolegę podejrzliwie. Zmarszczył brwi.

– Zwariowałeś?! Chcesz ukraść policjantowi komputer i włamać się do niego?! Przecież to przestępstwo!

– Tak myślałem – westchnął. – Wciąż przeważa w tobie niemiecka natura. Ja jestem już w większej części zasymilowanym Polakiem, bo nie mam takich obiekcji.

– Lepiej spróbuj wyciągnąć od niego jakieś informacje. Może przyjąłby twoją propozycję pomocy przy śledztwie? Przecież rozwiązałeś parę spraw. Jesteś prywatnym detektywem...

– Ile razy mam wam wszystkim powtarzać, że nie jestem detektywem. Nie mam zgłoszonej działalności ani nawet nie posiadam licencji. Zresztą i tak Kraft nic by mi nie powiedział. Nie ma żadnych szans. To stuprocentowy Niemiec. Obowiązkowość, stosowanie się do regulaminów i wykonywanie rozkazów przełożonych to dla niego najważniejsze wersety policyjnego pacierza.

– Proszę nie obrażać Niemców, nie zapominaj, że mam podwójne obywatelstwo – bąknął żartobliwie Johan. – Nie powiedziałbym, że jest taki akuratywny. Przesłuchanie prowadzi w dość niekonwencjonalny sposób.

– Ale gwarantuję, że mi nie odkryje nawet kawałka śledczych sekretów. To nie komisarz Bieda. – Mark westchnął na wspomnienie policjanta, z którym kilkakrotnie współpracował w Polsce. – Musimy sami sobie radzić.

W tym momencie uchyliły się drzwi i do pokoju wszedł Martin Schmidt.

– Co tu porabiacie przez całe popołudnie? – zapytał.

– Staramy się złapać mordercę – odparł z uśmiechem Johan.

– Przecież jeszcze nie wiadomo, czy to było morderstwo, czy wypadek?

– Szukamy mordercy Camilli, a nie Lorenza. Zresztą jeśli Lorenza rzeczywiście zamordowano, to na pewno ma to jakiś związek ze śmiercią Camilli – stwierdził Mark.

– Niekoniecznie – mruknął Martin. – Nie uważasz, że jego śmierć może być powiązana z jego romansami?

– Masz na myśli Giulie? Hmm, zobaczymy, jak Kraft to potraktuje. Wszystko zależy od wyników autopsji i ekspertyzy motocykla – zauważył Mark.

– Śledztwo to sprawa Krafta, nie nasza. Chodźmy na kolację, bo Robert czeka na nas na dole.

Tego wieczoru Mark z nikim więcej nie rozmawiał na temat śmierci Camilli, postanowił dalsze przesłuchania przeprowadzić nazajutrz. Tak jak przypuszczał, Georg Sewer nie zjawił się na kolacji. Giulia i jej ojciec również nie zasiedli wspólnie do stołu, tłumacząc się obowiązkami w kuchni.

– Przecież zatrudnili kucharkę i pomoc kuchenną – mruknęła Renata. – Głupio im teraz z nami

rozmawiać.

– Mark i Johan, coście robili przez całe popołudnie? – zapytał Robert.

– Pomagałem Johanowi przy fabule gry – odparł Mark, ku zdziwieniu Martina. – Ktoś musi to zrobić, skoro Iza się na niego wypięła.

Dziewczyna przesłała Markowi lodowate spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Scenariusz był już dawno gotowy.

Mark nie chciał, żeby Kraft i Moretti dowiedzieli się o jego dzisiejszych rozmowach z Linnem i Leną Wolf, w duchu licząc na dyskrecję obojga Niemców. Obawiał się, czy w jadalni nie założono podsłuchu. Nazajutrz planował przeprowadzić rozmowę z Giulią i jej ojcem oraz z Zużą. No i Georgiem, jeśli będzie trzeźwy.

Spojrzał na Johana i Izę. Siedzieli obok siebie sztywno wyprostowani, starając się przypadkiem nie dotknąć. Nie patrzyli na siebie ani ze sobą nie rozmawiali. Wręcz wyczuwało się promieniującą od nich wzajemną wrogość.

Oj, źle się dzieje w państwie Von – sparafrazował w duchu cytaty z Hamleta. To się może skończyć rozwodem.

Po kolacji klan Orłowskich jak zwykle zaszył się w altanie, racząc się piwem i drinkami. Byli prawie wszyscy, Markowi udało się zaciągnąć tam nawet Johana. Zabrakło jedynie Izy, która wolała spędzić wieczór na czytaniu książki.

Rozdział 40

Rano Mark, idąc na śniadanie, zobaczył uchylone drzwi pokoju, w którym zamordowano Camillę. Wszedł do małego przedpokoiku, odgradzającego właściwe pomieszczenie ażurową ścianką. Pięło się po niej zielone pnącze, dzięki temu łóżko znajdowało się w zacisznym kącie sypialni, osłonięte przed niepożądanym wzrokiem. W innych pokojach układ ścianek był taki sam, co doceniali goście hotelowi lubiący kameralność. Mark spodziewał się zastać w środku sprzątaczkę, ale nikogo tam nie było. Rozejrzał się po wnętrzu. Umebłowanie było podobne jak w jego pokoju, tylko ściany miały inny kolor, bo były w odcieniu limonki, natomiast u niego miały barwę szaroniebieską. Podwójne łóżko, szafki nocne, biurko z krzesłem spełniające również funkcję toaletki i okrągły stolik okolicznościowy oraz dwa fotele klubowe. Umebłowanie różniło się jedynie szafą. W jego pokoju była wbudowana we wnękę, a tutaj stała na środku ściany. Wiedział dlaczego – za szafą znajdowały się drzwi prowadzące do drugiego pokoju. Po przesunięciu szafy wewnątrz tworzyło dwupokojowy apartament z dwiema łazienkami. Tak samo było u Orłowskich.

Schylił się, żeby się przyjrzeć nóżkom mebla. Były zaopatrzone w kółka z blokadą. Odhaczył opornik wszystkich czterech, popchnął szafę, która z łatwością przesunęła się w bok, ukazując drewniane drzwi. W zamku tkwił klucz. Drugim zabezpieczeniem przed niepożądanym wtargnięciem była metalowa zasuwka. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do drugiego pokoju. Pamiętał, że w lutym ten pokój stał pusty.

Mark wyszedł na balkon. Wszystkie balkony były ze sobą połączone, odgródzone jedynie drewnianą kratownicą. Po takiej kratownicy, po której teraz piął się bluszcz, przeszedł Eryk na balkon dziadków. Biegler przypomniał sobie awanturę, jaką Robert zrobił wnukowi. Wychylił się przez balustradę. Na narożniku budynku zauważył przymocowaną kamerę, której optyka obejmowała wszystkie balkony. Mark był przekonany, że ta kamera również nie działała, podobnie jak ta na korytarzu. Włosi dość opieszale naprawiali usterki. Pamiętał rzymskie restauracje, prawie w każdej było coś zepsute. Albo z kranu kapąła woda, albo był urwany pojemnik na papier toaletowy, albo przeciekała spłuczka. Stella różniła się pod tym względem od innych włoskich lokali, w których bywał, ale tu również coś szwankowało – kamery. Hmm, może niekoniecznie były zepsute, może ktoś je specjalnie uszkodził.

Wrócił do pokoju. Zamknął drzwi na klucz i zasłonił je szafą.

Mark postanowił zacząć się na Zuzę, by z nią porozmawiać, gdy będzie sama. Nie miał z tym dużych trudności, bo od razu ją przyuważył przy brodziku dla dzieci. Mały taplał się w wodzie, a dziewczyna siedziała na leżaku pod parasolem, bawiąc się smartfonem.

– Co ciekawego w necie, pani Zuzo? – zapytał po polsku. Rzadko z nią rozmawiał, a nigdy sam na sam.

– Nie wiem, bo akurat pisałam SMS-a do koleżanki.

Spojrzał na jej lewą rękę na temblaku.

– Chyba teraz niewygodnie pisać pani SMS-y?

– Kwestia przyzwyczajenia. Potrafię napisać wiadomość jedną ręką, trzymając telefon w kieszeni i nie patrząc na klawiaturę.

– Naprawdę? Myślałem, że tylko Johan umiał tak zrobić. Ach, wy młodzi, wychowani na smartfonach i laptopach! Zazdroszczę wam tej biegłości.

– Panie Marku, to czysta kokieteria z pańskiej strony. Chyba pan czeka, aż temu zaprzeczę? – Uśmiechnęła się i zdrową ręką przesunęła okulary słoneczne na czubek głowy. – Ile ma pan lat? Według mnie najwyżej trzydzieści kilka.

– Chciałbym tyle mieć – odparł, wpadając w ton leciutkiego flirtu i przesyłając dziewczynie wesołe spojrzenie. – Niestety czterdziestka już mnie dopadła.

– Nie widać tego po panu. Blondynki i blondyni młodziej wyglądają niż ciemnowłosi. – Rozmawiając z Markiem, cały czas obserwowała chłopczyka. – Teo, zabroniłam ci podchodzić do dużego basenu. Jeśli będziesz nieposłuszny, wrócimy do pokoju.

– Suzi, nie patrz na mnie, kiedy rozmawiasz z panem. *Mami* mówiła, że to niegrzecznie – odparł rezolutnie mały.

Mark parsknął śmiechem. Zuza zapunktowała w jego oczach. Już wcześniej zauważył, że była dobrą opiekunką.

– Ma pani właściwe podejście do dzieci. Trudno dziś o odpowiedzialną i oddaną nianię. My z żoną szukamy takiej osoby już od pewnego czasu, ale na razie nie trafiliśmy na nikogo odpowiedniego.

– Najlepszą nianią jest rodzona matka – odparła dziewczyna. – Nie zastąpi jej nawet najlepsza opiekunka. Dlaczego żona nie chce sama wychowywać dzieci?

– Chciałaby wrócić do zawodu. Jest nauczycielką. Nie pracowała przez wiele lat, a im większa przerwa, tym trudniej się potem odnaleźć w pracy. Zresztą potrzebujemy niani na kilka godzin dziennie; najwyżej na cztery, może pięć. Teraz, gdy chcemy wyjść gdzieś bez dzieciaków, korzystamy z pomocy gosposi Orłowskich. Ale pani Stasia jest już starszą kobietą, a jej córka ma dużo obowiązków związanych z prowadzeniem kilku domów.

– Tak to jest u bogatych. Nie potrafią sami ugotować ani posprzątać, dlatego muszą uciekać się do pomocy osób takich jak ja – zauważyła z przekąsem.

– Kiedy się pracuje zawodowo lub prowadzi firmę, a do tego wychowuje dzieci lub wnuki, trzeba umieć skorzystać z pomocy innych. – Mark uśmiechnął się życzliwie do dziewczyny. – Bogaci próbują walczyć czynnie z bezrobociem. Chcą dać zarobić fryzjerce, manicurzystce, kosmetyczce, kucharce, sprzątacze, no i niani. Pani Zuzo, proszę nie zazdrościć bogatym kobietom. Jest pani bogatsza od wielu z nich. Ma pani młodość i urodę – powiedział, zdając sobie sprawę, że brzmi to trochę żenująco.

Rzeczywiście dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Aha, a więc pańska żona jest stara i brzydka?

Mark również się roześmiał.

– Trochę przesadziłem.

– Ale szczęściara z tej pańskiej żony! Nie tylko przystojny i bogaty, lecz także rodzinny. Niech pan nawija, o co panu tak naprawdę chodzi, bo nie wierzę, żeby gadał pan ze mną bez przyczyny.

Mark odchrząknął. I znowu uśmiechnął się do opiekunki.

– Ma pani rację. Przyszedłem tu, żeby zadać kilka pytań. Jest z pani bystra dziewczyna i na pewno niewiele rzeczy pani umknie. – Zaczął i zawiesił głos.

Zuza zmarszczyła czoło i przymrużyła oczy.

– Uważa mnie pan za źdźwirę? – zapytała nieoczekiwanie.

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Dlaczego miałbym tak uważać?

– Bo się zadawałam z Lorenzem, a on miał narzeczoną. – Westchnęła. – Czy to takie dziwne, że dziewczyna chce znaleźć fajnego mężczyznę? Że chce kogoś pokochać? Wiem, że byłam nie w porządku w stosunku do Giulii, ale on mówił, że ma zamiar od niej odejść. Że wstrzymuje się z tym do momentu, aż stąd wyjedziemy. Mówił, że jest z nią nieszczęśliwy... Nie przypuszczałam, że taki z niego oszust.

– Nie o tym chciałem z panią rozmawiać, pani Zuzo.

– To o czym? O Camilli?

– Tak.

– Obiło mi się coś o uszy, że jest pan prywatnym detektywem.

– Ależ skąd! Nie jestem żadnym detektywem, po prostu udało mi się rozwiązać kilka spraw. Jestem dziennikarzem i pisarzem. Ale rzeczywiście zaintrygowały mnie okoliczności śmierci Camilli Vogel.

– Dlaczego dopiero teraz?

– Nie wiem. Może dlatego, że Kraft robi to bardzo opieszale. Czy mogłaby mi pani pomóc?

– Czy pan podejrzewa, że to ja zabiłam Vogel? Dlatego, że byłam kochanką Georga?

– Nie, nie podejrzewam pani. Ale przypuszczam, że dużo pani wie o małżeństwie Camilli i w ogóle o niej samej. I te informacje mogłyby mi wiele pomóc.

Dziewczyna przez chwilę przyglądała się mężczyźnie w milczeniu. Po czym skierowała wzrok w stronę Tea. Chłopiec bawił się w baseniku.

– Proszę pytać.

– Słyszałem, że w znalezieniu posady niani w domu Camilli Vogel pomógł pani jej mąż.

– Tak, to prawda. Spotykaliśmy się ze sobą już wcześniej. – Zrobiła minę, jakby się trochę zawstydziała. – Myślałam, że pomoże mi zacząć się w telewizji, a tymczasem znalazł mi pracę w pokoju dziecka swojej żony. Georg mi mówił, że ich związek ma układ otwarty. Że mogą mieć innych partnerów seksualnych, tylko muszą robić to dyskretnie. – Poruszyła się niespokojnie. – Wiem, że to brzmi dziwnie, ale wielu bogatych ludzi to stosuje. Ona rzeczywiście miała kochanków. Ale szybko się przekonałam, że ten przywilej tylko jej przysługiwał.

– W jaki sposób się pani o tym przekonała?

– Georg mnie ostrzegł, że musimy uważać, żeby nas nie nakryła Camilla, bo to będzie koniec naszych planów. – Nagle na twarzy dziewczyny pojawiło się zmieszanie, gdy sobie uświadomiła, jak to zabrzmiało.

– Jakie plany?

– Na pewno nie morderstwo! – zawołała podniesionym tonem.

– To co mieliście na myśli?

Dziewczyna nerwowo odgarnęła włosy z twarzy.

– Ona była chora na raka.

– Skąd pani to wie? Powiedziała mężowi? Albo pani?

– Mnie?! Ależ skąd! Georgowi również nic nie powiedziała. Dowiedział się przypadkiem. Kiedyś znalazł na jej biurku wyniki biopsji. Nikomu nie powiedziała. Nie jestem nawet pewna, czy ciotka wiedziała! W telewizji też nikt nie wiedział. Musieliśmy tę informację trzymać mocno za zębami, bo mogłoby się to źle dla nas skończyć. Ona nie lubiła się przyznawać do słabości.

– Jak wam się udało utrzymać wasz romans w tajemnicy?

– Byliśmy bardzo uważni, no i moje maskowanie zrobiło swoje. Bez makijażu i w paskudnych łachach wyglądałam naprawdę nieciekawie. Specjalnie owijałam się bandażami, żeby wyglądać grubo. W jej domu zachowywaliśmy ścisły dystans. Spotykaliśmy się tylko raz w tygodniu, gdy miałam wolne. – Naprawdę nie zamierzaliśmy przyspieszyć jej śmierci, ale... wie pan, jak to jest z rakiem. Wiedzieliśmy, że kiedyś to nastąpi. – Spojrzała na Marka prosząco i zniżyła głos. – Nigdy bym jej nie zabiła, chociaż potrafiła być żmija. Nie zrobiłabym tego chociażby ze względu na Tea. To była jego matka.

– A czy mógłby to zrobić Georg?

Chwila wahania.

– Nie wiem – w końcu odparła, nie patrząc przy tym Bieglerowi w oczy. – Powiedziałam mu, że nigdy tego nie zrobię.

– To jednak brał pod uwagę taką opcję?

Milczała. Widząc, że nie doczeka się odpowiedzi, zadał ponowne pytanie.

– Czy Georg się domyślał, że jego żona się o was dowiedziała?

– Nie. To ja miałam pewne podejrzenia.

– Dlaczego?

– Bo bardzo dobrze znałam tę żonę. W jej zachowaniu zaczynało być coś dziwnego. Niby w stosunku do mnie zachowywała się tak jak zwykle, ale zauważyłam, że mnie obserwuje. I patrzy na mnie jak... przez lupę. Tylko trochę mnie dziwiło, dlaczego nie wywaliła mnie od razu. Znając tę sekutnicę, powinna nam zrobić piekielną awanturę, a ona nic. Przecież w tym małżeństwie tylko ona miała prawo do zdrady, a nie jej mąż – sarknęła. – Dlatego nie miałam pewności.

– Czy swoimi podejrzeniami podzieliła się pani z Georgiem?

– Tak, ale to zignorował.

– Wspominała pani, że Camilla miała kochanków. Skąd pani o tym wiedziała? Widziała ją pani z jakimś mężczyzną?

– Nigdy jej z nikim nie widziałam, ale jestem pewna, że miała kogoś. To się wyczuwało. Nie wiem, czy był to jeden facet, czy kilku, ale na pewno chodziła na rozbierane randki. Wracała wtedy do domu jakaś taka rozanielona, z rozmażanym makijażem i zburzoną fryzurą. Raz wróciła bez majtek. Przyuważyłam, jak wyciąga z torebki czerwone figi i z pewnym rozbawieniem wrzuca je do kosza na

brudną bieliznę.

– Widzę, że jest pani dobrą obserwatorką. A czy wiedziała pani o jej romansie z Lorenzem?

Dziewczyna westchnęła.

– Nie. W życiu bym się tego nie domyśliła. Gdybym o tym wiedziała, na pewno bym się nie spiknęła z Lorenzem. Teraz jednak sobie przypominam, że raz spotkałam go w nocy na korytarzu. Wtedy już Camilla oddała swój pokój ciotce i przeniosła się do drugiego. Pamiętam, że Teo miał ciepłe czoło, a termometr był u Camilli, dlatego do niej poszłam. Wtedy zauważyłam Lorenza wchodzącego do sąsiedniego pokoju. Ale nie powiązałam tego z nocną schadzka. Myślałam, że poszedł tam coś naprawić. I rzeczywiście nazajutrz zapytał mnie o kaloryfery, czy u mnie nie przeciekają, bo pod numerem 110 kapąła woda. – Westchnęła. – Teraz już wiem, że Camilla otwierała wewnętrzne drzwi.

– A z panią gdzie się spotykał? Przychodziła pani do jego pokoju?

Dziewczyna nerwowo poruszyła się na leżaku i poprawiła temblak.

– Tak.

– Nie bał się, że Giulia lub Franco się obudzą?

– Jego pokój nie był połączony z mieszkaniem Ferrów. To służbówka, nie przynależy do części prywatnej gospodarzy. – Odchrząknęła. – Oprócz tego wrzucał im do szklanki tabletki nasenne. Oni zawsze na noc piją melisę. – Spod zmarszczonego czoła spojrzała badawczo na Bieglera. – Na pewno pan mnie potępia...

Mark w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

– Ale za karę zostałam zrzucona ze schodów. Mogłam się przecież zabić.

– Według pani zrobiła to Giulia?

– A któż inny?

– Na przykład Georg.

– Wątpię.

– Kto wyłączał kamery i światło na korytarzu? Lorenzo?

– Tak.

– Wracając do Camilli, czy pani i Lorenzo rozmawialiście kiedyś o niej? Czy powiedział pani o ich romansie?

– Nie, nie przypuszczałam, że z niego taki dziwkarz. Zawsze o niej mówił „pani Vogel” lub „pani Camilla”. – Westchnienie wydostało się z jej ponętnych piersi. – Tyle mi naopowiadał o swoim życiu, jaki to był biedny i samotny. Nie miałam pojęcia, że ten dupek umawiał się również z córką Orłowskich. – Prychnęła z oburzeniem. – Swoją drogą, to się dziwię tej dziewczusze, że będąc żoną takiego faceta jak von Briest, miała ochotę na Lorenza. Ale głupim szczęściarom czasami odbija, bo mają za dobrze w życiu.

– Odnoszę wrażenie, że nie przepada pani za Izą?

– Nie znoszę jej. Zarozumiała pindzia. Może jej pan to powtórzyć, mam to w nosie. – Wzruszyła ramionami. – Jak to możliwe, żeby córka tak bardzo się różniła od matki? Pani Renata jest taką miłą i sympatyczną osobą. I nigdy nie zadziera nosa, czego nie można powiedzieć o jej córeczce. Tej dziuni należy się mały pstryczek w ten jej zarozumiały nosek. Johan powinien kopnąć ją w tyłek. Wystarczyłoby, gdyby tylko gwizdnął, a zaraz zleciałby się tuzin chętnych bab. Ja byłabym pierwsza. Lorenzo nie dorastał mu do pięt. Ktoś taki jak ja mógł na niego polecieć, ale żona Johana von Briesta?! Nie rozumiem tego. Chyba że jest słaby w łóżku. – Wzruszyła ramionami. – Ale z tego, co mówił Georg, to chyba nie.

– Czyżby sprawdził to empirycznie? – Mark lekko się uśmiechnął.

– Zwierzył mi się, że razem chodzili na dziewczyny. Słyszałam, że raz zrobili sobie orgietkę z czterema dziewczynami. Podobno były wniebowzięte, gdy posuwał je von Briest. No i Camilla straciła dla niego głowę, a ona była bardzo wybredną kobietą. No i właśnie z nim zrobiła sobie dziecko. – Mówiąc to, Zuza znowu zerknęła w stronę chłopca. – Teo, proszę założyć czapkę. Mówiłam ci, że na słońcu trzeba mieć przykrytą głowę – zawołała.

– A ten pan nie ma czapki – krzyknął chłopczyk.

– Ten pan siedzi w cieniu. Podejź do mnie, trzeba znowu posmarować ci ramiona i plecy.

- Przecież mi niedawno smarowałaś.
- Woda zmyła już krem. Nie marudź, tylko przyjdź.

Widząc, że mały nie kwapi się do przyjścia, wzięła tubkę z kremem i podeszła do niego. Kiedy go dokładnie wysmarowała, wróciła na leżak, wcierając resztkę preparatu w swoje ramiona.

– Czym ten typek Lorenzo zabajerował taką fajną dziewczynę jak pani? – zapytał nieoczekiwanie Mark. – Panią stać na więcej. – Rzeczywiście tak myślał. Zyskała jego sympatię przede wszystkim przez swój stosunek do chłopczyka. Chyba była jedyną osobą na świecie, której naprawdę zależało na tym dziecku.

Dziewczyna zerknęła podejrzliwie na mężczyznę.

- Proszę sobie ze mnie nie kpić.
- Mówię prawdę, uważam panią za idealny materiał na matkę.
- Na matkę może, ale nie na żonę. W każdym razie chyba tak myślą faceci.
- Czy to przez Georga ma pani tak niskie mniemanie o sobie? Zerwał z panią?

– Nie. To ja miałam go dość. Dość jego pijaństwa i koki. Dopóki był mężem Camilli, jakoś potrafił opanować swoje nałogi, ale po jej śmierci, kiedy się dowiedział o testamencie, przestał się kontrolować. Mieszkaliśmy ze sobą przez miesiąc, ale dłużej nie wytrzymałam. Wcale nie zależy mi tak bardzo na forsie, jak wszyscy uważają. Mogłabym dalej z nim być, gdyby był normalny. Nie jestem materialistką, chociaż nie powiem, fajnie jest mieć pieniądze. Przecież Lorenzo nie miał grosza, a zamieszkałabym z nim, tak jak mi proponował.

– Rzeczywiście miał zamiar zostawić Giulię i hotel i związać się z panią? – W głosie Bieglera zabrzmiało zwątpienie.

– Tak. Czekał tylko, żeby Kraft zakończył śledztwo. Miał zamiar wyjechać do Niemiec. Na początek chciał się zatrzymać w moim mieszkaniu. Mówił, że ma na oku niezły interes.

– Jaki interes? W Niemczech?

– Nie wiem, nie chciał powiedzieć. Nie przypuszczałam, że ten drań spotykał się również z Izą. Mark chciał wyciągnąć od Zuzy jak najwięcej wiadomości.

– Pani Zuziu, dlaczego kilka dni temu tu, w ogrodzie, Georg panią uderzył?

– Zapropował mi, żebym do niego wróciła, to zdobędziemy kasę. Że von Briest nam pomoże przekonać sąd, żebyśmy dostali opiekę nad Teo. Wyśmiałam go. W życiu bym nie wróciła do tego pijusa i ćpuna. Zresztą uważam, że Georg w charakterze ojczyma to najgorsza opcja dla Tea. Gorsza nawet od ciotki. Jemu nigdy tak naprawdę nie zależało na małym. I nie uwierzyłam w jego deklaracje przemiany mentalnej i moralnej. Wyraziłam to dość dosadnie, dlatego mnie uderzył.

– A wcześniej bił panią?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie pozwoliłabym mu na to.

– A co pani myśli o ciotce Camilli?

– Lena Wolf to typowa Niemra, zimna, pedantyczna, w dodatku nie lubiąca dzieci, ale obowiązkowa. Na pewno nie skrzywdziłaby fizycznie Teo, ale by go zamęczyła psychicznie. On by przy niej zwiądł. Teo to naprawdę słodziak, a do tego bystry i z natury dobry. Ostatnio śpi w moim pokoju. Bardzo wrażliwe z niego dziecko. Kiedy się dowiedział, że mnie boli ręka, to całował i chuchał na gips. Całą noc się dopytywał, jak się czuję. Przynosił mi wodę, hmm, jeśli ją doniósł w szklance – Uśmiechnęła się, szybko przecierając dłonią oczy. – Szkoda, że von Briestowie go nie chcą. Wielka szkoda. Wydaje mi się, że Johan byłby dobrym opiekunem dla niego. Najlepszym z tych wszystkich wariantów.

– A Alfred Linn? Co pani o nim myśli?

– On też go nie chce. Zresztą nie ufam temu człowiekowi. Ma coś złego w oczach. Wydaje mi się, że on byłby bardziej zdolny do morderstwa niż Georg. To zimny drań. Oprócz tego to przecież on najwięcej skorzystał na jej śmierci. Ma teraz firmę tylko dla siebie.

Mark się zamyślił. Rzeczywiście to Linn najwięcej zyskiwał. Mógł sam zarządzać dużym przedsiębiorstwem, bez upierdliwej z natury współniczki. Biegler wiedział od Johana, że Camilla była żoną nie tylko w życiu prywatnym, w zawodowym również.

– Mnie się wydawał sympatyczny – mruknął Mark, jakby chciał zaprzeczyć swoim myślom.

– Bo się umie maskować. Czasami, gdy wpadał do domu Camilli, słyszałam, jak się ze sobą kłócili. I dałabym sobie odciąć paznokcie u ręki, że ze sobą sypiali.

– Linn temu zaprzeczył.

– I co z tego, że zaprzeczył? To zimny, wyrachowany drań. Mógł wykorzystać pandemię i w ten sposób się jej pozbyć. A potem niechący sam zachorował.

– Sam nie wiem, co o tym myśleć. Linn podobno nie wiedział o raku Camilli.

– Może wołał ją sprzątnąć i sam zarządzać firmą. Niech mi pan wierzy, z tym babskiem trudno było wytrzymać. Ona nie znosiła sprzeciwu.

Mark podrapał się po szyi. Spojrzał na zegarek.

– Późno już, zaraz będzie obiad. Dziękuję, pani Zuziu, za informacje. Dużo mi rozjaśniły. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – Mam prośbę, czy mogłaby pani nie mówić komisarzowi Kraftowi o naszej rozmowie?

– Wszystko, co panu powiedziałam, on również wie. Gwarantuję, że też już wie o naszej rozmowie. Przed tym facetem nie da się nic ukryć. Zastanawiam się, czy nie podłożył podsłuchu w różnych dziwnych miejscach.

– Wcale bym się nie zdziwił – mruknął Mark.

Rozdział 41

Po obiedzie Orłowski z Izą i Martinem pojechali za pozwoleniem komisarza na wycieczkę samochodową nad jezioro Garda. Obiecali Kraftowi nosić maseczki i zachować dystans.

Johan nie pojechał z nimi, tłumacząc się pracą nad grą. Wiedział dobrze, że gdyby się zdecydował na przejażdżkę, Iza na pewno by z niej zrezygnowała, a nie chciał teraz przebywać z Orłowskimi w zbyt kameralnym gronie.

Wybrali dłuższą, ale bardziej malowniczą trasę. Samochód prowadził Robert, obok niego siedział Martin. Renata z córką musiały zadowolić się miejscami z tyłu. Iza ze słuchawkami w uszach słuchała audiobooka, a Renata, przyklejona do szyby, podziwiała mijany krajobraz. Droga ciągnęła się serpentyną w górę, po prawej stronie widoczne było jezioro Garda.

– O Boże, zatrzymaj się! – krzyknęła w pewnym momencie.

Robert gwałtownie zatrzymał samochód, o mało co nie powodując kolizji. Wszystkie oczy spoczęły na Renacie.

– Co się stało, Malutka? – zapytał zaniepokojony Robert.

– Nic, chciałam tylko popatrzeć dłużej na panoramę po prawej stronie.

– Cooo takiego?! – wrzasnął. – Oszalałaś, Renata?! Kurwa, o mało nie spowodowałam wypadku, bo się wystraszyłam, że coś ci się stało. A ty tylko chciałaś się pogapić na jakiś pieprzony widok?! Czy wiesz, że o mało co nie spadliśmy w przepaść?

– Przepraszam. Ale ten pejzaż jest taki piękny, że muszę popatrzeć dłużej. Naprawdę przepraszam.

– Wiesz, Malutka, wolałam, jak byłaś mniej wrażliwa na piękno przyrody. Bezpieczniej było, gdy się zachwycałaś piękną sukienką lub bluzką. Wtedy tylko mój portfel był w niebezpieczeństwie – mruknął trochę udobruchany.

– Mała nieściskość, drogi mężu, sukienki i bluzki zawsze sama sobie kupowałam, i to we własnym sklepie.

– Przypominam, że kupowałaś tylko swoje barachło, za wszystkie markowe ciuchy od Diora czy Chanel płaciłam ja.

– Owszem, bo snobizm kosztuje. Te ubrania to był twój pomysł, ja ich nie chciałam.

– Malutka, wybaczone, ale gdy ze mną bywasz na salonach, to musisz się godnie prezentować.

– Teraz przesadziłaś. – Renata ściągnęła gniewnie czoło. – Wypraszam sobie takie komentarze. Jeśli się wstydzisz ze mną pokazywać, to znajdź sobie inną osobę towarzyszącą. Już nigdy nie pójde z tobą na żadne salony – wycedziła.

– Teraz ja przepraszam, Malutka, rzeczywiście przesadziłam. Oczywiście zawsze wyglądasz rewelacyjnie, nawet w ciuchach ze sklepów ReMa.

– Przypominam ci, że mam dobrą pamięć. Już teraz zacznij sobie szukać odpowiedniejszej osoby towarzyszącej, bo nie chcę ci przynieść wstydu, panie profesorko zwyczajny nauk medycznych. – Jej wzrok był nadal lodowaty. – Znając twoje powodzenie u płci nadobnej, nie powinieneś mieć z tym większego problemu.

– Malutka, jeszcze raz przepraszam, ale i tak ciężar gatunkowy twojego dzisiejszego przewinienia był dużo większy niż mój niezbyt trafiony żart. Mało brakowało, a spadlibyśmy w przepaść. – Wyszli z samochodu, a Robert dodał: – A teraz podziwiał piękno krajobrazu i pstryknij kilka fotek ku pamięci potomnych, żeby nasze praprawnuki wiedziały, że była tu praprababcia Renata. – Uśmiechnął się do żony. – Stań tu, zrobię ci kilka wystrzałowych fot, i nie telefonem, tylko porządny aparatem.

Renata patrzyła jak urzeczona na widok roztaczający się w dole. W wianuszku skalistych grzbietów, gdzieś na szczytach przykrytych lodowcem, rozlewało się Lago di Garda. Turkusowa tafla wody miejscami mieszała się z błękitem nieba, ponieważ jezioro było ogromne, zajmowało trzysta siedemdziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni, a góry nie ograniczały linii horyzontu. Błękitnoturkusowe lustro wody było poplamione malutkimi punkcikami jachtów, których białe trójkąty

żagli zakłócały idealną gładź jeziora. Soczysta zieleń drzew i szarość górskich szczytów współgrała z jaskrawym błękitem nieba i wody. Ostre promienie słoneczne rozświetlały to magiczne miejsce i dodawały mu kolorytu.

Przy brzegach jeziora przycupnęło kilka uroczych miasteczek, między innymi Riva del Garda – cel ich podróży. Wodna kotlina ciągnąca się podłużnym jezorem przez pięćdziesiąt pięć kilometrów, była latem główną atrakcją północnych Włoch. Jezioro Garda przyciągało turystów z różnych stron świata, dlatego Orłowscy również chcieli je zobaczyć. Zrezygnowali z plażowania, bo mieli to na co dzień przy hotelowym basenie. Zamierzali najpierw trochę pospacerować, a potem zażyć kąpieli wodnej i popływać jachtem. Nie mieli na to zbyt dużo czasu, ponieważ obiecali komisarzowi Ferrowi wrócić na kolację. Wybrali krótki szlak górski dochodzący do Riva del Garda, a tam miała czekać na nich wynajęta łódka.

Szli parami, ale skład tych małych zespołów szybko się wymieniał. Teraz Martin szedł z Izą, a za nimi Robert i drepcząca przy nim Renata. Robert specjalnie zwalniał marsz, żeby żona się nie forsowała. Natomiast Schmidt, zahartowany w joggingu, miał kondycję lepszą niż Iza, młodsza od niego o prawie czterdzieści lat.

– Wujku, ale zasuwasz, trudno dotrzymać ci kroku – sapnęła. – Musimy trochę zwolnić, bo zostawiliśmy ich w tyle i będzie im trudno do nas dołączyć. Mogą się zgubić, i co wtedy?

– Zapominasz, że jest tam twój tata. Z niego lepszy skaut niż ze mnie.

– Nie skaut, tylko harcerz. Biedny tata, musi teraz wysłuchiwać peanów mamy na temat piękna malowniczych górskich stoków.

Martin lekko się uśmiechnął.

– Oj, wy, młodzi, nie docenicie tylu rzeczy. Ale chyba trzeba osiągnąć pewien wiek, żeby dostrzec urodę otaczającego nas świata. Gdy byłem młody jak ty, też przechodziłem obojętnie obok cudu stworzenia. Zobacz, wiewiórka! Czyż to urocze stworzonko to nie piękny widok?!

– Wujku, gdy się ma problemy natury emocjonalnej, to człowiek nie reaguje na piękno przyrody – stwierdziła, ale zaraz chyba pożałowała wypowiedzianych słów, bo dodała szybko: – Spójrz w lewo, to chyba lis. Śliczny. Fajny byłby z niego kołnierz. – Widząc minę mężczyzny, parsknęła śmiechem. – Żartowałam, w życiu bym nie zabiła żadnego stworzenia. Jestem wrogiem zabijania – powiedziała i nagle się zasępiła.

Martin, krocząc obok dziewczyny, przyglądał się jej profilowi.

– Iza, widzę, że coś niedobrego dzieje się między tobą i Johanem. O co chodzi?

– Nie można się pokłócić? Jest takie polskie porzekadło: kto się czubi, ten się lubi.

– Co znaczy „czubi”? Wiesz, że nie rozumiem tych waszych powiedzonek.

– „Czubi” to inaczej: kto się sprzecza, przekomarza. To tak jak mama i tatko.

– Aha. – Znowu na nią spojrział. – Ale z wami jest inaczej niż z twoimi rodzicami. Rozumiem gniew Johana, gdy się dowiedział o Lorenzu. Ale dlaczego ty się na niego złościś, tego nie mogę zrozumieć. Przecież on nie wiedział o istnieniu Tea... Johan cię bardzo kocha... – Zrobił krótką przerwę. – To wartościowy chłopak. Żebyś potem nie żałowała, co straciłaś.

– Tego kwiatu jest pół świata – zaśmiała się sztucznie. – A może to on powinien żałować, co może stracić? Gdzież ci moi rodzice? – Odwróciła się. – O, widzę ich. Mama oczywiście stoi i gapi się na wiewiórkę. Swoją drogą, dlaczego to zwierzątko nie uciekło? Głupia ta wiewiórka, nie wie, że powinna bać się człowieka? Człowiek to największy wróg dla zwierząt... i ludzi.

Rozdział 42

W tym czasie w Madonna di Campiglio Mark zamierzał wziąć na spytki Franca Ferra. Nie wiedział, jak to zrobić, żeby nie wzbudzić podejrzeń i by rozmowa była owocna. Okazja nadarzyła się sama, gdy na patio ujrzał hotelarza wchodzącego po drabinie i majstrującego koło kamerki przemysłowej. Szybko podszedł do mężczyzny.

– Panie Ferro, proszę zejść z drabiny, ja to zrobię za pana.

– Nie jestem zgrzybiałym staruszkim, dam sobie radę – mruknął Ferro z góry.

– O wypadek nietrudno. Oprócz tego trzeba się na tym trochę znać, a ja mam wprawę w montowaniu kamer – skłamał.

Po chwili wahania Franco zszedł na dół.

– To niech pan spróbuje. Nie mogłem dziś znaleźć żadnego montera, mają czas dopiero za tydzień – tłumaczył. – Najwyższy czas zamontować nowe kamery, bo stare ciągle szwankują.

Mark wszedł na drabinę i we wskazanym miejscu umieścił nową kamerkę. W asyście gospodarza zrobił to również z trzema pozostałymi.

– Na razie tyle, te są najważniejsze. Reszta może poczekać – powiedział Ferro, patrząc na monitory. – Dotąd monitoringiem zajmował się Lorenzo, ale teraz będę musiał zatrudnić profesjonalną firmę.

– Od kamer był Lorenzo? – zapytał Mark, by uzyskać potwierdzenie.

– Tak. Córka też ma jakieś o tym pojęcie, ale ja w ogóle się na tym nie znam. No cóż, okazało się, że ten dupek również się na tym nie znał, bo kamery ciągle nie działały.

– Myślę, że nie działały, bo chciał tego Lorenzo – mruknął Mark. Widząc brak reakcji Franca na jego słowa, postanowił poprowadzić ich rozmowę trochę inaczej. – Hotelarstwo to niełatwy chleb. Pochodzę z rodziny hotelarzy, dlatego trochę się orientuję w tej branży.

– Naprawdę? Myślałem, że jest pan dziennikarzem.

– Dziennikarstwo to mój zawód, ale moja rodzina od pokoleń siedziała w hotelarstwie. Najpierw pradziadek, potem babcia, później ojciec. Mieli w Austrii sieć hoteli Helga.

– Helga to wasze hotele?! W młodości pracowałem w jednym z nich – zawołał uradowany. – Pan Schmidt nigdy nie wspominał, że ma znajomych wśród właścicieli Helgi. – Widać było, że mężczyzna jest pod dużym wrażeniem. – Przez pięć lat pracowałem w waszym hotelu w Innsbrucku. Wcześniej miałem pracę w Wiedniu, ale przenieśliśmy się do Innsbrucku, żeby mieć bliżej do żony. Mogłem przyjeżdżać do domu dwa razy w miesiącu. Dwie godzinki drogi i było się na miejscu. Mieszkaliśmy wtedy z żoną w Trydencie, bo ona stamtąd pochodziła. Przez całe lata pracowałem w Austrii i Niemczech, bo były tam dużo wyższe zarobki. Odkładałem pieniądze i uczyłem się zawodu. Później znalazłem pracę w pensjonacie tuż przy granicy, dlatego zrezygnowałem z Helgi, ale bardzo miłe wspominał tamte czasy. Dzięki Heldze zdobyłem duże doświadczenie.

– A więc dlatego tak dobrze zna pan język niemiecki! – zauważył Mark z uśmiechem. – Od razu wyczułem austriacki akcent w pańskiej niemiecczyźnie.

– Niemiecki znam dużo lepiej niż angielski, ale w naszej pracy znajomość angielskiego jest bardzo potrzebna i dlatego ostatnio zapisałem się na kurs.

– Zauważyłem u pana sporą poprawę w angielskim od czasu, kiedy byliśmy tu w lutym. – Mark pochwalił mężczyznę. – Jak długo ma pan ten hotel?

– Dwadzieścia lat. Po śmierci teściów żona dostała sporą sumkę pieniędzy, plus moje oszczędności i wystarczyło na wybudowanie małego pensjonatu. Na początku mieliśmy tylko siedem pokoi, ale z biegiem czasu nasz pensjonat się rozrastał i stał się hotelem. Wszystkie pieniądze wkładałem w ten obiekt. Unikam kredytów, bo nie mam zaufania do banków. Z własnych oszczędności go modernizuję i upiększam, żeby nasi goście byli zadowoleni. Niedawno wybudowałem nawet basen, żeby turyści mieli więcej atrakcji. Doktor Schmidt należy do naszych stałych bywalców, w każdym sezonie przyjeżdża do nas na narty. Mówi, że dobrze się u nas czuje.

– Wiem, dlatego ściągnął nas tu w lutym, bo właśnie tutaj chciał obchodzić swoje urodziny.

– Szkoda, że pandemia i śmierć pani Vogel zepsuły państwu zimowy pobyt. – Westchnął ciężko. – To wszystko może źle się odbić na naszych interesach. Nie wiem, jak to będzie w tym sezonie narciarskim, bo tylko wtedy dobrze zarabiamy. Lato traktujemy jak czas przetrwania. W tym roku uratował nam tyłek komisarz Kraft, bo wykupił wszystkie miejsca na cały miesiąc. Gdyby nie on, byłoby niewesoło. Tegoroczny ruch turystyczny na całym świecie jest bardzo ograniczony. – Spojrzał na Marka. – A dlaczego nie pojechaliście w lutym do jednego z waszych hoteli?

– Przyjechaliśmy tu, bo Martin nas zaprosił, to były jego urodziny. Niestety hotele Helga to już nie to samo co kiedyś. Największy ich rozkwit przypadał na okres, gdy zarządzał nimi mój ojciec. To były lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Kiedy mój ojciec ożenił się z moją matką, musiał połowę hoteli oddać swojej pierwszej żonie. A po jego śmierci nowy mąż mamy roztrwonił cały nasz majątek. Miałem wtedy dziesięć lat. Dla mnie został jedynie mały pensjonat w Alpach. Na szczęście pierwsza żona ojca nieźle zarządzała swoimi hotelami, dlatego gdy umarła, pozostały jeszcze cztery obiekty. Zarządzaniem nimi zajmują się siostrzeńcy Gretchen i moja siostra, ja jedynie zasiadam w radzie nadzorczej. – Mark, chcąc zbliżyć się do Ferra, specjalnie uszczknął rąbka swojej rodzinnej historii. – Pański hotel ma to „coś”, co wyróżnia go spośród innych tego typu. Ten trudny do podrobienia klimacik. Gratuluję! Właśnie dlatego Martin tak chętnie tu przyjeżdża.

Franco Ferro aż pokraśniał z zadowolenia. Wyciągnął z lodówki dwa zimne piwa.

– Napijemy się, panie Marku?

Ferro powoli napełniał wysokie szklanki złocistym płynem.

– Z wielką przyjemnością – odparł Biegler, po czym zanurzył usta w chłodnym napoju.

– Widziałem, jak pan rozmawiał z tą Suzi – bąknął starszy mężczyzna.

– Chyba pan za nią nie przepada?

– Czyż nie mam ku temu powodu? Przez tę dziewczuchę moja Giulia niejedną noc przepłakała.

– Cóż, chyba większa wina leżała po stronie Lorenza.

– Jak suka nie da, to pies nie weźmie – westchnął. – Ostrzegałem moją Julię przed tym Lorenzem. Od początku mi nie pasował. Ja w młodości przykładalem się do pracy, żeby szef był zadowolony. Tymczasem z niego był straszny obibok. Nic mu się nie chciało. Jedyne kelnerowanie jakoś mu wychodziło. No i praca w recepcji. Migał się od roboty w kuchni, a przecież czasami trzeba zabrudzić rączki. Stella to mały hotelik, gdybyśmy do wszystkiego chcieli najmować ludzi, niewiele by nam zostało, a przecież trzeba myśleć o remontach, o modernizacji i reklamie. To kosztuje, a na to wszystko trzeba zarobić. Za to ten leń chciałby tylko szefować. Dawno bym go wyrzucił z roboty, gdyby nie córka. Giulia się w nim zakochała i nawet była chętna wspólnie z nim poprowadzić ten hotel. – Na chwilę przymknął oczy. – Najbardziej w życiu zależy mi na córce i tym hotelu. Stella to moje ziszczone marzenie. W ten hotel włożyłem nie tylko mnóstwo pieniędzy, lecz także dużo własnej ciężkiej pracy. Nie chciałbym, żeby przeszedł w obce ręce. Nie jestem już młody, kiedyś mnie zabraknie. Niestety Giulia marzyła o studiach i pracy w szkole. Nieraz żałowałem, że się ponownie nie ożeniłem i nie miałem więcej dzieci, może któreś z nich by doceniło to, co zrobiłem, i chciałoby kontynuować moje dzieło. Kiedy ten fircyk się u nas pojawił, zauważyłem, że spodobała mu się perspektywa bycia właścicielem Stelli. Mimo że nie miał grosza przy dupie, mnie to nie przeszkadzało. Wystarczyłoby mi jedynie, żeby był dobry dla mojej Giulii i chciał dalej po mnie prowadzić hotel. Dlatego tolerowałem jego nieróbstwo. Ale nie przypuszczałem, że będzie ją tak bezczelnie zdradzał.

– Czy wcześniej też to robił?

– Nie wiem, niczego takiego nie zauważyłem. Gdybym wiedział, wyrzuciłbym go na zbity pysk.

– A więc nie wiedział pan o jego romansie z Camillą Vogel?

– Oczywiście, że nie!

– Giulia podobno wiedziała.

– Ale mi o niczym nie powiedziała. Wybiłbym jej go z głowy. Do lutego nie rozglądał się za żadnymi dziewczuchami, niczego takiego nie zauważyłem. Teraz, gdy patrzę wstecz, to rzeczywiście jego zachowanie wtedy w lutym było trochę podejrzane. Przez cały czas kręcił się tylko koło stolika Vogel. Według Giulii dlatego, że znał dobrze niemiecki. Ale był wyjątkowo zaangażowany w swoje obowiązki. Sam od siebie sprawdzał pokoje. Czy wszystko tam w porządku, czy działają instalacje, czy woda nie

kapie z kaloryferów. Dlatego miał klucz uniwersalny do wszystkich zamków.

– Czy pan przyuważył, że wymykał się nocą ze swojego pokoju?

– Ależ skąd, zainteresowałbym się tym. Inna sprawa, że nie pozwalałem mu zamieszkać z moją córką bez ślubu, dlatego miał do dyspozycji służbówkę. W sezonie zatrudniamy dużo studentów i z myślą o nich przygotowaliśmy trzy sypialnie z kuchnią i łazienką. Jeden pokój zajmował Lorenzo.

– Dobrze pan sypia w nocy? Nigdy się pan nie obudził? Bo ja mam problemy z zaśnięciem.

– Panie Marku, polecam melisę. Mam dobry sen, bo zawsze na noc piję herbatkę z melisy. Giulie też do tego przekonałem.

A więc Zuza miała rację, ten skurwiol podtruwał narzeczoną i jej ojca tabletkami nasennymi – pomyślał Mark, ale zatrzymał to dla siebie.

– A wiedział pan o jego romansie z Suzi?

– Oczywiście, że nie wiedziałem. Polubiłem tę siksę, ponieważ była chętna do pomocy. Myślałem, że Ignie do nas, bo czuje się wyobcowana w tym towarzystwie. Mówiła, że wy, to znaczy rodzina Orłowskich, traktujecie ją jak intruza, a Niemcy jej nie znoszą. Nie przypuszczałem, że ta podstępna żmijka zamierza odbić mojej córce narzeczonego! – prychnął ze złością.

– Nic pan nie wyczuł po zachowaniu jej i Lorenza, że mają się ku sobie?

– Przecież mówię panu, że nie. Tak się przymilała do mnie i do Giulii, tak z nami gruchała, a Lorenza wręcz ignorowała – stwierdził z oburzeniem. – Podstępna suka. Szkoda, że złamała sobie tylko rękę. Los dość surowo ukarał tego dupka, ale z nią obszedł się wyjątkowo łagodnie. Możliwe, że i ją karma jeszcze kiedyś dopadnie – powiedział, ale zaraz szybko się zreflektował. – Jeśli pan myśli, że to ja majstrowałem przy jego motorze, jest pan w błędzie. Ani ja, ani Giulia nie mamy z tym nic wspólnego.

– Możliwe, że nikt nie miał z tym nic wspólnego. Prawdopodobnie był to wypadek.

Rozdział 43

Mark usłyszał pukanie, po chwili do pokoju wszedł Martin.

– *Mein Schatz*, muszę kończyć, przyszedł po mnie Martin, żebyśmy zeszli na kolację – powiedział do żony. – Pa, zadzwonię jeszcze wieczorem.

Zakończył rozmowę.

– Wieczór już nastał – mruknął Martin, siadając w fotelu. – Zmęczyła mnie ta wycieczka. Renata wyciągnęła nas na kilkukilometrowy spacer.

– Dobrze wam zrobiła taka przechadzka, bo brzuch zaczyna ci się wylewać za pasek. Przytyłeś. W lutym wyglądałeś jak... nie powiem „młody bóg”, ale jak bóg w średnim wieku. A teraz zrobił się z ciebie podtatusiały dziadek.

– Zdecyduj się, tatuś czy dziadek. Chociaż ty daj mi spokój, wystarczy mi do suszenia głowy sama pani Orłowska. Niestety u mnie stres powoduje wzmożony apetyt. Mimo tuszy mam kondycję jak Iza.

– Akurat Iza nie ma żadnej kondycji – zauważył z uśmiechem Mark. – Jakiż ty możesz mieć stres, panie doktorze? Nie masz żony, która by ci codziennie suszyła głowę, tylko od czasu do czasu Renatę Orłowską. Swoją drogą, Martin, coś ostatnio źle wyglądasz. Jesteś blady, masz podkrążone oczy, no i ta nadwaga. Alfred Linn jest w twoim wieku, a wciąż trzyma się rewelacyjnie, mimo że przeszedł covid.

– Bo covid pomógł mu w utrzymaniu wagi. Może mnie też by się przydało trochę pochorować.

– I to mówi lekarz! Dobrze, że Robert tego nie słyszy.

– Robertowi już przeszła obsesja na punkcie covidu, już się go tak panicznie nie boi. – Martin wyjął chusteczkę, by przetrzeć okulary. – A jak tobie minęło popołudnie?

– Okej. Pogadałem sobie z Frankiem Ferrem.

– I czego ciekawego się dowiedziałeś?

– W sumie to niczego nowego. Nie lubi Zuzy, nie wiedział, że Lorenzo zdradzał Giulię, a jego podtruwał proszkami nasennymi. Ciekawe, czy ten casanova od siedmiu boleści dokarmił nimi również narzeczoną? Wydaje mi się, że rzeczywiście Ferro nie miał o niczym pojęcia. Skreślał go ze swojej listy podejrzanych. Nie wygląda mi na mordercę.

– A czy zawsze morderca wygląda na mordercę?

– Intuicja mi mówi, że to nie on. Zresztą jaki miałby motyw, by zabijać Camillę? Na sto procent nie był jej kochankiem, bo był na to za stary. Śmierć Lorenza również nic mu nie dawała – stwierdził Mark, podnosząc się z fotela. – Chodźmy, bo Orłowscy na pewno już na nas czekają. Chciałbym dziś jeszcze pogadać z Sewerem, jeśli będzie w stanie rozmawiać.

– Hmm, nazwisko ma adekwatne do swojej osobowości – mruknął. *Sewer* po angielsku oznacza ściek kanałowy.

Wkrótce się okazało, że Georg znowu był niedysponowany, nie przyszedł nawet na kolację. Mark żałował, że nie pogadał z nim po obiedzie, zamiast wchodzić w pogawędkę z Ferrem.

Teraz przysłała kolej na Giulię. Zastanawiał się, jak ją zwabić do swojego pokoju, bo tu najlepiej byłoby rozmawiać. Chwilę pomyślał i wpadł mu do głowy pewien pomysł. Chwycił za telefon stojący na stoliku. Wiedział, że o tej porze nie było już sprzątaczk. Ku jego zadowoleniu telefon odebrała Giulia.

– Pani Giulio, miałem mały wypadek, rozlałem colę na łóżko. Czy mógłby mi ktoś zmienić pościel?

– Zaraz przyjdę.

Na życzenie gości pokoje sprzątno tylko co trzy dni. Na początku robiła to Giulia, ale po śmierci Lorenza zatrudniono do sprzątania kobietę z miasteczka, która również pomagała w kuchni. Mark wyjął z lodówki butelkę z napojem i chlusnął pokaźną strugą na łóżko. Kilka minut później usłyszał pukanie. W drzwiach stała Giulia z naręczem pościeli.

– Bardzo przepraszam za kłopot – usprawiedliwiał się Biegler. – Zawadziłem o dywanik i chlapnęło mi na kołdrę i poduszkę, a nie lubię się lepić.

– Nie szkodzi. Od tego jestem, żeby wybawiać gości z tego typu kłopotów.

– Nie spodziewałem się pani. Myślałem, że przyjdzie kobieta, którą ostatnio zatrudniliście – tłumaczył się z przeproszającym uśmiechem.

– Na początku nie zatrudnialiśmy dodatkowej obsługi, bo tego sobie zażyczył komisarz Kraft. Jego kuzyn umarł na covid, stąd ta ostrożność. Ale widząc państwa znużenie obostrzeniami pandemicznymi, komisarz trochę pofolgował. To nie przez skąpstwo ostatnio sami obsługiwaliśmy gości, tylko wymagała tego sytuacja – powiedziała sucho. – Lorenzo ciągle nazywał tatę dusigroszem, ale to nieprawda, on nie jest skąpcem.

– Pani Giulio, proszę się nie tłumaczyć. Rozumiem pana Ferra, też pochodzę z rodziny hotelarzy.

– Słyszałam od taty, że wziął go pan dziś na spytki, a wcześniej Suzi. Widzę, że teraz przysła na mnie kolej. Mógł pan sobie darować tę colę. – Uśmiechnęła się chłodno.

– Jeśli zrobiłem pani aż tak duży kłopot, proszę zostawić powłoczki, sam zmienię pościel – udał nieco obrażonego.

– Ależ skąd, obsługiwanie gości to nasz obowiązek.

– Pani chyba nie lubi tej pracy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Kiedy się prowadzi interes rodzinny, trzeba być przygotowanym na zajęcia nie zawsze nam odpowiadające. Lorenzo nie mógł tego zrozumieć – głos jej się załamał.

– Widzę, że wciąż nie może pani dojść do siebie po jego śmierci? – Mark starał się nadać swoim słowom miękkie brzmienie.

– Wcale nie! Miałam już dość tego cholernego dupka! Ale jeśli pan myśli, że dlatego go zabiłam, to jest pan w błędzie. Nie mam nic wspólnego ani ze śmiercią jego, ani Vogel.

– Niepotrzebnie się pani przyznała, że wiedziała o jego romansie z Camillą. Hmm, to zrobiło z pani jedną z podejrzanych.

– Dla Krafta wszyscy znajdujący się w tym hotelu są podejrzani.

– Ja też? Orłowski również? – W kącikach warg zamajaczył mu uśmiech. – Według pani jaki mielibyśmy interes w śmierci Camilli?

– Proszę o to zapytać komisarza – odparła, cedząc słowa i patrząc wyzywająco w oczy Bieglera. Mark zmarszczył brwi. Czy ona wie coś, czego ja w ogóle nie biorę pod uwagę? – pomyślał.

– Dobrze, zapytam Krafta. Kiedy go pani poinformowała, że wiedziała o romansie narzeczonego z Camillą? Przed wypadkiem Lorenza czy po wypadku?

– Dlaczego mam panu odpowiadać na pytania? Przecież nie jest pan policjantem?

– Pani Giulio, bo jestem ciekawski z natury, a pani chyba również pragnie, by znaleziono sprawcę, prawda? – Uśmiechnął się przymilnie do dziewczyny. – Powiedziała mu pani po wypadku Lorenza, nie myłę się? Dlaczego? Czy Lorenzo wiedział, że pani wie?

Milczała przez dłuższą chwilę, po czym westchnęła.

– Dobrze, odpowiem panu, bo nie chcę, żeby pan widział we mnie potencjalną morderczynię. Lorenzo nie wiedział, że wiem o nich. Liczyłam na to, że po wyjeździe Camilli wszystko wróci do normy. W przeciwieństwie do niego zawsze byłam pragmatyczką i realistką. Kiedy się dowiedziałam, że zamierza wyjechać za nią do Berlina, przez chwilę też myślałam, że ta telewizyjna lala rzeczywiście wiązała z nim jakieś długoterminowe plany. Ale wkrótce się okazało, że to były tylko jego mrzonki.

– W jaki sposób się pani dowiedziała, że Lorenzo planował wyjechać do Berlina? Czy podsłuchiwała pani ich rozmowę?

– Dostał z lotniska z biura obsługi klienta maila, że w związku z pandemią odwołano loty do Berlina i jego rezerwacja jest nieaktualna. Reszty się domyśliłam.

– Hmm, czy Kraft o tym wie? To stawia panią na samej górze listy podejrzanych. Miała pani motyw: śmierć Camilli spowodowała, że narzeczoney pozostał w Madonna di Campiglio.

– I bez tego by został. – Uśmiechnęła się trochę złośliwie. – Bo ona go nie chciała. Po prostu był dla niej jedynie zabawką.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Sama Camilla mi to powiedziała, kiedy poszłam do niej z tabletkami paracetamolu.

– Hmm, Vogel tak sama od siebie przyznała się do romansu z pani narzeczoną? A potem

łaskawie go pani oddała? – zapytał z sceptycyzmem w głosie.

– Wyglądało to trochę inaczej. To ja zaczęłam rozmowę na temat Lorenza. Powiedziałam jej, że wiem o niej i Lorenzu, a także o ich planach. Wtedy ona się głośno roześmiała. Powiedziała, że nigdy nie miała żadnych planów z Lorenzem, tylko on je miał. Pokazała mi SMS-a, którego do niego wysłała. Rzeczywiście mu napisała, żeby dał jej spokój, bo to koniec.

– Czy mu pani powiedziała o waszej rozmowie?

– Nie. Czekałam, aż Lorenzo zacznie pierwszy. A potem ona umarła...

– Czy pani podejrzewała, że Lorenzo ją zabił?

– Na początku miałam takie podejrzenia, ale gdy stwierdzono, że przyczyną jej śmierci był covid, to... To uwierzyłam, że zabił ją koronawirus, a nie Lorenzo. Tym bardziej że trochę kaszłała.

– I ot tak sobie wybaczyła pani narzeczonemu zdradę? Nie zrobiła mu nawet awantury? Dziwne.

– Gdybym się przyznała, że wiem, wyszłabym w jego oczach na wyrozumiałą idiotkę. Oprócz tego nie chciałam denerwować taty. On i bez tego nie lubił Lorenza. Postanowiłam dać szansę naszemu związkowi. Wcześniej nigdy mnie nie zdradził, dopiero teraz z Suzi. I z Isabel.

– Iza podobno z nim nie spała.

– Tak pan myśli? – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Nie zna pan swojej rodziny. Oni mają dużo tajemnic.

– Jakich?

– Proszę ich zapytać, nie mnie.

– Hmm, co sądzi o tym wszystkim Kraft?

– Chyba uważa mnie za niewinną, którą zresztą jestem, bo inaczej by mnie aresztował. – Znowu uśmiech. – Komisarz to inteligentny człowiek, wie, że nie jestem morderczynią.

– Pani Giulio, jak to było z tym zepchnięciem Suzi ze schodów? To pani wyłączyła światło na korytarzu i kamerkę?

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła ze stoickim spokojem. – Nie miałam z tym nic wspólnego.

Mark przyglądał się jej z uśmiechem w kąciку ust, ale nie skomentował jej słów.

– Czy pani zawsze pije melisę przed snem?

Zwrócił uwagę na mały błysk w jej oczach.

– Tak, to mi pomaga zasnąć.

– Ale w dniu upadku Suzi chyba jej pani nie piła?

– Co ma pan na myśli?

– Kiedy się pani dowiedziała, że narzeczony wsypuje wam do herbatki środki nasenne?

– Nie wiem, o czym pan mówi – zaprotestowała, Mark jednak wiedział, że zrobiła to na pokaz.

– Kiedy się pani dowiedziała o romansie Lorenza i Suzi?

– Nie pamiętam. – Wzruszyła ramionami.

– Nie przeszkadzało pani, że Lorenzo pod pani własnym dachem zdradza panią w tak bezczelny sposób? Hmm, jest pani wyjątkowo wyrozumiałą kobietą.

– Umiem panować nad swoimi emocjami. Oprócz tego wtedy już z nim zerwałam, gdy się okazało, że moje podejrzenia co do nich są prawdziwe. Miał się wyprowadzić zaraz po waszym wyjeździe. Nie chciałam robić scen.

– Zerwała pani z nim?

– Tak. Ale nie mówiłam tego tacie, bo nie chciałam go denerwować. Mógłby wpaść w złość i wyrzucić Lorenza od razu, nie czekając na wasz wyjazd. Obawiałam się skandalu.

Po rozmowie z Giulią Mark poszedł do pokoju Orłowskich, ale ich tam nie zastał. Wyjął komórki.

– Gdzie jesteście? – zapytał.

– W ogrodzie – odpowiedział Robert. – Przyjdiesz do nas?

– Tak, już schodzę.

W ratanowych fotelach siedzieli Orłowscy z Martinem i pili piwo. Obok nich siedziała Iza z nosem utkwionym w smartfonie. Johana z nimi nie było. Ostatnie wieczory von Briestowie spędzali

osobno, tylko podczas posiłków wciąż siedzieli obok siebie.

– No i czego się dowiedziałeś, panie detektywie? – zapytała Orłowska.

– Tego, że podobno macie sekrety.

– Co? – Wszyscy naraz spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Tylko Iza z niepokojem.

– Tak powiedziała Giulia. Czy ukrywacie coś przede mną? – zapytał. – Jeśli ktoś z was zabił Camillę, to lepiej by było, gdybym wiedział. Mogę niechcący zburzyć już nieco ostałą mętną wodę.

– Skąd możemy wiedzieć, o co jej chodziło? – Renata wzruszyła ramionami. Podniosła ręce i powiedziała żartobliwym tonem: – *Sorry*, ale ja nie zabiłam ani Camilli, ani Lorenza. Robert również. Ma alibi na noc śmierci Vogel, bo chrapał tak głośno, że wszyscy w hotelu musieli to słyszeć. A co do Lorenza, to dobrze wiesz, że żadne z nas, ani ja, a tym bardziej mój mąż, nie zna się na motorach, a więc nie mogliśmy go uszkodzić. Nie mam pojęcia, o czym ta dziewczyna bajdurzyła. – Orłowska odchrząknęła. – Czego się jeszcze dowiedziałeś?

– Podobno Lorenzo zamierzał wyjechać za Camillą do Berlina. Zarezerwował nawet bilety lotnicze. Ale Camilla nie zamierzała kontynuować ich znajomości.

– Skąd niby Giulia mogła o tym wiedzieć?

– Podobno rozmawiała z Camillą wieczorem w dniu jej śmierci, gdy przyniosła jej paracetamol.

– Nie rozumiem tej dziewczyny. Wiedziała, że jest zdradzana i to tolerowała? – prychnęła Iza. –

Dziwne.

– Cóż, zdarzają się głupie kobiety, takie jak ja, które pomimo zdrady partnera wciąż tkwią w związku – mruknęła Renata, przesyłając mężowi złowrogie spojrzenie.

Robert nie zareagował na zaczepkę, tylko zmarszczył brwi i wypił łyk piwa.

– Ale podobno zerwała z Lorenzem, gdy się dowiedziała o jego romansie z Zużą – relacjonował Mark. – Możliwe, że właśnie dlatego w akcie zemsty zepchnęła Zużę ze schodów.

– Czy Giulia się do tego przyznała?!

– Nie, ale jestem prawie pewien, że to ona ją popchnęła.

– Nie Georg?

– Według mnie to sprawka Giulii.

– Czyżby chciała ich oboje zabić? Lorenza i Zużę? A wcześniej również Camillę? – zdziwił się Martin.

– Zobaczymy, co wykaże ekspertyza motocykla.

Rozdział 44

Następny dzień przyniósł miłą niespodziankę. Podczas obiadu komisarz Kraft zakomunikował wszystkim, że mogą wracać do domów. Zabukował dla nich bilety lotnicze na jutrzejszy wieczór. Mieli wylecieć z lotniska w Trydencie o godzinie dwudziestej.

– Dotarły dzisiaj do mnie wyniki sekcji i ekspertyza motocykla. – Zakomunikował komisarz podczas obiadu. – Wszystko wskazuje na to, że śmierć Lorenza Russo była przypadkowa. To był wypadek. Motocykl nie miał żadnych uszkodzeń ani usterek.

– A co z morderstwem Camilli Vogel? Odkrył pan, kto ją zabił, czy postanowił umorzyć sprawę? – zapytał Robert.

– Camilla Vogel została zamordowana przez Lorenza Russo.

– Pojawiły się jakieś nowe dowody? – zapytał Mark.

– Russo od początku był naszym głównym podejrzanym. Nie mogę więcej państwu powiedzieć, bo sprawa jeszcze nie została zamknięta. Ale możecie wracać do domu, nie jesteście już nam potrzebni.

Mark nie dał się zbyć. Musiał się dowiedzieć czegoś więcej, dlatego udał się do pokoju przesłuchań. Obaj policjanci byli w trakcie pakowania swoich rzeczy.

– O, pan Biegler. Sprawa zamknięta, nie musi mnie pan już przesłuchiwać, tak jak to robił z innymi – powiedział Kraft, krzywo się uśmiechając. – Śledztwo to domena policji, a nie dziennikarza.

– Jakie macie dowody, że zrobił to Russo?

Policjant spojrział na Marka przeciągle i westchnął.

– Niech pan siada – powiedział zrezygnowany. – Znaleźliśmy w jego pokoju telefon, ten, który zgubił nazajutrz po śmierci pani Vogel.

Mark dopiero teraz przypomniał sobie o tym zdarzeniu. Rzeczywiście Giulia pytała ich, czy nie widzieli komórki Lorenza. Całkiem wypadło mu to z głowy.

– W telefonie były SMS-y poświadczające ich romans i zerwanie. Camilla wysłała mu wiadomość, żeby dał jej spokój. Russo z rozczarowania wpadł we wściekłość, bo wiązał z jej osobą duże plany, i udusił ją poduszką. Zbrodnia w afekcie.

– I tylko tyle macie?

– Nie tylko. Znaleźliśmy w jego pokoju pendrive'a z nagraniem z kamery z patio. Camilla prawdopodobnie zamknęła drzwi łączące jej pokój z sąsiednim, przez które wchodził Russo, by ją nocą odwiedzać. Dlatego wybrał inną drogę. Na nagraniu widać, jak Russo przechodzi przez balkon tamtego pokoju na jej balkon.

Mark zdębiał.

– Skąd wzięło się to nagranie?

– Mówiłem, że znaleźliśmy je w pokoju Russo.

– A nagranie z kamery na korytarzu na pierwszym piętrze?

– Nie znaleźliśmy.

– Dlaczego Russo miałby trzymać obciążające go nagranie?

– Nie wiem.

– Chyba jednak pan wie. – Uśmiechnął się Mark. – Pendrive, tak jak i jego stary telefon, prawdopodobnie podrzuciła Giulia.

– Na pendrivie nie było odcisków jej palców, tylko Russo. Tak jak i na opakowaniu tabletek nasennych – powiedział opanowanym tonem Kraft. – Czyżby panu już się nie spieszyło do domu, do żony i dzieci? Mam przytrzymać tu państwa przez następne kilka dni?

– Dobrze, już dobrze, panie komisarzu. – Mark uniósł ręce w geście poddania. – Rzeczywiście tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

– Wszystkie dowody wskazują na Lorenza Russo. Drugim podejrzanym był Sewer, ale wątpię, czy byłby zdolny do aż tak czynnego zaangażowania swoich sił fizycznych i intelektualnych. To narkoman i alkoholik. Teoretycznie mógłby podrzucić nagranie w celu obciążenia Russo, ale skąd miałby do niego dostęp? Jedynie oboje Ferrowie oraz Lorenzo mieli taką możliwość. Franca raczej nie

biorę pod uwagę, tylko jego córkę. Gdyby Giulia nie wiedziała o zerwaniu Camilli z Russo, to może byłby motyw. Ale po co miałyby sobie brudzić ręce zbrodnią, jeśli Vogel już nie chciała włoskiego kochanka? Lepszy powód miał Russo – wściekłość i rozczarowanie. Zawiedziony i ośmieszony kochanek mógł w afekcie zabić zdradziecką kochankę, z którą wiązał duże plany.

Mark w milczeniu trawił słowa Krafta.

– Wnioskuje, że w ekspertyzie technicznej motocykla Russo nie znaleziono niczego podejrzanego?

– Niczego. – Mężczyzna zawiesił głos, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć więcej, ale zrezygnował.

– Okej. Ma pan racje, komisarzu. Lorenzo Russo to najlepszy kandydat na mordercę. – Mark przesłał policjantowi porozumiewawcze spojrzenie.

Wieczorem klan Orłowskich w pełnym składzie spotkał się w hotelowym ogrodzie nad kuflami z piwem i szklankami z drinkami. Nie zabrakło nawet Izy i Johana.

– Jak myślisz, Mark, czy rzeczywiście zrobił to Lorenzo? – zapytał Martin, gdy Biegler zdał im relację z rozmowy z komisarzem.

– Oczywiście, że to nie on – powiedział Mark. – Ale lepiej i wygodniej, gdy zabójcą okazał się Russo, niż gdyby umorzono śledztwo. Lepiej oczywiście nie dla nas, tylko dla Krafta i Morettięgo.

– Dla nas też, bo będziemy mogli wreszcie wrócić do domu – podsumował Johan. – Mnie się wydaje, że Kraft ma rację, wskazując na Lorenza. Według mnie to najlepsze wytłumaczenie tego, co zaszło w pokoju Camilli. Georg nie byłby zdolny do jej zamordowania. On jest na to za głupi.

Kiedy to mówił, nie zauważył lodowatego spojrzenia, jakim obdarzyła go Iza. Ale zauważyła to Renata. Głośne westchnienie wydobyło się z jej płuc. To chyba koniec ich miłości – pomyślała smutno Orłowska.

– Myślę, że oprócz mordercy tylko jedna osoba wie, kto zabił Camillę Vogel – powiedział Mark, pociągając łyk piwa. – To Giulia Ferro.

Rozdział 45

Johan leżał na łóżku i gapił się w telewizor, gdy do pokoju weszła Iza. W milczeniu patrzył, jak wyciągała walizkę i pakowała swój bagaż. Chyba rzeczywiście go nie zdradziła z tym pierdolonym Lorenzem. Gdyby to zrobiła, inaczej by się zachowywała. Z natury była osobą uczciwą i prostolinijną. Nie lubiła oszukiwać, a jeśli coś przeskrobała i ją na tym przyłapano, umiała godnie zmierzyć się z prawdą. W takiej sytuacji nie chowałały głowy w piasek, nie uciekała do kłamstwa, tylko by się przyznała do zdrady. Później prawdopodobnie próbowałyby trochę siebie wybielić, by umniejszyć swe przewinienie. Wykazałyby skruchę, przepraszałyby za swój postępek i wyrażała chęć naprawy.

Na pewno nie sprawiałaby wrażenia wciąż obrażonej niewinności. Tymczasem jej zachowanie wskazywało, że to jego obarcza za problemy w ich małżeństwie. Nie siebie.

– Izis, może wreszcie porozmawiamy? – powiedział, nie zmieniając pozycji.

– O czym?

– O nas. O naszej przeszłości.

Dziewczyna milczała, układając w kostkę spodnie i bluzki. Mężczyzna gwałtownie poderwał się z łóżka i chwycił ją za ramiona.

– Dlaczego już mnie nie chcesz? Nie miałem wpływu na pojawienie się Tea w naszym życiu. Nawet nie wiedziałem o jego istnieniu. Dlaczego mnie karzesz? Czy to powód, żeby przestać mnie kochać? Chcesz, żebym o nim zapomniał?

– Chcę, żebyś zapomniał o mnie – powiedziała. – Nie mogę cię dalej kochać po tym, co zrobiłeś.

– Przecież cię nie zdradziłem! Odkąd jesteśmy razem, nigdy nie pomyślałem o innej kobiecie. To ty szukałaś mocnych wrażeń z tym dupkiem Lorenzem. Mimo to ci wybaczam. – Słowa zabrzmiały skargą. Przyciągnął ją do siebie i objął, szepcząc żarliwie: – Tak bardzo cię pragnę, Izis...

Dziewczyna próbowała się uwolnić z jego objęć, ale bezskutecznie.

– Tak dawno się nie kochaliśmy. – Jego oddech przyspieszył, serce zaczęło bić gwałtownie. – Boże, jak bardzo tęsknię za tobą.

Nie zważając na jej protesty, pociągnął ją na łóżko i zaczął zdzierać z niej ubranie.

W pewnej chwili Iza przestała się bronić, pozwalając mu się całować po szyi i piersiach. Johan wziął to za przyzwolenie i rzucił z siebie bokserki. Wargami poszukał jej ust, gdy tymczasem ona szukała dłońmi jego jąder. Nie zdążył wsunąć języka w jej usta, gdy nagle jego okrzyk bólu ostro przeciął powietrze.

– Nie drzyj się tak głośno, bo przyleci tu mój ojciec – wysyczała, jeszcze mocniej ściskając jego mosznę. – I zapamiętaj raz na zawsze, że nie należę do kobiet, które podnieca gwałt.

Mówiąc to, zerwała się z łóżka, przesyłając skulonemu z bólu Johanowi ironiczne spojrzenie.

– Zrób sobie zimny okład – mruknęła, stojąc w drzwiach. – Włóż do bokserek kostki lodu i przyłóż na jajka.

Renata obudziła się w środku nocy. Nawet zatyczki w jej uszach nie zagłuszyły chrapania Roberta. Za oknami było jeszcze ciemno. Spojrzała na zegarek leżący na blacie stolika nocnego – godzina trzecia. Dała Robertowi łokciem kuksańca, żeby zmienił pozycję. Poskutkowało, przestał chrapać. Niestety sen wciąż nie nadchodził. Po trzech kwadransach przewracania się z boku na bok postanowiła wstać. Żeby nie obudzić męża, wyszła na balkon i usiadła na fotelu. Pragnienie skierowało ją ku szafce z napojami, ale oprócz kilku butelek alkoholu stała tam tylko puszka piwa. Nie było już mineralnej. Zła na męża, że wypił wodę i nie uzupełnił braków, założyła szlafrok i zeszła na dół do westybulu, gdzie w kącie stał dystrybutor. Wzięła plastikowy kubek, napełniła go i wypila duszkiem. Ponownie nalała wody do kubka, ale nie wróciła do pokoju, tylko wyszła na zewnątrz.

Jaka piękna noc – pomyślała. Niebo upstrzone punkcikami gwiazd pod przewodnictwem księżycy zwisało nad ogrodem, tworząc magiczną kopułę. Światło latarni ulicznych i lamp ogrodowych rozjaśniało granat mroku. Z wypielegnowanych klombów dolatywał aromatyczny zapach kwiecica, przyjemnie podrażniając nozdrza kobiety. Skierowała się w stronę altanki, gdzie spędzali większość wieczorów. Usiadła w ratanowym fotelu wyłożonym miękką poduchą. Wbite w trawnik lampy solarne

świeciły bladym blaskiem, rozpraszając ciemność pod drewnianą wiatą.

Orłowska siedziała, podziwiając piękno otaczającego ją ogrodu i wsłuchując się w odgłosy nocy. Miasteczko jeszcze spało, ale ogrodowi mieszkańcy już się obudzili albo w ogóle nie poszli spać. Usłyszała pohukiwanie jakiegoś ptaka. Czyżby to była sowa? A może gołąb? Odstawiając na stół plastikowy kubek, zauważyła dużą muchę mozolnie posuwającą się po blacie. Na widok intruza owad nie uciekł, tylko z dużym trudem, powoli przemieszczał się do przodu.

To chyba twoje ostatnie chwile, musza emerytko – pomyślała Renata, przyglądając się owadowi. Żyj dalej, nie uśmiercę cię.

Orłowska zauważyła, że od kilku lat stała się bardziej wrażliwa niż za czasów młodości. Nie tylko była bardziej wrażliwa na ludzką krzywdę i ból, lecz także na piękno przyrody i na otaczający ją świat. Wcześniej zabiłaby muchę bez wahania, bo nie znosiła insektów, uważając je za roznosicieli groźnych chorób. Teraz nie zabijała nawet pajaków – według niej najbardziej obrzydliwych stworzeń zaraz po dżdżownicach – tylko je łapała i wynosiła na zewnątrz.

No cóż, starość uwrażliwia i uczy szacunku do różnych form życia – kobieta uśmiechnęła się do swoich myśli. Chociaż sama nie była wegetarianką, doskonale rozumiała tych ludzi i szanowała za ich zasady. Wciąż pamiętała z dzieciństwa dzień, kiedy rzeźnik zjawił się w gospodarstwie dziadków, by zabić wieprzka, a potem zrobić z niego wyroby masarskie. Pyszną kiełbasę, kaszanke, pasztetową i salceson. Na widok męczyzny zwierzę zaczęło rozpaczliwie uciekać po podwórzu, szukając drogi ratunku. Do dziś Renata słyszała przeraźliwy kwik prosiaka przeczuwającego rychłą śmierć. Wtedy przez miesiąc nie zjadła żadnego mięsa. Ani kiełbasy, ani kaszanki, ani pasztetowej, ani salcesonu.

Myśli Orłowskiej powędrowały do Camilli i Lorenza. Prawie ich nie знаła, ale fakt, że odeszli z tego świata w tak gwałtowny sposób i w tak młodym wieku, wstrząsnął nią bardziej, niż przypuszczała. Na zewnątrz starała się tego nie okazywać, często jednak rozmyślała o kobiecie. Camilla miała wszystko, czego można zapragnąć: urodę, pieniądze, władzę oraz to, co najważniejsze – upragnione dziecko. I wszystko to nagle straciła. Nie wiadomo, kto się bezpośrednio do tego przyczynił, Lorenzo czy ktoś inny, ale według Renaty głównym winowajcą był rak. To on stał się powodem tego, co potem nastąpiło.

Orłowska ponownie zamyśliła się nad bolącymi nękającymi każdego człowieka. Kruchość życia, mierne poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji oraz wielka niewiadoma, co przyniesie następny dzień. Ostatnio takie myśli na stałe zagnieździły się w głowie Renaty i ciężko jej było się ich pozbyć. Z natury była optymistką, ale ten jej optymizm kurczył się coraz bardziej, gdy stykała się z ludzkimi problemami.

Lorenzo wcześniej nie zaprzął jej uwagi, dopiero nagła śmierć zrobiła z niego centralną postać ponurych zdarzeń w hotelu Stella. Gdyby nawet to on przyłożył poduszkę do twarzy Camilli, to i tak go żałowała. Był taki młody. Jego życie było takie krótkie – jedna trzecia czasu zakodowanego dla człowieka przez Naturę. Jeśli zabił, to nie z premedytacją, ale w afekcie. Nie był zdeprawowanym mordercą, bo nic na to nie wskazywało, był jedynie słabą i niedoskonałą istotą. Ale czy niedoskonałość zasługuje na unicestwienie?

Przerwała rozmyślenia, bo z trawy doszedł ją cichy szmer. Spojrzała w tamtą stronę i ujrzała małą myszkę złapaną w pułapkę. Renata podeszła bliżej. Mysz żyła, ale była uwięziona za ogon. Kobieta nachyliła się i uwolniła zwierzątko.

– Uciekaj i nigdy tutaj nie wracaj, bo szaleje tu kot i czyhają na ciebie inne niebezpieczeństwa – powiedziała szeptem.

– Nie wiem, czy się to spodoba panu Ferrowi – usłyszała głos dochodzący z ciemnego kąta.

Aż podskoczyła ze strachu.

– O Boże, Martin, przez ciebie o mało co nie dostałam zawału – powiedziała, przykładając rękę do piersi, jakby chciała uspokoić głośno bijące serce. – Co tu robisz?

– To co ty, siedzę i wsłuchuję się w noc.

– Też nie możesz spać?

– O dawna cierpię na bezsenność.

– Ja też mam problemy ze snem. Nie ma nocy, żebym się nie obudziła.

– To przez chrapanie Roberta?

– Też. Ale mam na to stopery do uszu, większym problemem jest przegroda nosowa.
– Złamałaś nos? Masz krzywą przegrodę nosową?
– Nie, ale mam wąskie kanaliki nosowe. W nocy robią się niedrożne, co mnie budzi, bo nie mogę oddychać przez nos, a potem mi ciężko ponownie zasnąć.

– Powinnaś to zoperować.
– Wiem, ale odkładam zabieg. Teraz mam pretekst, bo pandemia. A co jest powodem twojej bezsenności?

– Nie wiem. Na starość wielu ludzi ma tego typu problemy.
– Wiem – uśmiechnęła się do mężczyzny. Bardzo lubiła współnika męża i zawsze traktowała go jak członka rodziny. – Mam nadzieję, Martinie, że nie doniesiesz na mnie do pana Ferra, że wypuściłam myszkę?

– Hmm, przyznam ci się w tajemnicy, że wczoraj też uwolniłem jedną mysz. Ale wyniosłem ją poza teren hotelu. – Odparł z uśmiechem. – Tutejsze myszy mają dobrze, bo hotelowy kot jest leniuchem i nie chce mu się ich łapać.

– A to już twoja wina, bo rozpieszczasz go kocimi smakołykami. Widziałam, jak mu je wczoraj podawałeś.

– Czuję sentyment do kotów, mam jednego w domu.
– Przecież wiem, widziałam go na zdjęciach. Co teraz zrobiłeś z Nero?
– Sąsiadka się nim zajmuje. Karmi go i zmienia kuwetę.
– Hmm, kochasz koty i lubisz myszy. Dobry z ciebie chrześcijanin.
– Z ciebie też, Renatko. Uratowałaś dziś myszce życie.
– Uratowałam dwa życia: myszki i muchy. No z tą drugą to nie do końca tak było. Uratowałam, bo jej nie zabiłam.

Martin uśmiechnął się, ale jakoś tak smutno.

– Niestety dwie osoby nie żyją – westchnął. – Oboje tacy młodzi. Boże, jakie kruche jest nasze życie...

– Niestety. – Westchnęła. – Szkoda mi obojga. I Camilli, i Lorenza. Naprawdę mi ich żal. Nawet Lorenza. Nie wiadomo, co się wtedy wydarzyło. Nawet gdyby ją rzeczywiście udusił, to... – Nie dokończyła myśli. – Był niewiele starszy od naszej Izy.

Zamilkli oboje. Dopiero po dłuższej chwili Renata przerwała ciszę.

– Wspaniale, że jutro już wracamy do domu – powiedziała, ale widząc minę Martina, zapytała zdziwiona: – A ty się nie cieszysz z powrotu?

Wzruszył ramionami.

– Dobrze mi tu. Piękna pogoda, piękna miejscowość, super jedzenie i mnóstwo wolnego czasu. Mogę bezkarnie leniuchować. No i wy tu jesteście...

Przy ostatnich słowach głos mu się załamał.

Boże, on jest bardzo samotny – przeleciało Renacie przez myśl. Odchrząknęła.

– Przecież niedługo przyjedziesz do Krakowa i znowu będziemy razem. Zapomniałeś o Bieszczadach?

Schmidt potrząsnął rażno głową, jakby chciał otrząsnąć z siebie melancholię. Odkaszlnął i normalnym już tonem powiedział:

– Ale pobyt tutaj nie jest wliczany do urlopu. Mam pretekst do leniuchowania i nie obciąża mi to karty urlopowej ani konta bankowego, bo za wszystko płaci Henry Kraft.

– Nie Kraft, tylko niemiecka policja.

Rozdział 46

Nazajutrz atmosfera w hotelu była wyjątkowo radosna. Po śniadaniu wszyscy mieszkańcy Stelli, oprócz gospodarzy i policjantów, zebrali się nad basenem. Zaraz po obiedzie wynajęty bus miał ich zawieźć na lotnisko w Trydencie. Przyszli nawet Niemcy. Alfred Linn prowadził lekką rozmowę z Martinem Schmidtem, a Georg zagadywał do Johana. Lena usiadła w cieniu parasola, popijając zimny sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy. Obok w brodziku taplał się Teo pod baczynym okiem Zuzy. Okazało się, że ciotka Camilli zaproponowała dziewczynie posadę niani również w Berlinie.

– Propozycja była tak kusząca finansowo, że nie mogłam odmówić – powiedziała Zuza do Marka Bieglera, poprawiając temblak. – Dodatkową dla mnie premią będzie uśmiech tego łobuziaka. Teo aż pisał z radości, gdy się o tym dowiedział. – Uśmiechnęła się smutno. – To jedyny facet, któremu na mnie naprawdę zależy.

– I na pewno nie ostatni facet w pani życiu, który odda pani swoje serce – powiedział Mark, uśmiechając się do dziewczyny.

– A nie wie pan, jakie plany ma Johan von Briest? – zapytała szeptem. – Czy dogadali się już z żoną?

– Raczej nie – mruknął Biegler. – Słyszałem, że Johan na razie nie wraca do Krakowa, bo musi załatwić kilka spraw w Berlinie.

– Jak pan myśli, czy jedną z tych spraw będzie Teo?

– Nie wiem. Proszę jego zapytać.

– Nie mam zamiaru go o to wypytywać, bo to nie moja sprawa. Niech Lena Wolf go zapyta.

Po obiedzie wszyscy zaczęli się przygotowywać do wyjazdu. Pakowali walizy i torby podróżne, bacznie sprawdzając, czy czegoś nie zapomniano. Jakiś czas później bagaże ustawione na podjeździe oczekiwały na samochód, który miał je zawieźć na lotnisko. Obok nich stali właściciele i prowadzili grzecznościową rozmowę. Między torbami biegał roześmiany Teo, uciekając przed goniącą go Zuzą z małą bejsbolówką w dłoni.

– Teo, musisz założyć czapkę.

– Nie chcę, gorąco mi w niej – wołał.

Do zebranych podeszli Kraft i Moretti.

– Dziękujemy państwu za pomoc w śledztwie – powiedział uroczyście komisarz. – I przepraszam, że tak długo was tu przetrzymywaliśmy.

Kiedy podjechał bus, z hotelu wyszli Franco i Giulia, by pożegnać gości.

– Zapraszamy państwa do nas ponownie. Może następnym razem obejdzie się bez atrakcji w postaci pandemii i morderstwa – powiedział Ferro, starając się nadać głosowi wesołe brzmienie.

– Na pewno jeszcze kiedyś tu wrócimy – odparła Renata, podając mu rękę. – Dziękujemy. Gdyby nie specyficzne okoliczności, byłoby naprawdę super.

Potem nieoczekiwanie Ferro podeszedł do Johana. Rozejrzał się na boki, żeby sprawdzić, czy nie obserwuje ich Kraft albo Moretti. Z kieszonki koszuli wyjął złożoną na pół białą kopertę.

– Pani Camilla rano w dniu swojej śmierci wręczyła mi list dla pana. Powiedziała, żebym go panu przekazał po jej wyjeździe, w razie gdyby nie udało jej się z panem porozmawiać osobiście. Wtedy w lutym byłem chory i całkiem wyleciało mi to z głowy. A gdy się okazało, że ją zamordowano, to... nie chciałem komplikować sytuacji przyjacielom doktora Schmidta. Teraz komisarz Kraft zakończył śledztwo... – Spojrzał w oczy mężczyźnie. – Przeczytałem ten list... Przepraszam za wścibstwo, ale musiałem wiedzieć, czy nie zawiera informacji dotyczących jej śmierci. Nic nie wspominałem o tym liście Kraftowi – powiedział cicho.

Zdziwiony Johan obracał w dłoni kopertę, a potem włożył ją do kieszeni. Nie zamierzał teraz czytać listu, jego lekturę odłożył na później.

Mark najpierw pożegnał się z policjantami i Ferrem, dopiero na koniec podeszedł do córki hotelarza.

– Pani Giulio, żegnam. Może jeszcze się kiedyś spotkamy. – Uśmiechnął się do dziewczyny

i dodał cicho: – Szkoda, że nie znalazło się nagranie z korytarza na pierwszym piętrze, tylko to z patio.
– Nie ma pan czego żałować – odparła chłodno i dopiero po chwili dołączyła uśmiech. – Naprawdę nie macie czego żałować – mówiąc to, patrzyła na Izę. – Lepiej nie otwierać puszek Pandory.
Do Izy podszedł Johan. Spojrzał na nią chłodno. Odchrząknął.
– Czy mam przysłać swojego adwokata? – zapytał oficjalnie wyzutym z emocji głosem. – Czy chcesz rozwodu?
Iza unikała jego oczu.
– Nie chcę rozwodu – odparła cicho. Jej wzrok jakby automatycznie skierował się na Giulię. Wtedy podniosła głowę i spojrzała Johanowi prosto w oczy. – Nie chcę rozwodu, ale nie wiem, czy do niego nie dojdzie.

Rozdział 47

Iza patrzyła na przedmioty wyciągnięte z drewnianej ozdobnej szkatułki. Przyglądała się drobnym prezencikom otrzymanym kiedyś od Johana, które zostawiał za wycieraczkami jej samochodu. Były to zasuszone kwiatki i krótkie liściki. Przeczytała je wszystkie. Mówiły o jego miłości do niej i tęsknocie za nią. Obejrzała jego dyplom polskiej matury, którą zdawał z myślą o niej, żeby uznała go za Polaka. Najdłużej przytrzymała pierścionek zaręczynowy z ogromnym brylantem, który od niego dostała. Była to pamiątka po jego prababci, uciekinierce z carskiej Rosji. Podobno zrobiono go w pracowni Fabergé. Był duży, niemodny i bardzo drogi, dlatego rzadko go nosiła.

Przymknęła oczy i powędrowała myślami do czasów, kiedy jeszcze nie byli małżeństwem. Do momentu jej niezapowiedzianego przyjazdu do Berlina i prób uwiedzenia Johana. O chwilach gorących erotycznych uniesień spędzonych w jego sypialni i o wizycie Camilli Vogel, która ją stamtąd przepędziła w bardzo upokarzający sposób. O łzach wylanych w mieszkaniu Martina i jej późniejszym narzeczeństwie z Bartkiem Krawczykiem, które zaaranżował ojciec. I o spektakularnym powrocie Johana do jej życia. O jego zalotach, o jego staraniach i próbach podboju. O jego oświadczeniach na golasa i wręczeniu pierścionka. To były takie piękne dni... Dni ich krótkiego narzeczeństwa. Nawet żelazny sprzeciw ukochanego „tatki” nie zakłócił tych wspomnień. Nawet śmierć ojca Johana tuż przed ich ślubem nie zepsuła piękna tamtych chwil.

Czy ktoś, kto potrafił tak kochać, byłby zdolny do morderstwa?

Ale ta radość w oczach Johana, gdy Kraft zakomunikował, że mordercą był Lorenzo. Ten entuzjastyczny poklask słowom Marka, że tak jest dla wszystkich najlepiej. No cóż, Georg nie mógł zabić Camilli, bo był na to za głupi. Nie to co Johan von Briest!

Kiedyś zakładała, że oświadczenie komisarza Krafta zadecyduje o przyszłości jej małżeństwa z Johanem. Nie przewidziała jednak konformistycznej postawy policjanta. On nie chciał poznać prawdy, poszedł na łatwiznę. Wolał uznać za mordercę osobę nieżyjącą, niż przyznać się do porażki i umorzyć śledztwo. Prawdopodobnie tylko Giulia знаła prawdę, mimo to postanowiła zatrzymać ją dla siebie i zrobić mordercę ze swojego narzeczonego. Może to była jej swoista zemsta? Może chciała pomścić jego niewierność aktem pośmiertnego zhańbienia?

Mark był przekonany, że Giulia ma nagranie z kamery umieszczonej na korytarzu. Iza słyszała ich pożegnalną rozmowę przed hotelem, zauważyła też, jakim spojrzeniem ją obrzuciła. Jej oczy mówiły: „Jesteś żoną mordercy”. Wiem o tym, ale was oszczędzę i nie wydam. To mój prezent. Doceń to, idiotko.

Ale przecież Izie nie było wolno kochać mordercy! Nie mogła nadal spać z nim w jednym łóżku, uprawiać seksu i udawać, że wszystko w porządku. Nie mogła... Nie mogła również nikomu o tym powiedzieć, i nie dlatego, że nie chciała być postrzegana jako żona zabójcy. NIE MOGŁA SKAZAĆ na dożywocie człowieka, którego wciąż KOCHAŁA! Dlatego jak Piłat umyła ręce, czekając, aż los sam go osądzi.

Mimo że Johan zabił istotę ludzką, nigdy nie doświadczyła przed nim lęku. Nie obawiała się, że może kiedyś i ją skrzywdzić. Sama nie wiedziała, skąd wzięła się u niej ta pewność, że nie wyrządzi jej krzywdy. Może dlatego, że podświadomie wciąż wiedziała, że jest przez niego kochana?

Schowała pudełko do komody stojącej w jej dawnym pokoju w domu rodziców. Nie pojechała do mieszkania, które kiedyś dzieliła z mężem. Po co miałyby tam wracać – jego tam nie ma. Ale gdyby był, też by tam nie zamieszkała.

Jej rozmyślania przepędził głośny dźwięk dzwonka domofonu. Wyjrzała przez okno, żeby zobaczyć, kto do nich przyjechał. Zauważyła obcy samochód i wysiadającego z niego Eryka. Czyżby Aga kupiła nowe auto? Po chwili z samochodu wyszedł postawny mężczyzna i wręczył chłopcu plecak. Przybili sobie piątkę. Ku jej zdziwieniu bratanek przytulił się do niego. Trwało to chwilę, bo zaraz oderwał się od mężczyzny i pobiegł w stronę domu. Tym mężczyzną był Bartek Krawczyk – kiedyś jej narzeczonego.

Na kolacji przy stole zebrała się cała rodzina. Oprócz Orłowskich i Izy przyszedł Krzysiek z Wiką i swoją trzódką oraz Bieglerowie z dziećmi. Przybyli również Barbara z Jonem. Do pełnego

składu brakowało jednej osoby. Johana.

– Pyszny ten karczek – pochwalił Mark pieczeń podaną przez Orłowską. – Czy to ty go upiekłaś, Renato? Czy pani Stasia?

– Pani Stasia. – Nie była to precyzyjna odpowiedź, bo wszystkie kulinarne wyroby pochodzące spoza kuchni Orłowskiej i upitraszone w służbowce na tyłach domu nazywano potrawami pani Stasi, chociaż przeważnie przyrządzała je jej córka, a starszka jedynie wydawała polecenia. – Nie miałam dziś czasu na gotowanie, musiałam być w firmie – wyjaśniła Orłowska. – Sprzedaż bardzo nam spadła. Jeśli jesienią wprowadzą nowy lockdown, to nie wiem, czy nie zamknę sklepów.

– No cóż, skutki uboczne pandemii dopadły nas wszystkich. My również mamy dużo mniej planowanych zabiegów – wtrącił Krzysiek, wiceprezes kliniki Orłowskiego, a ostatnio *de facto* główny zarządca. – Pacjenci z Niemiec też teraz nie mają ochoty przyjeżdżać na „wycieczki stomatologiczne”. – Głośne westchnięcie wydobyło się z jego piersi. – Tato, trzeba pogadać z Martinem w sprawie nowej akcji reklamowej w niemieckiej telewizji. Dobrze by było przypomnieć Niemcom o Krakowie i fotelach dentystycznych, które na nich czekają.

– Kto w czasie pandemii myśli o zębach? – burknął Robert.

– Jeśli teraz nie ściągniemy pacjentów do przychodni stomatologicznej, to tym bardziej nie zrobimy tego jesienią. Chociaż nasi politycy wciąż pobożnie myślą, że sezon jesienno-zimowy przejdziemy suchą stopą, tak jak na wiosnę, to druga fala zakażeń na pewno nas nie ominie.

– Lato to okres kanikuły, ludzie wolą jechać nad morze niż do Krakowa. – Robert wzruszył ramionami.

– Tato, chyba nie muszę ci przypominać, że mamy bardzo mało podpisanych kontraktów z NFZ-em w porównaniu z ubiegłym rokiem. Jak tak dalej pójdzie, klinika zacznie mieć poważne problemy finansowe.

– Nie martw się, synu, mamy jeszcze wpływy z Bostonu. Szpital Harry’ego wciąż dobrze prosperuje. Harry jak zwykle miał nosa i w odpowiednim czasie przestawił się na plastikę twarzy, a amerykańskie kobiety bardziej od koronawirusa boją się zmarszczek i zwiotczalej skóry. Ich klinika nie odczuwa pandemii. Jak to dobrze, że nie sprzedałem im swoich udziałów – zauważył Robert.

– To Harry Robinson dalej zarządza kliniką? Przecież już dawno stuknęła mu osiemdziesiątka – zdziwił się Mark.

– Kliniką zarządza Kate, ale Harry wciąż podejmuje najważniejsze decyzje. Nadal ma bardzo sprawny mózg i nos do interesów – odparł Robert, pałaszując karkówkę. Ukroił kawałek pieczeni i zwrócił się do Eryka: – Jak było u mamy? Co robiliście?

– Mama miała dyżur w szpitalu. Byliśmy z wujkiem Bartkiem w Kryspinowie, a potem poszliśmy do weterynarza, bo Bombel zachorował – odparł Eryk.

– Co się stało kotu?

– Dostał sraczki.

– Eryk, nie przy stole! – oburzyła się Iza, trochę podenerwowana.

– Odkąd to stałaś się taka wrażliwa, córeczko? – Robert zawiesił wzrok na twarzy Izy. – Czyżbyś zaczęła żałować swoich wyborów?

– Nie wiem, o czym mówisz, tatku – burknęła.

– Cóż, pozwól, że zacytuję słowa poety: miałeś chamie złoty róg, ostał ci się jeno sznur.

– Robert, przestań! – warknęła Renata.

– Hmm, Aga okazała się mądrą kobietą.

– Robert! – Orłowska wskazała mężowi wzrokiem Eryka.

– Dobrze, już nic nie powiem. Dzieciaki, komu nałożyć sałatkę z porów? Trzeba szybko zjeść kolację, bo czekają na nas lody.

Iza szła Floriańską, spoglądając na wystawy sklepowe. W tym roku w Krakowie było dużo mniej turystów niż w poprzednich latach. Widoczne to było zarówno na chodnikach zabytkowych uliczek, jak i na Rynku Głównym. Już nie przewijały się jak kiedyś ludzkie tłumy – przechodniów było niewiele, a kawiarniane stoliki przeważnie stały puste. Dziewczyna posmutniała.

Cholerna pandemia! Ludzie boją się wyściubić nos poza dom. Ile to jeszcze potrwa?! Tatko

mówił, że najgorsze przed nami. Podobno jedyny ratunek w szczepionkach. Tylko dzięki nim wszystko może wrócić do normalności. „Normalność” – nie lubiła tego słowa, a ciągle je powtarzano. Nienawidziła tej cholernej pandemii. Maseczek, dezynfekcji rąk, a przede wszystkim dystansu. Wiosną prawie wszystkie zajęcia na uczelni były prowadzone zdalnie, co bardzo jej nie pasowało. Zawsze lubiła kontakt bezpośredni z przyjaciółmi, a nie pisanie wiadomości na Messengerze czy Instagramie. Wideoczaty również jej nie zadowalały. Żeby się dobrze bawić, musiała czuć wokół siebie obecność ludzi, szum, gwar, zgiełk. Nie lubiła towarzyskiej ciszy, chciała czuć dookoła tętno życia. Teraz większość jej znajomych obawiała się spotkań, a duże imprezy były zakazane.

Choroba babci i jej męża spowodowała, że restrykcje wprowadzane przez rząd nie budziły w niej takiego sprzeciwu i buntu jak u jej koleżanek i kolegów, na których covid nie odcisnął piętna. Wystarczyło spojrzeć na Barbarę i Jona, a potem na ich zdjęcia sprzed covidu i od razu nabierało się respektu do tej wstrętnej choroby. Jej dziadkowie, kiedyś wzorcowe przykłady „fajnego starzenia”, mało teraz przypominali siebie sprzed pół roku. Babcia przestała nawet farbować włosy, co przedtem było nie do pomyślenia. Chodziła zgarbiona, ciężko dyszała i szybko się męczyła. Wciąż nie mogła dojść do siebie. Tak samo było z Jonem. Stracili również swoją witalność i radość życia. Kiedy Iza na nich patrzyła, ścisnęła jej się serce z żalu, a słowa koronasceptyków, że nie ma pandemii i że covid to zwykła grypa, doprowadzały ją do furii.

Rozmyślając o dziadkach i koronawirusie, nie zauważyła idącego w jej stronę mężczyzny.

– Dzień dobry – usłyszała nad uchem. Podniosła głowę. Był to Bartek Krawczyk. Na twarzy miał maseczkę.

– O, cześć Bartek! Co porabiasz na Rynku?

– Mam tu spotkanie. – Spojrzał na zegarek. – Ale dopiero za pół godziny. Może dasz się zaprosić na kawę?

– Jak będziesz ją pił, mając kaganiec na twarzy?

– Dlaczego kaganiec? Czyżbyś też należała do foliarzy niewierzących w pandemię i potępiających obostrzenia?

– Ależ skąd! Jestem córką lekarza. Oprócz tego moi dziadkowie bardzo ciężko przeszli covid, ledwo uszli z życiem, dlatego nie lekceważę koronawirusa ani związanego z nim zagrożenia. Tak tylko mi się powiedziało. Teraz w przestrzeni publicznej na powietrzu nie trzeba nosić maseczek, tylko w pomieszczeniach zamkniętych – usprawiedliwiała się.

– Jestem lekarzem, przychodzą do nas różni pacjenci, dlatego wolę uważać. Nie chcę nikogo zarazić, gdybym był przypadkiem bezobjawowym. – Uśmiechnął się do dziewczyny. – To co, dasz się namówić na kawę?

– Na kawę mrożoną. I koniecznie muszą być też lody.

Usiedli przy stoliku pod parasolem naprzeciwko kościoła Mariackiego. Zaraz podeszła do nich kelnerka z przyłbicą na twarzy. Złożyli zamówienie.

– Byłeś już na urlopie czy dopiero pojedziesz? – zapytała Iza, znając odpowiedź, bo wiedziała, że spędził dwa tygodnie z Agą i Erykiem.

– Byłem, ale jeszcze pojedę. A ty?

– Też byłam i też jeszcze pojedę – bąknęła z bladym uśmiechem w kącikach ust.

Zajadając lody, obserwowała swojego byłego narzeczonego. Trochę się postarzał. Czoło podniosło mu się do góry, a znad paska spodni zwisała fałdka brzucha, ale mimo to prezentował się dobrze. Przyczyniła się do tego świeża opalenizna i radosne błyski w oczach. Radość biła z całego jego ciała, nie tylko z oczu. Jego twarz i wargi wygięte w uśmiechu oraz energia tryskająca z ruchu rąk i mimiki nadawały nową optykę jego osobie. Wcześniej Iza postrzegała Krawczyka jako statecznego, porządnego i trochę nudnego faceta, który mając zaledwie trzydziestkę, szybko wkraczał w wiek średni podtatusiałych mężczyzn. Tymczasem teraz, po kilku latach od ich rozstania, sprawiał wrażenie młodzieńca energicznego i ciekawego życia, który nie boi się nowych wyzwań i entuzjastycznie prze naprzód, będąc wciąż optymistycznie nastawionym do świata i ludzi. Tak jak ona kiedyś. Dziś ich role się odwróciły. To ona stała się odartą z energii pańcią, rozczarowaną życiem i ludźmi. Jej młodość jakby przywiedła, a witalność, która była kiedyś jej znakiem rozpoznawczym, została zahibernowana. Iza

siedziała smętnie przy stoliku, nie mając ochoty nawet na rozmowę.

Bartek nigdy nie należał do superprzystojniaków. Nie tylko miał dużo gorszą aparycję niż Johan, ale ogólnie był o wiele mniej od niego interesujący jako mężczyzna. Przy Johanie dziewczyny mdlały z zachwytu, przy Bartku ziewały z nudów. Gdy porównywała eksnarzeczonego do swojego męża, zawsze nasuwała jej się myśl, że ci dwaj mężczyźni przypominają podstarzałego giermka i młodego pięknego księcia.

Ale Bartek miał jedną przewagę nad Johanem – nie był mordercą.

Czy żałowała rozstania z Bartkiem? Nie. Na pewno nie. Nie pasowali do siebie. Obserwując teraz byłego narzeczonego, stwierdziła, że nie tylko on nie pasował do niej, ale ona również do niego nie pasowała. Przy niej nigdy nie był taki szczęśliwy jak teraz, będąc w związku z Agą.

Nie wiedziała, dlaczego wypowiedziała te słowa na głos.

– Widzę, Bartku, że wreszcie spotkałeś kobietę swojego życia – oznajmiła, przerywając nijaką rozmowę. – Cieszę się, że jesteś szczęśliwy. Naprawdę się cieszę. Zasłużyłeś na to. – Uśmiechnęła się trochę smutno i zaraz dodała: – A najbardziej z naszej rodziny cieszy się tatko. Zawsze bardzo cię lubił. Jest zadowolony z waszego związku ze względu na Eryka. Obawiał się, że Aga się zwiąże z jakimś nieodpowiednim facetem, co mogłoby odbić się na chłopcu. Teraz tatko może spać spokojnie.

– Ja też zawsze lubiłem i ceniłem pana Roberta – odparł.

– Kilka dni temu widziałam ciebie i Eryka, gdy go odwoziłeś do domu. Zdziwiłam się, że się do ciebie przytulił. Rzadko to robi. Raczej unika uścisków, przytula się tylko do mojego taty. Krzysiek jest nawet o to trochę zazdrosny.

– Od początku ja i Eryk mieliśmy ze sobą dobre relacje. Cieszę się, że zostanę jego ojczymem.

– O, nie wiedziałam, że planujecie ślub. Nic nam Eryk nie mówił.

– Jeszcze nie ustaliliśmy terminu. Poczekamy, aż skończy się pandemia.

– No to będziecie długo czekać.

– Kiedy pojawi się szczepionka, wszystko powinno powoli wracać do normy. – Zatrzymał wzrok na twarzy dziewczyny. – A co u ciebie, Iskierko? Jak układa ci się w małżeństwie?

– Okej. Mąż musiał jechać do Berlina w sprawach służbowych – skłamała bez wahania.

– No to się cieszę, że wam też jest razem dobrze. – Wciąż nie spuszczał z niej wzroku. – Kiedy się kogoś naprawdę kocha, to kocha się w nim wszystko. Nawet jego wady i ułomności. Akceptuje się również jego rodzinę. Poznałem krewnych Agi, których zawsze się wstydziła. Wiążąc się z kimś, trzeba umieć pogodzić się z jego przeszłością, nawet wtedy, gdy nie jest zbyt chwalebna. Aga opowiedziała mi o swoim dawnym życiu. Chcąc być z nią, musiałem te informacje oswoić i zaakceptować również jej przeszłość. Eryk jest częścią Agi. Dlatego jeśli ją kocham, muszę pokochać również jej syna.

Iza wiedziała, że jego słowa odnoszą się do niej i jej sytuacji. Poczła gniew. Nie pozwoli mu się wymądrzać, jej życie to nie jego sprawa. Już miała mu to wygarnąć, gdy nagle dostrzegła Agę rozglądającą się po stolikach. Kobieta ich zauważyła i na chwilę się zawahała, czy do nich podejść. Ułatwił jej to Bartek, machając ręką na powitanie.

– Aga, tu jestem – zawołał dość głośno. – Chodź do nas, kochanie.

– Pójdę już – powiedziała Iza, zrywając się ze stołka.

– Nie wygłupiaj się, nie uciekaj – zaoponował.

– Muszę lecieć. Cześć, Aga – przesłała dziewczynie uprzejmy uśmiech. – Super wyglądasz.

Rozdział 48

Johan nacisnął dzwonek domofonu przy furcie posiadłości Camilli Vogel. To była jego pierwsza wizyta w tym miejscu. Kiedy łączył ich romans, kobieta mieszkała w luksusowym apartamencie, który później zamieniła na równie luksusowy dom. Drzwi otworzyła gospoia, a po chwili z jednego z pokoi wychyliła się postać Leny Wolf. Błada, zgarbiona, okryta czarnym szalem babinka przywozila mu na myśl filmowe bohaterki z amerykańskich horrorów.

– Witam pana, Johanie. Miło pana widzieć – powiedziała bez śladu uśmiechu. – Zapraszam do salonu. Teo jest na spacerze z Suzi. Powinni zaraz wrócić.

Johan z pewną niechęcią pomyślał o czekającej go rozmowie ze starszą kobietą. Nie czuł do niej sympatii, zawsze wydawała mu się oschłą, nudną i wredną jędzą. List Camilli jeszcze bardziej go w tym utwierdzał. Gdyby wiedział, że małego nie ma w domu, przyszedłby później.

Usiadł na kremowym skórzanym fotelu, rozglądając się po pokoju. Dom był bardziej przyjazny niż dawne mieszkanie Camilli. Mimo nowoczesnej stylistyki starano się nadać wnętrzu wrażenie przytulności przez wprowadzenie dużej ilości tkanin i bibelotów. Wszędzie walały się poduchy i poduszki, w oknach zwisały jedwabne zasłony, a drewniane podłogi przysłonięto puchatymi dywanami. Białe ściany były ozdobione obrazami i zdjęciami w eleganckich ramkach. Na wszystkich fotografiach widniał Teo albo Camilla, albo Teo i Camilla. Nie zauważył żadnego zdjęcia Georga. Było tu szykownie, stylowo, ale domowo. Ciepło ogniska domowego – pomyślał, rzucając okiem na kominek. Zdziwił się, gdy zauważył płonący w nim ogień. Kobieta jakby wyczuła jego zdziwienie.

– Nam, starym i chorym, zawsze jest zimno – powiedziała Lena. – Z reguły na parterze bywa chłodniej niż na piętrze, a dziś mimo sierpnia mamy za oknem tylko osiemnaście stopni.

– Już się wypogadza – bąknął. – Zapowiadają upał na najbliższe dni.

– No to wreszcie się wygrzeję. W Madonna di Campiglio pomimo panującej tam ponurej atmosfery zawsze było ciepło.

– Rzeczywiście Włochy mają lepszy klimat niż my. Więcej słońca, mniej deszczów – ciągnął Johan, nie wiedząc, o czym rozmawiać z kobietą. – Piękny dom.

– Tak. Camilla zawsze miała dobry gust. Przeprowadziłam się tutaj, żeby nie zmieniać chłopcu otoczenia. Przecież musiał się zmierzyć z wieloma innymi zmianami, a tak to chociaż wciąż ma ten sam pokój i ogród. U mnie nie ma ogrodu, mieszkam w kamienicy, no i nie ma tam warunków odpowiednich dla małego dziecka. Oczywiście, kiedy nowe życie Tea się już unormuje, wrócę do siebie – powiedziała, jakby chciała uspokoić mężczyznę.

Johan poruszył się nerwowo. Niczego jeszcze nie postanowił. Jego wizyta tutaj o niczym nie świadczyła. Chciał zakomunikować to kobiecie, ale w tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem, a ciszę panującą w domu przeciął głośny krzyk chłopczyka.

– Ręce do góry! Jesteście otoczeni! – zawołał, wpadając do pokoju z plastikowym pistoletem na wodę.

Starsza kobieta skrzywiła się i ostentacyjnie zatkała dłońmi uszy.

– Dość tych wrzasków, Teo. Mówiłam ci, żebyś w domu nie krzyczał. Kto ci pozwolił bawić się wodą? Suzi, uprzedzałam panią, żeby nie dawać chłopcu do zabawy zabawek z użyciem wody.

– Przecież nie strzelałem – zaoponował chłopiec. – Reworwer mi się zepsuł, napraw mi go – zwrócił się do Johana.

– Teo, najpierw „dzień dobry” – upomniała chłopca wchodząca za nim do pokoju Zuza. – Poprawnie mówi się „rewolwer”.

Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie do Johana. W przeciwieństwie do Leny miała na sobie krótkie za kolano legginsy i bawełnianą bluzeczkę. Ona nie narzekała na zimny sierpniowy dzień.

– Dzień dobry, napraw mi rewolwer, bo nie mogę nikogo nim zabić – powiedział mały, wręczając Johanowi zabawkę.

– Witaj, Teo. To nie rewolwer – zauważył Johan.

Chłopczyk zmarszczył czołko.

– Jak to nie jest rewolwer? No to co to jest? – zapytał gniewnie.

– To jest pistolet.

Mały ze zdziwienia aż otworzył buzię.

– Pistolet i rewolwer to to samo – powiedział.

– Właśnie że nie. Rewolwer składa się z bębena, w którym są pociski, z iglicy i sprężyny, a pistolet ma magazynek. Twoja broń to pistolet, bo pojemnik na wodę jest odpowiednikiem magazynku – tłumaczył poważnym tonem Johan.

Ciotce nie za bardzo się spodobała ta rozmowa, ale tego nie skomentowała, jedynie zmarszczyła brwi.

– Zaraz zobaczysz różnicę – ciągnął Johan, wyjmując z pękatej reklamówki jedną z zabawek. Nie wiedział, co kupić małemu, dlatego zaopatrzył się w sklepie w różne dziecięce akcesoria. – To jest rewolwer. Porównaj go z tym, który trzymasz. Widzisz różnicę?

– Aha. – Teo odwrócił się do opiekunki. – Dlaczego nikt mi nie powiedział, że strzelam z pistoletu, a nie z rewolweru?

– Teo, daj spokój Suzi. Kobiety nie znają się na broni – rzucił Johan.

– Ale tata też mi nie powiedział!

– Wiesz co, chodźmy do twojego pokoju, to mi pokażesz, jakim dysponujesz arsenałem – ciągnął temat z poważną miną Johan.

– Co to jest arsenał?

– Arsenał to budynek, w którym przechowuje się broń. Albo inaczej: zbiór różnorodnej broni. Zobaczę, ile masz pistoletów, ile rewolwerów i karabinów.

– A czym się różni karabin od pistoletu i rewolweru?

– Różni się lufą. O tym. – Pokazał palcem. – W karabinie lufa jest długa, a w pistolecie i rewolwerze krótka. Karabiny też się różnią od siebie. Są karabiny jednostrzałowe, wielostrzałowe, maszynowe. Większość karabinów to broń palna, ale są też na sprężone powietrze, tak zwane wiatróvky. Mam w swoim domu taką wiatróvkę. Prawdziwą, nie zabawkową. Mogę ci ją kiedyś pokazać, gdy będziesz większy.

Chłopczyk stał z rozwartą buzią, zapatrzonego w Johana jakby Supermen sfrunął z nieba w swej czerwonej pelerynie i przemówił do niego.

– Ale ja już jestem większy! – zawołał z zapalem, wyprężając się i stając na palcach. – Zobacz, jaki jestem duży!

– Widzę, że urosłeś, ale najpierw chodźmy do twojego pokoju, dobrze?

– No dobrze, ale pokażesz mi prawdziwy karabin? Przysięgnij.

Johan zaczął teraz regularnie bywać w domu Camilli. Spędzał tam coraz więcej czasu. I coraz bardziej lubił Tea. Początkowo traktował te odwiedziny w kategorii pewnego przymusu, ale z biegiem czasu zauważył, że towarzystwo chłopca sprawiało mu nieklamana przyjemność. Lubiał się z nim bawić i patrzeć na nieskrywaną radość bijącą z twarzyczki małego.

Teo również zaczął się do niego przywiązywać. Codziennie rano wypytywał Zużę, kiedy przyjdzie Johan i co mu tym razem przyniesie, bo rzeczywiście von Briest zawsze przynosił mu jakiś mały upominek. Zuza i ciotka zwracały mężczyźnie uwagę, żeby nie rozpieszczał małego, ale zaciekawienie i radość w oczach dziecka działały na Johana dopingująco. Zabierał chłopczyka na spacer, na przejażdżki samochodowe, a nawet nauczył go jazdy na rowerku o dwóch kołach, bo dotychczas nikt tego nie zrobił. W pochmurne dni brał go również na Tropical Islands pod Berlinem, gdzie udzielał małemu lekcji pływania. Na początku w ich dłuższych wypadach towarzyszyła im Zuza, bo mężczyzna bał się odpowiedzialności i kłopotów związanych z opieką nad dzieckiem, ale z upływem dni coraz częściej się zdarzało, że spędzali czas sami. Tylko on i Teo.

Malec traktował Johana jak nowego wujka, który lubiał się z nim bawić i który miał dla niego duże pokłady cierpliwości. Ale nigdy nie nazywał go wujkiem, tylko Johanem.

– Johan, jesteś najfajniejszym moim wujkiem – oznajmił pewnego dnia, kiedy leżeli na sztucznej plaży w kompleksie Tropical Island.

Johan nie przepadał za tym miejscem, preferując naturalne zbiorniki wodne, ale w pobliżu

Berlina było to najlepsze miejsce na wakacyjny relaks.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał mężczyzna, czując miłe ciepło rozlewające się wokół serca.

– Bo jesteś najfajniejszy. – Chłopczyk wzruszył ramionkami. – Tata nie znał się na pistoletach i karabinach.

Po raz pierwszy Teo nawiązał do kwestii Georga. Johan poruszył się niepewnie. Nie wiedział, jak powinien zareagować, czy kontynuować temat, czy przemilczeć. W końcu odważył się zadać chłopcu pytanie:

– Tęsknisz za swoim tatą?

Chłopiec przez chwilę milczał, jakby się namyślał nad odpowiedzią.

– Tata nie bawił się ze mną.

– Bo nie miał czasu.

– Brzydko pachniał. *Mami* się ze mną bawiła, a on nie. – Buzia małego spochmurniała. – *Mami* chyba już nigdy nie wróci do domu. Poleciała do nieba. Tam jest lepiej. Zawsze jest ciepło i zawsze świeci słońce. – Zmarszczył brewki. – Ale tutaj też zawsze słońce świeci, mogła przecież przyjechać na Tropical Island, to po co poleciała do nieba?

– Nie wiem. Hmm, chyba była zmuszona lecieć do nieba – odparł niepewnie Johan. – Kto ci opowiedział o niebie? Ciocia Lena? – zaczął niezręcznie.

– Suzi. *Tante* nie wie, gdzie jest *Mami*. Ale ona jest stara i chora, a Suzi młoda i zdrowa. I mądra, chociaż nie zna się na pistoletach i karabinach. A ty wiesz, gdzie jest moja *Mami*?

– Myślę podobnie jak Suzi, że w niebie – powiedział, drapiąc się po włosach. – Moja mama i tato też są w niebie.

– To ty też miałeś mamę i tatę? Myślałem, że dorośli nie mają mam ani tatów.

– Oczywiście, że mają. Każdy ma mamę i tatę, tylko niektórzy rodzice nie żyją... – Zawahał się i zaraz się poprawił: – są w niebie.

– Właśnie, że nie. Moja *Mami* nie miała swojej *Mami*, tylko *Tante* Lenę.

– Nie miała, bo mama twojej mamy bardzo wcześnie poszła do nieba. – Zdziwił się, że chłopczyk nie wiedział tak podstawowych rzeczy. Widocznie nie miał kto wprowadzać go w niuanse rodzinne.

– W tym niebie chyba jest bardzo tłoczno – stwierdził mały. – Jak się oni tam wszyscy pomieszczą?

– Nie jest znowu tak tłoczno, jak myślisz, bo niektórzy idą do piekła – bąknął Johan.

– Kto idzie do piekła?

– Źli ludzie.

– A kim są źli ludzie?

– Ci, którzy zabijają, kradną, oszukują.

– To policjanci, którzy zabijają bandytów, też idą do piekła?

– Nie, jeśli muszą zabić w obronie siebie lub kogoś innego.

– A żołnierze na wojnie?

– Nie wszyscy. Ci, którzy bronią ojczyzny, nie idą do piekła, ale ci, którzy zabijają, a nie muszą tego robić, to pójdą. – Johan czuł się coraz bardziej niepewnie, dlatego postanowił zakończyć temat piekła. – Idziemy do wody? Albo lepiej chodźmy na zjeżdżalnię.

– Super! – napalił się chłopczyk. – Na zjeżdżalnię!

W drodze powrotnej Teo siedział z tyłu samochodu w foteliku dla dzieci i bawił się figurką Supermana, którą dostał od Johana.

– Naprawdę ten Superman był twój, wujku, i ty się nim bawiłeś? – Mały po raz pierwszy nazwał go wujkiem.

– Tak. Dostałem go od mojego taty. Wtedy wszystkie dzieci kochały Supermana. A ty czym lubisz się najbardziej bawić?

– Pistoletami i karabinami. Kiedy będę duży, to będę strzelał do złych ludzi – zawahał się. – Tylko do tych złych, to może nie pójdę do piekła.

Johan poruszył się niespokojnie. Ten mały znowu wracał do tematu broni i strzelania. Chyba powinien powiedzieć coś mądrego na temat niewłaściwości zabijania. Nie czuł się dobrze w kwestii

wychowywania dzieci. Uznał, że musi poczytać trochę poradników z gatunku pedagogiki i dydaktyki przedszkolaków. Rzadko miał do czynienia z maluchami. Wnuki Orłowskich niewiele z nim rozmawiały, bo lgnęły przede wszystkim do dziadka, a jego siostrzenica Alice była dziewczynką, którą interesowały lalki Barbie, a nie pistolety.

– Lepiej nie strzelać do ludzi – bąknął.

– Nawet do tych złych?

– Nigdy się nie wie, który człowiek jest zły, a który dobry. Można się łatwo pomylić. Nawet naprawdę bardzo zły człowiek powinien mieć szansę na poprawę.

– Ale ktoś musi bronić dobrych ludzi. Będę policjantem, który strzela tylko do złych ludzi. Albo żołnierzem i pójdę na wojnę.

Johan podrapał się po głowie. Cholera, czyżby z tego małego rósł prawdziwy zabijaka, a może nawet przyszły nazista? Koniecznie musi poczytać coś na temat wychowywania dzieci.

– Wojna to najgorsza rzecz, która może się zdarzyć ludziom. Ja nienawidzę wojny i zabijania – powiedział, starając się nadać głosowi autorytatywny ton. – I nie lubię ludzi, którzy lubią strzelać.

Chłopiec zmarkotniał.

– A więc mnie nie lubisz, bo ja lubię strzelać?

– Ty jesteś jeszcze dzieckiem, ciebie lubię.

– A lubisz Suzi?

– Lubię. Ona nie lubi strzelać. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Jeśli ją lubisz, to się z nią ożeń.

– Nie mogę się z nią ożenić, bo mam już żonę.

– Tę panią, która mnie wyciągnęła z basenu, gdy do niego wpadłem?

– Tak.

– Gdzie ona teraz jest?

– Jest w swoim domu w Polsce, w Krakowie.

– Dlaczego jej tutaj nie ma?

– Bo musi być w Krakowie – mruknął.

Kilka dni później, kiedy wybrali się ponownie do Tropical Island, pojechała z nimi również Zuza. Johan wolałby spędzić czas sam z chłopczykiem, ale nie odmówił, gdy dziewczyna nalegała. Mały był w siódmym niebie. Miał przy sobie dwie najważniejsze dla siebie osoby – Suzi i wujka Johana.

Von Briest z niepokojem zauważył, że prawdopodobnie niania zagięła na niego parol. Wszystko na to wskazywało – zawsze była nienagannie ubrana i umalowana. Nawet teraz, gdy pojechali do parku wodnego, miała na sobie pełny makijaż. Leżąc na leżaku, wabiła mężczyznę ponętą pozycją. Bikini, które miała na sobie – małe trójkąciki tkaniny połączone sznurkami – sprawiało wrażenie uszytego ze skrawków materiału, bo skąpo zakrywało to, co miało zakrywać. W duchu musiał przyznać, że Zuza była zgrabną i ładną dziewczyną. Jej ciało opalone w Madonna di Campiglio kusiło męskie oczy różnorodnymi wypukłościami i wycięciami. Mimo że Johan w czasie swojego dwudziestokilkuletniego życia w pewien sposób uodpornił się na kobiece wdzięki, z przyjemnością zerkał na powabną sylwetkę dziewczyny. Zuza, zauważywszy to, specjalnie się pochylała, wypinając swój zgrabny kuperek, albo prężyła się przed Johanem, uwydatniając dolinkę między piersiami, wymagającymi biustonosza o miseczkach numer trzy. Kiedy stali w kolejce do zjeżdżali, ocierała się o niego biustem i niby niechcący dotykała dłonią jego uda.

Johan z początku udawał, że nie domyślał się jej gier, ale gdy pewnego dnia bez pardonowo wpadła na niego i musnęła ustami jego wargi, postanowił przerwać jej umizgi, obracając w żart.

– Zuza, uważaj, bo cię zgwałcę, dlatego nie kuś mnie tak swoimi wdziękami.

– Może nie będę miała nic przeciwko temu gwałtowi? – Uśmiechnęła się kokieteryjnie

– Ale moja żona będzie miała.

– Naprawdę tak myślisz? Gdyby jej na tobie zależało, byłaby tu z tobą.

– Musiała załatwić pewne sprawy w Krakowie.

– Johan, przestań udawać, że między wami wszystko się układa – mruknęła. – Chcesz oszukać siebie czy mnie?

– Nikogo nie oszukuję. Nie byłaś mężatką, to nie wiesz, że między małżonkami zdarzają się różne sprzeczki. Gdyby każda małżeńska kłótnia kończyła się rozwodem, nie byłoby na świecie ani jednego małżeństwa.

Przyglądała mu się uważnie.

– Wciąż ją kochasz? – zapytała cicho.

– Oczywiście, przecież jest moją żoną. – Wiedział, że zabrzmiało to wyjątkowo sztucznie i głupio, miał nawet zamiar coś jeszcze powiedzieć, ale tylko wzruszył ramionami.

Guzik powinny ją obchodzić jego małżeńskie relacje. To nie jej sprawa. Niestety tylko na zewnątrz udawał, że wszystko było w porządku; doskonale zdawał sobie sprawę, że jego małżeństwo umiera, jeśli już nie umarło. Nie rozmawiał z Izą od dnia wyjazdu z Madonna di Campiglio, ale kilka razy dzwoniła do niego Wika. Były to rozmowy czysto zawodowe, raz tylko poruszyła kwestię Izy.

– Musisz ją zrozumieć, Johan. To był dla niej szok, gdy się dowiedziała, że masz dziecko. Musisz jej dać trochę czasu. Wiem, że jej wciąż bardzo na tobie zależy. – Zawahała się. – Chyba powinienes wiedzieć, że cała rodzina jest po twojej stronie.

– Nie sądzę. Mój teść raczej za mną nigdy nie przepadał – bąknął sceptycznie.

– Mylisz się. Teść stoi za tobą murem. Wiesz przecież dobrze, że on lubi dzieci.

– Wasze, nie cudze.

– Wszystkie. – Odchrząknęła. – Czy spotykasz się z synkiem?

– Tak – odparł zwięźle.

– Co masz zamiar dalej robić? Podjąłeś już decyzję?

– Jeszcze nie. – Nie chciał ciągnąć tego tematu, dlatego powiedział: – Jutro ci wyślę mailem to, co zrobiłem. Zobaczysz i ocenisz. Powinno być dobrze.

Rozdział 49

Mark i Marta siedzieli w biurze architektonicznym Studio-M w założonych na twarz maseczkach i przeglądali projekt rozbudowy budynku, który przygotowała Marzanna Radziszewska. Kilka lat temu ta sama architektka zaaranżowała dla nich mieszkanie nad garażami, w którym teraz mieszkali. Apartament był atrakcyjny i wygodny dla bezdzietnego małżeństwa, ale gdy ich rodzina powiększyła się o dwójkę dzieci, nie zapewniał standardu, do jakiego był przyzwyczajony Mark Biegler. Według niego sto dwadzieścia metrów kwadratowych to stanowczo za mało dla czteroosobowej rodziny. Jego żona, wychowana w rzeszowskim blokowisku, nie miała aż tak dużych wymagań. Wystarczyłoby jej to, co mają, byleby mieszkali obok Orłowskich. Właśnie z tego powodu Biegler zrezygnował z planów zakupu własnej parceli i wybudowania tam nowego wygodnego domu, spełniającego wszystkie jego wysokie wymagania. Znając głębokie przywiązanie żony do biologicznego ojca i jego rodziny, zgodził się na propozycję Roberta, żeby zaadaptowali obecne garaże na część mieszkalną. Projekt zaproponowany przez Marzannę Radziszewską przewidywał dobudowanie wiatrołapu i obszernego tarasu z ogrodem zimowym, a z czterech dotychczasowych stanowisk przeznaczonych na samochody miała powstać strefa dzienna z obszernym salonem i jadalnią z aneksem kuchennym. Na dole była również przewidziana dodatkowa łazienka oraz gabinet dla Marka.

– Proponuję nad ogrodem zimowym przedłużyć obecny dach i umieścić w nim dwa duże okna połaciowe. Powstanie antresola i wewnątrz nabierze oddechu dzięki niestandardowej wysokości i skosom. Ogród zimowy stanie się integralną częścią pokoju dziennego – objaśniała architektka. – Można tam zorganizować część jadalnianą albo dodatkowy kącik wypoczynkowy z meblami wiklinowymi lub ratanowymi.

– Kiedy zdobędziemy wszystkie pozwolenia? – zapytał Mark.

– Wuzetka już jest, bo doktor Orłowski zlecił mi załatwienie formalności, kiedy przebywaliście państwo jeszcze w Australii. Budowę można rozpocząć, gdy tylko znajdziemy odpowiednią ekipę budowlaną. Jeśli teraz zostaną dobudowane dodatkowe ściany i taras oraz częściowo zmieniony dach, resztę prac będzie można przeprowadzić zimą. Na wiosnę będziecie już mieli państwo piękny salon, a potem weźmiemy się za przeróbkę piętra. Trzeba będzie przearanżować przestrzeń dzienną na sypialnię dla dzieci. Proponuję nie ruszać obecnej państwa sypialni, jedynie odświeżyć. Wyjdzie również niewielki pokój gościnny...

– Zaraz, zaraz – Mark przerwał w pół zdania tyradę architektki. – Nie rozumiem, jak to Orłowski zlecił pani złożenie wuzetki? Bez naszej zgody? Nic nam nie wspominał o projekcie?

– Doktor chciał zrobić państwu niespodziankę.

– Nie pytając nas, czy tego chcemy? – Mark zmarszczył brwi. – Kurwa, cały Robert! – Na jego twarzy pojawiło się zdenerwowanie. – Uwielbia wszystkim manipulować, ustawiać ludzi jak pionki na szachownicy! Johan miał rację, że nie chciał mieszkać w pobliżu jego domu, tylko kupił mieszkanie daleko od niego.

– Kochanie, przestań gadać głupstwa. Zamiast się ucieszyć, że formalności są już załatwione, bezpodstawnie się czepiasz Roberta. – Marta jak zwykle broniła ojca. – W ogóle nie doceniasz tego, co dla nas robi. Wszystko za nas załatwia, o wszystkim myśli, a ty się obrażasz, że nie zapytał cię o zgodę.

Radziszewska poczuła skrępowanie, było jej niezręcznie słuchać sprzeczki klientów. Poruszyła się nerwowo na krześle. Mark zauważył jej spojrzenie, dlatego zmiął w ustach przekleństwo, starając się uspokoić.

– Przepraszamy panią, pani Marzanno, ale mój teść czasami jest nadgorliwy. Lubi uszczęśliwiać na siłę, czy nam się to podoba, czy nie. – Uśmiechnął się do kobiety. – Wróćmy do projektu. Dobrze by było, gdyby każda sypialnia miała własną łazienkę i garderobę.

– Powinno się dać to zrobić. Hmm, ale czy to potrzebne? Przecież dzieci mogą mieć wspólną łazienkę. To dodatkowe koszty...

– Koszty nie mają znaczenia.

Po wyjściu z biura Radziszewskiej, mieszczącego się przy ulicy Królewskiej, Marta ujęła męża

pod rękę.

– Kochanie, nie denerwuj się na Roberta. Chce dobrze.

– Niedługo będzie nam dyktował, kiedy mamy się kochać, a kiedy nie.

Nie powiedział tego żonie, ale czasami był zmęczony Orłowskimi. Wolałby mieszkać w swoim domu, na swojej działce i odwiedzać teściów raz na dwa tygodnie, a nie mieć ich na co dzień. Rodzinna enklawa, którą stworzył Robert, była dość męcząca. Częste wspólne kolacje w domu Orłowskich stawały się dla Marka coraz bardziej nużące. Wolał kameralne grono w postaci ich czwórki niż kilkanaście osób przy jednym stole, w tym pięcioro wrzeszczących dzieciaków. Niestety wszystkie wnuki uwielbiały dziadzia Roberta i najbardziej im smakowały potrawy podane przez babcię Malutką, jak teraz nazywały Renatę. Pierwszy zaczął tak do niej mówić Kamil, a w jego ślady poszła reszta wnucząt – oprócz Eryka, on nadal zwracał się do niej „babcia Renata”.

– *Mein Schatz*, czy pozwolisz mi również na urządzenie naszego domu?

– Mark, nie przesadzaj. Robert nigdy się nie wtrącał do aranżacji wnętrza – bąknęła Marta. – Może pójdziemy na Rynek Główny na lody? Dawno nie słuchałam hejnału mariackiego.

– Dobrze, możemy usiąść w jakimś ogródku.

– Sam widzisz, zawsze ma się kto zaopiekować naszymi brzdącami. To jeden z wielu plusów mieszkania obok rodziny.

Mark tylko westchnął.

Niecałe pół godziny później siedzieli pod parasolem przy kawiarnianym stoliku i patrzyli na gołębice spacerujące po płycie rynku. Po chwili podeszła do nich kelnerka z maseczką na twarzy i kartą menu w dłoni.

– Możesz się napić piwa, ja poprowadzę – zaproponowała Marta. – Boże, jak to dobrze wyrwać się z domu.

– Co myślisz o kandydatce na nianię?

– Wypróbujemy, czy się do tego nadaje. Na razie wezmę w szkole tylko pół etatu, a potem zobaczymy. Prawdopodobnie ministerstwo zarządzi nauczanie zdalne. Będę się musiała przygotować do prowadzenia lekcji w takim trybie.

– Przecież to żaden problem. My pracujemy w ten sposób od dawna, robiliśmy to już przed pandemią. – Mark był w zarządzie rodzinnej firmy hotelarskiej, którą zostawiła mu i swoim siostrzeńcom jego macocha Gretchen Biegler. To na cześć Gretchen dał córeczce na imię Greta. Oprócz zasiadania w zarządzie parał się również dziennikarstwem, wysyłając raz w tygodniu felieton do wiedeńskiej redakcji. W wolnych chwilach pisał też powieści kryminalne, które zyskały wśród Austriaków wielu sympatyków.

– Co myślisz o ślubie Tiny? – zapytała Marta.

– No cóż, ona i David są ze sobą już kilka lat. Wszystko wskazuje na to, że do siebie pasują.

– Pasują... – powtórzyła Marta.

Nie przepadała za Davidem Singlerem. Nadal nie mogła mu wybaczyć, że przez niego stracili synka.

– Hmm, chyba powinni się pobrać, chociażby ze względu na jej ciążę.

Marta utkwiała wzrok w twarzy męża.

– Tina jest w ciąży? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Od kiedy wiesz?

– Dziś rano do mnie dzwoniła, gdy byłeś z dziećmi w piaskownicy. Jakoś wyszło mi to z głowy.

– Wyszło ci z głowy?

Mark westchnął.

– Nie chciałem cię denerwować przed wizytą u Radziszewskiej.

– Dlaczego niby miałabym się denerwować?

– Bo wiem, że osoba Davida wciąż powoduje u ciebie palpitacje serca.

– Co masz na myśli?

Mark milczał. Nie chciał zachowywać się jak Renata Orłowska, która wciąż wypominała Robertowi jego zdrady, ale romans Marty z jego kiedyś najbliższym przyjacielem wciąż tkwił w jego myślach jak boląca drzazga.

– Mark, dobrze wiesz, że jego imię nie powoduje u mnie palpacji serca, jedynie skręt żołądka. Czy to takie dziwne, że nie mogę zapomnieć? Przecież ten człowiek zabił naszego synka.

– Nie użyłbym takich słów. Bardziej właściwie brzmi: przyczynił się do jego śmierci.

– Sens jest ten sam, bo naszego synka nie ma wśród nas. Jeśli to dla ciebie nieistotne, to...

– Przestań! – przerwał jej w pół zdania. – Stało się. David nie chciał tego, dobrze wiesz. Co według ciebie mam zrobić? To partner mojej siostry. Są ze sobą kilka lat, Tina jest z nim szczęśliwa. Czy mam ją wykluczyć z rodziny? To moja najbliższa krewna.

– Najbliższa? A my? Zapomniałeś o mnie i swoich dzieciach?

– *Mein Schatz*, daj spokój. Dobrze wiesz, ile dla mnie znaczą. Ale Tina zawsze pozostanie moją małą siostrzyczką, którą mam obowiązek się opiekować. Jeśli nie chcesz jechać na ich ślub, pojedę sam – powiedział cicho.

– Mark, jak to sobie wyobrażasz, cała rodzina pojedzie na ślub, a ja zostanę w domu? Robert i reszta też są zaproszeni.

– Myślałem, że Robert się tam nie wybiera, bo się boi pandemii, i innym też nie pozwoli jechać.

– Planują wyjazd, ale samochodami, nie samolotem. I pod warunkiem, że wszyscy goście zrobią sobie test. Już rozmawiał z Tiną na ten temat.

– Cały Robert.

Nie tylko rodzina Orłowskich została zaproszona na ślub i wesele siostry Marka.

Któregoś popołudnia ktoś zadzwonił na komórkę Tiny. Telefon odebrał David.

– Słucham? – powiedział, widząc nieznaną numer.

Chwila ciszy.

– Chciałem rozmawiać z panią Tiną – usłyszał cienki głos.

– Już ją wołam.

Tina przyłożyła telefon do ucha.

– Tina Jurgen.

– Nazywam się Eryk Orłowski. Jestem wnukiem profesora nadzwyczajnego nauk medycznych Roberta Orłowskiego. Co? Aha. – Tina zorientowała się, że ostatnie słowa były skierowane nie do niej. – Nie nadzwyczajnego tylko zwyczajnego. Nie rozumiem, dlaczego zwyczajny profesor jest ważniejszy od nadzwyczajnego. – Odchrząknął. – No i ten zwyczajny profesor jest moim dziadziusem. No i jest też doktorem i leczy pacjentów. Pani mnie zna, bo kiedy była pani u wujka Marka, to dziadzius zaprosił panią na kolację. Było tam dwóch chłopaków, ja jestem tym niegrzecznym. – Odsapnął głośno. – Moją mamą jest Aga Torbicka. Ona kiedyś była żoną mojego taty Krzysztofa Orłowskiego. Tata jest doktorem habilitowanym nauk medycznych i pracuje z moim dziadziusem. Kiedy ja spałem w szpitalu, bo miałem wypadek, to tata rozwiódł się z moją mamą, żeby mieszkać z ciocią Wiką, bo ona przyjechała do Polski razem z Kamilem. – Przerwał na chwilę, w tle słychać było inny głosik. – A co nie było tak, Amerykańcu? – Znowu odchrząknął. – Dlatego mam prośbę, żeby pani zaprosiła na swoje wesele również moją mamę. Ona nie zje dużo, bo się odchudza. I w ogóle nie pije alkoholu. Ani drinków, ani nawet piwa. Czy mogłaby ją pani zaprosić, bo bardzo bym chciał, żeby z nami pojechała?

– Dobrze, Eryku, zaraz wyślę zaproszenie twojej mamie – obiecała Tina, z trudem zachowując powagę.

– Pani Tino, a czy mogłaby pani zaprosić też pana Bartka? Pan Bartek powiedział, że teraz terroruje... Jak? Aha. Że terminuje na narzeczonego mojej mamy. On też jest lekarzem, oprócz tego bardzo dobrze masuje. Kiedy spałem w dziadziusiowym szpitalu, to on mnie masował, żebym mógł chodzić. Gdyby panią po weselu bolały nogi od tańca, to mógłby je wymasować. I mógłby wymasować też nogi pani narzeczonego. Żeby pani nie była sratna... Co? – zapytał, kogoś stojącego obok. – Aha. Nie sratna, tylko stratna. Żeby pani nie była stratna, to obiecuję, że będę jadł bardzo mało. Kamil też. Ciocia Stasia robi nam w domu kanapki, włożymy je do lodówki turystycznej i zabierzemy ze sobą na wesele.

Wtedy Tina nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Opanowała się dopiero po chwili.

– Dobrze, Eryku, wyślę też zaproszenie dla pana Bartka – powiedziała. – I nie musisz przywozić ze sobą kanapek.

– Super! – zawołał uradowany. – No to cześć. – I odłożył słuchawkę.

Jeszcze tego samego dnia Tina zadzwoniła do brata i powtórzyła mu całą rozmowę. Mark opowiedział o telefonie Orłowskiemu. Robert najpierw przez pół godziny się śmiał, po czym zawołał obu wnuków do swojego gabinetu.

– Eryku, podobno dzwoniłeś do pani Tiny? – powiedział, starając się nie roześmiać. – Hmm, czy wiesz, że to niezbyt ładnie wpraszać się komuś na wesele? Dlaczego nam nie powiedziałeś, że tak bardzo ci zależy na obecności twojej mamy?

– Mówiłem tacie, ale on powiedział, że nie wypada się wpraszać. Ja jestem dzieckiem, więc mnie wypada.

– Dobrze wychowanym dzieciom też nie wypada robić pewnych rzeczy. Tym bardziej gdy są wnukami profesora zwyczajnego nauk medycznych. – Zmiał uśmiech, który zaczynał się pojawiać mu na ustach, i spojrzał na Kamila. – Kamilu, czy ty też brałeś w tym udział?

– Powiedziałem mu tylko, dziadziu, jaki masz tytuł naukowy. Nie mówiłem, co ma mówić. Radziłem mu, żeby nie dzwonił, ale on powiedział, że dzieciom wszystko wypada i oprócz tego on miał wypadek i długo spał w szpitalu, dlatego mu wolno, i pani Tina się nie obrazi.

Wieczorem, kiedy Orłowscy leżeli w łóżku, Robert powtórzył żonie rozmowę Eryka. Kiedy żona przestała się śmiać, westchnął i zdał relację z jego rozmowy z wnukami.

– Wypadek wypadkiem, śpiączka śpiączką, ale chyba będziemy musieli przestać traktować Eryka pobłażliwie. On to wykorzystuje.

– Coś podobnego, naprawdę?! – mruknęła Renata. – Przez cały czas ci to mówię, a do ciebie dopiero teraz to dotarło? Wykorzystuje różne sztuczki, żeby postawić na swoim. To mały spryciarz. Hmm, tak jak jego dziadek.

– No wiesz, Malutka?! – Robert udał oburzenie. – Nazywasz mnie małym, przy moim wzroście stu dziewięćdziesięciu dwóch centymetrów?

– Teraz masz już mniej, najwyżej sto dziewięćdziesiąt. A pod koniec dnia jeszcze mniej. Sam powiedziałeś, że na starość ludzie się kurczą, żeby się zmieścić do trumny.

Rozdział 50

Pewnego wieczoru Mark z żoną i dziećmi wybrali się na wycieczkę do Lasku Wolskiego. Nie uprzedzili o tym reszty rodziny, bo chcieli ten czas spędzić w kameralnym gronie, bez dzieci Krzyśka, które na wieść o ZOO na pewno by chciały z nimi jechać. Mark bardzo lubił Eryka i Kamila, a za małą Milenką wręcz przepadał, ale czasami miał dość ich codziennego kilkugodzinnego towarzystwa. Wszystkie wnuczeta Orłowskich wychowywały się wspólnie pod bacznym okiem dziadka Roberta, który zaraz po powrocie z kliniki przygarniał je pod swoje skrzydła niczym kwoka kurczęta.

Wypad do ZOO udał się połowicznie, bo dzieci wciąż marudziły o swoich kuzynach. Że jest nudno, bo nie ma Eryka, że Kamil zna lepiej zwierzęta niż ich tatuś, a Milenka ładniej śpiewa niż pani w radio. Dlatego skrócili wycieczkę i do domu wrócili dwie godziny wcześniej, niż planowali.

Akurat podjeżdżali pod dom, gdy nadszedł listonosz.

– Mam dla pana przesyłkę – powiedział.

– List?

– Nie, małą paczkę. Z zagranicy – powiedział, wręczając Bieglerowi niewielkie pudełko.

Mark z zaciekawieniem oglądał pakunek.

– Z Włoch, nadane w Trydencie. Czyżby z hotelu Stella? – Przyjrzał się nadawcy, ale nazwisko nic mu nie mówiło.

Mark skierował się w stronę mieszkania, a Marta z dziećmi poszła do domu Krzyśka i Wiki. Mężczyzna chwycił kuchenny nóż i rozciął pakunek. W paczce znajdował się pendrive. Nie było listu ani żadnej innej wiadomości. Ze zmarszczonym ze zdziwienia czołem ruszył w stronę sypialni, gdzie zorganizował prowizoryczne miejsce pracy, ponieważ swój gabinet musiał oddać dzieciom. Włączył laptop i włożył pendrive'a do gniazda portu. Po chwili ku swojemu zdziwieniu zauważył, że jest to nagranie z kamery przemysłowej. Na ekranie laptopa ukazał się korytarz hotelu Stella. U góry dostrzegł datę i godzinę nagrania. Dzień śmierci Camilli Vogel. Film przedstawiał korytarz od godziny dwudziestej. Mark przewinął nagranie do końca, by stwierdzić, że trwało do ósmej rano, gdy z pokoju kobiety wybiegła Giulia. Dwanaście godzin! Dwanaście godzin z życia hotelowego korytarza.

Mark zamknął laptop, ponieważ usłyszał kroki żony i szczebiot swoich dzieciaków, które po powitaniu kuzynostwa i zdaniu im szybkiej relacji z pobytu w ZOO wróciły do domu. Postanowił później obejrzeć nagranie, nie chciał tego robić, gdy dzieci płątały się po mieszkaniu.

Mark zamknął się w sypialni i jeszcze raz przejrzał nagranie. Nie zauważył, żeby coś wycięto. Klatka po klatce, minuta za minutą zarejestrowano przebieg wydarzeń na korytarzu. Chociaż nagranie nie przedstawiało, co się działo w pokoju Camilli, na jego podstawie można było wysnuć pewne wnioski i dopowiedzieć resztę. Obraz był czarno-biały, ziarnisty i trochę rozmyty, widocznie Ferro wolał zaoszczędzić na monitoringu i zadowolili się przestarzałą już technologią. Kamera została umieszczona zaraz przy schodach, dość daleko od pokoju Camilli, mimo to można było rozszyfrować poszczególne postaci. Biegler wyłączył komputer i w zamyśleniu tarł czoło. Co ma teraz zrobić? Jak ma się zachować w tej sytuacji?

Powinien pokazać to Robertowi. Ale wcześniej musi porozmawiać z Izą. Czyżby Giulia miała rację, może lepiej byłoby nie otwierać puszkę Pandory?

Chwycił telefon i zadzwonił do dziewczyny.

– Iza, przyjdź do nas, musimy porozmawiać – rzucił.

– Teraz nie mam czasu – odburknęła.

– To znajdź czas! I to natychmiast – warknął.

– Dobrze, zaraz przyjdę – usłyszał po chwili.

Kilka minut później Iza weszła do mieszkania.

– Jestem w sypialni, przyjdź tutaj – zawołał wciąż pochylony nad laptopem.

– Co by powiedziała twoja żona, że mnie zapraszasz do waszej sypialni? – zażartowała, stojąc w drzwiach. – Wiem, że nie ma jej teraz w domu, bo poszły z Wiką i dziećmi na spacer do lasku.

– Nie wydziczaj się, to nie ta chwila – mruknął, patrząc uważnie na szwagierkę.

– Co się dzieje?

– Ktoś mi przysłał nagranie z kamery umieszczonej w korytarzu hotelu – powiedział, nie spuszczać wzroku z twarzy dziewczyny.

Iza pobladła. Zwilżyła nerwowo językiem wargi.

– Kto? Policja?

– Wątpię. Raczej ktoś z hotelu. Prawdopodobnie Giulia.

– A więc już wiesz? – wycharczała po chwili. – Nie mogłam wam o tym powiedzieć. Chyba mnie rozumiesz?

– Właśnie, że nie rozumiem. Może mi to wyjaśnisz, zanim pokażę nagranie twojemu ojcu?

– Czy to konieczne? Przecież śledztwo zostało zamknięte. Zabójcą jest Lorenzo.

– Mam nie mówić twojemu ojcu?! Chyba żartujesz!

– Po co ma się denerwować, lepiej, żeby wszyscy myśleli, że to Lorenzo. To nie wskrzesi Vogel, a zniszczy komuś życie.

Mark patrzył na Izę i z niedowierzaniem kręcił głową. Znał ją od wielu lat, od czasu, kiedy była nieopierzoną jedenastolatką. Widział, jak z dziecka przemienia się w dziewczynę, a potem w kobietę. Czyżby tak się mylił co do niej? Czy to możliwe, żeby była zdolna zrobić coś tak strasznego i nie mieć nawet krzty wyrzutów sumienia?

– Iza, to morderstwo. Czy zdajesz sobie sprawę, czego ode mnie wymagasz?

– Przecież jesteśmy rodziną! Nawet Giulia, całkiem obcy dla nas człowiek, nie powiedziała o tym policji, a ty chcesz to zrobić?

– Najpierw musimy porozmawiać z twoim ojcem.

– Po co?! On i tak od początku odradzał mi to małżeństwo. Tato nigdy nie lubił Johana.

Mark zmarszczył brwi.

– O czym ty mówisz? Co ma wspólnego twoje małżeństwo ze śmiercią Camilli? Dlatego to zrobiłaś? Dlatego, że kiedyś sypiała z Johanem? Czy się o niego pokłóciłyście, a potem nie zapanowałaś nad emocjami i pod wpływem furii ją zabiłaś?

– Co? Jak to ja ją zabiłam? Czy ty myślisz, że to ja udusiłam Vogel? – Na twarzy dziewczyny odmalowało się tak wielkie i autentyczne zdziwienie, że nie było możliwe, żeby udawała.

– To co robiłaś przez prawie dziesięć minut w jej pokoju? Dlaczego wyszłaś stamtąd z przerażoną miną? I dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś?

– Bo... bo chciałam chronić Johana. Wszyscy myśleli, że to covid. Ja też chciałam tak myśleć. Na początku mówiłam sobie, że patolog nie może się mylić, że to musi być koronawirus. Ale potem pojawił się Kraft... Pomyślałam, że to los zadecyduje, czy Johan zostanie ukarany. Kraft stwierdził, że mordercą był Lorenzo, a więc...

– Dlaczego myślałaś, że zrobił to Johan?

– Bo widziałam, jak wszedł do jej pokoju. Myślał, że śpię. Z ciekawości uchyliłam drzwi, żeby zobaczyć, dokąd poszedł. I wtedy ujrzałam go wchodzącego do pokoju Camilli. Zdenerwowałam się. Myślałam, że znowu ze sobą sypiają. Dość długo nie wracał. Postanowiłam przyłapać ich *in flagranti*, dlatego założyłam szlafrok i tam poszłam. I wtedy ją zobaczyłam... Od razu coś mi nie pasowało w pozycji, w jakiej leżała... Miała głowę wciśniętą w poduszkę. Zawołałam ją, a ona nie odpowiedziała. Podeszłam bliżej. Już nie żyła. Nie do końca byłam przekonana, czy została zamordowana. Przecież ja też czasami śpię na brzuchu... – Przymknęła oczy. – Nie, wcale tak wtedy nie myślałam. Byłam pewna, że... Johan ją zamordował. Dopiero rano zaczęłam nabierać wątpliwości, gdy Giulia powiedziała, że wieczorem Camilla skarżyła się na duszności. A potem lekarz stwierdził, że to covid. Uwierzyłam w to... to znaczy chciałam w to wierzyć. A potem pojawił się Kraft i zaczął prowadzić śledztwo. – Spojrzała na Marka błagalnie. – Dlaczego chcesz na nowo rozgrzebać tę sprawę? Przecież lubisz Johana. Nie niszczy mu życia.

– To nie Johan. On tylko stał przed jej drzwiami. Otworzył drzwi, ale zaraz się wycofał, bo ktoś był w środku.

– Nie Johan?! Naprawdę go tam nie było? Boże, a ja cały czas myślałam, że to on ją zabił.

– I dlatego tak paskudnie go traktowałaś? To nie przez Tea?

– Teo też mnie trochę zdenerwował. To znaczy, gdy się okazało, że to jego dziecko. Ale główną przyczyną była Camilla. I świadomość, że ją zamordował. No i że nic mi nie powiedział. Może gdyby się wytłumaczył, to mogłabym w jakiś sposób go zrozumieć... – Podniosła głowę na Marka i popatrzyła na niego spojrzeniem małego dziecka. – Przecież nie mogłam dalej żyć z mordercą... Mimo to wciąż go kochałam... Nie chciałam, żeby go złapano. Bardzo mnie to wszystko męczyło. – Głośno się rozplakała.

– Dlaczego ryczysz?

– Nie wiem. – Chlipnęła, wycierając powieki wierzchem dłoni. – Na pewno nie było Johana w jej pokoju?

– Na pewno, sama zobacz – powiedział, puszcżając nagranie w tym momencie, gdy Johan podchodził do drzwi pokoju Camilli Vogel.

Rozdział 51

Mark, po ponownym odtworzeniu najważniejszych sekwencji nagrania, wyjął z portu pendrive'a i zamknął komputer. Przeciągnął się, położywszy dłonie na karku. Przymknął powieki. Miał o czym myśleć. Wciąż na siatkówce oka pozostał mu powidok hotelowego korytarza. Po jednej stronie sypialnia von Briestów, apartament Orłowskich i dwa niezajęte pokoje. Po drugiej – pokój Georga, apartament zajęty przez Zużę i Tea oraz Lenę. Wcześniej mieszkała w nim Camilla, ale po przyjeździe ciotki odstąpiła jej miejsce, a sama przeniosła się do drugiego pokoju. Obok jej sypialni znajdował się wolny pokój, który Lorenzo wykorzystywał do schadzek z Camillą. Za winklem znajdowało się drugie skrzydło hotelu z pokojami zajmowanymi przez Alfreda Linna, Marka i Martina.

Nagranie się rozpoczęło, gdy Camilla poszła do pokoju zajmowanego przez Tea i nianię, by pocałować synka na dobranoc. Zabawiła tam pół godziny. Prawdopodobnie odwiedziła też ciotkę, bo opuściła apartament, wychodząc przez drzwi jej pokoju. O dwudziestej pierwszej do pokoju Camilli wszedł Alfred w swoim charakterystycznym swetrze w kratkę. Wyszedł stamtąd o dwudziestej drugiej.

Mark zmarszczył brwi. Zaraz, zaraz, przecież Linn mówił, że opuścił pokój Camilli o dwudziestej trzeciej. Dlaczego kłamał? Albo to ona okłamała jego w sprawie godziny, bo chciała, by wyszedł?

Następną osobą, która pojawiła się na korytarzu, była Giulia niosąca tacę z herbatą. Po jakimś czasie obraz nagle pociemniał. Prawdopodobnie ktoś wyłączył główne oświetlenie, bo palił się tylko kinkiet przy schodach i listwa przypodłogowa. Chwilę później do pokoju sąsiadującego z pokojem Camilli wszedł Lorenzo i nigdy z niego nie wyszedł. Gdyby Mark nie wiedział, że mógł to być tylko Lorenzo, miałby problem z jego zidentyfikowaniem, ponieważ na korytarzu panował półmrok. Po kilku minutach do pokoju Camilli znowu wszedł gość w swetrze i zabawił tam ponad kwadrans. Mark rozpoznał w nim Linna. W tym czasie przed jej pokojem pojawiła się wysoka i smukła, z daleka rozpoznawalna sylwetka Johana. Mężczyzna zapukał, nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Zrobił krok do środka, ale zaraz się wycofał. Prawdopodobnie dlatego, że Camilla miała gościa. Johan nie wrócił do swojego pokoju, tylko zszedł na dół. Po chwili Linn wyszedł z pomieszczenia. Następnie na korytarzu pojawiła się kobieca sylwetka w szlafroku. Była to Iza. Zabawiła u Camilli osiem minut. Swoją dość długi pobyt tłumaczyła Markowi zacieraniem śladów po mordercy, bo była przekonana, że to Johan. Jej twarz została dobrze uchwycona, gdy znalazła się przed swoim pokojem, ponieważ kamerę umieszczono u wylotu schodów, tuż przy ich pokoju. Na obliczu dziewczyny widać było przerażenie i strach. Dziesięć minut później pojawił się Johan wchodzący po schodach z parteru. Przez następne kilka godzin nic się nie działo, dopiero o ósmej rano na korytarzu pojawiła się Giulia. Teraz obraz był dużo bardziej widoczny, bo dobrze oświetlony. Dziewczyna weszła do pokoju Camilli i zaraz z niego wybiegła przerażona.

Biegler analizował wszystkie wydarzenia, które miały miejsce przed pokojem Camilli. Z jego przemyśleń wyklął się wniosek: zabić mógł tylko Lorenzo albo Alfred Linn. Przy założeniu, że nie zrobiła tego Iza. A może to nie był Lorenzo? Tylko Franco Ferro? Byli podobnego wzrostu i tuszy. Włączył ponownie komputer i przewinął nagranie do żadanego miejsca. Dokładnie zaczął się przyglądać męskiej postaci. Nie, na pewno nie był to Franco, bo kiedy mężczyzna pokonywał najwyższy stopień schodów, pojawiła się jego ciemna czupryna. Ferro miał włosy krótsze i trochę przyprószone siwizną.

Kto zabił – Lorenzo czy Alfred? Oto jest pytanie. Biegler przeciął się do tyłu i palcami przecesał włosy. Uzyskałby dokładną odpowiedź, gdyby mógł przejrzeć film z kamery umieszczonej na patio, gdy Lorenzo przechodził z balkonu na balkon. Tylko Kraft wiedział, o której to było godzinie. Ale gdyby Mark zapytał o to Krafta, komisarz nabrałby podejrzeń. Musiałby powiedzieć mu o pendrivie, co zaowocowałoby wznowieniem śledztwa i nieprzyjemnościami dla Giulii. No i nie wiadomo, czy Kraft nie robiłby trudności Izie. Przecież ona wtedy również znalazłaby się w gronie głównych podejrzanych. Policja i niemiecki sąd nie znali Izy tak jak Mark. W ich oczach stałaby się podejrzaną na równi z Lorenzo i Alfredem. Jej długi pobyt w pokoju i przerażona mina dodatkowo by ją obciążały. Przecież po obejrzeniu nagrania nawet Mark przez chwilę myślał, że zrobiła to Iza. Prawdopodobnie tak samo uważała Giulia, mimo to chciała ją oszczędzić.

Jeśli jednak mordercą był Alfred Linn, to jego zbrodnia nie zostanie nigdy ukarana.

Mark wciąż nie mógł podjąć decyzji, co zrobić z tym fantem. Wcześniej musiał to przedyskutować z Robertem.

Rozdział 52

Iza ponownie przejrzała się w lustrze. Z dużej szklanej tafli spoglądała na nią piękna brunetka w żółtozłocistej efektownej sukience długiej do kolan, odsłaniającej ramiona i smukłe opalone nogi. Była to jej ulubiona sukienka, bo bardzo się w niej podobała Johanowi. Gdy wychodzili gdzieś razem, zawsze prosił, by ją założyła. Jeszcze raz zlustrowała swoją sylwetkę, poczynając od dwunastocentymetrowych szpilek w kolorze sukienki, aż po świeżo wymodelowane bujne włosy. Makijaż, trochę zbyt mocny jak na letnie popołudnie, podkreślał to, co miała najładniejsze – ogromne ciemnobrązowe oczy, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i zmysłowe usta. Wypisz wymaluj młodziutka Gina Lollobrigida – pomyślała z uśmiechem; zaraz jednak spochmurniała, bo przypomniał jej się Lorenzo. Teraz bardzo żałowała ich spotkań. Wyszła na kompletną idiotkę. Dała się poderwać włoskiemu żigolakowi i o mało co się z nim nie przespała. Na wspomnienie namiętych pocałunków i śmiałego dotyku poczerwieniała ze wstydu i złości na siebie. W kontekście owych randek pojawiało się jeszcze jedno uczucie – obawa, czy to nie odbije się rykoszetem na jej relacjach z Johanem. Ich małżeństwo znalazło się teraz nad przepaścią, i to tylko z jej winy. Swoim głupim zachowaniem spowodowała, że oboje bardzo się od siebie oddalili. Wielokrotnie odpychała męża, nie wyjaśniając powodu swoich dąsów i złośliwych słów. A ostatni jej wyczyn w hotelowej sypialni mógł całkowicie zniszczyć ich związek. To ona swoim zachowaniem wypchała męża do Berlina, możliwe, że również wepchnęła go w ramiona innej kobiety. Przez cały ten czas Johan nie zadzwonił do niej, chociaż z Wiką utrzymywał stały kontakt. To od niej Iza się dowiedziała, że Johan przebywał teraz w Krakowie.

Postanowiła spróbować naprawić to, co sama zepsuła. Uznała, że pójdzie do ich mieszkania, wyjaśni, przeprosi i poprosi o szansę uratowania ich małżeństwa. Nie tylko poprosi, więcej – będzie błagać! Przecież jeszcze niedawno bardzo się kochali. Nie mogli bez siebie żyć! Nie wolno zaprzepaścić tych wspólnie przeżytych chwil. Pięknych chwil. Pasowali do siebie. Było im cudownie ze sobą. Zawsze i wszędzie... dopóki nie pojechali do Madonna di Campiglio. Przecież jedne głupie wakacje nie mogą zniszczyć ich miłości. Nie dopuści do tego. Nie pozwoli, żeby Camilla Vogel zrujnowała zza grobu ich szczęście.

A jeśli Johan już jej nie kochał? Jeśli poznał inną dziewczynę? Doskonale wiedziała, że Johan podobał się kobietom. Swego czasu, gdy był twarzą stacji Super Star, tysiące niemieckich nastolatek marzyło o Johanie von Briescie. Teraz też nie miałby problemu, by zdobyć tytuł Mister Uniwersum.

O Boże, miała takiego fantastycznego faceta, a tak paskudnie go potraktowała! Czy uda jej się to naprawić? Czy potrafi go odzyskać?

Musi się udać. Przecież jest córką Roberta Orłowskiego! Tato odzyskał mamę, ona również odzyska Johana.

Iza weszła do holu budynku, w którym znajdował się apartament kupiony przez Johana przed ich ślubem. Zapłacił za niego mnóstwo pieniędzy, za tę cenę można by było nabyć elegancki dom w dobrej dzielnicy. Czy wciąż jest to ICH mieszkanie, czy jedynie Johana?

Na widok dziewczyny portier poderwał się z lady recepcji.

– Dzień dobry, pani Izo. Dawno pani nie było. – W sposobie, w jaki to powiedział, zauważyła pewne skrępowanie. Chyba chciał coś dodać, ale się wahał.

– Dzień dobry, panie Jarku – odpowiedziała z uśmiechem i ruszyła ku windzie. W ręce trzymała torbę podróżną.

– Może zaniosę bagaż na górę? – zaproponował.

– Nie, dziękuję.

Kiedy znalazła się przed drzwiami mieszkania, zawahała się, czy otworzyć drzwi swoim kluczem. Nacisnęła jednak dzwonek. Po chwili w drzwiach ukazał się Johan. Miał na sobie jasnyniebieskie dzinsy i szafirowy podkoszulek, podkreślający barwę niebieskich oczu. Jego twarz, zawsze dokładnie ogolona, teraz była pokryta gęstą króciutką szczecinką. Broda dodawała mu powagi, ale również męskości. Wcześniej nie nosił zarostu, bo żona tego nie lubiła.

Boże, jaki on jest przystojny – pomyślała Iza, wzdychając głośno, co mogło być różnie

interpretowane. Przez twarz Johana przebiegł grymas zaskoczenia, ale szybko zniknął, a w to miejsce pojawiła się udawana obojętność.

– O, Izis, nie spodziewałem się ciebie – bąknął. Spojrzał na neseser w jej ręce. – Przyszedłeś po swoje rzeczy?

– Nie. – Zmarszczyła brwi. Nie spodobało się jej to, co usłyszała. – Przyniosłam je ze sobą. Z tego, co pamiętam, nadal jestem tutaj zameldowana.

Twarc Johana była nieprzenikniona, nie mogła z niej nic wyczytać. Czy to radość, czy niezadowolenie, czy zakłopotanie? Niestety chyba tylko obojętność.

– Może przeszkadzam? – zapytała.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Nie jesteś sam? – Nagle się zaniepokoiła.

– W tej chwili jestem sam, ale zaraz pojawi się tu Teo i... – zawahał się. – I Zuza – dodał lekko. – Poszli na spacer.

Iżę zatkało. Przez chwilę patrzyła na męża oszołomiona.

– Zuza tu mieszka? – zapytała zszokowana. Moment później szok minął i pojawiła się furia. – Co takiego?! Ta zdzira mieszka w naszym mieszkaniu?! Jak śmiałeś wpuścić ją pod nasz dach?!

Johan spokojnie obserwował żonę i jej zachowanie. Nie drgnął mu na twarzy nawet jeden mięsień.

– Ty skurwielu! Zapomniałeś, draniu, że nadal jesteśmy małżeństwem?!

– Z tego, co pamiętam, ty już dawno o tym zapomniałeś – odparł spokojnie.

– Ale nie przyprowadziłam do swojego łóżka żadnego gacha!

– Rzeczywiście do łóżka go nie przyprowadziłaś. Robiłaś to w lesie.

– Dobrze wiesz, że między mną a Lorenzem do niczego nie doszło! Jesteś łajdakiem i dziwkarzem. Tatko miał rację. – Sposepniała. Zaraz jednak podniosła głowę. – Jeśli myślisz, że pozwolę tej dziwce spędzić jeszcze choć jedną noc w tym domu, to się grubo mylisz – warknęła.

Ominęła go i energicznie poszła do sypialni. Rozejrzała się po pokoju, otworzyła szafę i komody, zajrzała do garderoby, ale były tam tylko jej ubrania. Poszła do pokoju gościnnego i od razu zauważyła rzeczy Zuzy. Z rozmachem otworzyła drzwi szafy i zgarnęła z wieszaków jej sukienki i bluzki. Trzymając je oburącz, skierowała się na taras z zamiarem wyrzucenia ubrań przez balkon. Johan, widząc to, stanął w pół drogi, zagradzając jej drzwi.

– Iza, przestań! Nie wygłupiaj się, do cholery!

– Nie pozwolę, żeby ta wypindrzona lafirynda trzymała w moich szafach swoje zawszone łachy! Ma stąd spieprzać natychmiast! – wrzasnęła. – A ty, parszywy draniu, masz iść do wanny i przez trzy godziny moczyć się w domestosie.

Johan parsknął śmiechem, ale po chwili spowaźniał.

– Izis, uspokój się.

– Jak mam być spokojna, gdy ta flądra wdarła się do naszego małżeństwa, wykorzystując nasze chwilowe nieporozumienie?!

– Czy te wszystkie ostatnie miesiące nazywasz chwilowym nieporozumieniem? – Zmarszczył brwi i spojrzał na nią surowo. – Izis, potrzebuję Suzi, bo Teo jej potrzebuje. A ja potrzebuję jego. – Słowa Johana zabrzmiały stanowczo. – Podjąłem decyzję.

– I dlatego sypiasz z tą dziwką? Chcesz dla tego dzieciaka przekreślić nasze małżeństwo? – W jej słowach wyczuwało się ból. – Chcesz być z nią, bo Teo ją lubi? – Upuściła na podłogę naręczce ubrań Zuzy.

Długo nie odpowiadał. Usiadł w fotelu i w milczeniu patrzył na żonę. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– On nie ma jeszcze czterech lat i został sam, samiuteńki. Ma tylko pieniądze. To jeden z najbogatszych i najbiedniejszych dzieciaków w Europie. Nigdy nie chciałem, żeby się pojawił na świecie. Na wieść o jego istnieniu poczułem tylko wściekłość i lęk, jak to przyjmiesz. Ale chociaż Teo powstał w „próbówce”, to mały człowiek, który ma w sobie moje geny. Nie mogę się od niego odwrócić. Więcej, CHCĘ żeby był obecny w moim życiu.

Iza stała chwilę nieruchomo, a potem odgarnęła włosy do tyłu i podeszła do porzuconej torby. Schyliła się i wyjęła z niej sporych rozmiarów czerwone autko sterowane pilotem.

– Porsche. Nie wiem, co lubią chłopcy w jego wieku. Ale wszyscy wyrośnięci chłopcy, obojętnie, czy mają dwadzieścia, czy pięćdziesiąt lat, kochają samochody.

– On kocha karabiny i pistolety. Ale sportowym autem chyba też nie pogardzi – powiedział cicho. Iza podeszła do męża i usiadła na brzegu fotela.

– Johan...

Nie wiedziała, co powiedzieć, dlatego zamiast używać słów utkwiała wzrok w jego twarzy, pragnąc oczami wyrazić swoje uczucia. W tym spojrzeniu było zawartych tyle ważnych przekazów... Że żałuje, że przeprasza, że kocha... Po chwili w to nieme wyznanie zaangażowała również usta, przybliżając je do jego warg.

Przygarnął ją do siebie. Pocałunek, najpierw delikatny, szybko stał się iskrą pożądania. Głośno dysząc, wziął ją w ramiona, a potem zaniósł do sypialni.

W pośpiechu pozbywali się ubrania, jakby się spieszyli, że zaraz ucieknie im pociąg. Głośno dysząc, ściągnęli z siebie resztę bielizny i rzucili się na łóżko. Spragnieni pocałunków łapczywie się całowali, błędząc dłońmi po ciele upragnionej osoby. Tak długo się nie widzieli, tak długo nie byli blisko siebie, przez co stracili tyle cudownych chwil. Teraz zachowywali się, jakby zapomnieli swoich ciał i chcieli odświeżyć pamięć. Palce ślizgały się po gładkiej skórze, wargi błąkały się, nie wiedząc, które miejsce wcześniej uhonorować pocałunkiem. Musieli wynagrodzić sobie ten czas rozłąki miłosnym dotykiem i pieśczołą. Oboje starali się bez słów za pomocą dłoni i ust powiedzieć: KOCHAM CIĘ... Cudownie było znowu poczuć bliskość – tę prawdziwą bliskość, którą mogą sobie ofiarować jedynie zakochani kochankowie. Iza całowała opalony tors Johana, powoli posuwając się ku niższym partiom ciała. Ujęła w dłonie sztywny organ jego męskości i pieściła, dotykała, ssała, rozkoszując się rozkoszą malującą się na twarzy męża.

– Izis, zwolnij – usłyszała jego gardłowy szept. – Teraz ja.

Przewrócił ją na plecy i teraz on celebrował jej ciało, zachwycając się jego pięknem – perłowo złocistą fakturą jej skóry, cudownie ukształtowanymi piersiami, zmysłowo zarysowanymi biodrami i smukłymi długimi nogami. Jego zwinne palce zawędrowały ku zwieńczeniu jej ud i szeroko je rozwarły.

– Już zapomniałem, jaka jesteś piękna... Boże, jak ja cię kocham – wycharczał, dotykając koniuszkiem języka pączka jej kobiecości.

A potem wszedł w nią gwałtownie. Głęboko i szczelnie wypełnił ją sobą. I wspólnym harmonijnym rytmem, znanym od wieczności, rozpoczęli podróż ku spełnieniu.

Jakiś czas później leżeli na łóżku mocno w siebie wtuleni – Iza z twarzą zanurzoną w opalony tors męża, a Johan z dłońmi w jej włosach.

– Wiesz, że nie lubię, gdy ktoś burzy mi moje modelowane przez trzy godziny włosy – zamruczała leniwie. – Teraz będę wyglądać jak Donna Summer.

– Lubię twoje kędzierzawe włosy.

– Zapaściłeś brodę?

– Nie chciało mi się golić. Ale zaraz mogę się jej pozbyć, jeśli ci przeszkadza.

– Nie, nie musisz tego robić. To tak, jakbym miała teraz nowego faceta. Pewna odmiana wizualna może odświeżyć nasz związek. Ja mogę ufarbować włosy na blond. Będziesz się kochał z blondynką, bo widzę, że ci się znowu podobają. Kiedyś wszystkie twoje dziewczyny przypominały Barbie. Jeśli...

– Mowy nie ma! Nie waż się farbować włosów. Bo... się z tobą rozwiodę.

– Uważaj na słowa – mruknęła.

– *À propos* rozwodu, powiedz mi skąd nagle u ciebie taka zmiana frontu? Miesiąc temu o mało co nie zrobiłaś ze mnie eunucha, a teraz nagle zapalałaś do mnie taką dziką żądzą. Czyżby to zazdrość? Czy to Zuza była tym katalizatorem namiętności? – Przyglądał jej się spod przymrużonych powiek.

– Kiedy weszłam do tego mieszkania, nie miałam pojęcia, że mieszka tu z tobą ta wywłoka – warknęła.

– No to powiedz, co takiego spowodowało u ciebie ten nagły przyływ pożądania? – Zmarszczył

brwi. – Czy powodem jest to, że twój Lorenzo nie żyje i nie masz nikogo innego pod ręką? Boisz się zaryzykować, by znowu nie trafić na jakiegoś maskującego się mordercę?

– Przestań wspominać o tym patafianie. Przyszłam tu, bo... Właśnie dlatego tu jestem, że nie jesteś mordercą.

– Super – prychnął. – Jesteś tu, bo nie jestem mordercą. Widzę, Izis, że nie masz zbyt dużych wymagań co do facetów. Wystarczy ci, że nikogo jeszcze nie zamordowali, a już idziesz z nimi do łóżka.

Iza nagle spoważniała.

– Wyobraź sobie, że tak. Jestem tu, bo nie zamordowałeś Camilli.

Zdziwienie wyparło z twarzy Johana wszystkie inne uczucia.

– Co? Jak mam to rozumieć? Dlaczego miałbym ją mordować?

– Nie wiem. Nie znałam twoich powodów, ale... cały czas podejrzewałam cię o jej zamordowanie.

Johan aż usiadł na łóżku.

– Zaraz, zaraz, TY myślałaś, że zamordowałam Camillę?! Mówisz to poważnie? Podejrzewałaś mnie, swojego męża, z którym żyjesz pod jednym dachem od ponad trzech lat, że jestem mordercą? Jak mogłaś mnie podejrzewać o coś tak strasznego?! Czy posiadam jakieś predyspozycje na zbrodniarza? Czy zauważyłaś kiedyś u mnie jakieś symptomy okrucieństwa czy sadyzmu? A może dlatego, że jestem Niemcem? – Jego czoło przecięły dwie pionowe bruzdy. – No tak, przecież wy, Polacy, postrzegacie każdego Niemca jako esesmana w czapce z trupa czaszką i owczarkiem alzackim przy nodze. – Gwałtownie poderwał się z łóżka. – Kurwa, nie mogę. Muszę się napić czegoś mocnego. Moja własna żona wzięła mnie za mordercę!

– Johan, przestań się obrażać. Widziałam cię, gdy wchodziłeś do pokoju Camilli.

Zatrzymał się w pół drogi do barku. Odwrócił się w stronę Izy siedzącej nago na łóżku.

– Wchodziłem, ale nie wszedłem.

– Ale ja myślałam, że tam byłeś... Ja też tam byłam kwadrans po tobie. Już nie żyła.

– Byłaś tam! I nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego?

– Bo myślałam, że ją zabiłeś – powiedziała szeptem.

– Dlaczego o tym ze mną nie porozmawiałaś? Wytlumaczyłbym ci wszystko.

– A dlaczego ty mi nie powiedziałaś, że zamierzałeś tam iść?

– Bo nie chciałem cię denerwować. Samo imię „Camilla” działało na ciebie jak płachta na byka.

– Widziałam was w jadalni szepczących coś do siebie.

– Nie szeptałyśmy do siebie. Podeszła do mnie i poprosiła, żebym przyszedł do niej, bo ma mi coś ważnego do powiedzenia.

– Dlaczego to przede mną zataiłeś?

– Bo nie miałem zamiaru tam iść. Ale potem zwyciężyła ciekawość. Ktoś był u niej. Krzyczała na niego. Nie wiedziałem, czy to była kobieta, czy mężczyzna, bo ścianka z bluszczem zasłaniała widok. Ale to mnie otrzeźwiło, bo uświadomiłem sobie, że ta harpia nie ma żadnego prawa o coś mnie prosić ani niczego żądać... Zszedłem na dół, żeby napić się wody. Nie chciałem cię obudzić.

– Dlaczego mi rano o tym nie powiedziałaś? Ona nie żyła.

– Nie widziałem sensu, by o tym rozmawiać. Tak jak inni przeżyłem szok.

– Nie miałaś żadnych podejrzeń, że ktoś ją zamordował?

– Patolog stwierdził, że umarła na covid. Uwierzyłem. Albo inaczej, chciałem wierzyć – powiedział cicho. – Nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że to przeze mnie nie żyje. Że gdybym wtedy wszedł do jej pokoju, toby żyła.

– A ja myślałam, że to ty ją zabiłeś. Zatarłam ślady, żeby cię chronić.

Spojrzał na nią badawczo.

– Co? Zacierałaś ślady?

– Tak. Myślałam, że ją zabiłeś, bo leżała na brzuchu z głową wciśniętą w poduszkę.

Pokój wypełniło milczenie. Nie odrywał od niej oczu.

– Czy ty się mnie bałaś? – Głos mu się załamał. – Bałaś się, że mógłbym ci zrobić to co jej?

O Boże.

– Nie, nigdy się ciebie nie bałam, ale bałam się konfrontacji słownej. Bałam się tego, co mogłam od ciebie usłyszeć.

– A cóż takiego mogłaś usłyszeć? – prychnął.

– Albo kłamstwo, albo że zabiłaś... – Za późno się zorientowała, że wyraziła się niewłaściwie, bo Johan szybko to podchwycił.

– A więc były tylko dwie opcje: albo że zabiłem, albo kłamałbym, że tego nie zrobiłem? – Oczy Johana nagle stały się zimne, tak jak głos, którym to powiedział. – Wiesz, chyba rzeczywiście powinniśmy się zastanowić nad naszym małżeństwem.

– Zastanawiałam się dość długo. – Podniosła hardo głowę do góry. – Kiedy ja się zastanawiałam, ty wolałaś ten czas wykorzystać na pieprzenie się w łóżku z Zuzą! Ale ja, mimo że mnie zdradziłaś, byłam gotowa ci wybaczyć. Ty, głupi pacanie, nie potrafisz tego docenić!

– Phi! Byłaś gotowa mi wybaczyć, bo wcześniej pieprzyłaś się z Lorenzem! Nie w łóżku, tylko w krzakach pod świerkiem.

– Zdecyduj się: w krzakach czy pod świerkiem? Pod świerkami nie rosną krzaki, durniu.

W tym momencie usłyszeli na korytarzu mały harmider. Johan szybko wskoczył w spodnie, nie zakładając bielizny.

– Izis, ubieraj się, nadchodzi Teo – rzucił, naciągając na siebie T-shirt. – Bądź miła dla Zuzy, nie sypiam z nią.

Zaledwie to powiedział, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Teo. Miał na sobie niebieskie bermudy i podkoszulek z Batmanem, a na głowie czapkę z daszkiem. W ręce trzymał wianek ze stokrotek i koniczyny.

– Wujku, zobacz, co dla ciebie zrobiłem! Suzi mnie nauczyła pleść wianki. Prawie sam zrobiłem ten wianek – zawołał, z dumą wręczając mężczyźnie swoje dzieło.

Tego lata władze Krakowa ze względu na groźbę suszy zaleciły nie kosić trawy na miejskich trawnikach, stąd się wziął ten dziwny prezent. Johan z poważną miną odebrał od chłopczyka wianek i założył go sobie na głowę.

– Dzięki, Teo. W starożytnym Rzymie wodzów wracających z bitwy honorowano wieńcem laurowym. Ale z braku wawrzynu mogą być też stokrotki i koniczyny.

Tymczasem Iza wiązała szlafrok, starając się nie roześmiać na widok głowy Johana przyozdobionej wiankiem.

– Cześć, Teo – powiedziała.

– Ty już idziesz spać? Przecież nie ma jeszcze nocy? – zauważył zdziwiony chłopczyk.

– Teo, pamiętasz moją żonę? Ma na imię Iza – wtrącił Johan. – Właśnie przyjechała z podróży, dlatego musiała się chwilę przespać. Przywiozła ci prezent.

– Tak? Jaki? – Chłopczyk od razu się zainteresował.

Iza, nie reagując na nianię przyglądającą się całej scenie, przeszła obok niej i skierowała się do neseseru. Ponownie otworzyła torbę i wyjęła autko.

– Porsche – powiedziała. – Takim samochodem jeździł James Bond.

– Kto? – zapytał chłopczyk. – Czy on był z nami w hotelu?

– Nie, to taka filmowa postać, tak jak Superman – powiedziała Iza.

– Superman nie musiał mieć auta, on sam latał, bo był z Kryptonu. – Chłopczyk spojrzał obojętnie na prezent.

– Aha. Poddaję się, nie widziałam żadnego filmu z Supermanem. – Mówiąc to, uśmiechnęła się do chłopczyka. – Niestety na razie jestem obeznana z zabawkami dużych chłopców, jeszcze nie wiem, czym bawią się chłopcy w twoim wieku, Teo.

– Karabinami i pistoletami, i rewolwerami.

– Autami chyba też? – Johan przyszedł żonie z pomocą. – Widziałem w twoim pokoju w Berlinie dużo samochodzików. Ja bardzo lubiłem bawić się autkami i nadal lubię. A najbardziej marzyłem o porsche. Nawet kiedyś jeździłem podobnym do tego, który dostałaś, tylko je sprzedałem. Mam kilka zdjęć, mogę ci pokazać.

Wziął do ręki smartfon i nacisnął ikonkę „album”. Przesunął palcem po ekranie i znalazł fotkę

czerwonego samochodu z napisem „Kocham Izis”.

– Co tu jest napisane?

– Kocham Izis.

– Kto to jest Izis?

– To właśnie moja żona. Tak ją nazywam.

– Dlaczego?

– Bo Isis to egipska bogini, a moja żona też była dla mnie boginią – powiedział, patrząc na Izę.

– Kto to jest egipska bogini?

– Wiesz co, Teo, może opowiem ci o niej kiedy indziej. Na przykład przed snem, gdy przyjdę pocałować cię na dobranoc.

Iza traktowała Zużę jak powietrze, prawie w ogóle z nią nie rozmawiała. Ale bacznie obserwowała jej relacje z Teo. Chciała się nauczyć postępowania z niespełna czterolatkiem. Od razu zauważyła wyjątkową bliskość łączącą Zużę i chłopca. Życiowa mądrość podpowiadała Izie, że na razie nie powinna pozbywać się niani, dlatego nie nalegała na Johana, żeby ją odprawił. Nie mogła jednak tolerować stałej obecności Zuzy zarówno w życiu Tea, jak i Johana. Nazajutrz z samego rana zadzwoniła do biura nieruchomości i jeszcze tego samego dnia znalazła odpowiednie lokum dla dziewczyny. Ze względu na pandemię i lockdown było dużo wolnych mieszkań, ponieważ popularna ostatnio praca zdalna nie wymagała pobytu w Krakowie, a studentów również nie było za wielu. Wieczorem, gdy Teo już spał, Iza wyjęła z torebki pęk kluczy.

– Zuza, wygodniej ci będzie, gdy zamieszkasz w swoim mieszkaniu, a do nas będziesz przychodzić do pracy. Właśnie ci wynajęłam przytulną garsonierę oddaloną trzysta metrów od nas. Ja i Johan pokryjemy wszystkie koszty utrzymania tego lokalu. Nie tylko czynsz, lecz także opłaty za media.

Johan spojrzał zdziwiony na żonę.

– Kiedy to zrobiłaś i dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo byłeś zajęty i nie chciałam ci przeszkadzać. – Odwróciła się w stronę dziewczyny. – Zuza, chyba chcesz jeszcze dziś obejrzeć swoje mieszkanie, prawda? Mogę pomóc ci się spakować.

Rozdział 53

Dwa dni później wieczorem, kiedy Teo już spał, a „państwo Von” byli w sypialni po pierwszym miłosnym starciu, gotowi do snu, Johan nagle wstał z łóżka i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił z białą kopertą w ręku. Wręczył list żonie.

– Co to?

– List Camilli.

Dziewczyna zmarszczyła wrogo brwi.

– A więc utrzymywaliście ze sobą kontakt?

– Nie – westchnął. – Zostawiła go Francowi, na wypadek gdyby nie miała sposobności ze mną porozmawiać.

– Od kiedy wiesz o tym liście? – zapytała, przyglądając się kopercie.

– Ferro dał mi go w dzień naszego wyjazdu.

– W marcu?

– Nie, gdy byliśmy tam w lipcu.

– Dlaczego tak późno?

– W marcu o nim zapomniał, bo wtedy wszyscy byli przerażeni covidem, a potem... Cóż, Kraft prowadził śledztwo, a Franco nie chciał nam zaszkodzić, bo jesteśmy znajomymi Martina. Myślał, że są tam dowody nas obciążające. Gdy śledztwo zostało oficjalnie zakończone, otworzył list i stwierdził, że może mi go dać.

– Dlaczego dajesz mi ten list do przeczytania?

– Bo uważam, że powinnaś poznać treść.

List Camilli

Witaj, Johanie. Napisałam do Ciebie ten list, bo nie wiem, czy się odważysz przyjść dzisiaj do mnie wieczorem. Prawdopodobnie Twoja żonka Ci na to nie pozwoli. Z przykrością zauważyłam, że całkiem wpadłeś pod jej pantofelek i bardzo Ci tam wygodnie. Wiem, że z mojej strony to trochę nieroztropnie używać takich słów, bo lepiej nie zrażać do siebie ludzi, wobec których mamy pewne oczekiwania, ale jestem, jaka jestem i nic tego nie zmieni. A teraz, kiedy umieram, negatywne cechy mojej osobowości jeszcze bardziej się uwidaczniają.

Przyjechałam do tej włoskiej dziury nie bez powodu. Tym powodem był Ty, Johanie, bo się dowiedziałam, że tu będziesz. Chciałam również przyjrzeć się Twojemu obecnemu otoczeniu. Żonie i jej rodzinie. Chyba zauważyłeś, że bardzo się starałam ukryć ciemną stronę mojej natury, żeby zdobyć ich sympatię, bo dużo od nich zależy. Wiem, że kochasz tę polską smarkulę, dlatego to głównie ona będzie miała wpływ na Twoją decyzję.

Kiedy planowałam mieć dziecko, nie uwzględniłam wszystkich czynników. Nie zastanawiałam się, że istnieją pewne uwarunkowania od nas niezależne. Zawsze mi się wydawało, że mogę mieć pełną kontrolę nad swoim życiem, że to ode mnie zależy, jak potoczy się mój los. Myślałam, że zdecydowanie i determinacja oraz wola walki usuną wszelkie przeszkody. Niestety nie przewidziałam jednego, że napotkam dużo silniejszego i bardziej bezwzględniejszego ode mnie przeciwnika – nowotwór. Kiedy o tym myślę, ogarnia mnie taka wściekłość, że z trudem mogę nad sobą zapanować. Mam ochotę wrzeszczeć na cały głos, walić na oślep wszystkich naokoło, nie zważając, czy są winni, czy nie. Oprócz nagromadzonej wściekłości wypełniają mnie również żal i pretensje, że akurat mnie to spotkało. Dlaczego akurat ja?! Czy to kara za mój parszywy charakter? Czy to karma za postęпки, których się dopuściłam? Przyznaję, że w aspekcie dekalogicznych zasad etyki nie byłam kryształowo czysta, ale los również nie traktował mnie jak swoją ulubienicę. *De facto* zawsze byłam sierotą, bo ojca nie znałam, a moja matka narkomanka umarła, kiedy miałam zaledwie kilka lat. Gdyby nie ciotka Lena, trafiłabym do sierocińca. Na szczęście mnie przygarnęła i choć nie była dla mnie czułą i serdeczną opiekunką, to i tak okazała się lepszą opcją niż przytułek.

Nie opowiadałam Ci nigdy o mojej ciotce, dlatego teraz przybliżę trochę jej postać, bo to, jaka

ona była, na pewno miało wpływ na to, jaka ja się stałam. Lena wychowywała mnie według enerdowskich standardów moralności. Zamiast chrześcijańskiej zasady – Bóg, honor i ojczyzna – służyły jej komunistyczne slogany Marksa, Engelsa i Lenina. Priorytetem i kwintesencją jej życia była partia i komunizm, siostrzenica zajmowała dużo bardziej odległe miejsce. Lena była tak samo fanatycznie oddana komunistycznemu przywódcy Erichowi Honeckerowi jak kiedyś jej rodzice Adolfowi Hitlerowi. Swoje komunistyczno-utopijne wartości nie tylko stosowała w życiu, lecz także chciała je wpoić również siostrzenicy. Jej ascetyczne nastawienie do dóbr materialnych uderzyło rykoszetem też we mnie. Zawsze miałam najtańsze ubrania, wielokrotnie naprawiane i cerowane, bo byli biedniejsi od nas, i najtańsze zabawki, bo inne dzieci w ogóle ich nie miały. Oszczędzała i ciułała, żeby się dzielić swoimi dobrami doczesnymi z innymi towarzyszami, zostawiając dla siebie i dla mnie minimum. Była prawdziwą komunistką, bezwzględnie wierną utopijnym założeniom niekwestionowanych marksistów. Karmiona sloganami i bezkrytycznie oddana swoim ideologicznym przywódcom, wierzyła w ich teorie i misję naprawy świata. Nie chciała wgłębiać się w mroczne oblicza Lenina i Stalina oraz ich ideologicznych potomków. Była ślepa na hipokryzję otaczającego ją enerdowskiego świata, chciała widzieć tylko to, co teoretycznie było dobre, ale w praktyce się nie sprawdzało.

Jej obsesja na punkcie naprawy rzeczywistości i pomagania innym jeszcze bardziej się pogłębiła, gdy pokochała kubańskiego komunistę Diega Lopeza, który przyjechał do Berlina czerpać wiedzę i doświadczenie od swych niemieckich komunistycznych pobratymców. Nie przeszkadzało jej, że ukochany miał w Hawanie żonę i dzieci, i bez wahania wpadła w wir miłości. Kiedy piękny Diego wrócił do swojej ojczyzny i rodziny, regularnie wysyłała mu paczki z ubraniami, środkami higienicznymi i żywnością, bo na Kubie brakowało wszystkich produktów. Nawet gdy zburzono mur berliński, ciotka wciąż wierzyła w owe komunistyczne brednie. Oczy jej się otworzyły, kiedy pojechała za ocean, by odwiedzić kochanka. Diego nie przywitał jej z szeroko rozwartymi ramionami, a jego małżonka nie wykazała zbyt wielkiej wyrozumiałości, co *summa summarum* okazało się wybawieniem zarówno dla mnie, jak i samej ciotki Leny, bo chociaż wróciła na łono ojczyzny ze złamanym sercem, to stan jej konta bankowego zaczął się w szybkim tempie regenerować. Odetchnęłam z ulgą, bo mimo wszystko byłam przywiązana do ciotki.

W przeciwieństwie do Leny altruizm był mi zawsze obcy, a moja mantra życiowa brzmiała: myśl tylko o sobie. Nigdy nie wierzyłam w jej marksistowskie bzdety i od dziecka sprzeciwiałam się jej poczynaniom. Może właśnie to ten wpajany we mnie ascetyzm i narzucone mi siłą empatyczne patrzyenie na ludzi wywołało w mojej psychice podświadomy bunt i zrobiło ze mnie egoistkę ekstraklasy? Prawdopodobnie właśnie w tym tkwiła przyczyna, że stałam się taką osobą, jaką teraz jestem. Już od wczesnego dzieciństwa pragnęłam pieniędzy, a w dorosłym życiu zapragnęłam również władzy, żeby za pomocą obu tych środków wspiąć się na sam szczyt i tam prowadzić niczym nieograniczone życie megalocentryczki.

Udało się. Zdołałam to wszystko dzięki urodzie, wrodzonej inteligencji i sprytowi. Zaraz po maturze i uzyskaniu pełnoletności wyrwałam się spod kurateli ciotki wciąż opłakującej dawne dobre czasy NRD. Skończone studia dziennikarskie i siła przebiecia pomogły mi zaczepić się w stacji telewizyjnej Super Star, a zgrabne nogi i ładna buzia zwrócić uwagę jej właściciela Franza Vogla. Przebiegłość i umiejętność korzystania z każdej nadarzającej się okazji doprowadziły mnie z pozycji kochanki do statusu żony. Na szczęście Franz był już w leciwym wieku, dlatego męczyłam się z nim jedynie dwanaście lat. Kiedy wraz z jego śmiercią zdobyłam wolność i pieniądze, stałam się bogatą, ładną i wciąż młodą wdową. Moja przyszłość zapowiadała się pięknie i bardzo obiecująco. Postanowiłam nadrobić młodość straconą przy boku starego męża i wieść cudowne życie, rozkoszując się pieniędzmi i władzą oraz wszystkim tym, co one oferują.

Kiedy moje łóżko opróżniło się ze starego ciała Franza Vogla, obiecałam sobie, że już nigdy więcej nie zagości w nim żaden staruch. Miałam dość zwiotczalej skóry i zmarszczek na twarzy – pragnęłam młodości. Dlatego kochanków wybierałam wśród młodych mężczyzn. Jednym z nich byłeś Ty – nieopierzony nastoletni statysta, którego uwiodła telewizja i popularność. Spodobało mi się, że wprowadziłam Cię w świat erotyzmu. Świadomość tego, że to ja byłam dla Ciebie Tą Pierwszą, sprawiła,

że zawsze byłeś dla mnie kimś wyjątkowym. Wtedy jeszcze Cię nie kochałam, bo na tym etapie życia nie umiałam kochać. Chociaż oprócz Ciebie miałam też innych kochanków, bardziej odpowiednich wiekowo, to wciąż zajmowałeś wśród nich specjalne miejsce. Zawsze czułam do Ciebie sympatię, tkliwość i pewien szacunek, ponieważ byłeś inny. Wyróżniałeś się spośród tej telewizyjnej hołoty, zepsutej moralnie i żadnej sławy, bo błyszczałeś etyczną niewinnością. Ciebie też oczarowała popularność, u Ciebie też wystąpił syndrom parcia na szkło, nigdy jednak nie zgubiłeś wartości wyniesionych z domu. Rodzice dobrze Cię wychowali. Od razu to dostrzegłam. Pomimo Twojej młodzieńczej chęci autodestrukcji od razu zauważyłam Twoją przyzwoitość, bo chociaż sama od dawna byłam skażona cynizmem, nie straciłam umiejętności oceny tego, co dobre, a co złe. Zarejestrowałam Twój rodzący się profesjonalizm, ukrytą pasję tworzenia i upór w dążeniu do celu, ale ujrzałam w Tobie również dobrego, uczciwego młodego człowieka, którego jeszcze nie zepsuły telewizja i sława.

Teraz, gdy umieram, stać mnie na szczerość, bo nic już nie mam do stracenia. Napiszę więc prawdę: kiedy spotkałam u Ciebie tę Twoją kuzynkę, od razu wyczułam w niej zagrożenie. Musiałam się jej pozbyć, żebym mogła nadal Cię kontrolować. Gdybym tego nie zrobiła, mógłbyś mi się wymknąć, a nigdy nie lubiłam tracić cennych rzeczy, które były w moim posiadaniu.

Wygrałam. Wybrałeś mnie, dokładnie mówiąc: Super Star, a nie Isabel Orłowską. Chwila triumfu i satysfakcji w niedługim czasie zamieniła się w uczucie dużo głębsze i niestety dla mnie zgubne. Zgubne, bo doprowadziło do utraty Ciebie. Wciąż uważam, że moja miłość do Ciebie zabiła Twoją miłość do telewizji, co spowodowało, że mnie porzuciłeś. Nie warto dawać mężczyźnie zbyt wiele z siebie, nigdy nie powinien poczuć przewagi nad kobietą. A ja przez swoją miłość stałam się słaba...

Wiem, że się oszukuję. Nigdy Ci na mnie nie zależało. Byłeś ze mną, bo dzięki mnie miałeś swój program. Kiedy zakochałeś się w tej dziewczynie, odkochałeś się w telewizji, a ja straciłam możliwość manipulowania Tobą. Uwolniłeś się od swoich żądz – sławy i popularności.

No cóż, ale jakoś się pogodziłam z utratą Ciebie, tym bardziej że pozostała mi po Tobie drogocenna pamiątka. Teo. Będąc młodą kobietą, nie odczuwałam potrzeby prokreacji; byłam za bardzo wpatrzona w siebie i swoje potrzeby. Pragnienie dziecka przyszło wraz z czterdziestką. Uświadomiłam sobie istotę przemijania i naszła mnie chęć przedłużenia swojego życia w postaci potomka. Chciałam kogoś po sobie pozostawić, przekazać część siebie drugiej istocie, żeby była kontynuacją mojego istnienia tu, na Ziemi. No i coraz bardziej doskwierała mi samotność. Oprócz ciotki nie miałam nikogo, bo kochankowie zmieniali się w moim łóżku jak daty w kalendarzu i z żadnym z nich nie nawiązałam bliższej więzi.

Akurat do tego, żeby poczuć się spełnioną i mniej samotną, nie był mi potrzebny mężczyzna. Potrzebowałam kogoś, kto byłby ze mną związany na stałe, a taką więź może dać tylko dziecko. Jeszcze będąc w związku z Alfredem, coraz częściej o tym myślałam, ale jemu nie pasowało ponowne ojcostwo. No i był za stary i zbyt pochłonięty sobą, żebym mogła planować założenie z nim rodziny. O razu pomyślałam o Tobie jako nośniku genów mojego przyszłego potomka. Chciałam, żeby mój synek był doskonały pod każdym względem, a Twoje DNA zasługiwało, żeby przekazać je nowej istocie. Młody, urodziwy, inteligentny i wrażliwy – byłeś ze wszystkich znajomych mężczyzn najwłaściwszym dawcą genów dla mojego dziecka. Oczywiście od początku brałam pod uwagę, że kiedyś zatęsknisz za jakimś młodym ciałem w łóżku i ode mnie odejdiesz, ale przecież nadal bym miała w domu małą kopię Ciebie, a na tym najbardziej mi zależało. Nie uprzedziłam Cię o swoich zamiarach, bo mogłeś się na to nie zgodzić, dlatego próbowałam postawić Cię przed faktem. Niestety nie pomogły ani przekłuwane kondomy, ani sperma w nich pozostawiona i przechowywana w zamrażarce, którą potem aplikowała mi ginekolożka. Kiedy odkryłeś moje fortele i oburzony ze mną zerwałeś, okazało się, że w moim ciele już tkwiło jedno Twoje nasionko i powoli kiełkowało. Podczas następnej wizyty kontrolnej w gabinecie ginekologa dowiedziałam się, że w mojej macicy rozwija się nowe życie.

Byłam przeszczęśliwa. Nic mnie w życiu tak nie ucieszyło, nawet śmierć Franza, jak wiadomość, że zostanę mamą. Minęła mi już złość na Ciebie, bo wbrew swojej woli sprezentowałeś mi to, o czym marzyłam. Cięża, poród, macierzyństwo – to najpiękniejsze chwile mojego życia. Wcześniej nie wiedziałam, że potrafię kogoś naprawdę kochać. Przez jakiś czas mi się wydawało, że kocham Ciebie, ale szybko zrozumiałam, że nie była to prawdziwa miłość. Na pewno było zauroczenie, możliwe, że

zakochanie, ale nie wielka dozgonna miłość, o której piszą w książkach i którą pokazują na filmach. Dopiero gdy zostałam matką, poznałam prawdziwą siłę miłości. Nadal uważam, że jedynie matka potrafi naprawdę kochać. Żadne inne uczucie nie jest potężniejsze niż miłość macierzyńska. Prawdopodobnie doświadczają tego wszystkie matki, albo znaczna ich część, ale nigdy nie przypuszczałam, że ja też jestem zdolna do takich uczuć. Chciałam dać swojemu synkowi wszystko, co najlepsze, uszczęśliwić go na wszystkich płaszczyznach, żeby niczego mu nie brakowało. Dlatego pomyślałam również o ojcu dla Tea, żeby miał kogoś, komu mógłby mówić „tato”. Z tego powodu pojawiła się w mojej głowie myśl o ojczymie. Chciałam, żeby był młody, inteligentny, mądry i uczciwy. Rozejrzałam się wśród znanych mi mężczyzn i zrozumiałam, że niełatwo kogoś takiego spotkać. Mój wybór padł na Georga. Był kiedyś Twoim kolegą, wiedziałam, że go lubiłeś, więc pomyślałam, że musiałeś mieć ku temu powody. Słyszałam o jego nałogach, ale wierzyłam, że jakoś uda mi się je pokonać. Niestety szybko się okazało, że wybrałam fatalnie. Dostrzegając w Georgu coraz więcej wad i moją bezsilność, by je zwalczyć, nie mogłam dopuścić, żeby prawnie usynowił mojego synka. Mimo to próbowałam dać Georgowi szansę, wciąż się łudząc, że się zmieni i pokocha pasierba, dlatego wstrzymywałam się z rozwodem. W tym czasie szukałam kogoś bardziej odpowiedniego do roli ojczyma, ale nikt taki mi się nie trafił.

A potem pewnego dnia zawalił mi się cały mój świat. Rak płuc. Diagnoza powaliła mnie na kolana, ale byłam silna i udało mi się z nich powstać. Rokowania były dobre. Operacja się udała, a badania wskazywały na brak przerzutów. Nikt nie wiedział o nowotworze. Ani Georg, ani Alfred, ani nawet ciotka. Tylko jednej osobie o tym powiedziałam, mojemu nowemu kochankowi. Powoli dochodziłam do siebie, ale coraz częściej myślałam o przyszłości synka. O tym, co się z nim stanie, gdybym umarła. Wtedy pomyślałam o Tobie. Kiedy dostałam informację, że spędzisz urlop w Madonna di Campiglio, również tu przyjechałam. Chciałam ponownie spotkać się z Tobą, żebyś mógł poznać Tea. Początkowo nie zamierzałam Ci mówić, że to Twój syn, niestety przysłano mi mailem wyniki badania PET, które zrobiłam przed wyjazdem. Okazało się, że rak o mnie nie zapomniał, pojawiły się przerzuty.

Podobno nieszczęścia chodzą parami – przekonałam się o tym na własnej skórze, gdy skumulowały się inne moje problemy. Świeżo odkryty romans Georga był tylko małym pstryczkiem w nos. Większym problemem dla mnie stanowiła kondycja mojej firmy. Nieświadomy niczego Alfred dał się skusić mojej propozycji i zrobiliśmy fuzję. Niestety obawiam się, że wkrótce po zrobieniu audytu pożałuje swojej pochopnej decyzji.

Tylko przed Tobą postanowiłam być szczerą, dlatego lojalnie Cię uprzedzam, że interesy nie idą tak, jak powinny. Z powodu choroby zaniedbałam wiele spraw, nie przypilnowałam zarządu, na który scedowałam prawo podejmowania decyzji. Do plajty jeszcze daleko, ale Super Star zaczyna mieć poważne problemy. Ale nie dotyczą one mojego syna. W aspekcie finansowym przyszłość Tea jest zabezpieczona. Gorzej wyglądają jego perspektywy rodzinne. Ciotka Lena jest stara i schorowana, oprócz tego nie nadaje się na opiekunkę. Nie chciałabym, żeby mój syn stał się człowiekiem podobnym do mnie. Oczywiście Georg nie wchodzi w rachubę jako potencjalny opiekun. Nie mam nikogo, komu mogłabym powierzyć przyszłość mojego dziecka. Pozostajesz mi tylko Ty.

Wiem, że przy Tobie Teo będzie bezpieczny. Twoja żona chyba również go nie skrzywdzi, bo nie zauważyłam u niej zadatków na złą macochę. Jej rodzina też jest w porządku. Teść i teściowa lubią dzieci, widzę, z jaką sympatią traktują Tea. Będąc z natury przezorną osobą, od dawna zakładałam, że może kiedyś dojdź do podobnej sytuacji, jaka teraz nas spotkała, dlatego postanowiłam nauczyć mojego synka języka polskiego. Mając na uwadze, że znajomość tego języka może być mu kiedyś potrzebna, zatrudniłam dziewczynę z Polski. Chociaż Suzi jest zwykłą dziwką, to naprawdę lubi Tea i jest do niego bardzo przywiązana. Dużo bardziej niż ten dupek Georg. Przyznaję, że się zdenerwowałam, gdy odkryłam ich romans. Miałam ochotę od razu wyrzucić ich oboje na zbity pysk, na szczęście potrafiłam powstrzymać gniew, bo... zemsta lepiej smakuje na zimno.

Domyślałam się, że po przeczytaniu mojego listu przeżyjesz szok. Będziesz wściekły na mnie. Będziesz się bał nowej sytuacji i przyszłych zobowiązań. No i będziesz się bał żony. Ale jeszcze nie umieram. Będę walczyć. Zaraz po powrocie do Berlina zmieniam lekarza. Poszukam innego onkologa, bo ten okazał się mało skuteczny. Informuję Cię teraz o tym wszystkim, żebyś mógł się oswoić z myślą, że Twoja krew krąży w innej istocie. Chociaż nie chciałeś dziecka, to jednak je masz. Gdyby jednak nie

udało mi się uciec kostusze spod kosy, to pamiętaj, że w moim dziecku tkwią również Twoje geny. Przyjrzyj się jego oczom. Są takie jak Twoje. Przyjrzyj się jego uszom. Obejrzyj znamię na lewej nodze pod kolanem. Popatrz na jego włosy nad czołem – chociaż są jasne, mają ten sam zarys linii jak Twoje.

Johanie, czy pozwolisz, żeby dziecko z Twoim genomem było samo na świecie? Żeby wychowywało się w sierocińcu albo w jakiejś rodzinie zastępczej, którą skusiły jego pieniądze?

Masz trochę czasu na rozmyślanie, bo jeszcze nie umieram. Ale czasami pomyśl o Teo. Pobudź swoją wyobraźnię, zastanów się, co się może z nim stać, gdy go zostawisz samemu sobie.

Camilla

Rozdział 54

Mark i Robert biegli zdyszani leśnym traktem przez zagajnik niedaleko ich posesji. Krzysiek już z nimi nie biegał, ponieważ pojawiły się u niego powikłania pocovidowe. Mimo że dość lekko przechodził chorobę, ostatnio zaczął narzekać na duszności. Zdjęcia RTG klatki piersiowej wykazały zmiany w płucach, co bardzo zaniepokoiło Roberta. Eryk na szczęście nie miał żadnych powikłań, które coraz częściej występowały u ozdrowieńców.

Pokonali trzy kilometry, kiedy Robert się zatrzymał.

– Mam już dość. Muszę odpocząć, bo dostanę zawału lub wylewu – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – Jogging to już nie na moje lata. Najwyższy czas przestawić się na nordic walking. Będziesz musiał znaleźć sobie innego kompana do biegania. Usiądźmy na chwilkę.

– Okej.

Weszli w głąb zagajnika i usiedli na trawę.

– Mam nadzieję, że nie złapiemy żadnego kleszcza – mruknął Orłowski.

– O, jaka błoga cisza, żadnych wrzeszczących dzieciaków – zauważył Mark.

– Już niedługo do naszej piątki dołączy jeszcze jeden wrzeszczący brzdąc. Teo. Iza mówiła, że wybierają się do nas w przyszłą sobotę. Na razie chcą pobycć sami i jakoś się dopasować w nowej sytuacji.

– Jak jej idzie matkowanie?

– Puchnie z dumy, że Teo nie protestuje, gdy Zuza opuszcza ich mieszkanie. Wcześniej towarzyszył temu straszny wrzask. Teraz niania przychodzi do nich tylko na sześć godzin, wcześniej musiała siedzieć cały dzień, dopóki mały nie poszedł spać. Podobno przeszedł już fazę sprzeciwu i odpychania Izy, zaliczył też okres jej tolerowania i powoli wchodzi w etap lubienia.

– Izę lubią wszystkie zwierzęta, dzieci też. Moje za nią przepadają. Teo też na pewno ją polubi.

– Co zamierzasz zrobić z nagraniem przysłanym przez Giulię?

– Hmm, nie wiadomo, czy to ona je przysłała.

– Kto inny mógłby to zrobić?

– Może jej ojciec. – Mark wzruszył ramionami. – W każdym razie tylko ten, kto przysłał pendrive'a, jest w stanie nam odpowiedzieć na pytanie, kim jest morderca. Albo Kraft, gdyby podał nam czas pobytu Lorenza na balkonie. A ty, Robert, co o tym wszystkim sądzisz? Czy jest sens wkładać kij w mrowisko?

– Dobrze wiesz, że wolałbym nie rozdmuchiwać ponownie sprawy. Kraft mógłby potraktować Izę jako potencjalną morderczynię. Nie wiadomo, czy by jej uwierzył. Jeśli zrobił to Lorenzo, to poniósł już karę. A jeśli to sprawka Alfreda Linna, no to cóż... powiększy grono zbrodniarzy, którzy uciekli Temidzie spod miecza. Podobno karma wraca, nie wiadomo, co go jeszcze w życiu spotka. Jednego tylko nie rozumiem: dlaczego miały ją zabijać, przecież sama zaproponowała mu fuzję?

– Jak to dlaczego? Dla pieniędzy i władzy. Za tą opcją przemawia fakt, że Linn nie przyznał się do powtórnych odwiedzin w jej pokoju i skłamał, że wyszedł od niej o dwudziestej trzeciej. – Mark zamyślił się na chwilę. – Jest jeszcze jedna kwestia. Podobno Lorenzo planował wyjazd do Niemiec. Wspominał Zuzie coś o pieniądzach. Wydaje mi się, że szantażował mordercę. Dlatego nie wiadomo, czy jego śmierć była przypadkowa. Możliwe, że morderca mu w tym pomógł. W takim układzie Linn uciekłby dwa razy Temidzie spod miecza. – Biegler głęboko wciągnął powietrze do płuc. – Na razie dajmy spokój tym dywagacjom. Nie będę się kontaktował z Kraftem. Może kiedyś odwiedzę Stellę i uda mi się wyjaśnić sprawę do końca. – Spojrzał na Roberta. – Kiedy przyjeżdża Martin?

– W przyszłym tygodniu. Może zrobilibyśmy wypad nad Solinę, co o tym myślisz? Moja łajba stęskniła się za nami.

– Trzeba tam wyciągnąć też Izę i Johana. Czy mam zarezerwować parę domków w Zjawie? Naszym paniom prawdopodobnie nie spodobałoby się nocowanie pod namiotem.

– Mojej żonie na pewno nie.

– Wy przecież i tak spalibyście na jachcie.

– Na razie nie rezerwuj domków. Trzeba wcześniej pogadać z Izą i Krzyskiem.

Iza nie wytrzymała bez rodziny następnych kilkunastu dni, odwiedziła rodziców już w najbliższą sobotę. Pogoda była piękna, więc cały czas spędzali na tarasie. Wszystkie wnuki Roberta, razem z tym nowym przysposobionym, pluskały się w brodziku specjalnie zrobionym dla maluchów. Eryk i Kamil trochę się buntowali, bo woleli kąpać się w dużym basenie, ale dla „świętego spokoju” łaskawie towarzyszyli młodszym dzieciom. Sobotnie popołudnie upływało na miłym leniuchowaniu. Przez gałęzie drzew przesiewały się promienie słońca, dozując biesiadnikom odpowiednią dawkę żaru. W pobliskich krzewach brzęczały owady, a w cieniu świerków po trawie przechadzała się sroka, nie zwracając uwagi na harmider panujący w ogrodzie. Lekki zefirek próbował się przecisnąć przez kratownicę oplecioną bluszczem i wdrzeć się na taras.

Jeszcze za wcześnie było na grilla, dlatego w oczekiwaniu na wieczór dorośli raczyli się drinkami, piwami oraz łakociami przygotowanymi przez panią Stasię i jej córkę. Nie było jedynie Barbary i jej męża, bo polecili do Ystad, do Petera – syna Jona. Od czasu pandemii była to ich pierwsza wizyta w Szwecji. Barbara powoli dochodziła już do siebie, zaczęła znowu farbować włosy, ale Jon wciąż nie domagał. Szybko się męczył i miał złe wyniki badań. Powikłania pocovidowe poczyniły spustoszenie w jego organizmie. Robert odradzał im wyjazd, ale Jon bardzo tęsknił za synem i wnuczką, dlatego Barbara zgodziła się lecieć.

Tego dnia Renata Orłowska zastrajkowała przeciwko obowiązkom gospodyni. Pałeczkę przekazała córkom, rodzonej i przysposobionej, oraz synowej.

– Dziećmi zajmie się dziadek i ich ojcowie, a wy, moje panie, zróbcie sałatki. Nie miałam sumienia obarczać tym pani Stasi, a jej córka pojechała z odwiedzinami do wnuków – oznajmiła Renata tonem nieznośnym sprzeciwu. – Jestem starą, spracowaną i schorowaną kobietą, a wy jesteście młode i jeszcze „nieurobione”.

Wszyscy przy stole parsknęli śmiechem.

– Malutka, powiedz to jeszcze raz, bo muszę to nagrać i pokazywać innym, gdy założysz sukienkę mini, starając się udawać dwudziestolatkę.

– Stare, spracowane i schorowane kobiety też mają prawo wyglądać młodo, prawda? – Renata wzruszyła ramionami.

– Powiedz mi, jak stare, spracowane i schorowane kobiety mogą chodzić w butach na piętnastocentymetrowych obcasach?

– Nie mogą, dlatego chodzą na dwunastocentymetrowych – odparła, pociągając łyk zimnego piwa miodowego. – Mam dziś dobry humor, bo tomografia klatki piersiowej Krzysia nie wykazała niczego niepokojącego. Zdrowie naszych dzieci i wnuków! – powiedziała, wznosząc do góry szklanę z piwem.

– A zdrowie twojej synowej i zięciów? – upominał się Mark.

– A nasze zdrowie, Malutka? – wtrącił Robert.

– Jeszcze raz, bo mój toast jest do poprawki. Za zdrowie całej naszej rodziny!

Wypili to, co mieli nalane do szklanek. Drinki, wino i piwo.

Renata popatrzyła na córkę.

– Córeczko, chyba twoje relacje z Teo bardzo się poprawiły, bo nie przywieźliście tutaj Zuzy?

– Dziś sobota, Zuza ma randkę.

– O, szybko sobie kogoś znalazła.

– Owszem, to typ kwiatka, który musi być regularnie podlewany – zabrzmiało to dwuznacznie.

– Jak każdy kwiatek – mruknął Robert.

– Kto to jest tym razem? – zainteresowała się Renata.

– Kurier.

– Przystojny?

– Musi być przystojny, jeśli nie ma atrakcyjnego portfela.

– Lorenzo nie był bogaty – zauważyła Renata.

– Mamo, czy specjalnie mi przypominasz tego dupka? – Iza się najeżyła.

– Ależ skąd, córeczko. Nawet o tobie nie pomyślałam.

Może Lorenzo nie był bogaty, ale zamierzał szybko zmienić swój status, wzbogacając się na szantażu – pomyślał Mark. Hmm, chyba że rzeczywiście był mordercą – w co Biegler coraz bardziej wątpił.

W tym momencie na taras wpadł Teo i skierował się do Izy.

– Ciociu, nakremuj mnie kremem z filtrami, bo Suzi zawsze to robiła.

Dziewczynnie zrobiło się głupio, że zapomniała o tak ważnej sprawie.

– Jak to dobrze, że jesteś takim mądrym i rozsądnym chłopcem – powiedziała przymilnie. – Dobrze, że mi przypomniałeś. Chodź, nasmaruję cię.

– Powinnaś mi też przypomnieć, że nie mam czapki na głowie.

– Właśnie, co się stało z twoim kapeluszem kowbojskim, który ci kupiłam?

– Zdjąłem, żeby się nie zamoczył. – Odwrócił się do Roberta. – Kowboje mieli rewolwery, nie pistolety – powiedział.

– Taak, a ja myślałem, że rewolwer i pistolet to to samo – odparł z uśmiechem Robert.

– Nie. Pistolety mają magazynki z nabojami, a rewolwery mają bębenek, w którym są pociski. Chodź ze mną, to ci pokażę.

– Już się robi – odparł Robert, wstając z ratanowego fotela. – Teo, jesteś prawdziwym ekspertem od broni palnej.

– Wcześniej muszę mu posmarować plecy – mruknęła Iza, też podrywając się z fotela.

– Widzę, że Teo mówi coraz lepiej po polsku – zauważył Mark, patrząc na Johana. – W ogóle już nie wtrąca niemieckich słówek.

– Tak. Zależy nam, żeby teraz nauczył się dobrze mówić po polsku, a nad jego niemiecczyzną popracujemy później.

Johan wyjął z kieszeni list Camilli i wręczył go Markowi.

– Przejrzyj to w wolnym czasie.

– Co to? – zapytał mężczyzna, obracając w palcach kopertę.

– List Camilli. Może pomoże ci w wyjaśnieniu pewnych spraw.

– Kiedy ci go wręczyła?

– Nie mnie, tylko Ferrowi. Dał mi go w lipcu, w dniu naszego wyjazdu.

Rozdział 55

Minął tydzień. Znowu taras u Orłowskich był pełen gości. Grono się powiększyło o Martina Schmidta. Mężczyzna przyleciał dzień wcześniej. Wraz z całą świtą Orłowskich planował wybrać się nad Solinę na żagle.

Jak to bywało w tym domu, nad tarasem unosił się gwar roześmianych głosów i piszczący harmider młodszego pokolenia. Było wesoło i radośnie. I tym razem pogoda dopisała. Kobiety krzątały się między tarasem i kuchnią, panowie rozprawiali, pilnując grilla, żeby mięso się nie przypaliło, a dzieciaki, głośno wrzeszcząc, biegały po ogrodzie. Tym razem nie pozwolono im na kąpiel w basenie, bo woda była za chłodna.

Mark, mimo rzadkich i krótkotrwałych chwil buntu, uwielbiał tu mieszkać. Czasami drażniła go u Roberta potrzeba kontroli i umiejętność manipulowania ludźmi, a u Renaty umiłowanie do plotkarstwa i przekomarzania się z mężem, ale nad tymi drobnymi minusami przeważała chęć bycia częścią tej rodzinnej całości i towarzysząca temu radość. Podobała mu się ta klanowa spójność, ten familijny monolit, gdzie każdy członek ich mikrospołeczności czuł się bezpieczny i kochany. Więż łącząca rodzinę była bardzo silna i nierozzerwalna.

– Martin, zaczynamy mieć problemy w klinice – rzucił Krzysiek. – Jeśli jesień będzie wyglądać tak jak wiosna, to nie wiem, jak to przetrwamy.

– Jesień będzie dużo gorsza od wiosny, synu – mruknął Robert. – Druga fala pandemii prawdopodobnie przyniesie o wiele więcej zachorowań i zgonów.

– Wiem, tato, miałem na myśli lockdown i paraliż w służbie zdrowia. Nie wiadomo, jak będzie z kontraktami z NFZ.

– Możliwe, że szpitale prywatne też zostaną zaangażowane do walki z pandemią. Państwowe jednostki lecznicze mogą nie być w stanie zapewnić pacjentom opieki zdrowotnej i zrobić z nas szpitale jednoimienne.

– Może powinniśmy rozpocząć akcję reklamową w telewizji niemieckiej? – zaproponował Krzysiek. – W przychodni dentystycznej brakuje pacjentów. Oj, przydałyby nam się wycieczki stomatologiczne Niemców do Krakowa.

– Nie wiem, czy nie jest na to za późno. Powoli kończy się lato. W październiku może być już znaczny wzrost zachorowań. Chyba musimy darować sobie ten rok. Cała nadzieja w szczepionce. Możliwe, że będzie gotowa już w grudniu – zauważył Martin, a Robert mu wtórował.

Mark nie był zbyt zainteresowany ich rozmową, miał swoje problemy. Jako członek zarządu sieci hotelowej Helga też miał powody do zmartwień, bo również w Austrii branża hotelowa przechodziła poważny kryzys, ale teraz wolał o tym nie myśleć. Była sobota, grill i perspektywa żeglowania po Solinie.

Tymczasem zaczęło robić się chłodno.

– Iza, córeczko, czy możesz przynieść starej matce sweter? – poprosiła Renata.

– Który sweter?

– Ten w czarno-białą pepitkę. Wisi w garderobie.

Mark znieruchomiał. Nagle w jego głowie coś zaiskrzyło. Wstał gwałtownie z ratanowego fotela.

– Dokąd idziesz, Mark? – zapytała Marta.

– Muszę wpaść na chwilę do domu i coś sprawdzić w komputerze.

– Gdy będziesz wracał, weź dla mnie i dzieci bluzy z polaru. Wiszą w wiatrołapie.

– Dobrze.

Biegler w pośpiechu opuścił taras i prawie wbiegł po schodach do mieszkania. Wpadł do sypialni i uruchomił laptopa. Do portu włożył pendrive'a z nagraniem z kamery. Przewinął do momentu, który go interesował. Wlepił wzrok w monitor. Już wcześniej go nurtowało, że coś jest nie tak, ale nie wiedział co. Teraz już znalazł odpowiedź. Sweter Alfreda Linna. Porównał ujęcie, kiedy o godzinie dwudziestej drugiej Linn wychodził z pokoju Camilli, do tego momentu, gdy tam wracał. Tak! To jest to. Kratka była inna. Chociaż nagranie było bardzo niewyraźne i do tego czarno-białe, można było zauważyć różnicę.

Sweter za drugim razem miał kratkę jaśniejszą i trochę większą. Podobny sweter do swetra Alfreda Linna miał Martin.

Mark przypomniał sobie wieczór, gdy w lutym przyjechali do hotelu. Schmidt miał na sobie pulower w drobną zielono-szarą kratkę. Podobny, tylko niebiesko-szary, miał Linn. Renata żartowała, że obaj kupowali swetry na tym samym bazarze. Martin miał go na sobie tylko raz, dlatego Markowi wyleciało to z pamięci.

O Boże, to Martin był wtedy w pokoju Camilli.

Mark poczuł suchość w ustach.

Rozdział 56

W niedzielę się rozpadało, dlatego postanowiono przełożyć wypad w Bieszczady na poniedziałek. Biegler był sam w domu. Marta poszła z dziećmi do kościoła, a potem obiecała zabrać je na lody do McDonalda, bo tylko pod tym warunkiem chcieli iść na mszę. Mark, usłyszawszy dzwonek domofonu, poszedł otworzyć. W drzwiach stał Martin.

– Widzę, że remont domu już się rozpoczął? – zagał Schmidt na powitanie.

– Tak – odparł Mark lakonicznie. – Chodź do sypialni.

– Do sypialni? – zdziwił się mężczyzna i dodał żartobliwie: – Czy Marta wie o tym, że zmieniłeś orientację seksualną?

– Mam tam teraz prowizoryczne biuro. Chciałbym ci coś pokazać – odparł Biegler bez grama uśmiechu.

– To dlatego mnie tu wezwalesz?

Mark w milczeniu włączył komputer. Na monitorze ukazał się korytarz w hotelu Stella. Spojrzał na Martina. Mężczyzna pobladł, jakby z jego twarzy odpłynęła cała krew. Patrzył na ekran rozszerzonymi oczami, przełykając głośno ślinę.

– Skąd to masz? – zapytał Marka cicho. Widocznie Robert nic mu nie powiedział o przysłanym pendrivie.

– Nieważne.

Martin klapnął na krzesło stojące obok biurka. Zakrył twarz dłońmi, opierając łokcie o kolana.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Mark po chwili.

– Nie wiem. Dostałem jakiegoś amoku. – Oderwał ręce od twarzy i siedział, patrząc tępo przed siebie. Westchnął i spojrzał w oczy Marka. – Nie wiem, co się wtedy ze mną działo.

– Byliście kochankami?

– Tak.

– Była twoją pacjentką?

– Nie. Leczyłem jej ciotkę. Przychodziła z nią do gabinetu. A potem zaczęliśmy się spotykać. Widziałeś Camillę, to kobieta, której nie da się odmówić. Oczarowała mnie. Więcej, ja ją pokochałem. Całkiem zgłupiałem na jej punkcie. Kiedyś zaproponowałem, żeby zrobiła badania, bo nowotwór to choroba dziedziczna. No i niestety się okazało, że ona również ma raka, i to w dużo gorszym stadium. Nie chciała nikomu powiedzieć o swoim stanie, nawet ciotce. Kiedy przebywała w szpitalu, wszystkim mówiła, że pojechała na wczasy. Rokowania były dość dobre. Ze względu na naszą zażyłość skierowałem ją do innego onkologa. Wprowadził nowatorskie leczenie. Nie będę wchodził w szczegóły, bo i tak wiele ci to nie powie, w każdym razie nie zastosował chemioterapii ani naświetlania, bo nie było przerzutów i markery były dobre. Czuła się coraz lepiej, okresowe badania tomografii też to potwierdzały. Zaczynała ponownie być sobą. Wróciły jej dawna energia i zapał. Naprawdę było nam dobrze ze sobą. – Znowu westchnienie wydostało się z jego piersi. – Wspominała nawet o rozwodzie. Ukrywaliśmy nasz związek ze względu na jej męża i synka. Nie wiedziałem, że Teo nie jest jego. Nie kochała go. To znaczy męża, bo Tea uwielbiała. Zawsze mówiła, że to jej najcenniejszy skarb. Gardziła Sewerem, ale ze względu na małego chciała dać mu szansę. Często powtarzała, że byłbym wspaniałym ojcem dla jej synka, tylko szkoda, że mam tyle lat. Prawdę powiedziawszy, nie za bardzo mi się podobało, że uważała mnie za starca. Przecież sześćdziesiąt lat dla mężczyzny to nie koniec życia, ale ona uważała, że jej syn powinien mieć młodego ojczyma. Młodego i zdrowego, bo gdyby jej coś się stało, to miałby go kto wychowywać. Uważała, że mężczyźni wcześniej umierają od kobiet i nigdy nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Wydaje mi się, że właśnie ze względu na mój wiek nie chciała wyjść za mnie, chociaż jej to proponowałem wielokrotnie. Nigdy mnie nawet nie przedstawiła synkowi. – Słowa Schmidta zabrzmiały żalem. – A byłbym dobrym ojczymem. Wiem o tym. Spotykaliśmy się w tajemnicy przed światem, nikt o nas nie wiedział. Wydawało mi się, że jej również na mnie zależy. Takie sprawiała wrażenie. Nawet miała żal, że nie spędzimy razem moich urodzin. – Zamilkł na chwilę. – Naprawdę było nam ze sobą dobrze... Kiedy ją zobaczyłem w Madonna di Campiglio, oniemiałem. Poczuliśmy się bardzo niezręcznie.

Z jednej strony jej mąż i synek, z drugiej wy. Nawet Robertowi nie powiedziałem o mnie i Camilli. Sam nie wiem dlaczego, przecież jest dla mnie jak brat. Może ze względu na Izę, bo przecież wiedziałem, jak Camilla potraktowała ją kilka lat temu. No i Johan... Dlatego udawałem, że się nie znamy.

Schmidt wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju, jakby go paliło siedzisko. Podeszedł do okna i stał tam odwrócony tyłem do Marka.

– Nie wiedziałem o niej i Lorenzu. Dopiero tamtego dnia zacząłem coś podejrzewać, gdy zobaczyłem, jak ze sobą rozmawiali. Nie wyglądało to na relacje gość hotelowy–kelner. Domyśliłem się, że coś między nimi zaszło. Chciałem to wyjaśnić. Porozmawiać z nią na osobności. Wcześniej nigdy nie byłem w jej pokoju, bo mi tego zabroniła. Tamtej feralnej nocy postanowiłem iść do niej, bo targała mną niepewność, tym bardziej że jej zachowanie i spojrzenia, którymi mnie obrzucała, wskazywały na wrogość. Specjalnie założyłem sweter, który od niej dostałem. Nie wiedziałem, że Linnowi też sprezentowała podobny. Chciałem tym gestem przypomnieć jej o nas, że coś nas łączy, że wciąż istnieję... – Zrobił krótką przerwę. – Przyjęła mnie bardzo chłodno. Nie, to bardzo delikatne określenie: była wściekła. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Powiedziała, że między nami koniec. Że przeze mnie ona umiera. Dopiero wtedy się dowiedziałem, że przed wyjazdem zrobiła PET. Wyniki przysłała jej mailem. Okazało się, że ma przerzuty do trzustki i kości. I do mózgu. Całą swoją złość przelała na mnie. Uważała, że poleciłem jej złego onkologa, że ciotkę wyleczyłem, a jej nie chciałem leczyć. Że to moja wina, bo powinienem odradzić jej tamtą terapię. A potem zaczęła wylewać na mnie pomyje. Że jestem beznadziejny pod każdym względem. Że jestem staruchem, który musi wspomagać się viagrą. Że nigdy mnie nie kochała. Że Russo to przy mnie ekstrakochanek, mimo że też ma go dość. Że był dla niej zabawką, ale dużo przyjemniejszą niż ja. Że umiał ją dobrze zerznąć, a ja nigdy. Że udawała przy mnie orgazm. Wszystkie jej słowa to był istny potok obelg i paskudnych inwektyw. Że... jestem odrażający, że się mną brzydziła, gdy szła ze mną do łóżka...

Wyrzucił z płuc powietrze i na chwilę zamilkł. Mark patrzył na niego. Nie ponaglał. Cisza się przedłużała. Schmidt sprawiał wrażenie, jakby zapomniiał, gdzie się znajdował.

– Co było potem? – zapytał w końcu Mark.

– Wtedy coś we mnie pękło. Poczulem, jakby mój mózg zanurzono w szarej mazi... Nie pamiętam dokładnie, ile czasu tam byłem, co potem robiłem, jak wyszedłem z jej pokoju. Pamiętam tylko moment, gdy przytknąłem jej głowę do poduszki...

– Mimo to nazajutrz rano pozorowałeś chęć udzielenia jej pierwszej pomocy – mruknął lodowato Mark.

– Bo kiedy Giulia wpadła do mojego pokoju, żebym ratował Camillę, mówiąc, że może ona jeszcze żyje, ja chciałem w to uwierzyć. – Spojrzał błagalnie na Marka. – Naprawdę chciałem w to wierzyć.

– Ale kiedy włoscy lekarze stwierdzili u niej covid, od razu skorzystałeś z okazji, by uniknąć odpowiedzialności. – Mark spojrzał twardo na mężczyznę. – Wiesz, co jest w tym najgorsze? Że zachowywałeś się normalnie, jak my wszyscy. Niczego nie było po tobie widać. Cały czas grałeś. A my niczego nie podejrzewaliśmy. Jesteś dobrym aktorem. Źle obrałeś zawód. Chyba byłbyś lepszym aktorem niż lekarzem. – Patrzył na człowieka, którego przez lata traktował jak członka rodziny, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Jak mogłeś to zrobić?! Przecież składałeś przysięgę Hipokratesa. Masz ratować życie, a nie je odbierać.

Schmidt ponownie usiadł na krześle. Spuścił głowę. Mark skierował na niego spojrzenie. Musiał dowiedzieć się wszystkiego.

– Russo cię szantażował? – zapytał.

– Tak.

– Od kiedy?

– Jakiś czas po naszym lipcowym przyjeździe do hotelu.

– Dlaczego tak późno?

– Nie wiem.

– Rozmawiał z tobą bezpośrednio?

– Nie. Przesłał mi list.

– Był podpisany?
– Nie.
– To skąd wiedziałeś, że to on?
– A kto inny? Znam Ferra i jego córkę od lat, oni by tego nie zrobili.
– Co zrobiłeś z jego motorem, że policja nie wykryła żadnej usterki?
Schmidt gwałtownie podniósł głowę do góry i utkwił spojrzenie w Marku.
– Myślisz, że chciałem jego śmierci, dlatego uszkodziłem motor?! Naprawdę sądzisz, że mógłbym z premedytacją kogoś zabić?
– Skąd takie oburzenie? Przecież odebrałeś życie kobiecie, którą kochałeś – zauważył chłodno Mark.
– Nie zamierzałem go skrzywdzić! Nie byłbym zdolny z rozmysłem odebrać komuś życia! Nie!
– Ile chciał od ciebie pieniędzy?
– Nie napisał w liście.
– To co ci w nim napisał? Masz ten list?
– Nie, zniszczyłem go. Ale pamiętam treść: Wiem, że zabiłeś Camillę. Mam na to dowód. Nie powiem policji, ale będziesz musiał się zrewanżować. Zgłoszę się do ciebie w Berlinie.
– Tylko tyle?
– Tak.
– Czy po otrzymaniu listu nie próbowałeś porozmawiać o tym z Russo?
– Mówiłem ci, że nie. Domyślałem się, że przyjedzie do Berlina, żeby zacząć nowe życie. Nie chciałem z nim pertraktować pod okiem Krafta.
– Pertraktować? Hmm, ciekawie to ująłeś.
– Przepraszam, źle się wyraziłem. Chodzi mi o to, że bałem się kontaktu z Russo, kiedy w hotelu był Kraft. On zawsze miał oczy i uszy szeroko otwarte.
– A więc była ci na rękę śmierć Lorenza?
– Tak, na rękę – westchnął. – Z jednej strony żał mi go było, bo to młody człowiek, ale jego śmierć również oznaczała koniec kłopotów. – Usta wygięły mu się w sarkastycznym uśmiechu. – Cóż, za szybko się ucieszyłem.
– Znasz to polskie przysłowie: prawda jak oliwa zawsze na wierz wypływa?
– Dobrze, zgłoszę się na policję. Mam to zrobić tu, w Polsce, czy w Berlinie?
Mark wzruszył ramionami.
– Wcześniej pogadaj z Robertem – mruknął.

Rozdział 57

Orłowski i Schmidt wyszli z domu na spacer zaproponowany przez Martina. Ruszyli w stronę zagajnika. Przestało już padać i powietrze wokół nabrało świeżości. Drzewa dopiero co umyte przez deszcz połyskiwały w promykach popołudniowego słońca. Nazajutrz zapowiadała się piękna pogoda. W sam raz na żagle – pomyślał Orłowski. Skręcili w leśną dróżkę. Kałuże wody zdążyły już zniknąć z zielonej murawy.

– Odkąd to lubisz spacerować? Zawsze wolałeś jogging niż bezcelowe łożenie – zapytał żartobliwie Robert. – Ciebie też dopadło starcze lenistwo rekreacyjne?

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– To może pójdziemy do osiedlowej knajpki? Przy kuflu piwa lepiej się gada.

– Nie, nie chciałbym, żeby ktoś usłyszał naszą rozmowę.

Orłowski zdziwiony spojrział na przyjaciela.

– O co chodzi? Stało się coś złego? Coś, co dotyczy naszej firmy?

Schmidt przecząco pokręcił głową.

– Jesteś chory? Masz raka? – w głosie Roberta wyczuwało się coraz większy niepokój.

Mężczyzna nie od razu odpowiedział, szedł w milczeniu, wciąż psychicznie niegotowy do tej rozmowy. Wreszcie stanął i odwrócił się do przyjaciela, patrząc mu prosto w oczy.

– To ja zabiłem Camillę – powiedział, nie odrywając spojrzenia od twarzy Roberta.

– Co? – Szok i zdumienie spowodowały u Orłowskiego chwilową niemotę. Mógł tylko stać i patrzeć w osłupieniu na starego kumpla.

Martin oparł się o strzelistą sosnę rosnącą przy leśnej przecince. Osunął się na wciąż mokrą ściółkę. Głośno przełknął ślinę. Odchrząknął.

– Zgłoszę się na policję. Chyba pójdę z tym do Krafta. Bez sensu iść na komendę tutaj, w Krakowie. To nie ich jurysdykcja, i tak musieliby mnie odesłać do Berlina.

– O czym ty mówisz? – Chyba dopiero teraz dotarło do Orłowskiego znaczenie słów kolegi. – Nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego to zrobiłeś? Byliście kochankami?

– Tak.

– Ale romans to nie powód do morderstwa. Czy powodem była zazdrość o Russo?

– Może... Nie wiem. Camilla potrafiła być okrutna. Staram się zrozumieć, dlaczego tak postąpiłem. Nigdy wcześniej nie przejawiałem żadnych symptomów przemocy. Nigdy nie uderzyłem żadnej kobiety, mimo że niektóre moje żony nieźle mi zaszczyły za skórę. Nie tylko nie podniosłem na żadną z nich ręki, to nawet nie wykazywałem agresji słownej. Zresztą do czasu naszego spotkania w Madonna do Campiglio między mną a Camillą wszystko się dobrze układało. Sprawiała wrażenie, że spełniam jej oczekiwania i w łóżku, i towarzysko. Denerwowało mnie tylko, gdy mi wytykała mój wiek. Miała bzika na punkcie Tea i jego przyszłości. Wcześniej nawet planowaliśmy zamieszkać ze sobą. Chociaż odrzuciła moją propozycję małżeństwa, to zastanawiała się poważnie nad rozwodem. Jedyne, co jej we mnie przeszkadzało, to wiek, bo byłem za stary na ojca. Bo mogłem tak jak wielu facetów w tym wieku nagle umrzeć na zawał albo wylew, a wtedy nie miałyby kto wychowywać Tea. – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Tamtej nocy, gdy zastukałem do drzwi jej sypialni, wpadła w amok. Nigdy nie usłyszałem od nikogo tyle bluzgów na swój temat i nikt nigdy mnie tak nie obrażał jak wtedy Camilla. Nie przypuszczałem, że może być tak okrutną i bezwzględną kobietą. Tak podłą i wulgarną. Usłyszałem, że nigdy mnie nie kochała, że brzydziła się mną w łóżku, że moje ciało jest odrażające, starcze i obwisłe. I że związała się ze mną, bo chciała być bliżej Johana, a wiedziała, że jestem zaprzyjaźniony z rodziną jego żony. A na koniec mi powiedziała, że Russo w porównaniu ze mną to jak świeży kęs befsztyku po zjełczałych i śmierdzących jajach. Wtedy ogarnął mnie szal. Chwyciłem jej głowę i przycisnąłem do poduszki. Żeby w końcu przestała mówić... – Przerwał na chwilę. – Nie wiem, jak dotarłem do pokoju. Pamiętam dopiero moment, gdy rano wpadła do mnie Giulia, żebym pomógł Camilli, bo może jeszcze żyje. Wtedy wszystko sobie przypomniałem. – Przymknął powieki i wyszeptał: – Boże, jak ja chciałem, żeby ona jeszcze żyła... Niestety szybko się okazało, że to niemożliwe. – Znowu zrobił krótką pauzę. –

A potem stwierdzono, że test na koronawirusa był pozytywny. – Ciężkie westchnięcie wydobyło się z jego piersi. – No cóż, wykorzystałem sytuację. Później, gdy w naszym życiu pojawił się Kraft, postanowiłem się przyznać, gdyby oskarżył jakąś niewinną osobę. Czekałem na ten moment. A potem Russo zaczął mnie szantażować... – Zamilkł. – Wiesz, co mnie najbardziej ruszyło w tym wszystkim? Że Mark podejrzewał mnie o zabicie tego typka! Uważał, że jeśli ktoś raz zabił, to może zrobić to powtórnie. – Spojrzał błagalnie na Orłowskiego. – Robert, ja naprawdę nie jestem mordercą. Owszem, zabiłem, ale nie zamordowałem. Nie mogłbym zaplanować z premedytacją czyjejś śmierci. Uwierz mi, nie mogłbym...

Rozdział 58

Mark zajechał pod hotel Stella. Na parkingu stały tylko dwa auta. Cała jego rodzina, Marta z dziećmi i Orłowscy ze swoją świtą, mile spędzali czas w pensjonacie Helga w Alpach, czekając na ślub Tiny i Davida Singlera. Specjalnie przyjechali kilka dni wcześniej, żeby zafundować sobie mały urlop. Wrzesień chylił się ku końcowi, a nadchodząca jesień już groźnie wymachiwała flagą, obwieszczając nadejście drugiej fali pandemii. Mark postanowił wyrwać się z objęć rodziny i skoczyć na jeden dzień do Madonna di Campiglio. Detektywistyczna ciekawość nie pozwalała mu pozostawić bez odpowiedzi kilku istotnych kwestii. Tych odpowiedzi mogła udzielić tylko jedna osoba – Giulia Ferro.

Mark wszedł do westybuli. W recepcji nie było nikogo, dlatego nacisnął dzwonek przy ladzie. Z zaplecza wyszedł Franko Ferro. Na widok Bieglera stanął zdziwiony.

– Pan Biegler?! Jak miło znowu pana widzieć. – Wyciągnął rękę na powitanie, ale zaraz ją cofnął. – Ta cholerna pandemia. Więc przywitajmy się chociaż łokciem, tak jak to lansują nasi przywódcy.

Mark ze śmiechem dotknął łokciem łokcia Włocha.

– Witam pana, panie Ferro. Macie jakiś wolny pokój?

– Pokojów u nas wiele i prawie wszystkie wolne. Mamy tylko dwóch przedstawicieli handlowych i ani jednego turysty. – Głośno westchnął. – Sezon zimowy zapowiada się w bardzo ciemnych barwach. Chyba wkrótce znowu zarządzą lockdown. A jak w Polsce?

– Tak jak wszędzie. Z każdym dniem wzrasta liczba zachorowań. Drugiej fali pandemii już nie przejdziemy suchą stopą jak na wiosnę – odparł Mark, cytując słowa premiera. – Ale my się wirusa w koronie nie boimy i wkrótce się zabawimy. Moja siostra wychodzi za mąż.

– W telewizji mówili, że w Polsce wprowadzono ograniczenia organizowania wesel.

– Ślub odbędzie się w Austrii. W naszym pensjonacie Helga w Blumendorfie w Alpach.

– Hmm, nie boicie się covidu?

– Siostra już go przechorowała, tak jak część rodziny. Zrobiliśmy testy i wszystkie wyszły negatywne, a więc nie mamy czego się obawiać. Cóż, musimy jakoś wytrwać do czasu, aż pokaże się szczepionka. Teść mówi, że może jeszcze w tym roku zaczniemy się szczepić.

– My też nie możemy się doczekać szczepionek, żebyśmy mogli znowu żyć jak dawniej. Pan u nas na długo?

– Tylko na jedną noc. Mam jutro sprawę do załatwienia w Mediolanie – skłamał.

– W Mediolanie? W takim razie dlaczego się pan tam nie zatrzymał na noc? Mediolan ma piękne hotele.

– Madonna di Campiglio jest po drodze, a ja wolę Stellę niż najpiękniejszy mediolański hotel. – Słowa okraślił uśmiechem. – Przecież to niedaleko, tylko trzy godziny jazdy autem. Co to dla mnie taka trasa. – Mark roześmiał się serdecznie. – A gdzie córka?

– Na cmentarzu. Ostatnio wciąż tam przesiaduje, niczym świeża wdowa. – Zmarszczył brwi z niezadowolenia. – Ten łapserdak nie zasługiwał na to, żeby nad nim łyzy wylewać. Na początku, tuż po jego śmierci, czuła tylko złość, ale od jego pogrzebu coś się z nią porobiło niedobrego. Przydałby się jej jakiś mężczyzna.

Wieczorem, kiedy Mark zszedł na dół, żeby coś zjeść, ujrzał Giulie wycierającą szklanki.

– Witam panią. Co słychać?

– Cóż, nic dobrego, sam pan widzi, że w hotelu pustki – odparła, wzruszając ramionami.

– Co mogę zjeść na kolację?

– Oto karta. Proszę wybrać.

– Poproszę lasagne.

– Będzie musiał pan trochę poczekać. Mniej więcej pół godziny.

– No to poczekam. Wasza lasagne jest warta czekania. – Uśmiechnął się do dziewczyny. –

A teraz poproszę piwo.

Mark z piwem w jednej dłoni i telefonem w drugiej usiadł przy stoliku. Zaczął przeglądać

smartfon. Po chwili podeszła do niego Giulia i bez pytania usiadła obok niego.

– Nie wierzę w pańskie sprawy w Mediolanie. Proszę pytać.

– Dlaczego przysłała mi pani pendrive'a?

– Bo kazał mi tato.

– Pan Ferro? To on widział to nagranie?

– Pokazałam mu dopiero po waszym wyjeździe. Wcześniej go nie widział.

– Kto przegrał nagranie z kamer na pendrive'a? Pani czy Lorenzo?

– Lorenzo. Przegrał nagranie na dwa pendrive'y, a potem wszystko skasował w komputerze.

Schował pendrive'y w swoim pokoju. Znalazłam je w skrytce zaraz po jego śmierci. Na jednym było nagranie z kamery na patio, a na drugim z korytarza. Ten pierwszy po wcześniejszym przejrzeniu podrzuciłam tak, żeby Kraft mógł go znaleźć, a drugi zachowałam.

– Dlaczego pani to zrobiła?

– Co ma pan na myśli?

– Dlaczego pani obarczyła tą zbrodnią Lorenza?

– Po co otwierać puszkę Pandory? Pytałam już o to pana, prawda? Czy nie lepiej, żeby mordercą okazał się ktoś, kto nie żyje? Dzięki temu zaoszczędziłam paru osobom mnóstwa nieprzyjemności. A Lorenzo zasłużył na karę. Chociaż pośmiertną karę. – Oczy jej zwilgotniały.

– Mimo to wciąż nie może pani o nim zapomnieć?

– Dlaczego pan tak uważa? Nienawidzę tego gnojka!

– I dlatego wciąż pani odwiedza cmentarz?

– Ojciec tak panu powiedział? – oburzyła się. – Bzdura, wcale nie byłam na jego grobie.

– Zresztą to nieważne. – Machnął ręką. – Ważny jest czas, kiedy Lorenzo zjawił się na balkonie

Camilli. Czy pamięta pani dokładną godzinę?

Dziewczyna chwilę milczała, jakby się zastanawiała, czy warto powiedzieć prawdę.

– Po co to panu?

– To odpowiedź na zasadnicze pytanie. Kto zabił Camillę.

– Nie zrobił tego Lorenzo. Kiedy tam wszedł, ona już nie żyła. Podszluchiwał Camillę i jej gościa przez drzwi. Coś go zaniepokoiło, dlatego wszedł przez balkon. Nie musiał wybijać szyby, bo Camilla zawsze zasypiała przy uchylonym oknie.

– Skąd pani to wie?

– To, że miała uchylone okno? Powiedziała mi, że zawsze tak robi, bo jej duszno. Zresztą na nagraniu było widać, jak Lorenzo wkłada rękę przez lufcik.

– Czy rozmawiała pani z nim o tym?

– Ależ skąd! Nie wiedział, że wiem o nim i Camilli.

– Jak się pani o nich dowiedziała?

– Z jego telefonu. Znałam hasło. Wiedziałam również, że z nim zerwała.

– Czy rzeczywiście rozmawiała pani z Camillą o jej romansie z Lorenzem?

– Nie, musiałam tak powiedzieć Kraftowi, bo niby skąd miałabym o tym wiedzieć, przecież nie przyznałam się, że ukradłam Lorenzowi komórkę.

– No tak, komórka wszystko pani powiedziała. Dopiero po śmierci Lorenza podrzuciła ją pani do jego pokoju?

– Tak.

– Dlaczego podała pani Lorenzowi środki nasenne? Żeby go zabić? – Mark zaszarżował.

Giulia parsknęła śmiechem.

– Panie Marku, nie wiem, o czym pan mówi. Niczego mu nie podałam! Nie miałam pojęcia, że ten dupek pojedzie z tą lafiryndą motorem w nocy do lasu. Co pan insynuuje? Chce mnie pan w coś zrobić? Mordercą Camilli jest Isabel, przyrodnia siostra pańskiej żony.

– To nie Isabel – usłyszeli głos Franca.

– To kto? Alfred Linn?

– Pan Mark wie, prawda?

– Tak, wiem.

– Nie rozumiem kto, jeśli nie Linn? – Giulia miała zdziwioną minę.

– Pan doktor.

– Który doktor? – Nagle twarz dziewczyny się ożywiła. – Doktor Schmidt? No tak, miał podobny sweter jak Linn. Ale dlaczego? – Po chwili zrozumiała. – Ta dziwka też była jego kochanką? A więc to jego Lorenzo miał zamiar szantażować. Byłam pewna, że Orłowskiego lub von Briesta, żeby nie doniósł na Isabel.

– Skąd wiedziała pani o szantażu?

– Nie wiedziałam, ale się domyśliłam, gdy przejrzałam pendrive'y. Zostawił oba nagrania po to, żeby jednym szantażować, a ten drugi był dowodem na jego niewinność. – Zmarszczyła brwi. – Hmm, stąd ta jego chęć wyjazdu do Niemiec. Kiedy z nim zerwałam, z trudem ukrywał radość, że jest wolny. Wydawało mi się to podejrzane, bo za bardzo kochał pieniądze, żeby zrezygnować z naszego hotelu, dlatego się domyśliłam, że musiał mieć na oku inne źródło finansowania.

– Czy przed zapoznaniem się z nagraniami z kamer podejrzewała pani Lorenza o zabójstwo Camilli?

– Zimą myślałam, tak jak wszyscy, że zabił ją koronawirus. A potem, gdy zjawił się Kraft... No cóż, na początku podejrzewałam Lorenza, bo wiedziałam o ich romansie, ale szybko stwierdziłam, że ten dupiek nie byłby zdolny do morderstwa. Inaczej by się zachowywał. Ale się domyśliłam, że wie coś istotnego w sprawie śmierci Camilli.

Mark przyglądał się dziewczynie w zadumie.

– Wiedziała pani, że Lorenzo spotykał się z Izą, musiała jej pani nienawidzić, a mimo to nie wydała jej pani Kraftowi? Dlaczego? Byłaby to idealna zemsta na rywalce.

– Rywalka? Zemsta? – Zaśmiała się. – Nie wierzyłam, żeby ta rozpuszczona dziewczucha spiknęła się na poważnie z Lorenzo, mając takiego męża jak von Briest. Gdy obejrzałam to nagranie, początkowo myślałam, że się z nim spotykała, bo ją szantażował. – Spojrzała na ojca. – Nie chciałam robić trudności przyjacielom doktora Schmidta. Był naszym stałym gościem. – Pokręciła głową. – Nie przypuszczałam, że to on. Tato, dlaczego mi nie powiedziałeś?

Franco wzruszył ramionami i nic nie odparł.

– Teraz ja pana zapytam – głos zabrał Mark. – Dlaczego akurat mnie przysłaliście to nagranie?

Franco się zamyślił.

– Nie chciałem wysłać go komisarzowi, ale nie chciałem też sam nosić na barkach ciężaru odpowiedzialności. To wy, jego przyjaciele, powinniście zdecydować o jego przyszłości.

– Czy jest jeszcze jakaś kopia tego nagrania?

– Nie, wszystko zostało skasowane – odparła za ojca Giulia. – To jedyne nagranie.

Rozdział 59

Tina wyglądała prześlicznie. Tak uważali nie tylko jej brat i pan młody, lecz także wszyscy zebrani goście. Nawet Marta, która nie przepadała za szwagierką, przyznała w duchu, że panna młoda prezentuje się całkiem nieźle. W długiej białej sukni w stylu boho, z koronkowym stanikiem i rękawami oraz skromnym wiankiem z białych stokrotek sprawiała wrażenie leśnej nimfy, która wydostała się z alpejskich ostępów i nie może się odnaleźć wśród mieszkańców XXI wieku. Marta złośliwie stwierdziła do Renaty, że wianek na głowie trzydziestotrzylatki, która od kilku lat mieszka z mężczyzną, to lekka przesada i stwarzanie pozorów skromności. Niepewne spojrzenie Tyny i jej podskórna płochosć jak u zabląkanej sarny przywodziły jednak na myśl młodą niewinną dziewczynę – trochę naiwną i wciąż nieświadomą grożących jej niebezpieczeństw. I właśnie w ten sposób postrzegał ją zawsze Mark. Dla niego nadal była młodszą siostrzyczką, którą musi się opiekować. Długo miał wątpliwości, czy David Singler był odpowiednim partnerem dla niej, ale jego opiekuńczość i oddanie, gdy zimą siostra walczyła z covidem, przeważyły z obiekcjami, których uzbierało się dość sporo. W przeciwieństwie do Marty starał się nie pamiętać o dawnych urazach do Davida, o zdradzie ich przyjaźni i przyczynieniu się pośrednio do śmierci ich nienarodzonego dziecka. Widząc szczęśliwą twarz i roześmiane oczy Tyny, myślał tylko o jej dobru. No i o dobru siostrzeńca, który na razie schowany w brzuchu panny młodej nabierał sił, by za pięć miesięcy zmierzyć się ze światem. David również sprawiał wrażenie szczęśliwego, że wkrótce zostanie ojcem, bo ciągle pytał o samopoczucie żony i otaczał ją ramionami w geście opiekuńczości.

Zaślubiny odbyły się na leśnej polance, kilkaset metrów od pensjonatu, pod białym baldachimem, przy dźwiękach klasycznej gitary. Mimo że pan młody uważał się za Żyda, ślubu udzielał im ksiądz, a nie rabin. Potem orszak weselny skierował się do sali restauracyjnej, gdzie czekały na gości suto zastawione stoły. Ze względu na pandemię grono biesiadników nie było duże, liczyło sześćdziesiąt osób. Oprócz Marka i jego nowej polskiej rodziny zaproszono tylko najbliższych przyjaciół. Nie zabrakło wśród nich Berty Schmidt i jej brata, którzy byli siostrzeńcami Gretchen Biegler, macochy Marka. Państwo młodzi zaprosili ich ze względu na łączącą ich wieloletnią przyjaźń i powiązania biznesowe, bo Tina zarządzała w imieniu brata jego pensjonatem. Zajazd, wraz z innymi hotelami będącymi spuścizną po Gretchen, należał teraz do sieci hotelowej Helga. Gretchen Biegler w ramach rozwodu z ojcem Marka otrzymała kilka obiektów hotelowych, które później na mocy testamentu przekazała swoim krewnym. Pozostałe hotele Markusa Jurgena sprzeniewierzył ojczym Marka Vick Jurgen.

Ku ubolewaniu Tyny i zadowoleniu Marka Vick Jurgen nie był obecny na dzisiejszej uroczystości, ponieważ Temida znalazła dla niego lepsze miejsce, w wygodnej celi w zakładzie karnym. Pomimo usilnych starań Tyny władze penitencjarne nie dały mu przepustki na ślub pasierbicy.

Najszczęśliwszą osobą na weselu oprócz państwa młodych była Aga Torbicka. Radość i euforia wypełniały jej wnętrze niczym pęcherzyki powietrza w białych balonikach zdobiących salę restauracyjną. Powodem jej szczęścia nie było samo weselne przyjęcie, tylko przyczyna, dla której ją tu zaproszono. Dowiedziała się od Krzyśka, że zaproszenie na ślub zawdzięczała wstawiennictwu synka. Fakt, że Eryk interweniował u panny młodej, by zaproszono jego mamę, był dla Agi najpiękniejszym prezentem, jaki w życiu otrzymała. Niekwestionowanym dowodem, że syn ją kocha! Że potrzebuje nie tylko Orłowskich, lecz także matki. W jej mniemaniu gest Eryka był wyznaniem jego synowskiej miłości, której zawsze bardzo pragnęła. Przez cały czas od narodzin synka Aga była zazdrosna o jego przywiązanie do rodziny Orłowskich. Bolało ją, że dziadek, babcia i ojciec (w tej kolejności) zajmują poczesne miejsce w sercu chłopca, a ona, matka, znajdowała się za ledwie na jego rubieżach. Teraz zrozumiała, że była w błędzie. Dlatego dzień ślubu Tyny był dla Agi jednym z najpiękniejszych dni życia.

Teraz tryskająca radością siedziała obok Bartka Krawczyka i z ożywieniem prowadziła rozmowę z sąsiadem z drugiej strony, którym był pan młody.

W pewnej chwili David, widząc nadchodzącą Martę Biegler, przeprosił swoją rozmówczynię i wstał od stołu.

– Marto, czy zatańczysz ze mną? – zapytał nieśmiało.

– No cóż, nie wypada odmówić panu młodemu – odparła po krótkim wahaniu.

Mężczyzna przytulił ją w tanecznym objęciu, bo akurat orkiestra zagrała nostalgiczny utwór. Od lat nie byli tak blisko siebie. Kiedy przyjeżdżał z Tiną do Krakowa, Marta unikała bezpośredniej rozmowy z nim, zawsze ktoś był obok nich.

– Marto, czy mi kiedyś wybaczysz? – zapytał cicho.

– Że zabiłeś moje dziecko?

– Wszystko bym dał, żeby cofnąć czas – wyszeptał. – Naprawdę nie chciałem was skrzywdzić.

Uwierz mi... Co mam zrobić, żeby naprawić nasze stosunki? Jesteśmy teraz rodziną. Tina i Mark są bardzo zżyci. On mi już wybaczył...

Marta milczała. Wypuściła z płuc powietrze.

– Bądź dobry dla Tiny – powiedziała. Zmrużyła oczy. – Czy ty ją kochasz?

Nie odpowiedział od razu.

– Taak – powiedział przeciągle. – Naprawdę mi na niej zależy.

– Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie jak na słowa pana młodego w dniu ślubu – mruknęła.

– Cóż, jestem szczery. – Wzruszył ramionami. – Nie szaleję z wielkiej miłości tak jak kiedyś za tobą, ale jest mi bardzo bliska. To wspaniała dziewczyna. Idealna na żonę i matkę. – Utkwił spojrzenie w twarzy Marty. – Wiem, że nie znajdę lepszej, bo... niestety ta, którą bardzo kochałem, jest dla mnie nieosiągalna.

Zmarszczyła brwi. Odsunęła się od mężczyzny.

– Davidzie, wracajmy do stołu – powiedziała chłodno.

Przy weselnym stole w pewnej odległości od Agi siedziała Iza z Johanem i cichym szeptem starała się rozsypać mężowi zawiloci w powiązaniach rodzinnych Bieglerów i Jurgenów.

– Kim jest ta ładna blondynka w szafirowej sukience? – zapytał Johan.

– Berta Schmidt.

– Czy to krewna Martina?

– Nie, to tylko zbieg nazwisk.

– A ten wymoczek obok niej to kto? Mąż?

– Nie, jej brat. Mąż nie żyje. Był kolegą Davida. David kiedyś poderwał Markowi Martę i o mało co nie doszło do rozwodu

– Co?! Ale szopki! O rany, opowiedz mi, bo nie znam tej historii. Nie mogę się połapać w tych wszystkich waszych koligacjach – powiedział cicho, żeby nie usłyszał pan młody.

– A więc słuchaj. Stary Markus Jurgen, ojciec Marka, był właścicielem sieci hotelowej Helga i mężem Gretchen. Gretchen nie mogła mieć dzieci, dlatego na wieść że jego polska młodzianka kochanka Krystyna spodziewa się dziecka, rozwiódł się z żoną i poślubił tamtą. Ale okazał wspaniałomyślność i połowę hoteli oddał Gretchen. Markus był już bardzo stary, w szkole brano go za dziadka Marka. Kiedy umarł na raka, Krystyna wyszła za Wiktora Szewczyka, notabene ojca biologicznego Tiny, o czym wszyscy wiedzą, ale na głos się tego nie mówi, i przyjął nazwisko żony, stając się Vickiem Jurgenem – ciągnęła Iza. – Vick okazał się paskudnym ojczymem dla Marka, do tego sprzeniewierzył cały majątek po starym Markusie, dlatego Mark pokłócił się z matką i zamieszkał u Gretchen Biegler, całkowicie odcinając się od matki i jej męża. Na dowód tego nawet zmienił nazwisko na Biegler. Spiknął się z bratanicą Gretchen Bertą Schmidt. Mieli wziąć ślub, ale na horyzoncie pojawiła się Marta...

Kiedy Iza skończyła opowieść, Johan skierował wzrok w stronę Krawczyka.

– Widzę, że cała wasza rodzina jest nieźle pokręcona. Panują u was tak dziwne korelacje, że siedzenie przy jednym stole z dawnym narzeczonym żony to mała pestka – mruknął.

– Johan, o co ci chodzi? – Iza zmarszczyła brwi. – To nie ja zaprosiłam Bartka, tylko Tina.

– Wiem, słyszałem o telefonie Eryka. Czy twój gach będzie również zapraszany na kolacje w domu twoich starych? – Widząc jednak marsową minę żony, dodał polubownie: – Na szczęście chyba mi nie przyprawi rogów, bo świata nie widzi poza matką Eryka. Jak ona ma na imię, bo zapomniałem?

Iza nie zdążyła odpowiedzieć, bo przeszkodził jej Teo, który ze łzami w oczach podbiegł do stołu i zawołał:

– Ciociu, ta wstrętna Milenka ukradła mi pistolet!

Rozwiązywanie wszelakich dziecięcych waśni Johan scedował na żonę, nie chcąc narażać się na rodzinne konflikty, ponieważ nie wiedział, jaki mogą przyjąć obrót. Raz zainterweniował i doszło do sprzeczki między nim i teściem, ponieważ Robert nie zawsze potrafił być obiektywny w stosunku do swoich wnucząt.

– Kochanie, idę do nich, żeby się nie pozabijali – powiedziała Iza do męża.

– Nie zabiję jej, bo nie mam czym, przecież ukradła mi pistolet! – zawołał Teo.

– Masz jeszcze rewolwer – zauważyła spokojnie.

– Właśnie, że nie mam! Greta mi go zabrała!

– Rozbroiły cię kobiety? Pozwoliłeś na to?

– To przez wujka Johana. On mówi, że trzeba ustępować dziewczynkom. Nienawidzę bab – oznajmił z malującą się na buzi zaciętością.

– Mam nadzieję, że kiedyś zmienisz o nich opinię – mruknęła Iza. – Chodźmy, pomogę ci je spacyfikować.

– Co to znaczy „spacyfikować”?

– To, co zaraz zrobię – odparła, uśmiechając się do chłopca.

Mimo przeczytania kilku poradników doradzających, jak postępować z małymi dziećmi, nadal nie wiedziała, co w rozmowie z dziećmi jest właściwe, a co nie.

Johan patrzył za oddalającymi się żoną i synkiem. Coraz częściej tak właśnie myślał o Teo. Syn. Jego syn. Cóż z tego, że poczęty w trochę niekonwencjonalny sposób i bez jego zgody. Dziecko to dziecko. Ta sama krew. Cieszył się, że Iza nie tylko zaakceptowała małego, lecz także bardzo się starała być dobrą macochą dla chłopca. Już nie potrzebowała obecności niani non stop, dlatego Zuza przychodziła do nich tylko na parę godzin i to co drugi dzień. Teo zaadaptował się do zmian w swoim życiu i coraz bardziej przywiązywał się do nowych opiekunów. Na razie tytułował ich ciocią i wujkiem, ale Johan przymierzał się do zmiany nazewnictwa.

Do mężczyzny dosiadł się Mark.

– Gdzie Iza? – zapytał.

– Poszła rozbroić twoją córkę, która wraz z najmłodszą panną Orłowską bezprawnie zaanektowała broń naszego Teo.

– Co z niego za facet, że pozwala na to kobietom?

– I ty to mówisz?! Przecież młody Biegler również jest zdominowany przez płęć nadobną.

– Bo go uczę, żeby ustępował dziewczynkom.

– Ja też tego samego ucę naszego Tea – zaśmiał się Johan. – I chyba obaj robimy błąd. Słaba płęć przestała już być słabą. A gdzie Eryk i Kamil? Nie bawią się z nimi?

– Zwariowałeś?! Z maluchami? Siedzą w oranżerii z nosami utkwionymi w smartfony. Robert poszedł do nich, żeby temu zaradzić. – Mark spojrzał na szwagra. – Słyszałem, że nasz teść kupił od sąsiada za bajońską sumę piętnaście arów ziemi, żeby wybudować dla was dom. Zgodziłeś się na to, że też będziesz mieszkał w enklawie Orłowskich?

– Cóż miałem zrobić. – Johan wzruszył ramiona. – Czasami trzeba iść na kompromis. Sam wiesz, jak to jest: albo twoja żona ma rację, albo ty nie masz racji. Przeważało, że mieszkają tam twoje dzieci i Teo będzie miał towarzystwo. – Spojrzał na Marka. – Jak było w Madonna di Campiglio? Wyjaśniłeś już wszystkie wątpliwości?

– Tak. Nie mają kopii nagrania. I nie mają zamiaru iść na policję. Stary Ferro lubi Schmidta, znają się od wielu lat.

– A co z Martinem? Myślałem, że go tu spotkam, podobno był zaproszony na ślub?

– Robert zabronił mu tu przyjeżdżać. – Mark ziewnął, przysłaniając usta wierzchem dłoni. – Zamierzał nawet zerwać z Martinem współpracę, ale Krzysiek był temu przeciwny i przekonał Schmidta, żeby nie szedł na policję. To nie przywróci Camilli życia.

– No i bardzo negatywnie wpłynęłoby na kondycję ich kliniki – dodał Johan. – Krzysiek kieruje się pragmatyzmem.

– Ale nasz teść nie. Na razie stosunki między nim a Schmidtem są zamrożone. Nie zerwane

całkowicie, ale zawieszono na czas nieokreślony – powiedział Mark. – Co tu ukrywać, ja też lubiłem Martina. To porządny gość.

– Nie wytrzymał obelg Camilli. Dobrze wiem, jaka potrafiła być okrutna i bezwzględna, bo pracowałem u niej wiele lat. – Westchnął von Briest. – Po przeczytaniu jej listu staram się ją zrozumieć, ale nie do końca mi się to udaje. Pokazałem go Izie.

– Dlaczego?

– Ze względu na Tea. Żeby przestała jej nienawidzić. Po co psuć dziecku wspomnienia.

Zamilkli. W milczeniu się przyglądali, jak Iza na parkiecie tańczy z Teo, a obok niej mała Greta z braciszkiem i Milenką, trzymając się za ręce, podrygują w takt muzyki.

– Chodź, ja poproszę twoją córkę do tańca, a ty Milenkę. – oznajmił Johan.

– A kto zatańczy z moim synem?

– Ja! – zawołała Renata Orłowska.

– Nie pozwalam! Teraz masz zatańczyć ze swoim mężem – usłyszeli głos Roberta.

– Myślałam, że wyciągasz wnuki ze świata cyfrowego do świata analogowego.

– Hmm, Malutka, lepiej brzmi: z wirtualnego do realnego.

– Wiem, ale chciałam, żeby zabrzmiało to mniej wyświechtanie. – Wzruszyła ramionami. – Co oni teraz robią?

– Zajęły się nimi Marta i Wika. Zobacz, już wywijają na parkiecie.

Orłowski objął żonę, żeby dołączyć do reszty tańczących. Przytulił ją mocno do siebie. Po chwili wyszeptał do ucha.

– Malutka, jestem szczęściarzem. Mam cudowną żonę i wspaniałą rodzinę. Trzeba mówić głośno o swoich emocjach, przede wszystkim tych pozytywnych, żeby zdopingować endorfiny. Endorfiny to endogenne opioidy i mają działanie podobne jak morfina.

– Ja też jestem szczęściarą, bo mam męża szczęściarza – odpowiedziała uśmiechem. – I przy okazji uszczknę również trochę jego szczęścia.

– No wiesz! Zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Proszę o więcej entuzjazmu.

– Jak sobie życzysz, mężu.

Ku zdziwieniu Roberta nieoczekiwanie odsunęła się od niego, zostawiając samego na parkiecie, i podeszła do orkiestry. Nachyliła się nad mikrofonem solisty i zawołała:

– Jestem szczęśliwa! Hej, wy, endorfiny! Słyszycie mnie? Mówię do was. Spowodujcie, żebym poczuła się jak na haju.

Wszyscy Polacy na sali, ci tańczący i ci siedzący za stołem, głośno się roześmiali i zaczęli klaskać.

– Renata, raczej nie licz na endorfiny. Jakby co, to mogę załatwić ci działkę lub skręta – zawołał Mark.

Epilog

Martin Schmidt podszedł do barku i wyjął butelkę whisky. Wlał do szklanki sporą porcję brązowego płynu i dodał wody sodowej. Z zamrażarki wyjął kilka kostek lodu i wrzucił do drinka. Ze szklanką napoju w dłoni klapnął na fotel, przeganiając wcześniej z niego kota, który wykorzystał moment i zajął miejsce. Nero nie przejął się eksmisją, bo ponownie skoczył na kolana Martina. Mężczyzna jedną ręką głaskał kota, a w drugiej trzymał szklankę. Opróżnił już prawie butelkę, ale nie czuł się pijany. Pobrząkując lodem, przybliżył naczynie do warg i wypił duży łyk.

Mózg wypełnił mu się wspomnieniami, myśli drażyły korę mózgową, a emocje przytłaczały duszę. Nigdy nie czuł się tak samotny jak dziś. Chociaż nie miał żony ani gromadki dzieci, samotność raczej mu nie doskwierała. Rodzinę zastępował mu Robert Orłowski i jego trzódka. Martin umiał zorganizować sobie czas, nie nudził się w swoim towarzystwie. Miał wymarzoną pracę, ulubione książki i filmy, a kiedy potrzebował w domu obecności kobiety, umawiał się z jakąś dawną znajomą lub poznawał nową. Nigdy nie miał problemów z nawiązywaniem znajomości z kobietami. Będąc potrójnym rozwodnikiem, nie zamierzał powtarzać tego błędu... dopóki nie spotkał Camilli Vogel.

Mimo że był mocno zahartowany na miłosne odurzenie, dla tej kobiety całkowicie stracił głowę. Zadurzył się jak sztubak. Wcześniej nigdy żadnej tak nie kochał jak Camilli. Ona również sprawiała wrażenie, że nie był jej obojętny, że też go kochała. Było im dobrze ze sobą. Planował z nią wspólną przyszłość. Niestety ona inaczej się na to zapatrywała. Główną według niej przeszkodę stanowił jego wiek – był za stary na ojczyrna dla jej synka. Wcześniej nigdy nie odczuwał starości – jego żonami i partnerkami były młode kobiety, nawet młodsze od Camilli. Żadna z nich nie zauważała różnicy wieku... bo żadna z nich nie miała macierzyńskich zobowiązań. Nie tylko nie posiadały swoich dzieci, nie pragnęły mieć ich także z Martinem. W nim też nigdy nie odezwał się zew prokreacji. Wolał wygodne, dostatnie życie bez obowiązków w postaci rozwrzeszczanej dziecięcej ferajny. Rodzina i dzieci były domeną Roberta Orłowskiego – jego przyjaciel już się urodził z bakcyłem protoplasty rodu. Owszem, czasami Martin mu troszkę zazdrościł tej jego gromadki, ale tylko czasami. Możliwe, że przyczyna jego niechęci do reprodukcji swoich genów tkwiła w tym, że nie trafił na kobietę pokroju Renaty. Jego wybrankami były piękności z długimi nogami, dużym biustem i jeszcze większym ego, nastawionym na branie, a nie dawanie. Camilla w młodości również zaliczała się do tej kategorii, ale później przepoczwarzyła się w królową matkę. Martin dla tej kobiety też mógłby zmienić swoją percepcję rodziny i siebie. Dla niej mógłby przeobrazić swój *image* zatwardziałego bezdietnego samotnika i stać się oddanym ojczymem. Dla niej zrobiły wszystko...

A potem był ten feralny wypadek do Madonna di Campiglio.

Kiedy ujrzał w jadalni Camillę, przeżył prawdziwy szok. Nawet przez moment nie zaświtała mu myśl, że może tu spotkać kochankę. Nie wiedząc, jak się zachować, dostosował się do jej gry. Trochę go krępowały kąśliwe uwagi Izy i Johana pod jej adresem, ale za to mile połeptało pozytywne wrażenie, jakie zrobiła na starszych Orłowskich. Miał nawet zamiar zwierzyć się Robertowi, ale podczas tańca Camilla nakazała mu nadal trzymać w tajemnicy ich znajomość.

Później wybuchała pandemia. Zauważył zmiany zachodzące w Camilli. Zrobiła się pochmurna, przesyłała mu wrogie spojrzenia i odpowiadała opryskliwe, gdy ją zagadał w jadalni.

A potem zobaczył ją rozmawiającą z Lorenzem. Dostrzegł wzburzenie na jej twarzy i dłoń mężczyzny na jej ramieniu. Poczul niepokój i... zazdrość. Tak nie zachowuje się kelner i klientka. Tak kłóć się kochankowie. Postanowił to wyjaśnić i nie czekając na powrót do Berlina, nocą, gdy wszyscy spali, udał się do pokoju Camilli.

Mimo że było już późno, nie przebrała się do snu, wciąż miała na sobie dzinsy i bluzkę. Na jego widok zmarszczyła czoło.

- Co tu robisz? – warknęła.
- Chciałem z tobą porozmawiać.
- Tutaj? W nocy? – Jej głos był lodowaty.
- Nie mogę już dłużej czekać. Stęskniłem się za tobą.

– Naprawdę? Nie bądź żaloszny. – Spojrzała na niego szyderczo. – Czego chcesz?
– Chciałbym porozmawiać o nas...
– O nas? Nie ma NAS! Jest nowotwór, na który przez ciebie umieram!
– Nie rozumiem.
– Moją ciotkę wyleczyłeś, a mnie nie chciałeś leczyć, tylko odesłałeś mnie do jakiegoś konowala!
– Etyka lekarska mi nie pozwalała...
– Gówno prawda. Nie leczyłeś mnie, bo bałeś się odpowiedzialności, wołałeś ją zrzucić na kogoś innego. Jesteś tchórzem i nieudacznikiem! Głupim staruchem. Beznadziejnym w życiu i w łóżku. – Jej twarz płonąła gniewem i pogardą. – Jak myślisz, durniu, dlaczego się z tobą zadawałam? Bo wiedziałam, że znasz Johana von Briesta. Tylko dlatego! Myślisz, że poszłabym do łóżka ze stetryczalym emerytem?! Brzydzę się staruchami. Brzydzę się tobą! Twoją obwisłą starą skórą, twoimi zmarszczkami, twoimi fałdami tłuszczu. Nienawidzę was wszystkich.

– A Russo również nienawidzisz? – zapytał, jeszcze opanowany.

– Jego też mam już dość. Znudził mi się ten żaloszny żigolak. – Usiadła na łóżku i wyszczała: – Wypierdalaj. Won stąd! Zabieraj swoje śmierdzące cielsko, bo czekam na Johana.

I wtedy coś w nim pękło. Jakby puściła tama. Cały gniew, złość i wściekłość, które nagromadziły się podczas tej rozmowy, nagle się z niego wylały.

Nie dawał rady słuchać inwektyw, pragnął zamknąć ten ściek bluzgów i słownych fekaliów. Pragnął ją uciszyć.

Chwyił głowę Camilli i mocno przycisnął do poduszki, a potem nakrył ją dodatkowo kołdrą, żeby jej nie usłyszano. Zaczęła się gwałtownie bronić, wierzgając nogami i rękami, ale był silniejszy. Musiała zamilknąć. Musiała połknąć z powrotem te paskudne bluzgi, które na niego wylała. Trzymał ją długo, bardzo długo. Aż znieruchomiała. Wtedy oderwał ręce. Już na niego nie warczała, już go nie obrażała...

Będąc wciąż w amoku, wyszedł z pokoju i wrócił do siebie. Kiedy rano się obudził, w pierwszej chwili myślał, że to tylko senny koszmar, że to wszystko się nie wydarzyło. Nawet gdy do pokoju wpadła rozhisteryzowana Giulia, wołając: „Proszę jej pomóc! Może ona żyje!” – miał nadzieję, że uda mu się cofnąć ten horror i uratować Camillę. Wystarczyło jednak tylko jedno spojrzenie na kochankę, by zrozumiał, że było za późno na ratunek. Jednego nie pojmował – wydawało mu się, że ją zostawił z twarzą wciśniętą w poduszkę, a teraz leżała na wznak. Nawet zapytał o to Giulie. Powiedziała, że nie zmieniła jej pozycji, że tak ją zastała.

W Martinie zajarzyła się iskierka nadziei, że to wszystko w sypialni Camilli nie wydarzyło się w rzeczywistości, że był to jedynie sen. Straszny sen. Utwierdził się w tym mniemaniu, gdy włoscy patolodzy w akcie zgonu napisali: przyczyna śmierci, COVID-19.

Uwierzył w to. Chciał w to wierzyć. Kurczowo trzymał się tej myśli, nie dopuszczając do siebie żadnych wątpliwości. Przeżywał żałobę z powodu śmierci ukochanej kobiety, a nie dlatego, że ją zamordował.

Tak było do chwili, gdy odebrał telefon od komisarza Krafta. Wtedy dotarło do niego w dwójnasób, że jest mordercą.

A potem musiał udawać. Oszukiwać przyjaciół. Grać. Uśmiechać się, żartować. Pić drinki i psioczyć na nużące śledztwo Krafta.

Było to bardzo wyczerpujące. Wieczorami kładł się spać bardziej zmęczony, niż gdyby pokonał bieg maratoński. Początkowo zamierzał się przyznać do morderstwa, ale gdy zauważył, że śledztwo idzie w innym kierunku, zdał się na los i na komisarza Krafta. To od wyniku śledztwa miało zależeć, jak będzie wyglądać jego przyszłość. Czy będzie nadal lekarzem, czy penitencjariuszem zakładu karnego. Nawet list od szantażysty potraktował jako etap swoistej gry narzuconej przez Opatrzność – gry o jego wolność, gdzie gracz zajmuje bierną pozycję. Śmierć Lorenza i obciążenie go niepopelnioną zbrodnią stała się swoistą przepustką do bezkarności. Martin uwierzył, że los zdecydował o jego przyszłym życiu. Dał mu wolność i szansę na odkupienie winy.

A potem znowu jak w kalejdoskopie wszystko się zmieniło. Najpierw pomachano mu kartą wolności, by za chwilę postawić pod ścianą.

Schmidt z trudem wstał z fotela i ponownie podszedł do barku. Przełał z butelki do szklanki resztę alkoholu, ale nie dodał wody ani lodu. O jego nogi otarł się kot.

– Co, kotku, jesteś głodny? Zaraz dam ci jeść.

Otworzył puszkę kocięj karmy i wyłożył do miseczki.

Ponownie wrócił na fotel.

Teraz wszyscy Orłowscy bawią się na weselu Tiny. On również dostał zaproszenie, ale Robert wyraźnie dał mu do zrozumienia, że Martin nie będzie tam mile widziany.

Odtrącono go. Nie odesłano na policję, ale wyrzucono z kręgu przyjaciół. Martin odczuł ten ostracyzm bardzo dotkliwie. Ból był podobny do tego w przypadku utraty Camilli. Cierpienie przybrało wręcz somatyczną postać: bolała dusza, bolało i ciało. Stracił najważniejsze dla siebie osoby. Robert i jego bliscy przez trzydzieści lat wypełniali rodzinną pustkę w życiu Martina. To dzięki nim nie czuł samotności. To z nimi spędzał święta i urlopy, do nich przyjeżdżał na weekendy i rodzinne uroczystości. Mimo że z Robertem nie łączyło ich pokrewieństwo, byli związani mocnymi więzami trzydziestoletniej przyjaźni. Rodzina Roberta stała się jedyną rodziną Martina.

Teraz był sam. Nie licząc kota.

Wziął zwierzaka na ręce i podniósł go na wysokość swoich oczu.

– Nero, będziesz musiał zmienić dom – powiedział smutno. – Ale nie martw się, tam też będzie ci dobrze. Pani Sonia ma bardzo wygodny fotel.

Wypił ostatni łyk whisky, nabrał do płuc powietrza i chwycił za telefon. Wybrał numer prywatnej komórki Krafta.

– Przy telefonie Martin Schmidt. Panie komisarzu, to ja zabiłem Camillę Vogel.

Polecamy wcześniejsze części sagi o rodzinie Orłowskich

DANKA BRAUN

HISTORIA PEWNEGO ZWIĄZKU

miłość ♥ namiętność ♥ pożądanie

I część sagi

brozamis

Historia pewnego związku

Wszystko zaczęło się w czasach, gdy sklepowe półki świeciły pustkami, a w kawiarniach podawano głównie winiak klubowy. Poznali się w kultowym krakowskim klubie studenckim Pod Jaszczurami.

Ona – skromne, niedoświadczone brzydkie kaczątko, zakochała się w nim bez pamięci.

On – obiekt pożądania większości kobiet, syn bogatych rodziców, łaskawie pozwolił się wielbić, a rola nauczyciela seksu mocno go bawiła. Pewnego dnia wyjechał. Spotkali się po jedenastu latach, gdy ona, samotna matka, już nie tak skromna, szykowała się do zamążpójścia, a on, wdowiec, chciał znaleźć w Polsce wyciszenie.



DANKA BRAUN

HISTORIA
PEWNEJ
NIEWIERNOŚCI

miłość ♥ namiętność ♥ pożądanie

prozeni

Historia pewnej niewierności

Robert Orłowski, wybitny, wzięty neurochirurg, od zawsze jest obiektem westchnień wielu kobiet. Przystojny, inteligentny, a do tego bogaty – zdaje sobie sprawę z atutów, którymi dysponuje. Po ślubie z Renatą stara się być przykładnym mężem i ojcem. Rozdarty między Krakowem a kliniką w Bostonie, gdzie pracuje, potrafi znaleźć czas dla rodziny i zaangażować się w budowę wymarzonego domu. A jednak żona zauważa, że Robert nie poświęca jej już tak wiele uwagi jak kiedyś. Zaniepokojona, pewnego dnia pakuje siebie i dzieci i wyrusza do Bostonu w poszukiwaniu prawdy o Robercie.

DANKA BRAUN

HISTORIA PEWNEGO NARZECZENSTWA



miłość ♥ namiętność ♥ pożądanie

prozenni

Historia pewnego narzeczeństwa

Krzysztof Orłowski, syn Renaty i Roberta, wchodzi w dorosłość. Jest podobny do ojca – przystojny i inteligentny. W klasie maturalnej zakochuje się w nieodpowiedniej dziewczynie, przez co zaniedbuje naukę, staje się krnąbrny i opryskliwy. Ponieważ rozmowy z nim nie przynoszą oczekiwanych efektów, Robert postanawia wdrożyć inne metody działania. Razem z Renatą knują misterną intrygę...

Tymczasem z Australii powraca teściowa Renaty. Jest wylewna i uczuciowa, pragnie naprawić dawne szkody. Renata jednak nie potrafi jej zaufać. Czy obawy okażą się słuszne?



DANKA BRAUN

HISTORIA
PEWNEJ
ROZWIĄZŁOŚCI

miłość ♥ namiętność ♥ pożądanie

prozantti

Historia pewnej rozwiązłości

Krzysiek Orłowski poznaje szokującą przeszłość swojej nowo poślubionej żony, ale dla dobra syna stara się być przykładnym mężem i ojcem. Robert i Renata, wciąż zakochani w sobie, są zauroczeni wnukiem. Pewnego dnia poukładane życie Orłowskich wali się w gruzy

Jedno tragiczne zdarzenie zmienia diametralnie życie obu małżeństw – już nic nie będzie takie jak wcześniej. Los stawia przed bohaterami trudne wybory i zmusza do podejmowania niełatwych decyzji. Czy rodzina Orłowskich przetrwa ciężkie chwile? Czy uda im się odbudować miłość i przywrócić szczęście?

Motto Orłowskich brzmi: W miłości i na wojnie wszystkie chwytły są dozwolone.

DANKA BRAUN

HISTORIA
PEWNEJ
ZAZDROŚCI

miłość ♥ namiętność ♥ pożądanie

prozanti

Historia pewnej zazdrości

Rodzina Orłowskich świętuje powrót do zdrowia wnuka, Eryka. Chłopiec, wybudziwszy się ze śpiączki, musi zmierzyć się z nową sytuacją – jego rodzice od roku są rozwiedzeni, a ojciec z inną kobietą wychowują wspólnego syna Kamila. Eryk nie potrafi zaakceptować takiego stanu rzeczy, staje się złośliwy i krnąbrny, co odbija się negatywnie na związku Krzyśka i Wiki.

Nie bez znaczenia jest fakt, że także matka Eryka dorzuca do zaistniałej sytuacji trzy grosze, usiłując odzyskać miłość byłego męża. W domu Orłowskich aż kipi od emocji, a każdy prowadzi własną grę, usiłując zrealizować swoje cele. Komu się uda?